



**Marta Obuch**

**ODROBINA**

**FALSZERSTWA**

Kałuża rozlewała się przed wejściem niczym ocean.

Cuchnący ocean, należy dodać, bo woń, jaką wydzielala, dotarła do Joli od razu po wejściu na plac Wolności i tak zakręciła w nosie, że Jola już wiedziała - dzień przewidziany na premierę kremowych jak waniliowa pianka pantofli wybrała tragiczny.

Zanim doszła do domu aukcyjnego, który mieścił się w olbrzymiej szarej kamienicy przy rondzie, jeszcze miała nadzieję, że nie jest tak źle, że da się jakoś to świństwo obejść, ale nie. Wylew przybrał tym razem rozmiary kataklizmu. Zasinione bajorko objęło swym zasięgiem dobre dwa metry z każdej strony wejścia i, skubane, uniemożliwiało dotarcie do środka suchą tudzież pachnącą nogą.

W magicznej rurze, która biegła w piwnicy i była przyczyną nieszczęścia, coś pękało regularnie dwa, trzy razy do roku i choć wielokrotnie ją łątano, ta nie poddawała się i wywalała arcyprzyjemną zawartość w dołek u podnóża schodów - jak łatwo przewidzieć, w najmniej oczekiwanych momentach.

Jola popatrzyła najpierw na swoje pantofle, później na kałużę.

I zmartwiła.

Brodzenie w bagienku odpadało, a musiała dostać się do środka, i to jak najszybciej! Wąs już pewnie szalał. Toczył pianę z ust, że wzięła urlop na cały ostatni tydzień, i zamierzał się teraz zrewanżować, zwalając co lepsze zajęcia na jej, bynajmniej niewypoczętą, głowę. Nie wiedział, bo skąd, że wolne dni Jola wykorzystwała na rzetelną i wyjątkowo paskudną przeprowadzkę. Ze swoich prywatnych spraw nie chciała się jednak zwierzać; im rzadziej rozmawiała z szefem, który odznaczał się wrażliwością piły do cięcia metalu, tym mniej miała problemów. Zanim wyszła z domu, zadzwonił już dwa razy! Zlecił jej wydanie katalogu do nowej aukcji i załatwienie wszelkich formalności. Parszywiec. Jola wręcz piała z radości na samą myśl, że czekają ją dziś negocjacje z drukarniami, bo z właścicielem ostatniej Wąs, jak to Wąs, pokłócił się na śmierć i życie. Właśnie w tej sprawie umówiła się w biurze na dziewiątą, a już dochodziło pięć po... Swoją drogą, jak ktokolwiek ma tu dotrzeć? Helikopterem?

Jola sierotką Marysią nie była. Absolutnie. Nie kapitulowała tak łatwo i z pewnością jakoś by sobie poradziła, nie z takich opresji się wychodziło. Już nawet widziała oczyma wyobraźni różne rozwiązania - od wezwania straży pożarnej, za co niewątpliwie zostałaby zwolniona z hukem z firmy, po prozaiczną, acz niewykonalną, teleportację.

Nie musiała się jednak wysilać.

Przeznaczenie postawiło bowiem za jej plecami osobnika płci męskiej. Osobnik zbliżył się na tyle, że całkiem wyraźnie usłyszała wyprodukowane przez niego wymowne hymknięcie, które oznaczało chyba chęć nawiązania kontaktu.

- Hmmm...

Dzwony nie zaczęły bić na alarm. Na katowickim niebie nie pojawiły się znaki, a ziemia nie zadrżała pod stopami Joli. A powinna!

Bo oto na jej życiowej ścieżce pojawił się ktoś, kto odtąd miał z nią po tej ścieżce dreptać, choć niekoniecznie tak, jak to sobie Jola wymarzyła. Ściślej rzecz biorąc, wyobrażała sobie to wspólne drep-tanie całkiem, ale to całkiem inaczej. Nie przypuszczała także, że od tego dnia prawdziwe kłopoty do-piero się zaczyną.

- No właśnie. Hmm... - Wykonała lekki skręt na pięcie i stanęła oko w oko z długowłosym, niewiele od niej starszym młodzieńcem, który ciamkał ze smakiem pomidorka i z filozoficznym spo-kojem kontemlował bezmiar rozlewającej się u jego stóp wody.

Zmierzyła go spojrzeniem, które w pierwszej kolejności objęło tors przeżący się pod koszulką z rysunkiem trupiej czaszki. MY, PIRACI! - przeczytała dumnie brzmiący napis i mimo woli zachicho-tała. A ta marynarka? W pędzie za elegancją musiał ją chyba pożyczyć od młodszego brata. Co chwilę kręcił ramionami, jakby go uwierała, o przykrótkich rękawach nie wspominając. Całość wieńczyły bu-ty, a raczej buciory: wielkie, czarne i sznurowane. O zgrozo! Właściciel wcisnął do nich nogawki ele-ganckich spodni i jak gdyby nigdy nic trwał na chodniku w swobodnym rozkroku. Do salonowych by-walców jednak nie należał. Co to, to nie...

- Fajne buciki - odezwał się, też zerkając na stojącą obok niego dziewczynę.

- To znaczy czyje buciki? - w pierwszym momencie nie zrozumiała, o jakim obuwiu mowa. Znad wizerunku kościotrupa patrzyła na nią bowiem para nadspodziewanie szczerych, wesołych oczu. Czyżby ich właściciel posiadał poczucie humoru? Jola, która przed paroma miesiącami zakończyła burzliwy związek z pewnym sportowcem i nabrała po nim przekonania, że mężczyźni to podlizna i zakąła tego świata, teraz bardzo się zdziwiła. Niepojęte, ale nie miałyby nic przeciwko bliższej znajo-mości z tym długowłosym oryginałem!

- Twoje, oczywiście. To znaczy... pani - poprawił się kurtuazyjnie, ale Jola nie dała się długo prosić. W końcu poczucie humoru to towar niezwykle deficytowy. Wyciągnęła rękę i przedstawiła się:

- Jola jestem.

- Jaaassek. - Młodzieniec z przejęcia wpakował sobie pospiesznie do ust resztę pomidora, po czym ochoczo potrząsnął dłonią dziewczyny. Wcale nie zamierzał wypuścić jej z uścisku i chociaż Jola nie mogła opędzić się od myśli, że wkłada swoją górną kończynę do słoika z koncentratem pomi-dorowym, to doznała kolejnego zaskoczenia. Od dłoni właśnie poznanego chłopaka płynęło przyjemne i wcale nienarzucające skojarzeń z keczupem ciepło. Dziwne. Powinna się teraz skręcać z obrzydzenia, a tymczasem zastanawiała się, czy zna jeszcze kogoś, kto uśmiechałby się równie serdecznie.

- Ty też tam? - zapytał już składnie i wskazał głową w kierunku kamienicy.

- Też tam, tylko jeszcze nie wiem, jakim sposobem. Jasiek? Dobrze zrozumiałam?

- Nie, tylko nie Jasiek! - udał rozpacz. - Mam na imię Jacek.

- Faktycznie, Jacek brzmi lepiej - musiała się z nim zgodzić.

- To co my tu tak będziemy stali. - Amator pomidorów zakręcił się nieporadnie w miejscu i jeszcze raz ogarnął wzrokiem rozlewisko. - Skoro już się znamy, nie będziesz chyba miała nic przeciwko... - Nie dokończył, tylko przeszedł do działania. - No, to siuuup! - Zanim Jola zorientowała się w biegu wypadków, już straciła kontakt z ziemią i znalazła się w całkiem bliskiej odległości od maszyny na koszulce.

I nawet przypadło jej do gustu to sąsiedztwo!

Jacek, bardzo z czegoś zadowolony, najzwyczajniej w świecie przeniósł Jolę przez kałużę, przy każdym kroku rozciapując wodę swoimi wojskowymi bucikami. Z rozmachem otworzył drzwi, wszedł do środka i wyraźnie się ociągając, odstawił dziewczynę. Sprzątaczką, pani Hela, widząc ten romantyczny obrazek, aż cmoknęła z wrażenia. Porzuciła ręczną robótkę i wychyliła się z grajdołka, który znajdował się za ladą szatni.

- O, pan Jacek! - zawołała. - I pani Jola! A to dobre...

Jola najpierw zaczerwieniła się jak przyłapana na gorącym uczynku, ale już po chwili przywołała powtarzane ostatnio w myślach motto: „Chłopy precz!", i od razu poczuła się trochę pewniej. Miły uśmiech miłym uśmiechem, ale faceci wiedzą, jakich sztuczek używać. Odrzuciła do tyłu czarny kędzior włosów i zapytała bez emocji:

- Wy się znacie?

- Pan Jacuś u nas pracuje - obwieściła radośnie sprzątaczką. Widać było, że darzy młodzieńca sympatią, gdyż nigdy nie zagadywała do kogoś, kogo nie lubiła. - Od wczoraj. W sklepie, co go pan Grzegorz rozruszał. - Skinęła głową na przeciwległą ścianę.

- Aha. - Jola już się zorientowała, o co chodzi, i starała się nie okazywać, że wiadomość o nowym pracowniku zrobiła na niej wrażenie.

Wąs uparł się, że musi na dole otworzyć sklep z antykami i, jak widać, dopiął swego. I to w tydzień? Znajac tempo pracy swojego szefa, nie podejrzewała, że tak szybko zamknie sprawę, a tu proszę, już nawet zdążył znaleźć sprzedawcę!

- Będziemy razem pracować. Cieszę się - wyznał szczerze Jacek, nie zważając na obecność pani Heli, której oczy wychodziły z uciechy z orbit. Kręciła głową jak nastroszona kura i nie wiedziała, na które z nich patrzeć.

- To miło - Jola skwitowała więc nieco chłodno tę deklarację i popatrzyła przez plecy Jacka w kierunku przeszklonych drzwi, na których widniały złote litery ułożone w napis ANTYKI. Za szybą znajdowało się schludne pomieszczenie wypełnione meblami, obrazami, porcelaną i innymi cennymi przedmiotami. Nie było tego wszystkiego, kiedy wybierała się na urlop.

- Co go tak przycisnęło z tym sklepem? - Jola postanowiła koniecznie zmienić temat i skierować rozmowę na bardziej oficjalne tory.

- Pana Grzegorza? - Pani Hela od razu wiedziała, o kim mowa. - Podobno dostał jakieś dofinansowanie, tylko musiał się szybko uwinąć, żeby mu nie uciekło.

- Nieźle, nieźle. Tak sam z siebie to do Bożego Narodzenia by się w tym dziabdział.

- Oj, dziabdziałby się - przyznała pani Hela, już całkiem zapominając o amatorach. - Na kogoś tam czeka, niech pani Jola idzie. O matko Boska!!! - Naraz skamieniała i aż zakryła usta ręką.

Jacek zdążył pokonać zaledwie kilka schodów, zupełnie nie zważając na packliwe chlupnięcia, jakie towarzyszyły jego krokom. Po okrzyku sprzątaczkę zamarł jednak w bezruchu. Obejrzał się, pełen złych przeczuć. Maziowate ślady, a raczej miniaturowe kałuże na posadzce, prezentowały się całkiem normalnie. Zważywszy na zupe przed wejściem, trudno oczekiwać, żeby zostawiał za sobą drobinki księżycowego pyłu. Po prostu, jest przyczyna, jest i skutek. Jednak pani Hela wpatrywała się z potępieniem w buty, które tak lubił, i sprawiała wrażenie, jakby chciała się przeżegnać. Albo zemdleć.

- To ja mam tu dzisiaj przechlapane - oznajmiła w końcu martwym głosem i opadła bez sił na krzeselko.

Wąsowi, o dziwo, humor nawet dopisywał. Chodził z zadowoloną miną po biurze, głaskał się po krawacie, jak zwykle „profesjonalnie” dobranym do koszuli (upiornie żółte wielokąty na bordowym tle) i nucił coś pod nosem. Wejście Joli okraślił przeciągłym uśmiechem bazyliuszka o wąskich ustach, jeżeli bazyliuszki mają usta, a nie obślizgłą paszczę.

- Witamy urlopowiczkę! Proszę, proszę. Gotowa do pracy?

- Przygotowałeś mnie, zanim tu dotarłam - Jola pozwoliła sobie na aluzję do telefonów, jakie niedawno odebrała. - A spóźniłam się, bo rura...

- Rura, ruuraaa!!! - Wąs wykrzyknął teatralnie. - Odczepcie się od tej rury! To jest stary budynek, co chcecie. Jutro otworzę wam tylne wejście i po krzyku.

- Wszędzie dookoła stoją stare budynki. Ale rury mają nowe - zauważyła mimochodem Ania Jankowska, która wstała, żeby odłożyć na półkę opasły segregator. - À propos. Gdybyś dzisiaj otworzył tylne wejście nie tylko dla siebie, to nie musiałabym ściągać butów i brodzić w tym świństwie bosso. Potem przez dziesięć minut myłam nogi.

- Trochę higieny wam nie zaszkodzi. - Wąs beztrząsco zignorował żal brzmiący w głosie asystentki.

- Może by tak uwiązać na łańcuchu przed wejściem jakąś firmową parę kaloszy? - dorzuciła Jola i z trudem opanowała złośliwy uśmiech, bo prawie usłyszała, jak Wąs zgrzyta zębami. - Do kolumny na przykład...

- O, popatrz sobie na Jacka. - Ania wzięła się pod boki i spojrzeniem dała Wąsowi do zrozumienia, co sądzi o łataniu dziury w rurze, którą, jej zdaniem, wystarczyło zwyczajnie wymienić.

Wąs, czuły na punkcie biurowej elegancji, spojrzął na Jacka. Spojrzął i zamarł. Jola prawie widziała, z jaką prędkością galopują jego myśli. I w jakim kierunku.

- Panie Jacku... - Wąs rzucił wymownie. Tak wymownie, że Ania uznała za stosowne ruszyć koledze na pomoc.

- Cały przemoczony! Popatrz na jego buty! To był błąd.

Wąs z obrzydzeniem przeniósł wzrok z truposza na T-shircie, który lekko zgiął się na materiale i wyglądał, jakby naśmiewał się z dyrektora Śląskiego Domu Sprzedaży Dziel Sztuki w Katowicach, na nogi swojego podwładnego tkwiące w rozmoczonych czarnych buciorach.

- Przecież to jest skandal... - Wytrzeszczył oczy, jakby nie wierząc w to, co widzi. - Jak pan przychodzi ubrany do pracy?! Już wczoraj panu mówiłem. Przecież pan pracuje w sklepie z antykami!!! - krzyknął na Jacka, który stał w progu, nie odzywając się przezornie ani słowem.

- Czyli jest źle? - odważył się jednak zapytać. - Mówił pan o garniturze...

Wąs prychnął i przywarł wzrokiem do Ani i Joli, jakby szukał w nich poparcia dla swojego oburzenia. Nie znalazł.

- Każdy ma swój styl - skwitowała Ania.

Zniechęcona wróciła za biurko, doskonale wiedząc, że na jakikolwiek ratunek nie ma szans. Jeśli chodziło o strój, Wąs nie znał litości. One również, czy tego chciały, czy nie, musiały przychodzić do pracy w pełnym rynsztunku, ładnie ubrane i umalowane. Nikogo w tej kwestii nie obowiązywała taryfa ulgowa. Z wyjątkiem Cycka konserwatora, on jeden chodził po firmie w roboczym kitelku, a nawet roztaczał wokół swojski odorek potu.

- Jaki styl?! Garnitur?! To ma być garnitur? - Wąs zaczynał się nakręcać. - Z komunii panu został? Jak to w ogóle wygląda?! A te buty? Nooo, ale mogło być jeszcze gorzej. Cieszymy się, że nie założył pan adidasów!

Nie wiadomo, co wydarzyłoby się dalej. Choć Jola widziała dziś Jacka na oczy pierwszy raz w życiu, zaryzykowałyby stwierdzenie, że jej nowy kolega zaczyna się robić wściekły. Że złość gwałtownie w nim wzbiera i wzbiera, że pęcznieje, że...

- Przepraszam. - Niespodziewanie do pokoju zajrzała Monika z recepcji i buzujące w pomieszczeniu napięcie opadło. - Grzegorz, klient do ciebie - zaanonsowała drobnego facecika, który wychylił się z korytarza, taszcząc ze sobą sporych rozmiarów obraz owinięty w szary papier. Jola zerknęła dyskretnie na jego buty. Tak jak myślała, ociekały świństwem z kałuży.

- Dzień dobry, byłem umówiony z dyrektorem.

- Witam pana. - Wąs w jednej chwili przestał się zajmować Jackiem. W centrum jego uwagi znalazła się teraz pasja dużo ważniejsza niż styl i szyk: PIENIĄDZE!!! To z miłości do szeleszczących papierków, a nie do dzieł sztuki, Wąs przejął po ojcu dom aukcyjny i prowadził go z takim zapamiętaniem. Historia, czas albo fakt, że ktoś ścisnął dany przedmiot w dłoniach przed kilkuset laty, znaczyły dla niego tyle, ile warte były zer.

- Miałem przynieść Pracza - chłopak wysunął obraz do przodu i zasłonił się nim jak tarczą, a Jacek poczuł, że po plecach łązi mu stado mrówek. Czy dobrze słyszał? Praczu?!

- Tak jest, oczywiście... Właśnie na pana czekałem. - Wąs puścił człowieczka przodem. Zanim jednak zamknął drzwi do gabinetu, rzucił w stronę swojego nowego pracownika:

- Pan pójdzie się do domu przebrać. Koszula i buty. Obowiązkowo... A za przebieranki potrączę panu z pensji.

Trzasnęły drzwi.

Przez chwilę trwała pełna zakłopotania cisza. Jola czuła się bardzo źle, bo stała się mimowolnym świadkiem tak nieprzyjemnej dla Jacka sceny. Chciała go jakoś pocieszyć, ale bała się, że może dodatkowo pogorszyć sytuację. Za to Ania wkroczyła do akcji bez żadnego skrupowania.

- Nasz szef dla każdego jest taki miłutki. Gdybyśmy mieli rok tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty, na pewno zostałyby prawą ręką Hitlera. Albo jeszcze lepiej Hitlerem. Nie musiałby się z nikim dzielić. Ani wpływami, ani pieniędzmi.

Ledwie Ania skończyła kwestię, drzwi do pokoju Wąsa otworzyły się gwałtownie.

- Jakimi pieniędzmi? - spytał sam zainteresowany, a nie doczekawszy się odpowiedzi, pogroził Ani palcem i kazał zawołać Cycka.

- Pojechał po farby - poinformowała.

- A Prudło w firmie, czy też się gdzieś szlaja?

- Szlaja się.

- To co ja mam teraz... - Wąs wyraźnie się zniecierpliwił i zahaczył wzrokiem o Jacka, który jeszcze nie zdążył wyjść.

- To może pan? Pan przecież pracował w muzeum we Wrocławiu. Zapraszam do siebie - nakaż głośnie nieznośnym sprzeciwu, choć niepozabawionym obrzydzenia, i po chwili Jola została z Anią sama.

Zamierzała ten czas wykorzystać, jakżeby inaczej, na przeprowadzenie krótkiego wywiadu...

Jacek wcale nie pracował w muzeum we Wrocławiu. Skłamał. Owszem, zaglądał tam często, ale w całkiem innym celu, którego nie zamierzał nikomu wyjawiać. Za to na sztuce faktycznie znał się wyśmienicie. Musiał się znać, jeśli chciał być skuteczny w tym, co robił.

Ledwie zamknął za sobą drzwi, spojrzał na oparty o ścianę obraz i stanął za progiem z rozdziwioną buzią. Na krótką chwilę. Następnie padł na kolana, żeby móc przyjrzeć się arcydziełu. Z niedowierzaniem pokręcił głową, a na jego ustach rozkwitł uśmiech.

Ale miał farta!

To był naprawdę Praczu...

Justyn Praczu! *Piękni 1981!!!*

I ten charakterystyczny dla malarza klimat - patrzący znajdował się nagle w zupełnie innym świecie, niby baśniowym, pełnym złota, zieleni i pudrowych różów, ale jednocześnie w świecie bardzo rzeczywistym, polskim, w którym oprócz aksamitnego motyla na stercie cegieł widziało się też pustą butelkę po piwie i pot na koszulach pograżonych w żywiołowej dyskusji górników. Ich wyraziste twarze przemawiały do wyobraźni tak samo jak wycelowane w nich lufy karabinów. Nieprawdopodobny zapis sytuacji i emocji tamtych dni dokonany malarskim pędzlem.

Jacek, poruszony do głębi, usiadł na krześle przy masywnym biurku, jednak nie potrafił odebrać wzroku od dzieła.

- I co to jest pańskim zdaniem? - dość obojętnym tonem zapytał Wąs, wskazując na płótno.

- To obraz znanego śląskiego malarza, Justyna Pracza, który, niestety, już nie żyje - wyjaśnił zgodnie z prawdą Jacek.

- A nazywa się na cześć strajkujących górników z Wujka *Piękni 1981*. Wszyscy o tym obrazie słyszeli, ale do tej pory nikt nie wiedział, gdzie się znajduje.

- A nie mówiłem? - ucieszył się stojący obok Wąsa człowiek.

- Panie...

- Niezguła - podpowiedział gorliwie właściciel obrazu.

- Panie Niezguła, wie pan, ile ja tu miałem rzekomych Gierymskich? - Wąs nie okazał przejęcia.

- Raz mi nawet Picassa facet przyniósł - zarechotał i mrugnął znacząco.

- Zobaczymy po ekspertyzie... Jedno mogę panu obiecać. Jeśli to oryginał, sprzedam go za absolutnie dobre pieniądze. Na pewno pan nie pożałuje.

- A jak to wygląda z ekspertyzą? - zapytał grzecznie pan Niezguła.

- Hmm... - Wąs rzucił Jackowi spojrzenie, które mówiło, że on, jako dyrektor, nie zajmuje się tymi wszystkimi artystycznymi bzdurami. Do tego zatrudnia ludzi: Cycka, Prudła czy choćby jego - Jacka. Wąs zaprzętał sobie głowę jedynie sprzedażą obiektów i taką organizacją firmy, by przynosiła jak największe zyski. Same konkrety, wiadomo.

- W zasadzie potwierdzeniem autentyczności obrazu jest to, że został odnotowany w katalogach albo posiada oznaczenie wystawowe... - zaczął wykład Jacek.

- Ja nic nie posiadam. - Zmartwiony chłopek rozłożył swoje małe ręce.

- Nic nie szkodzi. W takim przypadku oddaje się dzieło do znawcy tematu, jakiegoś autorytetu w danej dziedzinie. Niestety, Pracz jeszcze nie doczekał się kogoś takiego, zyskał sławę niedawno i błyskawicznie. Jeśli chce się potwierdzić autentyczność Pracza, trzeba po prostu skorzystać z pomocy jego rodziny. Zawozi się obraz do Częstochowy, bo tam pani Praczoza teraz mieszka, i czeka się.

- Ile sobie taka Praczoza życzy za usługę? - zimno przeszedł do szczegółów Wąs, który nie zwrócił uwagi na mało elegancką formę pytania.

Jacek wzruszył ramionami, starając się, żeby jego odpowiedź zabrzmiała wiarygodnie.



- Nie mam pojęcia, jakie są stawki.

Chłopiek musiał wyczuć opory Wąsa, gdyż zapewnił:

- Ja pokryję koszty, nie ma problemu.

- To świetnie... Panie Jacku, pan się tą ekspertyzą zajmie - podjął błyskawicznie decyzję Wąs. -

Jak najszybciej, żeby była.

Jacek nieco się zdziwił, ale nie okazał niezadowolenia. Przeciwnie, bardzo się z takiego obrotu rzeczy ucieszył. Chciał być jak najbliżej obrazu, co Wąs nieświadomie mu ułatwił.

- Sklep sklepem, ale trzeba pomóc, sam pan rozumie. A widzę, że zna się pan na rzeczy - Wąs dodał już łaskawszym tonem, starając się nie patrzeć w oczodoły trupiej czaszki.

- Najwyżej Jolka trochę panu pomoże. Trzeba panu Niefule...

- Niezgule - człowieczek poprawił z zadziwiającą cierpliwością, prawie się przy tym kłaniając.

- Niezgule... wystawić kwit komisowy, żeby pan Niezguła...

- Niezguła...

- Żeby pan... dostał potwierdzenie. Jolka wypisze. A jeszcze... Od dawna ma pan ten obraz? - zwrócił się tym razem do właściciela, który, słysząc pytanie, cały się rozpromienił.

- Od dwudziestu lat i trzynastu dni. Prowadziłem kiedyś bar na Gliwickiej i Pracz tam lubił zachodzić. Wtedy jeszcze nikt go nie znał. - Opowiadanie sprawiało panu Niezgule widoczną przyjemność, odważył się nawet przysiąc nieśmiało na podsunętym krześle. - Taki malarzyna, w podstawówce na Załężu uczył plastyki. Nie był przy pieniądzach, a jak go przyszpiliło, to namawiał przy piwku, żeby kupowali te jego bohomazy. Bohomazy: tak wtedy człowiek myślał. I mnie też raz namówił. Nie miał czym zapłacić i pokazał ten obraz. Przypadł mi do gustu, bo mój brat był w kopalni, jak się zaczęły zamieszki. I tak wisiał na ścianie przez tyle lat. Teraz czasy się zmieniły, syn się żeni, a to jedyna wartościowa rzecz w moim domu. Po malarzu pijaku, świeć Panie nad jego duszą, bo dobry był z niego człowiek.

Wąs zdecydowanie nie mógł się pochwalić czymś, co niektórzy nazywają wyczuciem sytuacji, czego dowód dał i tym razem. Bynajmniej nie przejął się opowieścią, w przeciwieństwie do Jacka, który słuchałby tak pana Niezguły i słuchał w nieskończoność.

- Świetna historyjka. Świetna! - Wstał i mechanicznie poklepał właściciela obrazu po ramieniu, dając do zrozumienia, że czas kończyć występy. - Proszę się nie martwić, wszystkim się zajmimy. Ale najpierw ekspertyza... Później, jakby co, aukcja, ale aukcję mamy dopiero w lipcu, pierwszego. Kiedy syn się żeni? Zdażymy?

Dziesięć minut wystarczyło, żeby Jola wiedziała już wszystko. Jacek został przyjęty w czwartek. Spodobał się Wąsowi, gdyż wcześniej pracował w Muzeum Sztuki Dwudziestolecia Międzywojennego we Wrocławiu jako pomocnik konserwatora zabytków, a Wąs chciał kogoś z branży. Ania

wyraziła w tym miejscu zdziwienie, że po muzeum można się zgodzić na pracę w sklepie, co prawda z antykami, ale sklep zawsze pozostaje sklepem, po czym kontynuowała opowieść.

Przy informacji, że Jacek niedawno przeprowadził się do Katowic i wynajął mieszkanie... na osiedlu Paderewskiego, Jola poczuła lekkie podekscytowanie, gdyż sama przeniosła się właśnie na ulicę Pilotów leżącą na obrzeżu blokowiska.

- A nie wiesz, gdzie konkretnie mieszka? - zapytała Ani, która popatrzyła na nią krytycznym okiem.

- Dziewczyno... Jacuś nie rozdawał jeszcze wizytówek, ale jak tylko... będę o tobie pamiętać. Mogę, oczywiście, wejść w jego dane, ale chyba mnie o to nie poprosisz? Co ty się tak dopytujesz? Niedawno, zdaje się, słyszałam, że zmieniasz orientację.

- Jednak pożyję jeszcze trochę jako hetero. To miewa swoje dobre strony. A interesuję się, bo...

- To się nie interesuj - weszła jej w słowo Ania. - Jacek ma chyba dziewczynę. Coś tam mówił, ale nie zwracałam uwagi. Nie wiedziałam, że będę przesłuchiwana.

Jola jakby skłęsa.

Siedziała przez chwilę i trawiła informację w milczeniu. W końcu jednak doszła do słusznych wniosków. Jacek był dla niej po prostu miły, i tyle. Skąd w ogóle zuchwała myśl, że mogła mu się spodobać! A nawet gdyby, trójkąty odpadały. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że wkracza pomiędzy dwoje ludzi. Ponadto święcie wierzyła, że budowanie własnego szczęścia na nieszczęściu innych bywa tragiczne w skutkach, a dziewczyna tracąca Jacka z pewnością musiałaby być nieszczęśliwa.

- W pewnym wieku człowiek spotyka albo wolnych kretynów, albo interesujących facetów z żonami - stwierdziła smętnie. - Ewentualnie z narzeczonymi. Aha, o rozwodnikach nie wspominałam?

Ania roześmiała się pobłaźliwie.

- Nie wspominałaś. Masz dwadzieścia siedem lat, dziecinko, jeszcze nie jest tak źle. Im dalej w las, tym więcej drzew, a raczej pniaków... Bo po dziesięciu latach, to dopiero będzie pustynia! - Ania liczyła sobie coś pod pięćdziesiątkę i wiedziała, o czym mówi. Machnęła ręką, po czym wróciła do komputera. - Korzystaj z życia, ile możesz.

- Staram się, ale trzeba mieć z kim korzystać - westchnęła smętnie Jola i też włączyła swoje pudełko. - Ja to się czasem czuję jak ta czapla - wyznała rozbrajająco.

- Oooo... Czapla? - wyraziła zdziwienie Ania i uprzejmie czekała na ciąg dalszy.

- No, ta z wiersza. Bo w tym właśnie jest ambaras, żeby dwoje... i tak dalej. Jak mnie się jakiś chłopek podoba, ja jemu za cholere, absolutnie nie. Zakładając oczywiście, że jest wolny. A kiedy wreszcie wpadam komuś w oko, to jak nie ma kompleksów, dwójki dzieci albo ewentualnie sztucznej szczęki, to jestem zdziwiona. Nie śmiej się! - rzuciła rozzalona w stronę koleżanki, która zaczynała trząść się nad klawiaturą. - Poza tym naprawdę na świecie jest więcej fajnych babek niż wolnych normalnych facetów. Normaaalnych! - zaakcentowała.

- Trochę przesadzasz, moja droga. Facetów w ogóle statystycznie jest mniej, dlatego te baby tak się rozwydrzyły, dlatego tym chłopom nadskakują, prawie na nich włożą! - Ania zaczęła swój ulubiony temat. Nie mogła przeboleć, że minęły czasy, kiedy mężczyźni zabiegali o względy bladolicych bóstw. Że kobiety się zdobywało, a uleganie było słodką sztuką dwojga aktorów. - Która pierwsza, ta lepsza! I tępe nie pomyślą, że jak łatwo przyjdzie, łatwo pójdzie. Ufff...

- Normalny facet to jak mamut - ciągnęła z widocznym żalem Jola, kwestię aktualnego przebiegu matrymonialnych podchodów miała już z Anią przerobioną. - Albo jak neandertalczyk... Prehistoria.

- Przyszłość to małe miasteczka - rzuciła tajemniczo Jankowska. - Albo wsie... Taki młody, jędrny traktorzysta to jest dopiero coś!

- Że co? - Jola nie zrozumiała. Pożegnała już w myślach Jacka, przypomniawszy sobie wstrętą sportową gębę swojego byłego, który w jej własne urodziny zabrał ją na mecz siatkówki, i otrzeźwiała. Niewątpliwie pomogła w tym obecność Ani - na poczucie humoru koleżanki zawsze mogła liczyć. Między innymi dlatego lubiła tu pracować, choć Wąs czasami doprowadzał ją do szewskiej pasji swoimi poglądami i wymaganiami. Dla Ani warto się było czasem pomęczyć. Oczywiście dużo znaczył także kontakt ze sztuką, co dla Joli - graficzki, absolwentki Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach - miało znaczenie.

- Wsie, miasteczka. Tam jeszcze podobno znajdziesz normalnych, bo w dużym mieście sami skażeni i zepsuci. Zero wartości. Tak mówi moja ciotka. Miasteczka! Im większa pipidówka, tym lepsza! - Ania uniosła palec i zachichotała.

- Będę pamiętać. Młody, jędrny traktorzysta! Brzmi fantastycznie, chyba to sobie zapiszę... Ciekawe, skąd pochodzi Jacek? - Nie umiała się opanować, żeby nie powiedzieć na głos tego, nad czym się zastanawiała. - W tym stroju to wygląda na głębokie miasto, jak myślisz?

- Wczoraj to jeszcze miał rozpuszczone kłaki. Wąs mu powiedział, żeby związał. Albo najlepiej ściał.

Jola musiała w tym momencie okiełznać nieco wyobraźnię, długie włosy u mężczyzn zdecydowanie zawsze na nią działały. Przy Ani nie dało się jednak pofolgować myślom, bo po krótkiej chwili zastanowienia jej urocza koleżanka wypaliła z pytaniem:

- A gdyby tak namówić Jacka na trwałą?

Aż do obiadu Jola nie miała czasu, żeby odsapnąć. Najpierw zajęła się właścicielem obrazu, potem uzgadniała jutrzejsze spotkanie z panią Pracową, a przez kolejne godziny siedziała nad katalogiem do aukcji. Facet, z którym była umówiona o dziewiątej, albo zrezygnował, albo wrócił się po kajak, widząc, że w drodze do biura musiałby pokonać woniejący ocean.

Wąs tymczasem udawał, że kałuża nie istnieje. Wydania klucza od tylnego wejścia odmówił, twierdząc, że nie będzie wpuszczał klientów przez podwórze, na którym Cycek urządził ostatnio gra-

ciarnię. Kazał mu do jutra posprzątać i tyle. O wezwaniu hydraulika nie napomknął ani słowem, co doprowadziło Anię na skraj załamania nerwowego. Jola odwołała wszystkie dzisiejsze spotkania i decyzję wyboru drukarni przełożyła do jutra. O czternastej mogła pomyśleć o jakimś posiłku.

- Idziesz ze mną do Grazy na obiad? - zapytała koleżanki.

- Wpław?

Jola westchnęła ciężko.

- Będę skomleć o klucz i wyjdziemy tyłem.

- Idź sama, ja sobie przyniosłam na dzisiaj sałatkę.

Jola westchnęła, ale uporządkowała pobieżnie biurko i ruszyła szukać Wąsa. Na górze, gdzie w magazynach i pracowniach królował Cycek, usłyszała szmer głosów. Tam też skierowała swoje kroki, mijając po drodze siedzącą w recepcji Monikę, która posłała jej zza biurka spojrzenie w stylu „Mam cię, zjem cię”. Spojrzenie zostało odwzajemnione z nawiązką.

Jola doskonale wiedziała, że Monika i Wąs po cichu mieli się ku sobie, a zważywszy, że Wąs dorobił się również i narzeczonej, którą z Moniką doskonale znały, sytuacja wydawała się Joli co najmniej dwuznaczna moralnie. Czego nie potrafiła recepcjonistce nie okazywać.

Pantofelki okazały się nie tylko śliczne, ale i wygodne. Stapało się w nich lekko, a dywan rozłożony na schodach też robił swoje. Koniec końców Jola weszła na wyższe piętro bezszelestnie. Już na podeście między kondygnacjami miała wrażenie, że chyba nie najlepiej trafiła, bo z tonu i głosu poznała, że Cycek z Wąsem prowadzili jedną z tych swoich poufanych rozmów. Innym razem nie przysłoby jej do głowy przeszkadzać, ale w tej samej chwili w żołądku coś jej zabulgotało i zassało tak nieprzyjemnie, że się przełamała.

Podeszła wyżej.

- Ciebie nie było, więc wziąłem nowego. - Wąs nie mówił zbyt głośno, ale przy ścianie, gdzie Jola zatrzymała się na chwilę, żeby poprawić przed spotkaniem z szefem podjeżdżającą do góry spódniczkę, każde słowo dało się słyszeć doskonale.

- I co powiedział? Oryginał? - dopytywał się Cycek, a Jola skojarzyła, że rozmowa dotyczy *Pięknych 1981*.

- Podobno... Wielki mi autorytet, szczył z jakimś gównem na koszulce. Ciebie pytam, obraz widziałeś.

- Mnie wygląda na oryginał, ale sam wiesz, ile potrafi dobry fachowiec...

- Wiem, wiem - Wąs westchnął ciężko.

- Może zawiadomimy starego?

Jola podeszła już prawie do szczytu schodów, ale coś ją powstrzymywało przed ujawnieniem swojej obecności. Może wyczuwalne w głosach obu mężczyzn napięcie?

- Tak na zapas? - Wąs miał wąpliwości.

- Stary też by pewnie chciał usłyszeć nowinę. Mógłby już nadać artyście - ostatnie słowo Cycek wypowiedział z właściwą sobie ironią. - Kiedy wyniki ekspertyzy?

- Jolka mówiła, że Praczoła da odpowiedź za tydzień w środę. To będzie dwudziesty dziewiąty marca.

- Potem jeszcze notka do katalogu dwa dni - westchnął konserwator. - Prudło musi mieć obraz do notki. Znasz go. Musi posiedzieć, popatrzeć... Liczymy dziesięć dni. Jeśli to oryginał.

- Oby, bo nawet na szmatławą rurę mnie nie stać! Dobra, idź do starego i powiedz co i jak.

Żołądek znów dał o sobie znać. Tym razem ścisnął Jolę tak, że przeciągłe gulgnięcie było zapewne słychać nawet na parterze, a co dopiero za ścianą korytarza, za którą właśnie się czaiła. Jeśli akustyka działała tu w obie strony...

- Co tam? - zaniepokoił się Cycek, a Jola zdążyła jakimś cudem zbiec o parę schodów w dół, nie łamiąc w pośpiechu nóg.

- Grzegorz! - zawołała przejmująco. - Masz przy sobie klucze na podwórko? Chcę iść na obiad! Iść, a nie płynąć!!!

Wąs wychylił się zza ściany, wyciągając z kieszeni spodni pęk żelastwa.

- Łap! - powiedział i rzucił go w stronę Joli, która tylko dzięki refleksowi nie oberwała tym złomem po głowie.

- Co za styl - skomentowała z przekąsem, ale bez nadziei na refleksję stojącego u szczytu schodów przełożonego. Pewnie nawet nie usłyszał albo, co bardziej prawdopodobne, udał, że nie słyszy. Bęcwał.

Pomyślała, że do Moniki nie powinna czuć niechęci. Tylko wielkie, podszywane kobiecą solidnością, współczucie.

Po paru minutach wchodziła już do Grazy - restauracji znajdującej się tylko dwie kamienice dalej. Tutaj zazwyczaj jadały z Anią. Blisko i smacznie, cóż trzeba więcej. Niestety, ostatnio doszły je plotki, że lokal ma zostać przeniesiony. Szkoda. Jola zastanawiała się właśnie, co zrobić, jeśli opowieści krążące po placu Wolności okażą się prawdą, kiedy przy stoliku pod oknem dostrzegła Jacka, który w najlepsze opychał się naleśnikami. Zawahała się, przez moment rozważała nawet odwrót, ale już została zauważona. Nowy kolega pomachał wesoło na jej widok i zaprosił gestem, żeby się dosiadła.

- Fajnie, nie lubię jeść sam - rzucił na powitanie. Zamknął rozłożoną przed sobą książkę i zrobił miejsce przy stole.

Jolę, którą wychowano na książkach, zawsze intrygowało, co czytają inni. Odruchowo zerknęła na tytuł.

- *Sztuka fałszerzy, fałszerze sztuki?* Ciekawe? - zagadnęła, ale Jacek nie bardzo palił się do rozwijania tematu. Pospiesznie schował lekturę do leżącej na krzeselku torby.

- Takie bzdurki - skwitował. - A ty, co lubisz czytać? Chyba że nie lubisz, ale nie wyglądasz - pozwolił sobie na komplement.

- Uwielbiam czytać! Najbardziej... Nie będziesz się śmiać?

Jacek z przyjemnością spoglądał na siedzącą przy nim dziewczynę. Znali się tak krótko, a już zdążył stwierdzić, że lubi jej towarzystwo. I że jest bardzo kobieca. Nie chodziło tu wcale o wygląd, chociaż mógł bez przerwy wpatrywać się w jej brązowe jak orzechy oczy, które mrużyła, kiedy coś ją rozbawiło. Jola miała w sobie coś... Coś lekkiego. I energicznego zarazem, bo zauważył, że w tej na pozór delikatnej osobce aż skrzył się temperament. A Jacek zawsze podejmował wyzwania.

- Obiecuję, że najwyżej się uśmiechnę. - Ze zdziwieniem stwierdził, że już się uśmiecha.

- Dobrze. Uwielbiam... czytać książki kucharskie - wyznała Jola. - Ale koniecznie ze zdjęciami i to takimi, że jak na nie patrzysz, to chciałbyś od razu zjeść taki sorbet z arbuza na przykład. Z listkiem mięty i kulką lodów cytrynowych. Albo maliny zanurzone w gorzkiej czekoladzie...

Jacek poczuł, że za chwilę będzie miał problemy z przełknięciem czegośkolwiek. Aż chrząknął. Po co ona opowiada o tym żarciu tak sugestywnie? I zlizuje cukier z brzegu filiżanki? Już dostał gęsiej skórki!!!

Spojrzał na Jolę badawczo, ale ta nie odgrywała roli lubieżnej femme fatale, która usiłuje skusić samca słodkimi słówkami szeptanymi mu do ucha nad naleśnikiem z serem. Po prostu opowiadała o tym, co sprawiało jej przyjemność. Estetyczną, tudzież konsumpcyjną. Zresztą, czego on chce, idzie całkiem nieźle. Przecież planował zaskarbić sobie łaski wszystkich pracujących w domu aukcyjnym. Co prawda żaden romansik nawet nie *zaświtał mu* w głowie, ale *zrażać* dziewczyny do siebie też nie zamierzał. Wręcz przeciwnie. W granicach rozsądku, oczywiście. Rozejrzał się po knajpcę.

- Często tu przychodzisz? - Na wszelki wypadek postanowił jednak porozmawiać o czym innym niż ociekające sokiem sorbety.

Do Joli tymczasem dotarło, że chyba przesadziła z roztaczaniem kulinarnych wizji. Od jedzenia do seksu niebezpiecznie blisko! Truskawki, szampan, a potem wiadomo co - najlepszy dowód. Ludzie mnożą przyjemności, są mistrzami w ich łączeniu. Jacek mógł pomyśleć, że celowo bawi się smakami i skojarzeniami, żeby go sprowokować, albo jeszcze gorzej - uwieść! Wszystko dlatego, że czuła się przy nim zdecydowanie za swobodnie. Musi wziąć się w garść, i to natychmiast!

- Tu zazwyczaj z Anią obiadujemy. A jak ci się podoba w nowym miejscu pracy? - Też postanowiła nieco ochłodzić atmosferę rozmowy.

- Bardzo - Jacek nawet się nie zająknął.

- Naprawdę? - Nie chciała wierzyć. - Wąs jest nie do życia!

- To jak z nim wytrzymujesz?

- Biorę na niego poprawkę. I czasem, chociaż rzadko, patrzę jak na zjawisko. Ważne, żeby nie dać się wyprowadzić z równowagi.

Jacek odkroił spory kawałek naleśnika i niby od niechcienia zapytał:

- Słyszałem, że niezłe z niego ziółko. Że podobno kombinuje. Mówi się nawet, że z waszego domu aukcyjnego znikają obrazy...

Jolę w pierwszej kolejności uderzyło określenie, „waszego” - przecież jechali na tym samym wózku! Dopiero w następnej kolejności dotarł do niej sens pozostałych słów. Nie wiedzieć czemu, przyszła jej do głowy podsłuchana rozmowa. Już chciała spytać, co Jacek miał na myśli, mówiąc o znikających obrazach, ale nie zdążyła.

Za oknem, w polu jej widzenia, pojawił się bowiem stwór.

Stwór niewątpliwie należał do rodzaju ludzkiego, ale poszarpane szaty i makijaż, a raczej charakterystyka, bo czarne smugi pod oczami i brązowe usta na tle pobladłej twarzy trudno było nazwać makijażem, nasuwały skojarzenie z upiornymi postaciami z chińskich kreskówek. Niestety, stwór okazał się istotą z tego świata i Jola wiedziała, że nie zniknie z chwilą wyłączenia telewizora.

Jacek, widząc, że Jola wpatruje się jak zahipnotyzowana w szybę, też spojrzął.

I zatchnęło go.

- Kasia... - wybełkotał wstrząśnięty i do Joli dotarły jednocześnie dwie rzeczy.

Że stwór jest kobietą. I że Jacek ją zna.

Przełknęła ślinę i postanowiła nie stracić ani sekundy z oglądanego przedstawienia.

Stwór tymczasem wpatrywał się obrysowanymi na hebanową czerń oczami to w skamieniałego nad talerzem Jacka, to w Jolę. I wyraźnie gotował się do skoku! Po chwili postać z trzaskiem otwieranych drzwi zmaterializowała się w lokalu, wywołując swoim wejściem lekki popłoch wśród bywalców.

- Tyyyyyyyy wstrętny!!! - dziewczyna wydyszała w stronę Jacka, a Jola zastanowiła się, czy powinna się bać. Powietrze z powodzeniem można by kroić nożem; świat zamarł i czekał na tragiczny ciąg dalszy. Jednocześnie nie była w stanie oderwać wzroku od czarnej czapeczki dzierganej zapewne szydełkiem, która, ciasno przylegając do ufarbowanych na rudo włosów, sprawiała wrażenie odrażająco lepkiej pajęczyny. Spódnica, a raczej coś, co pełniło jej funkcję, powiewało postrzępionymi jęzorkami dookoła nóg odzianych w rajstopy, w których właścicielka wyciachała gigantycznych rozmiarów dziury. Wypisz, wymaluj zjawia ze snu!

- W pracy miałeś podobno być, taaak?!

Jacek zgłupiał. Usiłował coś powiedzieć, ale dziewczyna zafalowała skórzaną kurtką, aż rozdzwoniły się przyczepione do niej agrafki.

I stanęła nad nimi jak wściekła Mojra.

- W pracy? Tak?!

- Kasiu... Proszę cię, robisz przedstawienie. Zaraz ci wyjaśnię... - Jacek znów spróbował, ale bezskutecznie. Naraz w oczach jego połowicy stanęły wielkie jak fasola łzy, a agresja gdzieś się ulotniła. Pozostała za to widoczna w postawie całego ciała pretensja połączona z obrazą majestatu.

- Nic mi nie będziesz wyjaśniał! Nie rozmawiam z tobą! - wykrzyczała piskliwie i powiewając pomarańczowym włosom, wybiegła z lokalu. Wszyscy skupili- teraz uwagę na Jacku, który zerwał się z miejsca w pogoni za ukochaną, ale już za progiem zwątpił w sens swojego wysiłku. Wrócił do stolika nieco załamany.

- Cóż - wydusił po dłuższej chwili, rozglądając się spłoszony po sali - pozostaje mi tylko przeprosić. To była Kasia, moja... dziewczyna - oznajmił w przestrzeń, po czym opadł na krzesło.

Jola poczuła wdzięczność dla Ani, że uprzedziła ją o istnieniu w życiu Jacka kogoś takiego jak kobieta. Szok byłby znacznie większy. Teraz trawiła tylko fakt, że „kobieta” okazała się przerażającym i nieokrzesanym babolem. Przecież Jola nie siedziała z Jackiem ciasno spleciona w miłosnym uścisku! Jedli zwyczajnie obiad. Czy wspólny posiłek to zbrodnia? Ona na miejscu stwora nazwanego wdzięcznie Kasią (Kaśka, Kacha!!!) po prostu by się dosiadła i poczekała, aż sytuacja się wyjaśni. Czemu taki chłopak...

- Słucham - Jacek domyślał się, co Jola sądzi. - Pewnie chcesz coś powiedzieć?

- Hmm...

- Nie była taka, jak ją poznałem. W gruncie rzeczy to wrażliwa dziewczyna, tylko trochę impulsywna - powiedział, ale szybko zorientował się, jak głupio zabrzmiało jego zapewnienie. - To dla niej przeprowadziłem się do Katowic. Kiedyś mieszkaliśmy w różnych miastach, więc pomyślałem: wóz albo przewóz. Ale na razie jest przewóz, bo jeszcze się do mnie nie przeniosła. Dalej mieszka w akademiku. Ma tam koleżanki. Jakby koleżanki były ważniejsze...

Jacek westchnął ciężko, ale wbrew pozorom było mu lżej. Nie musiał już robić podchodów i naciągać Joli na wyznania o Wąsie. Mógł z nią po prostu szczerze porozmawiać. I nie kłamać.

Naprawdę miał z Kaśką problem. Owszem, częściowo z jej powodu przyjechał na Śląsk. Kiedy dzieliła ich odległość i praca, której poświęcał prawie każdą wolną chwilę, nie układało się między nimi najlepiej. Teraz liczył na to, że sytuacja się zmieni. Był na miejscu, w końcu mógł inaczej poukładać w czasie swoje sprawy zawodowe. A może się przeliczył?...

Popijając z Jolą herbatę z dzikiej róży, Jacek, po raz pierwszy od przyjazdu do tego miasta, poczuł się naprawdę zrelaksowany.

I spokojny, co przy jego trybie życia nie zdarzało się często.

Parę minut przed siedemnastą Jola zaczęła zbierać się do domu. Może Jacek zaczeka na nią i wrócą razem? Drzwi do sklepu zastała jednak zamknięte, Jacek pewnie spieszył się do swojej dziewczyny. I miał powody...



Starając się jakoś rozprawić z małym piknięciem zawodu, które odezwało się na dnie duszy, Jola powlokła się ulicą 3-go Maja w stronę przystanku autobusowego na placu Szewczyka. 674 przyjechało w chwilę potem i po piętnastu minutach znalazła się już na osiedlu. Przeszła chodnikiem w górę Granicznej, minęła blok, w którym mieściła się poczta, i stanęła na ulicy Pilotów, gdzie znajdowały się domki jednorodzinne.

Tu, po numerem 58, w uroczym pomarańczowym domku, mieszkała Alunia.

I tu, od paru dni, dzięki dobremu sercu koleżanki, mieszkała też i Jola.

Przed tygodniem, dokładnie we wtorek czternastego marca, właściciel mieszkania po prostu ją z niego wyrzucił, gdyż znalazł najemcę, który zaoferował więcej. A że najemca postawił warunek, że musi się wprowadzić już w czwartek, Joli pozostały dwa dni na znalezienie następnego lokum. Właściciel działał oczywiście bezprawnie, po svińsku oskarżył ją o imprezowanie i zdemolowanie mieszkania (rzekomo zniszczyła drogocenny segment z płyty paździerzowej „Krzysztof”, który pamiętał jeszcze szalone lata siedemdziesiąte), a następnie wypowiedział umowę w trybie natychmiastowym. I co z tego, że znała przepisy, bo po nieprzyjemnej rozmowie z właścicielem prześwieciła w internecie prawo lokalowe wzdłuż i wszerz? Na ciągnięcie się po sądach nie miała ani czasu, ani tym bardziej pieniędzy, o czym pan Maj, nieużyty cep, doskonale wiedział. Poza tym była kobietą... Taki stan rzeczy, niestety, wykluczał przefasonowanie gęby panu Majowi, co mu się, jak nic, należało. Joli pozostało tylko spakowanie walizek.

Opatrzność jednak nad nią czuwała.

Tak przynajmniej sądziła Jola, która nawet nie przewidywała, jaki łańcuch wydarzeń pociągnie za sobą niewinna zmiana adresu...

Kiedy załamana wracała z kolejnej kawalerki, za którą żądano kwoty w jej mniemaniu nieprzyzwoitej, wpadła na Wojewódzkiej na Alunię - koleżankę ze studiów. Co prawda ich znajomość trwała krótko, bo Filip, mąż Ali, student piątego roku sztuk pięknych, w niedługim czasie obronił dyplom i wyprowadził się z żoną z akademika, ale Jola zdążyła poczuć do Ali - cichej i spokojnej studentki pedagogiki - ogromną sympatię i często z nią rozmawiała.

Spotkanie po latach sprawiło obu paniom radość, a zakończyło się propozycją, by do czasu znalezienia przyzwoitego mieszkania Jola zatrzymała się u Ali, która dostała w spadku po ojcu domek jednorodzinny z niewielką przybudówką, co zapewniało Joli ciasny kąt, ale za to u ludzi uczciwych i spokojnych. Przybudówka nie miała osobnego wejścia, ale nie stanowiło to problemu. Prowadził do niej osobny boczny korytarz biegnący od głównych drzwi, do których Jola otrzymała swoje klucze.

- Filip, to tyyy?! - z kuchni dał się słyszeć głos Aluni przy akompaniamencie trzaskających przyjemnie talerzy.

- Nie, to tylko ja! - odskrzyknęła Jola, ściągając z nóg pantofle, które po całym dniu pracy prze stały być jednak tak wygodne.

- Chodź na obiad! - znów zakrzyknęła Alunia i wychyliła głowę z kuchni.

Mimo że od progu Jolę prawie obezwładnił zapach placków ziemniaczanych, nie zamierzała nadużywać gościnności swojej koleżanki. Już i tak obawiała się, czy jej nie nadweręża.

- Nie mogę siedzieć u ciebie na garnuszku - powiedziała, wchodząc do kuchennego królestwa. Ależ tu pachniało! Alunia potrafiła gotować tak, że wszystkie okoliczne i nieokoliczne knajpy wysiadały. Jak tu nie ulec... Nawet Pilot, pies państwa Piechów, siedział nieruchomo przy kuchence i z podziwem wpatrywał się w swoją panią bez jednego mrugnięcia okiem.

- Chodź, chodź, nie gadaj! Placki po żydowsku z sosem grzybowym. - Ala sprawnymi ruchami nakładała porcję dla Joli. - Gdzie dwóch zje, tam i trzeci skorzysta. Pilot, ty już dostałeś, piesku!

- To wszystko kosztuje...

- Jolunia, ja mam ogródek. - Ala nie pozwoliła jej dokończyć i postawiła przed nią talerz z parującymi plackami polanymi cudnie brązowym sosem. - Zasiałam wszystkie warzywa, a poza tym... Dla kogo ja mam gotować? Dzieci nie posiadam, a Filip to już je jak w stołówce - westchnęła naraz trochę przygnębiona. - Nawet nie powie, że mu smakuje... Teraz też. Dzwoniłam i mówił, że będzie za pół godziny, a już minęło półtorej. I tak się z nim umawiać. Ehhh... Bezkres czasowy, jak ja to mówię. Czarna dziura.

Jola sama zauważyła, że od czasu wspólnego mieszkania w akademiku, układy między Alą a Filipem uległy zmianie. Na gorsze, niestety. Zresztą Filip - artysta malarz - zawsze sprawiał wrażenie lekko, jakby to nazwać... niedostosowanego społecznie. A malarzy Jola знаła naprawdę wielu. Dziwiło ją, że tak poukładana i akuratna osoba jak Alunia zdecydowała się na życie z Filipem: osobnikiem roztrzepanym, a do tego bezwzględny terrorystą uwielbiającym narzucać swoje zdanie innym. Popatrzyła z podziwem na koleżankę, która, dla odmiany, wzięła się za nacieranie przyprawami kawałka mięsa. Skąd ona bierze siły?

- To na jutro - wyjaśniła, widząc spojrzenie Joli. - Staram się gotować dzień wcześniej, bo od tego mojego dziadka wracam po trzeciej i jestem za bardzo zmęczona, żeby stać w kuchni. Trochę z tym kłopotu, ale trzeba się cieszyć, że pracuję.

Filip głosił przedpotopowy pogląd, że kobieta powinna być strażniczką domowego ogniska. Powinna co najmniej szydełkować, tkąć gobeliny, a na koszulach męża haftować jedwabnymi nićmi jego inicjały. Tu Jola zaczynała dostawać torsji. Ileż można siedzieć w ogrodzie, czytać, słuchać radia... już nie wspominając o wszystkich rutynowych, domowych zajęciach. A to wszystko samotnie. Po pierwszych protestach żony Filip, człowiek nieznoszący zwierząt, przełamał się i wpadł na pomysł zakupu psa. Jeśli miało to zatrzymać Alunię w domu, musiał się przemóc i pogodzić z faktem, że pies śmierdzi psem. Pomysł sprawdził się, ale na krótko. Potem zaczęły się kłopoty finansowe, a umęczona Alunia zaczęła marzyć o zmywarce, na którą sama zamierzała zarobić, gdyż Filip sprzeciwiał się po-

mysłowi - marnotrawstwo wody i prądu, mawiał, kręcąc nosem. Z ciężkim sercem w końcu jednak ustąpił i łaskawie pozwolił małżonce iść do pracy. I dopiero wtedy zaczęły się schody...

Nikt nie chciał zatrudnić trzydziestoparoletniej kobiety, która jeszcze nigdy nie pracowała. Zresztą miejsc pracy też było tyle, co kot nasiorbał. Alunia zdążyła już zapomnieć wiadomości przyswojone na studiach i na dobrą sprawę znała się tylko na jednym - na gotowaniu i prowadzeniu domu, choć inne ambicje też przecież posiadała; jej horyzonty życiowe nie ograniczały się do brzegu rondla. Traf chciał, że w „Wyborczej” przeczytała ogłoszenie, które w pierwszym momencie nieco ją rozśmieszyło:

*Kobietę mówiącą i piszącą w języku niemieckim do prowadzenia domu przyjmę od zaraz.*

Po niemiecku prowadziłyby ten dom, czy jak? Ale poszła. I została przyjęta, przy czym dla pracodawcy miało duże znaczenie, że posiadała, oprócz obywatelstwa polskiego, także niemieckie, bo Niemcem był jej nieżyjący już ojciec. Praca nie wymagała zbytniego wysiłku ani nie zajmowała wiele czasu. Do pana Władysława, człowieka starszego i kulturalnego, Alunia przychodziła na cztery, pięć godzin dziennie i otrzymywała bardzo dobrą zapłatę. Oprócz prowadzenia domu pisała czasem za niego po niemiecku listy. I, oczywiście, próbowała odkładać na upragnioną zmywarę, ale marnie jej szło, bo wszelkie dodatkowe pieniądze zaczął pochłaniać dawno nieremontowany dom. Ale przynajmniej wyszła do ludzi, nie siedziała już jak ten dzikus cały czas w zamknięciu.

- W ogóle stwierdzam u siebie trwały rozkład małżeństwa - wyznała, posypując mięso czerwoną papryką. - Widzisz, jak to wygląda... Filipa zazwyczaj nie ma, a nie daj Boże zapytać, gdzie był. Zaraz się wścieka, że go kontroluję!

- To nie wiesz, gdzie on spędza czas poza domem? - Jola zdziwiła się, bo rozumiała, że facet może nie mieć ochoty na pokazywanie grafiku swojego dnia z rozpisanymi minutami wejść i wyjść, ale istniało przecież coś takiego jak względy bezpieczeństwa. Gdyby mu tak ktoś, tfuuu, odpukać, ukreślił w ciemnym zaułku łeb, to jak zrozpaczona kobieta miałaby dojść, gdzie spoczywa kadłub?...

- Zazwyczaj sam mówi, jak ma chęć, ale nie znosi, kiedy się dopytuje. A jeśli już jest w domu, to siedzi zamknięty w pracowni. Zwróciłaś uwagę?

Jola zdążyła poczynić pewne obserwacje. I jej, wojownicze o prawa kobiet, absolutnie nie spodobało się to, co w domu państwa Piechów zobaczyła. Już ona zrobiłaby tu porządek...

- Powiem ci, Jola, że ja to się tak czasem zastanawiam, czy on nie ma na boku jakiejś kochanki.  
- Alunia myślała już o najgorszym.

- Chyba przesadzasz, Filip zawsze był trochę... ekscentryczny. - Jola nie mogła wytrzymać, kiedy kobieta robiła za niewolnicę męża. Starła się jednak czegoś nie palnąć, bo do tej pory nie omawiała z Alunią takich tematów i nie wiedziała, jak daleko może się posunąć w ujawnianiu własnego zdania. Mąż, wiadomo, rzecz święta.

- Ekscentryczny? - Ala zaśmiała się nerwowo. - On jest ostatnio po prostu nieprzyjemny! Nawet zauważyłam dziwną prawidłowość. Im ja jestem miłsza, tym Filip staje się mniej miły!

- Może jesteś za miła - nieśmiało bąknęła Jola, ale Alunia zdawała się jej nie słuchać.

- A tak pięknie kiedyś mówił! Że miłość jest jak kwiat, że trzeba go pielęgnować, żeby nie usechł. I na cały wieczór do pracowni! Bo noc go inspiruje! - Alunia wzięła do ręki tłuczek i zaczęła walić w rozłożone na desce mięso z takim zapamiętaniem, jakby leżał na niej jej własny małżonek.

Jola przetrawiała przez chwilę informację, po czym odważyła się zapytać:

- To nie sypiacie razem, skoro on tak w tej pracowni?...

- Sypiamy... Od drugiej, trzeciej w nocy. Zależy jak go zmorze. Ale wiadomo, do czego ja się w środku nocy nadaję.

- Do fazy REM - odpowiedziała usłużnie Jola, próbując złapać ślizgającego się po talerzu grzybka.

- A co to takiego?

- Głęboka faza snu. Podobno, jeśli czegoś nie pomyliłam.

- Aha... REM... - powtórzyła Alunia i głęboko westchnęła. - Jakbyś zgadła. Nawet odstawiłam tabletki i oficjalnie go o tym zawiadomiłam. Bo przed czym ja się mam zabezpieczać, skoro brak seksu to najlepsze zabezpieczenie? A... może ja go już nie pociagam? - Drgnęła nagle i pod wpływem porażającej myśli odłożyła tłuczek.

Jola chciała nieco zyskać na czasie, więc nalala sobie soku. Cóż mogła powiedzieć? Alunia była istotą sympatyczną. I do rany przyłóż. Bezwzględnie.

Ale jej wygląd pozostawiał wiele do życzenia.

Według Joli prezencja koleżanki była kiepska, a mężczyzna... Czy mógł odczuwać niepohamowaną chuć na widok białego kołnierzyka, który stanowił nieodłączny element stroju Aluni i zabijał wszelką myśl o sycących oczy dekoltach? Albo czy rasowy samiec zapiałby z zachwytem na widok rajstop, przez które, o zgrozo! przeświecały długie jak u nutrii włosy? Gdyby Jola była mężczyzną, to prawdopodobnie musiałyby być, jak większość z nich, wzrokowcem, i wygląd Aluni z miłą, ale nieco szarawą twarzą nieskałaną makijażem i z ulizanymi grzecznie włoskami pewnie by jej nie zachęcił. Jeśli nie odrzucił.

Chyba że Jola, jako wspomniany reprezentant płci odmiennej, kochałaby Alunię bezwzględnie i bezkrytycznie. Ale nie oszukujmy się, i takie uczucie po latach nieco blednie, a wtedy... Jakieś bodźce zewnętrzne by się jednak przydały, nie ma co ukrywać!

- Hmm. Chyba nie chcesz powiedzieć, że wy w ogóle... - zawiesiła znacząco głos.

- W ogóle tak, ale strasznie rzadko - wymamrotała Alunia. - Czasem mu się zbiera na intymności i trafia do łóżka o dwunastej, ale dla mnie to jest środek nocy po całym dniu.

Jola widziała proste rozwiązanie.

- Powiedz mu o tym.

- Ileż można mówić? Ja już mam dość mówienia! Działa tylko na dwa tygodnie, a potem i tak wszystko wraca do normy. To znaczy do nienormalności, bo to chyba nienormalność. Jak sądzisz?

- W zasadzie... Jeszcze nie poznałam faceta, który by sobie odmówił pewnej czynności, a raczej długodystansowo odmawiał - uściśliła dla porządku.

- To już znasz. I mieszkasz z nim pod jednym dachem. Jola wiedziała, że w związku nic nie dzieje się bez przyczyny.

- A może on ma jakieś kłopoty? I tak odreagowuje? - podsunęła.

- Ja też mam kłopoty, ale nie jeżdżę na Dominikanę, żeby się odstresować. - Ala zaczynała być naprawdę zła. - Owszem, ma kłopoty... Ostatnie większe zlecenie dostał rok temu. Teraz żyjemy w zasadzie z jego wykładów. A moja pensja zawsze wpada w jakąś dziurę, którą trzeba załatać.

- No widzisz! Czyli jednak jakiś powód jest.

Jola już na własnej skórze zdążyła doświadczyć, jak frustrujący potrafi być dla osobnika płci przeciwnej brak pieniędzy - zupełnie jakby skrzynia pękająca w szwach od złota była miarą męskości.

- Niby jest... - Alunia nie czuła się przekonana, ale nie wyraziła do końca swoich wątpliwości.

Do domu zawitał bowiem jego pan.

Pierwszym widowym tego znakiem było zniknięcie z kuchni Pilota, z którym właściciel pozostawał na wojennej ścieżce. Chwilę przed wejściem Filipa pies zapiszczał krótko, acz przejmująco, zakręcił się niespokojnie w miejscu, po czym wybrał ewakuację przez wyciętą w tylnych drzwiach kuchni klapę.

- O wilku mowa. - Alunia знаła zwyczaje swojego pupila i nie pomyliła się.

Zazgrzytał przekręcany zamek, a po chwili dało się słyszeć gromkie wołanie od drzwi:

- Jest obiad?!

Jola z Alą popatrzyły na siebie porozumiewawczo.

- Hej, jest tam kto? - pytanie rozległo się bliżej i do kuchni wkroczył Filip we własnej osobie.

- Cześć, żona! Cześć, Jolanto! - rzucił patetycznie, zatrzymując się w progu, skąd ogarnął sytuację. - Mały sabacik? - zapytał zadowolony.

Filip swoim wyglądem budził sympatię. Przypominał dobrze odżywionego, nieforemnego krasnala z mięsistym nosem i poczciwymi oczkami, które zdawały się jedynie oglądać kwiaty, poziomki i inne leśne cuda. Rozsiadł się wygodnie na ratanowym krześle pod ścianą. Zrzucił z ramienia wielką płócienną torbę, przyjrzał się bacznie obu kobietom, po czym z głębi żołądka wyznał:

- Zjadłbym coś.

Zanim przebrzmiały jego słowa, z Alunią stało się coś niebywałego.

Po małym buncie, który jeszcze niedawno dał się zauważyć, nie pozostał nawet marny cień. Alunia rzuciła się w stronę nawiedzającego dom bóstwa i cmoknęła je na powitanie w policzek. Jakim

cudem w drodze pomiędzy stołem a krzesłem zdołała umyć ręce i pstryknąć gaz pod sosem, który przecież nie zdążył jeszcze ostygnąć i nadawał się do jedzenia, tego Jola nie potrafiła odgadnąć, ale była pełna podziwu. I zdumienia.

Przede wszystkim Jolę ogłuszyło, że Ala w ogóle do tych czynności wystartowała!

Owszem, mężczyzna wrócił. Po godzinie spóźnienia. Wrócił skądś. Nie wiadomo skąd, bo pytać nie wolno. Może z pracy, a może nie. Wrócił i w domu zastał żonę. Żonę, która nie tak dawno też wróciła z pracy, ugotowała obiad, a nawet wzięła się za przyrządzanie posiłku na następny dzień! I co?

Ale najgorsze miało dopiero nastąpić.

- Herbatkę jeszcze poproszę. - Filip usadowił się za stołem i czekał, aż małżonka podstawi mu posiłek pod nos.

Podstawiła.

I to z uśmiechem, choć nieco niemrawym.

- Ciężki dzień dzisiaj miałem - Filip zaczął zdawać relację, jak to pokłócił się z dziekanem, a Alunia, nie przestając się uśmiechać, nalała w tym czasie do kubka wody, włożyła do niej torebkę herbaty i nasypała cukru, żeby nie fatygować się noszeniem cukierniczki. Dorzuciła jeszcze cytrynkę i postawiła kubek wraz z łyżeczką przed mężem. Mąż zjadł ze smakiem dwie porcje placków, wytarł usta i popił herbatki. Po zaledwie jednym łyku odstawił kubek z grymasem na ustach.

- Znowu nie pomieszałaś - powiedział, a Jola najpierw pomyślała, że to jakiś ich wspólny żart, a potem dla odmiany skamieniała, bo pretensja w głosie Filipa nie mogła być udawana! - A jakbyś wyszła z kuchni? Skąd ja mam wiedzieć, że posłodzone? Nasypałbym znowu... Każdy normalny człowiek miesza, jak sypie cukier! Albo nie sypie, tylko stawia na stole cukierniczkę!!!

Ala zatrzymała się pośrodku kuchni.

- Cukier masz w herbacie, wystarczy wziąć łyżeczkę. Co za różnica, w cukierniczce czy w kubku. Wiesz, że w kubku, skoro...

Ale Filip dopiero się rozkręcał.

- Ciągłe to samo! Może chcesz mi zrobić na złość?! Jak sypiesz cukier, mieszaj, kobieto! To tak jakby ktoś się wysrał i nie założył majtek!!!

Ostatni argument w takim stopniu ogłuszył Jolę, że musiała wyjść. Żeby otrzeźwieć.

I postanowiła jedno - nie pozostanie bezstronna. O, nie!!!

Owszem, trochę go poniosło. Nawet więcej niż trochę. Miał zły dzień.

Jakby się tak dobrze zastanowić, to miał zły rok, a nie tylko dzień. Wiedział, że nie powinien się w ten sposób usprawiedliwiać, ale, do cholery, czy wykonanie paru zwykłych okrężnych ruchów w kubku do herbaty albo postawienie na stole cukierniczki to czynności zbyt skomplikowane? Tym bardziej, że prosił o to już setki razy?

Mógł się opanować i nie drzeć ryja, zgoda. Mogli spokojnie usiąść i w tej sprawie w końcu coś ustalić. Głupio nawet przed tą Jolką. A nawet pomijając Jolkę... Kochał Alunię i nie chciał źle. Tylko że tyle spraw musiał ostatnio połapać, że łeb od tego pękał, a kasy nie przybywało.

Po prostu stracił nad sobą kontrolę.

Głupio.

Filip siedział zrezygowany w kuchni, patrząc niewidzącym wzrokiem w okno.

Chciał od razu iść do pracowni i ochłonać, ale wiedział, że pogorszyłby jeszcze bardziej sytuację. Już zbierał się w sobie, żeby wstać i poszukać Aluni, kiedy w kieszeni spodni zabrzęczała komórka.

W słuchawce usłyszał głos, na który czekał od wielu długich miesięcy. Ten głos oznaczał pieniądze.

Duże pieniądze, w których legalność zaczynał ostatnio po cichu wątpić, ale pieniądze, które mogły zapewnić jego rodzinie spokój.

- Benc mówi. Chyba będę miał do pana sprawę...

Z Alunią udało się Joli porozmawiać dopiero późnym wieczorem. Opuściła sypialnię, kiedy upewniła się, że Filip wyszedł z domu. Wyglądała żałośnie. Cała zapuchnięta, w niedbale przewiązanym szlafroku, z nosem jak mała czerwona pompka. Aż przykro było patrzeć.

- Chodź do kuchni, zrobimy sobie czekoladę. Mówił, gdzie wychodzi? - zapytała przybitym głosem, a Jola poczuła, że w gardle coś jej rośnie.

Coś, co podchodzi coraz wyżej i wyżej. I nieznośnie ją dławi!!!

- Z całym szacunkiem, droga koleżanko, ale... Po jaką ciężką cholere ty mu ten obiad podałaś? - w końcu dała upust swojemu oburzeniu i odetchnęła. Najwyżej za bezczelność wyląduje dzisiaj pod mostem!

Alunia łamała właśnie tabliczkę czekolady do małego rondelka stojącego na kuchni. Nie bardzo rozumiała, o czym Jola mówi - zamruwała niepewnie oczami i spojrzała na nią jak na przybysza z odległej planety. I wtedy Jola rzeczowym tonem uświadomiła koleżance absurdalność zaistniałej sytuacji. Wyliczyła fakty, począwszy od „drobnego” spóźnienia Filipa po utyłanie Aluni w mięsie na kolejny obiad. Incydent z herbatą pominęła, gdyż zwyczajnie ją przerósł i jeszcze nie potrafiła go na spokojnie ogarnąć myślą.

- Co stało na przeszkodzie, żeby on sobie te placki wziął sam? Wstawiłaś je do piekarnika, były ciepłe. Sos pasł się pod przykrywką, też dobry do jedzenia. A nawet jakby Filip musiał chwycić za patelnię? Łapy by mu odpadły?! Ty też wróciłaś z pracy i nikt ci nie postawił miski przed nosem, tylko ruszyłaś do garów!!!

Alunia w ogóle nie wiedziała, co odpowiedzieć. Stała zakłopotana i bezradnie szukała w myślach jakiegoś argumentu. Ale nie znalazła.

- Siekierką cię zmuszał, żebyś mu podała? - Jola napierała dalej, nie zamierzała odpuścić.

- Ja to robię od lat - wypowiedziała w końcu Alunia. - Po ślubie chciałam mu dogadzać i... I tak już zostało. Dla niego to oczywiste.

- Dla ciebie też?

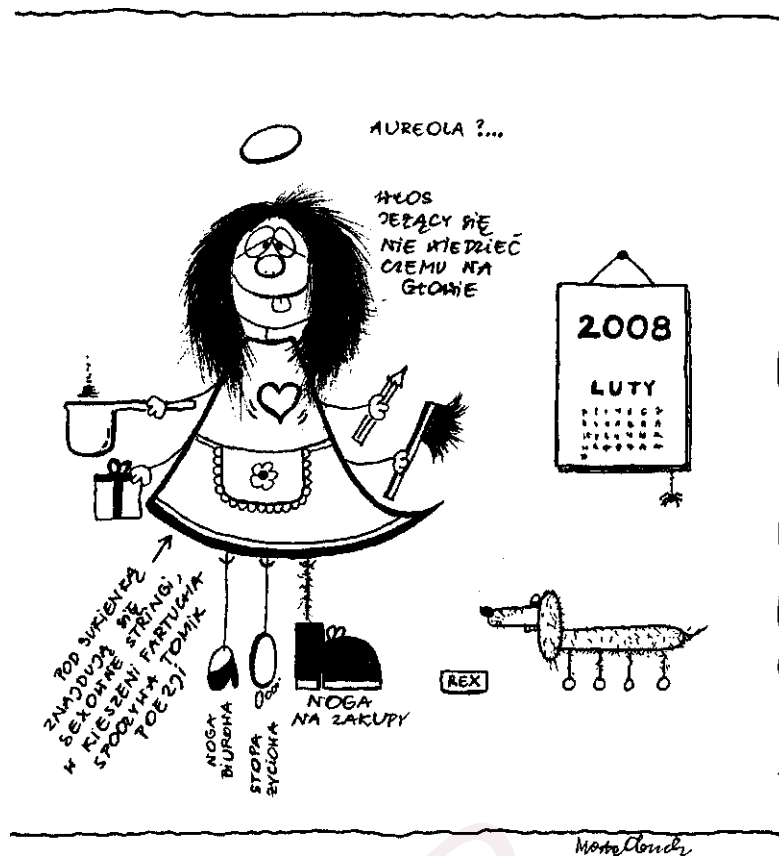
Pytanie Alunią jakby wstrząsnęło. Zestawiła ronderek z ognia i usiadła zrezygnowana przy Joli.

- Dla mnie? - martwo powtórzyła. - Jakoś tak wyszło... Wcale nie jest mi dobrze. Już nie! - wyrzuciła z głębi duszy, jakby zdziwiona, że coś takiego powiedziała. - Ale co ja mogę? Filip nie chce mi pomagać! Wykręca się albo robi wszystko byle jak. Gdyby mi tak ktoś obiektywnie doradził...

Jola na taką deklarację tylko czekała.

Była kobietą czynu, co jednak jej poprzedni towarzysz życia wolał złośliwie nazywać wojującym feminizmem. Może miał trochę racji? Jola uwielbiała facetów, nie mogła jednak zgodzić się z wykorzystywaniem kobiet w zagrodzie domowej. Ileż znała koleżanek, które godziły pracę zawodową z codziennym etatem kucharki, szwaczki, pomywaczki, kelnerki itd. Mążzonek zarabiał i to miało wystarczyć. Trzeba mu w podzięcie oddawać cześć i bogobojnie bić ukłony: ugotować obiad (niektórzy tyrani życzą sobie nawet z dwóch dań!), wylizać do czysta dom, wychować pociechy, żeby wyszły na ludzi, i jeszcze wyglądać! Koniecznie wyglądać, żeby samiec nie zechciał czasem uszczęśliwiać jakiejś kolejnej naiwnej. Po doczołganiu się po tych wszystkich czynnościach do łóżka... Nie, to jeszcze nie koniec obowiązków! Teraz punkt kulminacyjny. Wisienka na ciastku! Wijąc się z pożądania (najlepiej więc się w seksownym ciuszku) należy oporzędzić ukochanego na dobranoc. Dopiero po wszystkim wolno paść na pysk i śnić o kolejnym wspaniałym dniu, w którym w jakiejś kolorowej gazecie wpadnie się na psychotest: „Czy jestem szczęśliwa?”. O, nie, Jola za takie życie uprzejmie podziękowała.





Żadnych mężów!

Żadnych dzieci i cellulitisów!

Natura powoli przestaje wyposażać faceta obowiązkowo w dwie lewe rączki. Nadszedł czas, by udźwignąć ciężar postępu, ale mężczyźni zdają się mieć z tym problem. Jola była gotowa. Nie wołała na pomoc sąsiada, żeby rozprawił się z marnym gwoździem czy obluzowaną uszczelką. Brała się za pracę sama, a nawet czerpała z niej przyjemność. Oczywiście nie chodziło o to, żeby wymagać od płci męskiej opanowania sztuki haftu richelieu, osobiście nie paliła się również do wnoszenia po schodach szafy. Nie popadajmy w przesadę, ale żeby nie wwalić sobie na talerz paru placków i nie polać ich sosem?

- Ja ci doradzę. Obiektywna nie jestem, ale zrobimy tak...

Jacek wrócił od Kaśki trochę po dwudziestej drugiej, bo do tej godziny mieszkańcy akademika mogli przyjmować gości. Na szczęście amok Kaśce przeszedł, ale nie do końca. Chociaż przyjęła jego wyjaśnienia, pozostała chłodna i nieprzystępna. Oboje czuli się trochę skrępowani swoją obecnością, więc zeszli do sali telewizyjnej, żeby obejrzeć film. Potem Jacek pożegnał się, nieco mniej ciepło niż zazwyczaj, i poszedł do siebie.

W mieszkaniu czuł się źle. Obce graty, cicho i smętnie. Postanowił wyskoczyć gdzieś na piwo, ale przedtem musiał wykonać ważny telefon.

- Cześć - przywitał się z kimś po drugiej stronie. - Godzina trochę nie tego, ale wcześniej byłeś niedostępny, a muszę mieć coś na jutro. Nadajnik GPS... Da się załatwić?

Codziennie, oczywiście oprócz sobót i niedziel, w domu państwa Piechów, rano, punkt siódma rozlegało się rozdzierające wycie krowy. Mućka darła się jak do dojenia, a najgorsza w rykach budzika była niewiadomego pochodzenia pretensja. To właśnie ona stawiała Alunię na nogi i kazała zamknąć rogaciznie gębę. Następną w kolejności czynnością było zbudzenie małżonka, który dla odmiany nie reagował ani na wycie syren strażackich, ani tym bardziej na wycie bydła.

Reagował jedynie na dziabanie w żebra.

Więc Alunia najpierw budziła się sama, a potem dziabła.

Aż do skutku.

Do pana Władysława chodziła zazwyczaj na jedenastą, więc to codzienne zrywanie się z łóżka nie należało do przyjemności. Ale cóż miała robić. Filip zaczynał zajęcia na uczelni o ósmej, a nie mógł sobie pozwolić na utratę pracy przez spóźnienia. Zważywszy godzinę, o której kładł się spać, wstawanie nieco go przerastało. Zastanawiające, że Aluni nie mogło... A cucenie małżonka, który przez pół nocy machał pędzlem albo słuchał muzyki, nie było jej jedynym porannym obowiązkiem. Po zwleczeniu z łóżka Filipa, który co chwilę padał na poduszki ponownie, powtarzając zniechęcony: „Jeszcze pięć minut”, Alunia podążała do kuchni, gdzie przygotowywała mężowi śniadanie, a później zmagala się jeszcze z prasowaniem koszuli, jeżeli nie pomyślała o tym poprzedniego dnia.

Kiedy Jola usłyszała o tym wszystkim, zjeżył się jej włos na głowie. Zrozumiała, dlaczego Filip ociągał się z podjęciem decyzji o dziecku. Rosłaby mu konkurencja. A swoją drogą Alunia sama była sobie winna. Jak można hodować na własnej piersi takiego pasożyta?

Dzisiejszy dzień miał być przełomowy, o czym posapujący przez sen pan domu jeszcze nie wiedział.

Krowa wyła.

Alunia celowo ustawiła budzik na tryb wzrastający, więc ryk wypełniał już prawie cały dom, kiedy Filip wreszcie drgnął.

Coś go zaniepokoiło...

Otworzył zaspane oko, żeby sprawdzić, co ta Ala wyprawia. I zdębiał! Aluni nie było!!!

Na brzegu łóżka zobaczył jej złożoną w kosteczkę piżamę - nieomylny znak, że już wstała. Ale czemu, na Boga, nie przychodziła tu, żeby wyłączyć to bydło? Czyżby tak pochłonęło ją robienie śniadania?

Filip przechylił się, trzepnął po rogach budzik i usiadł w pościeli.

Siódma dziesiąta... Trzeba wstawać, pomyślał z niechęcią.

Poczłapał do kuchni, ale Aluni tam nie zastał. Obszedł cały dom z tym samym skutkiem. Dwudziestego drugiego marca, w środę, po raz pierwszy od paru lat żona zostawiła go samego na poranną pastwę losu!

Jak mogła?!

Jeszcze nie wierząc w to, co się dzieje, Filip wrócił do kuchni i stanął zdziwiony w progu. Jego wzrok przyciągnęła stojąca w zlewie sterta brudnych naczyń. Kolejny szok. Alunia nie potrafiła zasnąć, dopóki w domu wszystko nie lśniło. A tu proszę... Filip podszedł bliżej i poznał pechowy kubek, w którym pił wczorajszą herbatę. Czyli że Ala nie ruszyła niczego od wczorajszego obiadu! Dużo tego trochę. I to tylko po dwóch posiłkach?

Pomyślał o zmywarce, o której tyle się ostatnio nasłuchał. A może faktycznie to nie był taki głupi pomysł?

Coś zaskrzypiało w tylnych drzwiach i w kuchni pojawił się Pilot. Minę miał zupełnie podobną do Filipa, co ten stwierdził, po raz pierwszy spoglądając psu w oczy.

- Sieroty biedne jesteśmy - przemówił do zwierzęcia. - Chodź, stary, jakoś damy radę. A może zaprowadzisz mnie do swojej pani? - zapytał z nadzieją.

Pilot ułożył pysk w coś, co Filip, który w ogóle nie znał się na psach, musiał określić mianem uśmiechu.

- Hi, hi, co? Wiem, nie jesteś psem myśliwskim. Trudno... Zrobimy śniadanie.

Przynajmniej spróbujemy.

Dopiero teraz zobaczył na stole kartkę:

*Musiałam iść do urzędu skarbowego.*

*Ala*

Nieco już uspokojony wiadomością od żony, włączył radio i wziął się za sporządzanie tostów. Mimo że czynność ta nie należała do specjalnie skomplikowanych, kiedy skończył, zrobiła się za dwadzieścia ósma. Godzina absolutnie wykluczała zmycie choćby kilku talerzy, nawet tych, które zabrudził przed chwilą. Musiał pomyśleć o ubraniu. Z prasowania zrezygnował od razu. Wygrzebał z dna szafy otrzymane kiedyś od teściowej (czyżby coś sugerowała?) sportowe koszulki i włożył jedną z nich. Leżała doskonale, a jak było w niej wygodnie! I pomyśleć, że do tej pory preferował strój oficjalny.

Wychodząc z domu, poczuł się nieoczekiwanie szczęśliwy.

To nic, że dotrze na uczelnię spóźniony, spodobała mu się ta poranna swoboda. Robił, co chciał, Ala nie patrzyła na niego jakaś taka ponura i niezadowolona. I dodatkowo pojawiła się perspektywa zarobienia sporych pieniędzy. Jeśli, oczywiście, wszystko pójdzie dobrze. A miał takie dziwne wrażenie, że nie może być inaczej.

Nawet nie wiedział, ile czeka go jeszcze w najbliższym czasie atrakcji...

Jola czuła się lekko nieprzytomna.

Wstała razem z Alunią po szóstej, żeby ją wesprzeć duchowo, tzn. dyszeć jej do ucha nad kromeczką z miodem, że absolutnie nie musi zmywać naczyń, sprzątać kuchni ani skoro świt robić surówki na dzisiejszy obiad. Widząc w oczach koleżanki pomieszanie zmysłów i głęboką rozterkę co

najmniej moralną, bo jednak jakaś zmiana w żywocie kury domowej powinna zajść, tylko czemu tak trudno się na nią zdecydować, Jola podjęta męską decyzję i wywlokła Alunię do urzędu skarbowego. Dopiero na otwartej przestrzeni pozbawionej garów i warząchwi Alunia odzyskała zdolność myślenia i przyznała, że faktycznie lepiej zostawić Filipa w domu samego i przy okazji zrobić coś pożytecznego - tym czymś było złożenie zeznania za poprzedni rok podatkowy. A urząd otwierano o siódmej, więc nie musiały się zastanawiać, co zrobić ze sobą o tak koszmarnej godzinie. W efekcie Jola już z samego rana mogła poczuć się jak porządny, bo rozliczony, obywatel, ale czuła się jak obywatel wymemłany i wyrwany z fazy REM.

Alunia rozsądnie postanowiła na wszelki wypadek nie wracać do domu przed dziesiątą, więc odprowadziła Jolę do pracy. Żeby to odprowadzenie trwało dłużej, poszły na piechotę, czego szybko pożałowały, bo wiosenny poranek wcale nie należał jeszcze do najcieplejszych. Rozstały się pod teatrem. Ala wstąpiła na zakupy do Skarbka, a Jola, mimo że nie było jeszcze dziewiątej, pomaszerowała na plac Wolności. Pani Hela przychodziła do pracy na ósmą, więc nie było problemu.

Problem jednak się pojawił.

I to poważniejszy niż wczoraj.

Kałuża.

Jeszcze większa i śmierdząca tak, że chciało się nad nią...

Jola nie mogła dziś liczyć na Jacka. Mogła liczyć tylko na siebie. Sprawdziła tylne wejście, ale brama okazała się zamknięta. Klnąc w duchu na Wąsa najordynarniej, jak tylko potrafiła, wróciła z powrotem przed główne drzwi, ściągnęła adidasy, które włożyła dzisiaj do firmy z myślą o czekającym ją wyjeździe po ekspertyzę, podwinęła spodnie i zaciskając zęby z zimna i determinacji, przeszła przez bagienko na podest.

- Przyjemnie, co? - powitała ją z przekąsem pani Hela, która popijała przy wejściu herbatkę.

- Tak dłużej być nie może! - Jola zaklęła, tym razem na głos. - Proszę mi dać klucze Cycka od pracowni, tam musi być jakaś decha albo coś...

Najpierw jednak poszła do siebie, żeby doprowadzić się jakoś do porządku po przeprawie przez bagno - wątpiła, czy pozbędzie się dzisiaj tego upiornego zapachu. Potem, już obuta, wdrapała się na piętro i skierowała swoje kroki do pracowni, gdzie spodziewała się znaleźć coś, co pełniłoby rolę tymczasowej kładki. Przekręciła w zamku klucz i weszła do środka. Jawnie i oficjalnie. Czemu w takim razie miała dziwne wrażenie, jakby zakradała się tu nieproszona, niczym złodziej?

W pokoju panowała nieznośnie martwa cisza. Niechby chociaż jakaś mysz przebiegła, Jola poczułaby się różnie, myszy zawsze uważała za stworzonka urokliwe. Niby miała świadomość, że na dole pełni straż pani Hela, ale... Znajdzie tę dechę i pójdzie stąd w diabły!

Niepewnie rozejrzała się dookoła. Od zapachu malarskich specyfików, których Cycek używał do renowacji, zakręciło ją w nosie. Przez okna, wprost na gigantyczny stół zajmujący niemal całe po-

mieszczenie, padało niemrawe poranne światło. Pod wszystkimi ścianami stały rzędami rozmaite obrazy: martwe natury, portrety, pejzaże - nie zabrakło nawet wstrząsającej urody dzieła przedstawiającego dinozaury w dolinie. Trawiąc bezmiar bezguścia tak malarza, jak i nabywcy, Jola pokręciła z niesmakiem głową i podeszła do szafy, gdzie Cycek składował ramy, sztalugi i inne rupiecie. Ależ tu miał nakurzone, gdyby wiedziała, jaka rozrywka stanie się dziś jej udziałem, wzięłaby rękawiczki! Ze sterty drewnianych rozmaitości wygrzebała dwie solidne dechy, coś à la trzecie życie półek, i pomyślała o czymś do ich wytarcia. Podreptała do pokoju obok, stanowiącego połączenie kuchni z łazienką. Umyła ręce, przejechała ręcznikiem po deskach i... zerknęła na drzwi prowadzące do magazynu. Dziwna sprawa, ale odkąd pamiętała, zamknięte drzwi, choćby do kurnika, zawsze działały na nią tak samo. Otworzyć, zajrzeć, spenetrować!

A gdyby tak na chwileczkę...

Na malutką!

Dysponowała przecież pękiem kluczy, a jeden z nich ktoś, najpewniej pani Hela, opatrzył plastikowym dzińdziółem z napisem SKŁAD. A co tam! Nie będzie tu medytować przez pół dnia. W magazynie muszą być śliczności, na kolejne dinozaury się nie natknie, bez obawy. Zaczepnęła powietrza i przekręciła klucz.

Wewnątrz panował porządek. Na półkach, opakowane i podpisane, stały obrazy przygotowane na aukcję. Przy wejściu znajdował się rzeźbiony sekretarzyk, a na nim spoczywała nowiutka lampa ultrafioletowa. Joli na widok przyrządu zaświeciły się oczy. Jeszcze z niej nie korzystała, a właśnie miała okazję nadrobić zaległości.

Rozejrzała się po pomieszczeniu.

Wiedziała, czego szuka.

*Pięknych 1981...*

Od czasu podsłuchanej rozmowy i dziwnej aluzji Jacka do znikających obrazów trawił ją jakiś niewyjaśniony niepokój. Niby bezpodstawny, bo Wąs rozmawiał z Cyckiem chyba o sprzedaży Pracza, ale ich słowa jakoś nie pozwalały o sobie zapomnieć. Dla świętego spokoju Jola zapisała je wczoraj na kartce i jeszcze raz przeanalizowała. Chcieli zawiadomić jakiegoś „starego”... Może któregoś ze starych klientów? Porzuciła rozważania, z których nic na razie nie wynikało, i sięgnęła po obraz odstawiony na najniższą półkę. To on. Nie pomyliła się. Nawet go jeszcze nie oznakowali, tylko owinęli materiałem. Jola oglądała Pracza z bliska już nie pierwszy raz, ale akurat ten obraz wydał jej się wyjątkowo ciekawy. Podziwiała go przez chwilę, po czym zgasiła światło i włączyła lampę.

Płótno odbijało się w ultrafiolecie nieco przytłumioną barwą. Farba nie wydawała się zbyt jasna, bo obraz liczył sobie zaledwie dwadzieścia kilka lat, a zasada była taka, że im dzieło starsze, tym w świetle lampy jaśniejsze, jednak z całą pewnością czerń się na nim nie zaznaczała. Biel natomiast

tworzyła na powierzchni obrazu coś, co Prudło, wyrażający się soczyście i barokowo, nazwałby pewnie „mlecznym woalem werniksu”.

Cudo!

I Jola musiała się zgodzić z Cyckiem, że chyba oryginał.

Studiowała obraz dobrych kilka minut i dopiero, kiedy boleśnie zahaczyła nogą o odstawioną na podłogę deskę, przypomniała sobie o celu swojej wizyty w pracowni. Aż ścierpła na myśl, że Cycek mógłby ją tutaj zastać. Z powrotem zawinęła *Pięknych* w materiał i odłożyła na miejsce.

Na dole natknęła się na Anię, która w obecności pani Heli ciskała gromy i trzymając w górze Inianą spódnicę, usiłowała nie wypuścić z ręki butów. Nogi powyżej kostek miała upačkane tak, że siwozielonkawy brudek utworzył na jej kończynach ażurowe skarpetki o niespotykanym wzorze, z czego bynajmniej ich posiadaczka nie była zadowolona.

- Przecież ja mu dzisiaj napluję w twarz, jak nie zrobi czegoś z tą zdziwą w piwnicy! - zapowiedziała, zapewne mając na myśli Wąsa i rurę.

- Wyborny pomysł. - Jola uznała za konieczne na powitanie wesprzeć koleżankę dobrym słowem.

- Cześć i czołem. - Ania zapatrzyła się w tachane przez nią dechy. - Do czego to człowiek musi się uciekać...

I wtedy do Joli dotarł nonsens sytuacji. Poczuła, że eksploduje, jeśli dzisiaj nie załatwi sprawy bagna przed wejściem. A że przedkładała czyn nad dywagację, rozwiązanie wymyśliła na poczekaniu.

- Czy nasz Jacek ma telefon? Komórkę? - zapytała Ani.

- Wydaje mi się, że ma.

- To w takim razie zrobimy z Wąsem porządek. Z kmiotkiem jednym, w rurę kopanym...

Jacek wziął udział w akcji nad wyraz chętnie, choć jego rola ograniczyła się jedynie do wykonania o określonej godzinie telefonu do sekretariatu firmy. Punkt dziesiąta Jola poprosiła Wąsa, by rzucił okiem na zdjęcia do katalogu. Zgodnie z planem właśnie wtedy do działania przystąpił Jacek, który w tym celu musiał się skryć z komórką w męskiej ubikacji.

- Dzień dobry, tak, dom aukcyjny. - Telefon odebrała jak zwykle Ania. - Z sanepidu w sprawie bajora przed wejściem?

- Posłała Wąsowi znaczące spojrzenie, a ten, spłoszony, pokazał, że nie ma ochoty rozmawiać. - Tak, oczywiście, ale pan dyrektor musiał wyjść do... hydraulika - ostatnie słowo wypowiedziała niemal z lubością. - Tak, dzisiaj już będzie po wszystkim, proszę się nie martwić. Do widzenia.

Ledwie odłożyła słuchawkę, telefon odezwał się ponownie.

- Śląski Dom Sprzedaży Dzieł Sztuki w Katowicach - Ania prawie wyśpiewała. - W sprawie? Tak, jest spora kałuża. Tak, w pewnym sensie uniemożliwia wejście do budynku i poruszanie się po chodniku... Nie, dyrektora nie ma, właśnie udał się do hydraulika. Tak, przekażę.

- Dzwonili z Państwowego Inspektoratu... - Ania nie zdążyła dokończyć, bo Wąs złapał się za głowę i zawył.

- Dość! Już nic nie chcę słyszeć! - uciał, a później dodał

- Zajmij się tą przeklętą rurą!

- Własnoręcznie mam jej zrobić sztuczne oddychanie?

- Obdzwon wszystkich fachowców. Ma być jak najtaniej!!!

Podstęp się udał. Kiedy po południu Jola wyruszała z Jackiem do pani Praczonej, w piwnicy walczyli już robotnicy. Istniała szansa, że po powrocie z Częstochowy można będzie wejść do firmy frontowymi drzwiami.

Jacek przed wjechaniem na trasę nie kwapił się do rozmowy, co chwilę macał się po kieszeniach, a minę miał przy tym nietęgą. Pod McDonaldem gwałtownie skręcił i wjechał na parking.

- Coś mi wypadło, muszę poszukać. Może chcesz lody?

- Nie, dziękuję. Pomogę ci...

- Nie trzeba, poradzę sobie. - Zdawał się nie być zadowolony z jej propozycji. - Muszę jeszcze dolać oleju, to potrwa. Skoro sama nic nie chcesz, to może chociaż dla mnie kupisz ciasteczko wiśniowe?

Tego odmówić nie mogła, co Jacek, któremu bardzo zależało, żeby nikt nie był świadkiem jego poszukiwań, a tym bardziej znalezienia zguby, przewidział. Potrzebował również chwili samotności, żeby uspokoić jakoś emocje. Ten wyjazd mógł tyle ułatwić! Był prawie sam na sam z obrazem. Miał do niego swobodny dostęp, nie musiał się nigdzie włamywać i taka plama...

GPS przepadł.

Dość lekkomyślnie włożył maleńki duperel do przedniej kieszeni koszuli, którą przywdział dziś na cześć Wąsa. W trakcie jazdy odruchowo sprawdził, czy nadajnik jest na miejscu. Niestety, nie był. Po odejściu Joli ściągnął koszulę i dokładnie obejrzał każde zagłębienie kieszeni. Nic, pusto... Z nosem przy ziemi przeszukał podłogę pod swoim fotelem. Tę samą czynność powtórzył w bagażniku, gdzie wcześniej schylał się, żeby ułożyć obraz.

Ani śladu nadajnika.

Co za cholerna złośliwość losu!

Czemu małe ważne duperelstwa zawsze przepadają?!

Trudno, załatwi następny. Przypnie go, odbierając obraz wraz z ekspertyzą. Postanowienie nieco Jacka uspokoiło, choć nadal pozostał niezadowolony. Nauczył się, że trzeba chwycać każdą, nawet pierwszą nadarzącą się okazję, bo kolejna może się nie powtórzyć.

- I co, znalazłeś? - Jola już wróciła i stanęła przy otwartych drzwiach. - Skończyły się wiśniowe, mogą być jabłkowe?

- Jakoś mi się odechciało jeść - stwierdził w odpowiedzi. - Mamy mało czasu, chodź, jedziemy. Za niecałą godzinę musimy być na miejscu.

Jola zdziwiła się tą zmianą, ale posłusznie wsiadła do auta. Już wcześniej zorientowała się, że z Jackiem dzieje się coś dziwnego i trochę podglądała przez szybę restauracji. Wcale nie dolewał oleju... Może zapomniał? Nie wypadało się już pytać, bo nawet na pierwsze jej pytanie nie odpowiedział. Zresztą, cóż ją interesowało, czego szukał.

- Jednego nie rozumiem - powiedział, odpalając samochód. Postanowił już nie przejmować się czymś, czego nie może zmienić. - A gdyby Wąs jednak wziął od Ani słuchawkę? Co wtedy? - Wrócił do niedawnych wydarzeń, żeby Jola nie zaczęła się czasem dopytywać o zgubę.

- Nie ma mowy - uśmiechnęła się na taką ewentualność.

- On zawsze zwała takie rozmowy na nas.

- Nie jest zbyt odważny? - Jacek raczej stwierdził, niż zapytał.

- To straszliwy tchórz! Wyręcza się wszystkimi, ile może. Ty też powinieneś uważać i za często nie wchodzić w jego zasięg.

Droga do Częstochowy prawie w całości upłynęła na rozmowie o firmie. Jola miała ogromną ochotę zapytać o Kaśkę, ale się nie odważyła. Poruszyła za to sprawę znikających obrazów, Jacek zaś wykręcił się, mówiąc, że to plotki i że on nie chce wprowadzać zamętu i przeprasza, że w ogóle o tym wspomniał. Upór Joli nie pomógł, okazało się, że Jacek to też twardy zawodnik. Nie puścił więcej pary z ust, ale jego tłumaczenia nie brzmiały przekonująco. Postanowiła bacznie obserwować, co się wokół niej dzieje...

Pani Praczowa mieszkała w jednym z czteropiętrowych bloków częstochowskiego osiedla Raków-Zachód, przy ulicy Wierzbowej. Przywitała ich bardzo miło i posadziła w dużym pokoju, w którym wisiało pełno barwnych płócien jej zmarłego męża. Jola z przyjemnością rozglądała się po wnętrzu. Jego właścicielka urządziła pokój ze smakiem, choć skromnie. W zasadzie całą atmosferę tworzyły tu obrazy i książki

- te ostatnie tłoczyły się na półkach zajmujących w całości jedną ze ścian.

Mała i tłusciutka kobieta ze zniecierpliwieniem czekała, aż Jacek odpakuje przywieziony przez nich obraz. Na jego widok zakryła ręką usta ze wzruszenia. Odebrała płótno i wyciągnęła je przed siebie.

- Tyle lat... - powiedziała, kręcąc z niedowierzaniem głową. - Już myślałam, że go nigdy nie zobaczę. Justek bardzo ten obraz lubił.

- Jego właściciel mówił nam, że pani mąż oddał go za...

- Za flaszkę wódki - dokończyła smutno pani Praczowa, odkładając obraz na stół. - Wiem, domyślałam się. To go zgubiło... Mojego męża... Wspaniały człowiek, ale bardzo słaby. Władze go nie lubiły, a on nie mógł się z tym ustrojem pogodzić. Poszedł na odwyk, przekonałam go, ale nawet jak mu



tam coś wszyli, to znowu zaczął pić, a wiadomo, że nie było można... I zapił się na śmierć. Tyle mi po nim zostało.

- Pani Praczowa wskazała na ścianę. - Dlatego nie chciałam już mieszkać na Śląsku, wszystko mi go tam przypominało. Wróciłam do siebie.

Jacek rozejrzał się po mieszkaniu.

- Ma pani tu jakiś alarm? Tyle obrazów... - Nawet nie chciał myśleć, ile to warte.

- A po co mi, kochany? Tu wszyscy wszystkich znają, jak na wsi. Jak się ktoś obcy pokaże, to zaraz każdy widzi. A naprzeciwko jest blok policyjny.

- I to wystarcza? - Jackowi, który wiele wiedział o złodziejach, jakoś nie chciało się wierzyć.

Pani Praczowa lekko się zakłopotowała.

- Noooo... Rok temu niby było włamanie... - przyznała się niechętnie. - Ale nic nie zginęło. Gerdę sobie potem w drzwiach założyłam.

Jacek włamaniem ogromnie się zainteresował i zaczął wypytywać o szczegóły, ale pani Praczowa rozłożyła ręce.

- Nic się w zasadzie nie stało, co tu opowiadać. Ktoś otworzył drzwi wytrychem, jak mnie nie było w domu. Nic... Żadnych strat, wszystkie prace Justka na miejscu.

- Ja bym jednak pomyślał o jakimś zabezpieczeniu

- zasugerował na zakończenie Jacek, bynajmniej nieprzekonany.

- O rany! - Jola, która w tym czasie pozwoliła sobie obejrzeć zbiory pani Praczowej, stała właśnie przed jednym z obrazów i nie mogła się od niego oderwać. - *Bida z nędzą!* - wykrzyknęła z niedowierzaniem. Widziała kiedyś tylko fotografię tej pracy. Nawet nie przypuszczała, że ją kiedyś zobaczy!

W metalowej ramie wisiał portret przedstawiający umęczoną postać kobiety, przy której dreptali posłusznie dwaj umorusani chłopcy. Każde z nich, patrząc przejmująco na widza, obejmowało w ramionach upragnioną zdobycz - papier toaletowy.

Cały Pracz...

Alunia wróciła o drugiej.

Otworzyła drzwi, wpuściła Pilota, którego Filip wygonił przed wyjściem do pracy na podwórko, i weszła do domu. Ściągnęła w przedpokoju buty i pierwsze swoje kroki skierowała odruchowo do kuchni.

W progu stanęła zmartwiała.

Kuchnia przedstawiała sobą widok urokliwy.

Niepozmywane naczynia, owszem. Bynajmniej nie liczyła na cud, ale cały stół został zapaskudzony cukrem i okruchami chleba. Leżał tu też ser, który po kilku godzinach przebywania poza lodówką zamienił się w lepłą żółtą plastelinę i nadawał się jedynie do wyrzucenia. Filip nawet nie od-

stawił po sobie talerza - przyozdobione pozasychanym keczupem naczynie spoczywało, nie wiedząc czemu, na krzeselku. Na podłodze natomiast leżała porcelanowa miska zakupiona za dobrych czasów w ArtDeco, której Alunia używała do podawania sałatki podczas różnych uroczystości rodzinnych. Ślady wskazywały, że dziś jadł z niej Pilot...

Alunia usiadła.

I policzyła do dziesięciu.

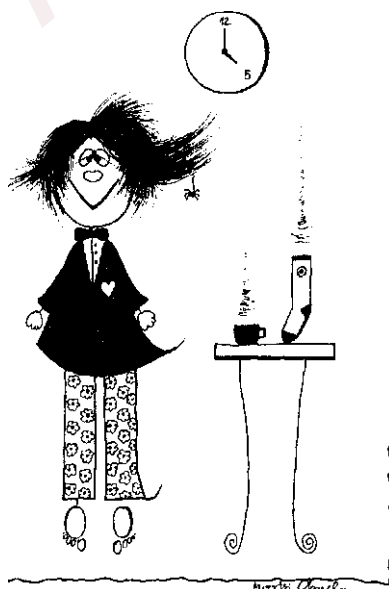
Innym razem rzuciłaby się do sprzątanía.

Ale nie dzisiaj.

Zgodnie z opracowaną wspólnie z Jołą taktyką, od dzisiaj miało być inaczej.

Rozpakowała zakupy i najzwyczajniej w świecie wzięła się za obieranie ziemniaczków.

Filip wracał do domu głodny jak stado wilków i spragniony towarzystwa żony, mimo że ta zachowała się dzisiaj nie najlepiej. Najpierw zostawiła go rano bez uprzedzenia samego, a potem zrobiła coś... Coś paskudnego! Miał brzydki zwyczaj rozrzucania skarpetek po domu - konkretnie w dwóch miejscach: w przedpokoju i pod łóżkiem. Zwyczaj brzydki, bez dwóch zdań, ale iluż facetów na świecie robi coś podobnego?! Pewnie w ciągu sekundy w dziesiątkach domów, jeśli nie w setkach, pada na podłogę jakaś śmierdząca skarpetka. Czy trzeba z tego robić tragedię?! Jego żonie zwyczaj bardzo się nie podobał. Chodziła i zbierała po nim tę część garderoby, a co się przy tym nagadała... Tymczasem sama nie stawiała na miejsce szamponu. To on musiał przenosić buteleczkę na półkę prawie za każdym razem, kiedy myła głowę! O!



Filip zabierał ze sobą na co dzień do pracy płócienną torbę. W środy musiał nosić także teczkę z rysunkami, które pokazywał lub oddawał studentom. Niczego się nie spodziewając, rozwiązał sznurki teczki na zajęciach. Jedna jej część odskoczyła.

A wtedy...

Na ławkę, tuż przed kwiatem przyszłych artystów, wysypały się jego osobiste przenoszone skarpetki, bijące w nos bynajmniej nie świeżością.

Trzy pary!!!

Oczywiście same tam nie weszły. Musiała tej podłej dywersji dokonać jego własna małżonka, która zaskoczyła go już dzisiejszego dnia po raz drugi. I to zaskoczyła nieprzyjemnie. Należało sprawę omówić.

Alunię zastał w kuchni.

I obgadywanie tej sprawy od razu wydało się nie najlepszym pomysłem.

Coś było nie tak. Po pierwsze, w kuchni nadal panował niespotykany do tej pory bałagan, żeby nie powiedzieć bajzel. Po drugie, żona nie powitała go z uśmiechem. Siedziała nieruchomo przy stole i patrzyła wzrokiem bez wyrazu w kuchenną szafkę.

Filip poczuł się co najmniej nieswojo.

- Cześć - przywitał się niepewnie. - Jest jakiś obiad? - zapytał, zerkając w stronę zlewu.

- Będzie... Jak mi pozmywasz... - odparła żona i popatrzyła w tym samym kierunku.

Filip zmywać potrafił, tylko że zbytnio za tą czynnością nie przepadał, więc wykonywał ją niezwykle rzadko - także dlatego że często przebywał poza domem. Teraz również mu się to nie uśmiechało. Jak można pucować gary, kiedy człowiekowi po całym dniu pracy kiszki marsza grają? Dla świętego spokoju ochlapał kilka talerzy, żeby był dostęp do zlewu, a pozostałe naczynia zamoczył.

- Reszta potem - poinformował. - Jestem głodny jak cholera... Pójdę wziąć prysznic. Zdążę przed obiadem?

Alunia głęboko analizowała właśnie, dlaczego do męża, z którym dzieliła nie tylko życie, ale i powierzchnię mieszkalną, powiedziała: „Jak mi pozmywasz”. Dlaczego użyła słowa „mi”? Przecież, do jasnej choinki, naczynia były wspólne! Dlaczego „mi”? Czyżby już tak głęboko miała zakorzenione, że gary, pranie, zakupy i co tam jeszcze należą tylko i wyłącznie do niej? Z szybkością światła przywołała w myślach sytuacje, kiedy prosiła Filipa o pomoc, bo prosiła! Tylko że on wykonywał prozaiczne czynności z takim ociąganiem albo tak niedbale, że wołała już robić wszystko sama. To dlatego wzięła tyle na swoje barki! Choćby głupie zmywanie. Ileż to razy słyszała: „Reszta potem”? A potem była pracownia albo jakiś strasznie ciekawy film!

Zastanowiła się, co doradziłaby jej w tej sytuacji Jola. I już wiedziała.

- Zdążysz, oczywiście... Zaraz podaję.

Kiedy Filip udał się do łazienki, wyłączyła sos, który właśnie podgrzewała do obiadu, i całą zawartość garnka wlała do miski Pilota. Surówkę czekał gorszy los, bo wylądowała w koszu na śmieci. Kiedy małżonek skończył lać wodę, Alunia odcedziła ziemniaczki, wysypała je na talerz i posypała koperkiem. Nie zapomniała o łyżeczce masła.

Filip, przyjemnie odświeżony, zasiadł do stołu.

Alunia postawiła przed mężem talerz i jak zwykle powiedziała:

- Smacznego.

Filip podziękował. Po czym drgnął zdziwiony.

- A mięso? Surówka?

- Reszta potem, kochanie - odpowiedziała uprzejmie i wyszła z pokoju.

A następnie z domu.

Nie omieszkała przy tym rąbnąć zamasyście drzwiami, aż z framugi posypał się tynk.

Dziś Jola znowu po cichu liczyła na wspólny powrót do domu. Nie żeby Jacka podrywać. Po prostu coś ją do niego ciągnęło. To nic, że rozmawiali prawie wyłącznie o pracy albo o sztuce. Jola sztuką żywo się akurat interesowała. A Jacek potrafił wspaniale opowiadać o Degasie. Stała właśnie ze swoim kolegą na schodach przed firmą i czekała, aż sam wpadnie na genialny pomysł i zaproponuje jej przejażdżkę, kiedy już z daleka zobaczyła zmierzającą w ich kierunku Alę, widocznie wzburzoną. Poważnie się zaniepokoiła. Czyżby coś z Filipem nie tak?

Alunia nie wiedziała, jak zachować się w towarzystwie Jacka, co ten, bo doskonale jednak odczytywał znaki na ziemi i niebie, od razu zauważył. Chcąc przełamać lody, uśmiechnął się jak tylko umiał najserdeczniej. Oczywiście, z pożądanym efektem.

- Jacek jestem, kolega Joli z pracy - przedstawił się, choć Alunia, której Jola już zdążyła opowiedzieć o dorodnym długowłosym blondynie, domyśliła się, z kim ma do czynienia.

- Alicja, też koleżanka Joli. Z domu...

Jacek pomyślał nagle, że w zasadzie nic o Joli nie wie, i poczuł dziwną chęć, żeby się jednak dowiedzieć. W sumie, co mu szkodziło. Do domu się nie spieszył, dzieci mu nie płakały, a Kaśka, ewentualna kandydatka na ich przyszłą matkę, nie chciała się z nim dzisiaj spotkać. Wieczór spędzony w towarzystwie dwóch sympatycznych dziewczyn mógł się okazać interesujący. Tym bardziej że jedna z nich zaczynała mu się naprawdę podobać. Oczywiście jako koleżanka z pracy...

- Z domu? A może pójdziemy gdzieś razem i uchylicie przede mną rąbka tajemnicy? Mieszkacie razem?

Jola na taką propozycję prawie podskoczyła. Jeśli o nią chodziło,omal nie eksplodowała z radości; tylko że Alunia nie przepadała za knajpami.

- Bardzo chętnie - Ala niespodziewanie się zgodziła i powiedziała do Jacka coś, czego żadne z nich nie zrozumiało: - Nawet lepiej, że jesteś mężczyzną, będę się z tobą konsultować...

Jacek zaproponował znajdującą się o parę kroków Starą Księgarnię. Po chwili siedzieli już wspólnie w przyjemnie schłodzonym wnętrzu i studiowali menu. Jola nie chciała nadwierać finansów swojego kolegi, bo domyślała się, że Wąs zadbał, żeby za wiele nie stracić na pensji nowo przyjętego sprzedawcy, i zamówiła kawę, za to Alunia nie miała podobnych obiekcji.

- A dla mnie niech będzie... okoń nilowy owinięty chrupiącym bekonem z pieczonymi ziemniaczkami i sosem cytrynowym - wyrecytowała, po czym energicznie zatrzęsnęła kartę. - Ziemniaczków dzisiaj nie jadłam. W ogóle dzisiaj nie jadłam obiadu, bo go wyrzuciłam! - oświadczyła z mocą, po czym, nie krępując się już obecnością Jacka, opowiedziała, czego dokonała.

- W końcu! - Jola ucieszyła się, że Ala wykazała inicjatywę. Może teraz co nieco zmieni się w domu Piechów.

- A ty, jako facet - Ala zwróciła się do Jacka - co sądzisz?

Historyjka przede wszystkim Jacka szczerze rozbawiła, ale wiedział, że stanowi ona zaledwie czubek góry lodowej. Niewątpliwie siedząca przed nim niewiasta weszła ze swoim małżonkiem na wojenną ścieżkę. Wygrała bitwę, ale co z całą wojną? Jak zamierzała tego dokonać? Alunia wydała mu się osobą bardzo miłą, choć jako kobieta nie robiła na nim zbyt wielkiego wrażenia. A wrażenie, rzecz jasna, jest narzędziem nieodzownym w tego typu potyczkach. Za to Jola...

Jacek stwierdził właśnie, że patrząc na swoją nową koleżankę, musi pilnować oczu, żeby nie wędrowały tam, gdzie nie trzeba - w rejony intymnie zaokrąglone. Ciekawe, czemu Kaśka nie nosi tak przyjemnych w odbiorze rzeczy? Zawsze ubierała się dziwnie i naprawdę odnosił czasem wrażenie, że związał się z chłopem. To, że on sam przywdziewał różne śmieszne koszulki, nie oznaczało, że i od Kaśki oczekiwał podobnego stylu. Nawet się ucieszył, że Wąs tak kategorycznie zażądał zmiany wizerunku. Już najwyższy czas zacząć wyglądać jak człowiek, Kaśce też by nie zaszkodziło...

Nagle zapragnął zwyczajnej kobiecości.

A Jola w czerwonym sweterku wyglądała jak soczysta truskawka! Tylko zjeść! Z przyjemnością przyglądał się też jej paznokciom w tym samym intensywnym kolorze. Dłonie, na które Jacek, miłośnik sztuki, zawsze zwracał u płci pięknej uwagę, miała smukłe i ładne. Gdyby tymi dłońmi...

- Tak się zastanawiam. - Trzeba się opanować, Alunia czekała przecież na odpowiedź. - Z obiadem pomysł świetny, ale potrzebujesz polityki długofalowej - stwierdził stanowczo.

- Już mi się zaczyna podobać. - Ala potrzebowała opinii kogoś zdystansowanego. Jola wspierała ją i w ogóle bez niej by sobie nie poradziła, ale mężczyzna widzi pewne rzeczy inaczej. - Co konkretnie masz na myśli?

- Co do zmywania, to może jakiś harmonogram dyżurów? Musisz też pomyśleć o jakiejś dodatkowej broni. Na przykład - spojrzenie znów pobiegło mu w stronę Joli - o wyglądzie. Nigdy nie myślałaś, żeby podkreślić pewne swoje... walory?

- Jacek bardzo starał się być delikatny, ale chyba nie najlepiej mu szło.

- On chce ci powiedzieć, że powinnaś o siebie trochę zadbać - przysłała mu z pomocą Jola.

Alunia zatrzepotała rzęsami.

- A czy ja jestem zaniedbana? Włosy mam czyste, ubranie uprasowane... - chciała oburzona wyliczać dalej, ale Jola jej przerwała.

- Nie o to chodzi. Potrzeba ci trochę fantazji, kokieterii. Filip jest przecież artystą malarzem!

Jacek nagle drgnął.

- Malarzem? Filip?

- Tak, mój mąż. Filip Piecha, malarz... Znasz go? - Ala dostrzegła zainteresowanie Jacka, który kolejny raz podczas tej rozmowy musiał zapanować nad emocjami, tym razem z innego powodu. Chyba już słyszał o jakimś Filipie...

- Chciałem tylko powiedzieć, że malarz to mężczyzna bardzo czuły na kobiece wdzięki. Czulszy chyba niż reszta świata - wybrnął. - Ja bym się jednak na twoim miejscu postarał. Nie wiem... pomalował paznokcie, czy coś. Wy przecież znacie różne sztuczki, umiecie oszukiwać.

Jola miała ochotę Jacka ucałować. Kamień spadł jej z serca. Powiedział dokładnie to, co starała się od jakiegoś czasu Aluni uświadomić, ale ta kompletnie nie rozumiała w czym rzecz. Sama się sobie podobała i gorąco protestowała przeciwko propozycjom jakichkolwiek zmian wysuwanych przez Jolę w celu jej wykobiecenia. Twierdziła, że ma swój styl i dalej wbijała się w upiornie grzeczne mundurki. Chociaż taka pociecha, że dała się namówić na wytrzebiecie hodowanych przez całe życie na nogach kłaków.

- Czulszy niż reszta świata? - powtórzyła w zamyśleniu Ala i spojrzała na Jolę. To spojrzenie pozwalało mieć nadzieję...

Jacek świetnie się dziś wieczór bawił, głównie dlatego że pasjonowało go obserwowanie ludzi, a koleżanka Joli była idealnym obiektem. Po mile spędzonych chwilach w kawiarni przenieśli się wszyscy do Silesia City Center i wspólnie buszowali w Sephorze, gdzie dokonali zakupu lakieru do paznokci. Delikatnie różowego. Dla Aluni, która przejęła się tym faktem tak, jakby co najmniej podpisywała umowę na długoletni kredyt mieszkaniowy. Następnym punktem programu była pizza i użytkowanie nabytego kosmetyku. Spałaszowali zamówione porcje, a potem Jola wzięła się za malowanie paznokci. Alunia wzdychała przy tej czynności z zachwytem niezliczoną ilość razy i co chwilę wyciągała przed siebie to jedną, to drugą rękę, nie mogąc się nacieszyć efektem, a Jola wrzeszczała, że nigdy w życiu nie została by manikiurzystką. Ogólnie było bardzo wesoło, Jacek zaproponował więc kino. Jak szaleć, to szaleć!

Na osiedlu znaleźli się grubo po dwudziestej drugiej. Odstawił dziewczyny aż do furki przed ładnym pomarańczowym domem. Uściskał je na pożegnanie, wsiadł do swojej bryki i odjechał. Po głowie chodził mu Filip.

Obiło mu się to imię o uszy, a jeśli mu się obiło, mogło być ważne.

Zaparkował pod Raiffeisen Bankiem i sięgnął po komórkę.

- Cześć, spotkajmy się jutro na Dolinie, tam gdzie zawsze. Filip Piecha, czy coś ci to mówi?

Filip siedział w ogrodzie i wyglądał na Alę.

O dwudziestej pierwszej zaczął się już trochę niepokoić, więc wykonał telefon do żony. Żona była jednak poza zasięgiem. Znaczący, specjalnie wyłączyła komórkę... Filip należał jednak do tych skutecznie radzących sobie osobników, którzy potrafią odszukać swoją drugą połowę nawet pod palmą w Bangladeszu - zakładając, że w pobliżu drzewka znajduje się budka z przydzielonym jej numerem telefonicznym. Zamierzał obdzwonić wszystkie koleżanki małżonki, przemyślnie zaczął jednak od Joli, co okazało się strzałem w dziesiątkę.

- Alunia jest ze mną, możesz się nie martwić. Dobrze się bawimy, będziemy za pół godziny - usłyszał.

Dobrze się bawimy! Proszę, proszę, do czego to doszło. Kobięce demonstracyjki jakieś... Pewnie mają nadzieję, że wyprowadzą go z równowagi. Żadne takie! Tylko spokój!!! Spokój i praca!!!

Ponieważ czas dłużył się ohydnie, a na malowanie dziwnym trafem nie miał jakoś nastroju, postanowił wziąć się za porządki w kuchni. W końcu to on naświwił. Po doprowadzeniu stołu do użyteczności publicznej przyszała pora na cierpienia bardziej wyrafinowane.

Brudne, choć odmoczone, skorupy.

Co za przyjemność! Przy cudownie oślizgłym garze po sosie mięsny, którego, notabene, nawet nie skosztował, doszedł do wniosku, że rozumie swoją żonę. Gdyby miał się w tym wszystkim babrać na co dzień, także marzyłby o cudownej maszynie, która babraćby się za niego. O wytęsknionej przez Alę zmywarce. Trudno, weźmie się na raty, chyba że to zlecenie wypali. Wtedy, kto wie, może kupi jej tę zmywarkę za gotówkę? On ułatwi żonie życie, może i ona...

Filip musiał jednak przyznać, że nie mógł do tej pory narzekać.

Żona mu się udała.

A że chodzi i suszy mu głowę...

Owszem, nie zawsze robił to, o co Alunia go prosiła.

Z tymi naczyniami na przykład. Bywało, że ta jego „reszta potem” zamieniała się w „resztę nigdy”. Fakt. Bo ta Ala taka niecierpliwa! Zamiast czasem trochę poczekać, to z urażoną miną sama łapie się za gary. A już dzisiaj przeszła samą siebie! Trzeba jednak powiedzieć, że świetnie to sobie wymyśliła. Che, che... Początkowo wcale nie był szczęśliwy, że obiad, na który tak czekał, ograniczył się do zwykłych posypanych koperkiem ziemniaczanych bulw. Ale potem... Szczerze mówiąc, Alunia mu zaimponowała, nie podejrzewał jej o takie zadziory w charakterze.

Naraz tknęła go myśl odrażająca.

Czy jednak nie dzieje się coś, o czym on nie wie?

A może Alunia poznała kogoś i stąd ta nagła zmiana w jej zachowaniu?

Filip z roztargnieniem spojrział na zegarek. Nawet nie wiedział kiedy, a zrobiła się dziesiąta. Żona miała wrócić do domu już pół godziny temu! Może coś się stało? Ponownie wykręcił numer Joli, ale ona również, solidarna małpa, znajdowała się już poza zasięgiem.

Co jest grane?!

Jakiś chochlik przewrotnie podszeptnął Filipowi do ucha, że on sam robił to nagminnie. Mówił, że będzie za chwilę albo za pół godziny, a wracał po dwóch, a nawet, wstyd przyznać, zdarzało mu się przyjść do domu trzy godziny później, niż obiecywał.

Czyżby Ala upadła tak nisko i posunęła się do zemsty?!

W domu nie mógł już sobie znaleźć miejsca. Wyszedł do ogrodu i usiadł w altance. Po chwili dołączył do niego Pilot i razem tak czekali w ciszy na swoją wspólną panią.

I doczekali się...

O wpół do jedenastej zaterkotał silnik samochodu, który zatrzymał się przy ich podwórku. Z auta wysiadł wysoki, barczysty mężczyzna. Otworzył jego żonie drzwi. Potem ją uściskał. I odjechał, nie mając pojęcia, że gdzieś tam, w ciemnościach ogrodu dyszy ktoś, kto z całego serca pragnie jego śmierci.

Najlepiej w męczarniach!

Alunia naprawdę dawno nie spędziła tak miło czasu.

I nawet nie popsuł tego telefon męża. Jola przewrotnie wyrecytowała do słuchawki formułkę, którą Filip raczył swoją żonę regularnie, po czym przepadał w kosmiczną czerń, gdzie, jak wiadomo, prawa czasu działają zupełnie inaczej. I dobrze! Może jest coś w tej terapii wstrząsowej? Jola to dopiero potrafi sobie radzić. Powiedziała, że jak nie działają słowa, zadziałają czyny. Zobaczymy. Nawet gdyby nie zadziałały, Ala już i bez efektów czuła się wyśmienicie. Jakby... wyzwolona! Z przejęciem wyciągnęła z torebki harmonogram dyżurów, który rozpisała sobie w pizzerii, i jeszcze raz przyjrzała się swoim paznokciom. Śliczne. Że też wcześniej tego nie robiła.

- To ja już idę do siebie - wyszeptała Jola. - Idź, przybij to gwoździem do lodówki, jak Luter te tamte...

- Tezy.

- Tezy... Na pewno też dokonasz reformacji. Dobranoc - pożegnała się i poszła do swojego pokoju, a Ala zgasiła światło w przedpokoju i w ciemnościach podreptała do lodówki, żeby się czegoś napić.

I omal nie umarła na serce.

W kuchni siedział po ciemku Filip, który zdążył wrócić do domu tylnymi drzwiami, i mierzył małżonkę spojrzeniem pełnym niewypowiedzianych oskarżeń, które dawało się wyczuć także w jego głosie.

- Gdzie to się chodziło? - zapytał niezbyt przyjemnie. Ala włączyła światło.

I myślała, że śni.



Kuchnia rozpościerała się przed nią wypucowana aż miło. Naczynia pozmywane, wszystko poukładane na swoje miejsce... Krasnoludki? Podeszła do małżonka i złożyła na jego wydętych ustach pocałunek. Przeciągły i głęboki. A potem pomachała mu przed nosem kartką.

- Nie lubię, jak mnie kontrolujesz - powiedziała i poczuła wewnątrz tak szatańsko pikającą uciechę, że musiała pilnować twarzy, żeby nie wypłynął na nią zdradliwy i niepozbowiony satysfakcji uśmiech. - To jest harmonogram dyżurów... Od jutra będziemy zmywać na zmianę. Dni dostosowałam do twojej uczelni. Zerknij, czy ci odpowiada, najwyżej nanieś poprawki. Harmonogram obowiązuje do dnia zakupu zmywarki, oczywiście.

Zszokowany Filip zauważył, że jego żona miała pomalowane paznokcie. Nie do wiary. Jak Barbie! Na zdzirowaty róż!!!

Tydzień później Cyprian Jakimiak, zwany przez wszystkich Cykiem, uparł się, że od Praczonej odbierze ekspertyzę osobiście, chociaż wybrał się po nią ten nowy, Jacek. Wąs krzywił się niemiłosiernie, nie chciało mu się nigdzie jechać, a już pokazywanie się u wdowy po malarzu uznał za pomysł wybitnie idiotyczny. Po co baba miała mu patrzeć w twarz, jeszcze by ją zapamiętała. Wykluczone!

Cycek wybrał się więc do Częstochowy sam.

A przynajmniej tak mu się wydawało...

Praczowa trochę nieufnie przyjęła gościa. O wiele bardziej podobali jej się tamci młodzi państwo, z którymi mogła zamienić parę słów, bo potrafili docenić sztukę. A ten jak dzikus jakiś... Ledwie powiedział dzień dobry, już nachalnie dopraszał się o dokument. I brudas, niechluj. Poczuła go już przy drzwiach. Że też niektórzy chłopcy w Polsce tak o sobie dbają, że nos urywa! Do wielu nie dotarło jeszcze, że w regularnej sprzedaży są antyperspiranty, jakby kosmetyki zarezerwowane były jedynie dla płci pięknej. A już największe obrzydzenie wywoływali w Praczonej wąsacze. Nieśmiertelne wąsy, które włożyły paskudnie do wszystkiego, co się je i pije. Wąsy w rosole, wąsy w kompocie... Potem jeszcze taki myśli, że składa na kobiecych ustach cud-aromat-pocałunek!

- Już, już. - Pani Praczonej starała się nie patrzeć na włochaty krzak pod nosem Cycka, bo robiło się jej niedobrze. - Co pan taki narwany? Może coś do picia? Pewnie panu gorąco, pan taki śmier... zapocony cały. Proszę do stołu.

Cycek łypnął na Praczonej okiem. Bynajmniej nie przychylnie.

- A szanownej pani nie podoba się zapach mężczyzny? Kobieta aż sapnęła z irytacji.

Cycek, nieświadom, że wzbudza w pani domu tak silne emocje, usiadł w swobodnym rozkroku, wyciągając jedną nogę ze swoich nieśmiertelnych skórzanych kłapeczek, które tylko zimą zamieniał na kozaki. Zaśmierdziało jeszcze okrutniej.

- Zapach mężczyzny mi się podoba, owszem, ale smród niekoniecznie - odparła z godnością pani Praczoza i postanowiła na chwilę przestać oddychać. - Proszę zaczekać, ekspertyzę mam w innym pokoju.

Kobieta niemal rzuciła się do pomieszczenia obok, gdzie w końcu mogła zaczerpnąć powietrza, a Cycek, który przyjechał tu nie bez powodu, skorzystał z okazji i zawiesił wzrok na jednym z obrazów. *Bida z nędzą*, bo o nią chodziło, wisiała sobie spokojnie nad komodą i miała się nadspodziewanie dobrze.

- Proszę bardzo. - Pani Praczoza po chwili wręczyła Cyckowi kartkę papieru. - Obraz namalował mój mąż, na pewno... Tysiąc dwieście się należy - dodała na zakończenie, nie bez satysfakcji.

Cycek cmoknął, ale odliczył pieniądze. Już widział minę Wąsa, jego szef będzie przeszcześnie wy. Że też to babsko takie pazerne. Pewnie się cieszy, że małżonek wykitował, teraz może czerpać korzyści. Cycek pogratulował sobie w duchu, że nie ma takiego kłopotu i że jemu żaden babsztyl na głowie ani w portfelu nie siedzi, po czym się pożegnał. Gburliwie i półgębkiem, bo ta wizyta nieco go rozdrażniła.

Pani Praczoza zamknęła za woniejącym gościem drzwi i odczekała chwilę. Potem wyjrzała przez okno. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie zobaczyć samochodu brudas. Czy tak samo śliczny? Nie rozczarowała się. Śmierdziuch zamienił z kimś słowo przez telefon, wsiadł do pożółkłego od rdzy golfa i terkocząc, odjechał w siną dal. Już chciała poprawić firankę i odejść, kiedy jej wzrok padł na ładne czerwone auto. Za czymś takim się właśnie rozglądała. Justyn leżał na cmentarzu w Katowicach, a już miała dość jeżdżenia pociągami. Małe autko, ale zgrabne, takie w sam raz. A może udałoby się kupić coś podobnego tylko paroletniego? Ale co to? Przyjrzała się uważniej siedzącemu w samochodzie mężczyźnie, który właśnie zawracał i podjechał do brzegu ulicy tuż pod jej oknem.

Czy to nie był ten miły chłopak, który przywiózł *Pięknych* tydzień temu?

Jeśli to on, czemu nie zaszedł na górę, tylko przysłał tu tego roztaczającego odór gbur? Momecik... Coś tu się nie zgadzało.

Jeśli oni byli razem, to czemu nie jechali jednym autem?

Cycek przekręcił do starego, tak jak się umawiali - jak tylko wyszedł od tej starej bździągwy, Praczozej. Wdowa po malarzu, myślałby kto! Ale niech sobie, tłusta klucha, zadziera nosa. Zaśmiał się w duchu na samą myśl o wydarzeniach sprzed roku. Baba siedzi elegancko w salonie, popija kawkę, zadowolona patrzy na *Bidę z nędzą* i nawet nie podejrzewa, że...

- I co? - szef od razu przeszedł do rzeczy.

- Autentyk, można działać - obwieścił Cycek bardzo tym faktem usatysfakcjonowany.

- Ekspertyzę masz?

- Jeszcze ciepła.

- To skseruj, muszę ją dać do tłumacza. Wąs jest z tobą?

- Sam jestem. - Cycek złośliwie zachichotał. - Chciałem sobie obejrzeć *Bidę* i sprawdzić, czy wszystko gra.

- Gra?

Cycek cmoknął.

- Wisi grzecznutko, aż miło popatrzeć. A baba ni chu-chu... W słuchawce zaległa na chwilę cisza.

- Ni chu-chu. Ciekawe... Co to ma niby oznaczać?

- Że się niczego nie domyśla.

- To dobrze. Zabezpiecz, co trzeba, jak ten wasz historyk skończy. Ni chu-chu...

To Prudło robił notkę do katalogu, który miał niedługo zostać wydany przed coroczną aukcją malarstwa współczesnego, jaką zawsze w pierwszą sobotę lipca organizował w swoim domu aukcyjnym Wąs. Starszy elegancki jegomość, zatrudniony w Śląskim Domu Sprzedaży Dzieł Sztuki w Katowicach jako historyk sztuki, sporządzanie notki celebrował ze szczególną przyjemnością. Obraz, który opisywał, rozstawiał na sztaludze pod oknem. Prosił Anię, żeby zaparzyła mu mocnej, aromatycznej kawy z odrobiną cynamonu - przyprawę trzymał w swojej szafce zamkniętą na klucz, bo Cycek zabrał mu raz opakowanie bez pytania i zużył prawie połowę, posypując brązowym proszkiem bułkę z masłem, barbarzyńca. Potem Prudło popijał gorący napój, wpatrując się w obraz i starając się wczuć w duszę tego, kto go stworzył. Co malarz chciał przekazać potomnym... Co czuł, wodząc pędzlem po białym płótnie, które za każdym jego pociągnięciem ożywało... Jaką technikę zastosował...

Delektowanie się dziełem trwało różnie, w zależności od tego, czy Prudło lubił danego artystę, czy nie. Dzień, czasem dwa. Potem siadał do klawiatury i z właściwym sobie polotem opisywał obiekt. Dziś Cycek dowiódł Pracza, ale od razu zapowiedział, że zabierze go w piątek. A Prudło Pracza cenił i życzyłby sobie spędzić w towarzystwie *Pięknych 1981* nieco więcej czasu. Ale co robić, Cycek był po Wąsie najważniejszą osobą w firmie, mimo że nie mógł się poszczycić żadnym stosownym wykształceniem, a renowacji obrazów nauczył się od wujka, który prowadził prywatną pracownię. Prudło, owszem, skończył nie byle jaką uczelnię, bo Uniwersytet Jagielloński, ale jego zdanie mało się tu liczyło. I jeszcze musiał dzielić z taką fleją biuro i słuchać jego rozkazów! Do piątku, też!

Do pokoju zajrzała Jola, która właśnie szukała Cycka, i od razu w pomieszczeniu zrobiło się żywiej. Fantastyczna kobietka. Niby nie piękność, ale ta dziewczyna coś w sobie miała, a Prudło na płci pięknej się znał. Osobowość! Na pewno to! Polot, fantazja, nie jakieś tam odgrzewane letnie klu-chy.

- Nasz pan konserwator gdzieś wyszedł - poinformował uprzejmie i obrzucił Jolę czarującym uśmiechem. - Próżno by go tutaj, gdzie praca wre, szukać. Wąsa spytaj, Joleczko. A co? W czymś pomóc?

- Dzwoni klientka, dała Cyckowi do renowacji jakiś pejzaż. Pyta, czy skończone.

Prudło wskazał Joli klucze na biurku Jakimiaka.

- Bardzo wątpliwe, ale idź do pracowni i poszukaj, bo on już chyba dzisiaj nie wróci.

Jola przez chwilę się zastanawiała.

- W sumie... Powiem babce, żeby zadzwoniła za dwadzieścia minut i poszukam.

Dwadzieścia minut wystarczy, żeby znaleźć coś w tym jego bałaganie?

Zgodnie ze wskazówką pejzaż miał być wielkości kartki z zeszytu.

Jola podeszła do stołu, na którym przewalały się różne szkice, pędzle, papierowe ręczniki (sądząc po maziastych wzorach służące Cyckowi zapewne do wycierania nadmiaru farby), a także słoiki i wiele innych rzeczy - nawet nie trudziła się, żeby ustalać przeznaczenie poszczególnych przedmiotów. Dostrzegła również kilka obrazów, które Cycek przykrył gazetami, ale nie zabrakło i nadgryzionej kanapki wątpliwej świeżości. Odkrywała po kolei każdą z papierowych kupek i w końcu znalazła to, czego szukała. Tuż przy pejzażu leżał portret młodej dziewczyny, na który Cycek rzucił jakąś książkę. Jola odruchowo odłożyła ją na bok, a wtedy z książki wysunęła się kartka. Przyjrzała się bliżej bażgrołkom, które pokrywały całą stronę. Wydały się jej jakby znajome. Gdzie ona to wcześniej widziała?

Duża litera pe i przeciągły ogon zawinięty na końcu w śmieszny pętelkę. Jakiś podpis, ale czyj? Widziała go już na pewno, ale nie mogła skojarzyć gdzie...

- Co się dzieje? - Za plecami usłyszała nagle niezadowolony głos Cycka i drgnęła przestraszona. Ależ ten Cycek potrafi się bezszelestnie skradać w tych swoich skórzanych kapciuchach. Jola szybko wsunęła kartkę na miejsce i odwróciła się, trzymając w rękach już tylko obrazek. Serce waliło jej jak szalone, jakby została przyłapaną na nie wiadomo czym.

- Dzwoniła jakaś Hojerowa. Prosiła, żebym sprawdziła, czy pejzaż gotowy. Ciebie miało dzisiaj nie być, pozwoliłam sobie...

Cycek cmoknął po swoim z dezaprobatą. Nie znosił, kiedy ktoś szarogęsił się w pracowni podczas jego nieobecności.

- Ale już jestem, baba może przyjść. Arcydzieło gotowe - dodał *t* przekąsem i dał Joli do zrozumienia, że dalsze jej towarzystwo jest w tym miejscu niekonieczne pożądanie, co ta przyjęła z ulgą. Pomaszerowała do biura.

W usilnej pracy umysłowej, która polegała na wygrzebywaniu z pamięci podpisów różnych osób, przeszkodziła jej Ania. A szkoda, bo Jola gotowa była się maltretować, dopóki obrzydliwie zatrzaśnięta w mózgu klapka nie odskoczy ze świstem. Mogłaby wtedy banalnie wrzasnąć „Eureka!”, ale przynajmniej przestałaby ją ta głupota gryźć, męczyć i uwierać! Klapka jednak zawsze odskakiwała, kiedy się o niej nie myślało, więc właściwie dobrze się stało.

- Na obiad idziemy dzisiaj razem - Ania bardziej oznajmiła, niż zapytała.

- Może weźmiemy Jacka?

- Jacuś gdzieś przepadł od rana. Za jakąś kanapą pojechał, a w sklepie siedzi Monika, więc lepiej tam nie zaglądać.

- Nie zamierzam... Gdzie na ten obiadek?

Ania wyraziła chęć odmiany i zaproponowała, ku zadowoleniu Joli, restaurację A-Dong, która znajdowała się tuż za rogiem i oferowała kuchnię chińską. Ledwie wyszły z budynku, po przeciwnej stronie ulicy Jola zobaczyła Filipa i od razu zaświtały jej w głowie niedawne słowa Aluni o rzekomej babie na boku. Wtedy wydały się niedorzeczne, ale teraz eksplodowały paskudnym podejrzeniem. Przecież Filip powinien być o tej godzinie na uczelni... Wyraźnie się gdzieś spieszył. Może na spotkanie z wredną nieznajomą, dla której fakt, że facet jest żonaty, znaczył tyle, co zeszłoroczne porzeczeki?

- Ania, ja muszę przypilnować tego pięknego. - Skinęła głową na Filipa i wczepiła się w niego wzrokiem. - A ty możesz iść na konsumpcję, nie miej mi za złe - zdążyła rzucić w przelocie i ruszyła za zwierzyną.

- Chyba ci gorzej! - Ania nie dała się spławić. - Idę z tobą i mów mi zaraz, co to za jeden.

- Mąż Aluni - odpowiedziała Jola.

Filip rozejrzał się po ulicy i przeszedł na ich stronę. Na szczęście musiał być mocno zajęty swoimi myślami, w przeciwnym razie na pewno by je dostrzegł.

- Ten malarzyna, któremu włożyłaś skarpetki do teczki? - Ania знаła historię, więc straszliwie się ucieszyła, że na własne oczy może ujrzeć taki okaz.

- Ten sam, Alunia podejrzewa go o zdradę.

Kandydat na niewiernego małżonka skierował swoje kroki, o ironio, dokładnie tam, gdzie Jola z Anią zamierzały się dzisiaj posilić.

- Jaki uprzejmy, może faktycznie chińszczyzna nas dzisiaj nie ominie - bąknęła Ania i pociągnęła Jolę do środka. - Ta twoja baba ma wąsy. To znaczy, w przenośni...

Faktycznie. Filip dosiadł się do stolika, przy którym czekał na niego jakiś starszy jegomość z wydatnym brzuszkiem, co wcale nie pogarszało jego wyglądu. Pomimo pękatego balonika, który był przykryty świetnie skrojonym garniturem, mężczyzna prezentował się nobliwie i elegancko. W przeciwieństwie do Filipa, który przywdział dzisiaj na siebie jakiś dziwaczny błękitny sweter - Jola założyła by się, że należący do Aluni.

- Co teraz? - zapytała prawie szeptem Ania. W roli detektywa czuła się doskonale. Jola nawet miała wrażenie, że to Ani zależało teraz bardziej na pomyślnym przebiegu akcji. - Trzeba by posłuchać, o czym sobie gawędzą, nie uważasz?

Jola nieco skłęsa. Ważne, że Filip nie okazał się, przynajmniej na razie, wiarołomcą. Co ją obchodzi jakaś tam rozmowa.

- Już jest dobrze, nie potrzeba.

- Jolka! - Ania rzuciła ostrzegawczo. - Ty mi teraz nie pyskuj. Ktoś tu chciał śledzić... Za nimi jest wolny stolik, a Filipiek siedzi tyłem. Nie pleć bzdur, tylko tam się pchaj!

Jola ustąpiła. Zresztą, co jej zależało. Każdy może przyjść do restauracji na chińskie żarcie. Filip nie posiadał na sweterku przyczepionej kartki z napisem: „Siadać w odległości pięciu metrów!!!”.

- Dopiero na czerwiec. - Usłyszała głos Filipa. - Kwiecień malowanie, cały maj musi schnąć.

- Nie da się nic przyspieszyć? Zwłaszcza ten kwiecień. Może wyrobi się pan w dwa, trzy tygodnie, a nie w cztery? Nie chciałbym, żeby wzór tyle czasu przebywał...

- Poprzednim razem też tyle trwało. To nie jest moje widzimisię, przecież pan wie. To jest wyjątkowy obraz. Delikatne laserunki, różne techniki. Pędzle, gąbki, nawet gazety.

Jegomość sapnął niezadowolony. Pewnie zamawiał u Filipa obraz i zależało mu na terminie. Może chciał uszczęśliwić małżonkę prezentem na urodziny? Niezrażony odmową chrząknął i spróbował jeszcze raz:

- Ten kwiecień... Ni chu-chu szybciej?

Filip już jakiś czas temu dokonał odkrycia, że strawa duchowa to rzecz niezastąpiona, ale nie samą strawą duchową człowiek żyje. Człowiek żyje za pieniądze i jeśli je ma, w strawie duchowej może się za wspomniane wyżej taplać. Kiedy otrzymał za zlecenie zaliczkę w okrągłej kwocie trzech tysięcy złotych polskich, pierwsze swoje artystyczne kroki skierował oczywiście do sklepu plastycznego, gdzie dokonał zakupu wszystkich potrzebnych do pracy artykułów. Trochę się zezłościł, bo dostał za ledwie resztkę bieli cynkowej, a ta była mu niezbędna. Sprzedawczyni rozłożyła ręce i powiedziała coś o kłopotach producenta. Jakieś braki komponentów czy coś. Filip zaniósł zakupy do domu - zaparkował na placu przy pawilonie i zakradł się do garażu, gdzie zostawił sprawunki. Chciał zrobić Aluni niespodziankę i wrócić... ze zmywarką! Może to ją jakoś ugłaska, bo ostatnio bardzo się zmieniła. Na niekorzyść, jakżeby inaczej. W Geancie zgłupiał okropnie od tego wyboru, ale przy pomocy bardzo miłej pani w końcu się zdecydował na model ekonomiczny, z różnymi bajerami, których działania nie pojmował. Ważne, że te cuda przyprawią Alunię o oszołomienie.

Wiele się w swoich prorocत्वach nie pomylił. Kiedy, przy pomocy kierowcy, wniósł zmywarkę do kuchni, Alunia pisnęła.

Z samego środka.

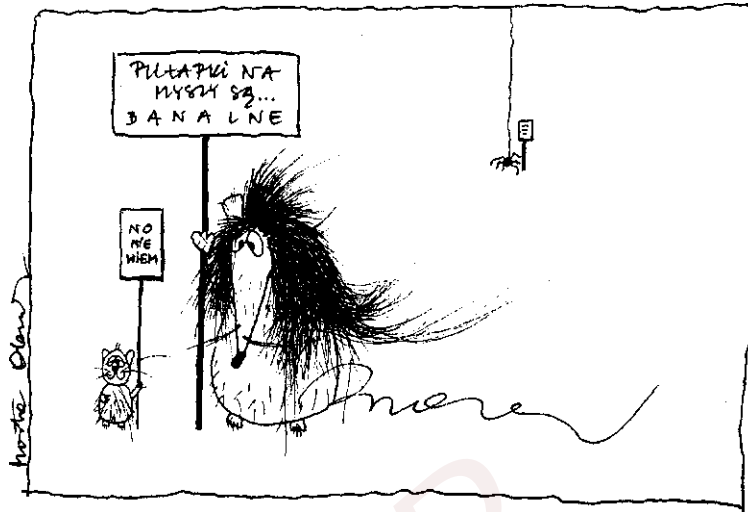
Niedowierzająco i euforycznie.

A potem rzuciła mu się na szyję, jak za dawnych czasów.

Filip stwierdził, że właściwie nie ma nic przeciwko, żeby jego żona miała zadbane dłonie. I panokcie w kolorze... dojrzałych malin. Czemu wcześniej wydały mu się różowe, nie potrafił powiedzieć.

Jola intensywnie myślała.

Małe, niewyraźne i kulfoniaste. Z dużą ładną literą pe, na końcu ogon jak u myszy. Grubszy na początku, na końcu cienki i zawinięty do góry. Czy myszy mają zawinięty ogon? Co też ona wymyśla. Żeby nie dostać fioła i nie wydumać jakiegoś naprawdę porażającego idiotyzmu, postanowiła wziąć się za coś pożytecznego. Może na przykład poukładać w torebce, a raczej przełożyć jej zawartość do innej, którą zamierzała jutro zabrać do pracy. Małe, kulfoniaste, z ogonkiem...



Wysypała zawartość torby na łóżko. Papierki, recepty, wizytówki, kartki, karteluszeki. Jak się w tym wszystkim połapać? Alunia pewnie miała nieskazitelny porządek w swojej taśce. Trzeba brać z niej przykład, chociaż Ala już sobie chyba odpuściła branie przykładu z Joli. Powinna się przeobrazić, wykobiecać, a tymczasem wystarczyło metalowe cudo do zmywania, żeby ponownie zaczęła palić świeczki na ołtarzu od lat wznoszonym na cześć małżonka. Dzisiejszego popołudnia miłość na nowo bujnie rozkwitła, ale Jola dałaby sobie poucinać obie rączki, że to uczuciowe kwiecie niedługo padnie i zmarnieje, choć wcale tego koleżance nie życzyła, odpukać!!! Zna się po prostu te numery... Tu podarek, tam podarek i na jakiś czas szafa gra. A potem znowu rzeź i fałszuje. Kto wie, może Filip kupił tę zmywarkę wcale nie dlatego, żeby Aluni ulżyć. Przeraził się, wygodny tchórz, że będzie musiał po wsze czasy moczyć swoje malarskie kończyny w ludwiku.

Duża, kształtna litera pe...

Przeterminowane recepty wyrzucić, wizytówki ludzi, których już nie pamięta, również. A to co za dziwoląg? Bateria jakaś? Jola rozłożyła jedną z recept, z której wypadło coś małego, co kształtem przypominało baterię do zegarka.

Bazgrołki, całe koślawe, z ogonkiem.

Duża, wyraźna litera...

Jola aż jęknęła.

Pracz!!! Na kartce w pracowni Cycka widziała podpis Pracza!

W amoku przełożyła to coś, co chyba było baterią, do portfela. Całość zgarnęła do torebki, nie zważając już na żadne porządki i ceregiele.

Cycek ćwiczył podpis Pracza i to jak umiejętnie...

Sięgnęła na półkę po album poświęcony twórczości współczesnych malarzy śląskich. Nie myliła się. Tak podpisywał swoje obrazy Justyn Pracz, jak dotąd najwybitniejszy malarz Ślązak. W albumie nie było co prawda fotografii *Pięknych 1981*, a Pracz nie sygnował swoich prac za pomocą kalki - podpisy na obrazach nie mogły być identyczne - ale niewątpliwie w pracowni Cycka natknęła się na...

Właśnie, na co?

Czyżby Cycek podrabiał podpis malarza?

A może przed aukcją zlecono mu jakąś kosmetykę obrazu, co czasem się zdarzało, a ona posądza go o Bóg wie co. Trzeba by sprawdzić, zanim się oskarży człowieka.

Następnego dnia Cycek siedział cały czas zamknięty u siebie w pracowni. Joli nawet przez myśl nie przeszło, żeby o ewentualną renowację *Pięknych* pytać u źródła, wolała wybadać Prudła, który musiał na ten temat coś wiedzieć. Ale nie wiedział, a nawet wyraził głębokie zdumienie jej pytaniem. Obraz jest według niego w idealnym stanie i skąd w ogóle taka myśl? To już Jolę trochę zaniepokoiło, chociaż pozostawały też inne możliwości - ona sama na przykład. Często zdarzało się jej bezmyślnie bazgrać po kartce, ćwicząc swój podpis. Może Cycek też tak robi, tyle że dla odmiany zapadł na takie zboczenie, że mechanicznie podpisuje się nazwiskami malarzy. Nie wolno? Zakaz komendanta policji? Ludzie prezentują sobą różne odchylenia od normy. Odchylenia odchyleniami, ale sprawa gryzła Jolę do tego stopnia, że postanowiła ponownie dokonać zamachu na pracownię. Może Cycek nie bez powodu tak strzeże wejścia do tej swojej jaskini?

W piątek przyszła do pracy przed wszystkimi i poprosiła panią Helę o klucze. Nawet nie zdążyła wejść na górę, kiedy w holu pojawił się... jakżeby inaczej, Cycek we własnej osobie! Wszelkie plany padły na pysk. Czy ten facet musi się zawsze pojawiać w najmniej oczekiwanych momentach? Jak duch, jak mara jakaś zapocona od wieków niezliczonych? A kysz!!!

Jola nie zastanawiała się, co powiedzieć - jako osoba przewidująca już wcześniej przygotowała usprawiedliwienie na wypadek, gdyby została znowu przez Cycka przyłapana, co przecież miało miejsce. Może taka już uroda ich znajomości, psiakrew, cholera mać!

- Potrzebuję ramki na zdjęcie, tyle ich tam masz. Myślałam...

- Myślałaś... Aha. - Cycek ostentacyjnie wyciągnął przed siebie rękę w oczekiwaniu na klucze. - Ja bym jednak wolał, żebyś o mojej pracowni nie myślała. Pani Helu, klucze proszę wydawać tylko mnie, jasne? Żeby mi nikt nie łąził po moim miejscu pracy bez potrzeby.

- Może coś tam ukrywasz, oprócz zgniłej kanapki, oczywiście. - Jola pozwoliła sobie na złośliwą prowokację, bo maniery Cycka działały jej już na nerwy.



- A czy ja się włamuję do twojego biura? Ale dobrze trafiłaś - dodał trochę bardziej pobłażliwym tonem i cmoknął. - Robię dzisiaj porządki, to ci jakąś ramkę znajdę. Wymiary?

Godzinę później porządki rzeczywiście ruszyły pełną parą. Cycek nastawił na głoś radio, wziął do pomocy Pawła, technicznego, i naprawdę zaczął sprzątać. Niepotrzebne gruchoty spuszczał w wiadrze po sznurku na podwórze, żeby z nimi ciągle nie biegać.

W toalecie, która znajdowała się pod pracownią, Jola nie mogła się z tego powodu skoncentrować na pewnej czynności. Wiadro co chwilę szurało po ścianie tuż przy łazienkowej szybie albo łupało rytmicznie o elewację - w zależności od techniki, jaką było właśnie spuszczone albo wciągane. A może za chwilę z odgłosem tłuczonego szkła kubek zmaterializuje się tutaj? Ale nie. Chwila spokoju... Jola wyrzała dyskretnie na podwórko, po którym jeszcze niedawno krzątał się Paweł, ale musiał już pójść do pracowni, bo Cycek tkwił przy swoim zaparkowanym aucie sam.

Zaraz, zaraz.

Co ten Cyc przebrzydły robi?

Co on tam chowa do bagażnika?!

Prozaiczna czynność zakładania na tyłek pantalonów, która kazała jej na chwilę oderwać się od widoku z okna, spowodowała, że Jola poczuła się nieusatisfakcjonowana. Przegapiła najważniejsze. Wydawało się jej, że Cycek wkłada do auta coś kwadratowego, coś...

Coś jakby obraz!!!

On chyba... nie kradnie *Pięknych 1981*?!

Nawet parę miesięcy później, kiedy wszystko stało się już jasne i co poniektórzy doświadczali chłodu więziennej celi, Jola nie potrafiła powiedzieć, dlaczego właśnie obraz Pracza przyszedł jej wtedy do głowy. Ale przyszedł i pójść precz nie chciał. A skoro nie dał się z umysłu wygonić, Jola postanowiła mu dopomóc. Żeby jej nie dręczył i nie drapał po duszy pazurami.

Sposób widziała jeden jedyny, ale nie mogła go zrealizować w pojedynkę...

Prudło nie odmówił wsparcia. Stanąć po stronie kogoś, kto ma coś przeciwko Cyckowi, poezja! Kiedy jego uflogany, myślałby kto - porządkami, kolega zniknął u siebie, Prudło wziął z jego biurka kluczyki do samochodu i zaniósł przemiłej dziewczynie. Nawet dobrze się składało, że Cycek zostawiał wszelkie klucze w biurze, a nie w pracowni. Prudło mógł się w ten sposób przysłużyć jej i doczekał się od niej ślicznego uśmiechu. Gorzej poszło Joli z Jackiem, którego musiała długo namawiać, żeby pilnował w holu, czy Cycek nie wraca na podwórko. W ogóle Jacek jakby jej ostatnio... unikał? A w każdym razie jakoś tak się składało, że ciągle nie miał czasu, żeby z nią porozmawiać. Ciągle gdzieś wyjeżdżał, rozmawiał z klientami albo szedł na obiad - a to z Anią, to z księgową albo... z Moniką, co Jola odkryła niedawno, doznając przy tej okazji niemałego wstrząsu.

W ogóle zajmował się całym światem, tylko nie nią!

Ania w zachwycie opowiadała, jak to Jacek zna się na transkrypcji fonetycznej, co z łąką w oku wspominała z czasów studiów polonistycznych. Prudło wpadał w zachwyt, bo mógł toczyć z panem Jackiem długie dysputy o malarzach holenderskich. Nawet Paweł bąkał coś ostatnio, że Jacek wie dużo o... stolarce!!! Stolarzka wstrząsnęła Jolą nie mniej niż transkrypcja fonetyczna, ale konszachty - bo tak to należy nazwać - z Moniką przechodziły wszelkie pojacie.

Co ten Jacek wyprawia?

Z kimkolwiek ostatnio rozmawiała, oczywiście oprócz Wąsa i Cycka, wszyscy mówili o Jacku. Jacek i Jacek... W ciągu paru dni stał się w biurze niemal bożyszczem! A ją nieodmiennie ignorował.

- Po prostu dryndnij do mnie, jak Cycek będzie szedł do wyjścia - przekonywała.

Jacek podrapał się po czole. Miał tylko nadzieję, że przez te głupstwa Joli nie wpadnie. Czasem takie bzdury decydują o rzeczach ważnych, a Jola nie chciała mu powiedzieć, w czym rzecz - to właśnie najbardziej mu nie odpowiadało. Gdyby wiedział, co kombinuje, jakoś przeanalizowałby sytuację, może pomógłby jej w inny sposób.

- Ale po co to? - nie poddawał się.

Jolę korciło, owszem. Ale oprócz przypadłości charakteru polegającej na ciągłym działaniu, a co za tym idzie, wplątywaniu się w różne dziwne sytuacje, odznaczała się również cechą raczej rzadką - poczuciem sprawiedliwości. Dopóki czegoś nie sprawdziła i nie upewniła się co do swoich racji, nie zamierzała rzucać podejrzeń. Ona sama nieraz była niesłusznie o coś posądzana i dobrze wiedziała, jak to potrafi być krzywdzące. Mimo że Cycka nie kochała, zamierzała być wobec niego w porządku, aż do czasu, kiedy się nie przekona...

- Jacuś, ja cię też uwielbiam, jak cała reszta biura - szczerze wyznała, nie mając na myśli niczego pokrętnego, gdyż Kaśka w czapeczce z czarnej pajęczyny włóczyła się po jej podświadomości od pamiętnego obiadu - ale zrozum, chcę coś sprawdzić. Jak sprawdzę i okaże się, że się nie pomyliłam, to będziesz pierwszą osobą, której o tym powiem. Obiecuję.

Jacek zdołał już zrozumieć, z kim ma do czynienia. Nie zapomniał, jakim sposobem Jola dopięła swego i doprowadziła do naprawy rury. Uparta sztuka... Jak jej nie pomoże, to nie wiadomo, co jeszcze wymyśli. Pocieszało go jedynie to, że akcja miała być wymierzona w Cycka.

- A jak się okaże, że się pomyliłaś?

- To zatkam dziób i niczego się nie dowiesz. - Jacek usłyszał mniej więcej to, czego się spodziewał. - To jak? Działamy?

- Działamy - potwierdził z niewesołą miną i zaklął w duchu siarczyście.

Wszystko przebiegłoby pewnie pomyślnie, gdyby nie jeden szczegół - ani Jola, ani Jacek nie sprawdzili, gdzie obecnie znajduje się Jakimiak. Oboje byli święcie przekonani, że konserwator dzierży berło w pracowni.

Pomylili się.

Cycek tymczasem zaniósł część niepotrzebnych desek do piwnicy. Przechodząc obok drzwi prowadzących na podwórze, których Jacek nie widział ze swojego posterunku przy szatni, przypomniał sobie o wiadrze. Wyszedł na zewnątrz z zamiarem sprzątnięcia kubła z widoku. Jacek usłyszał zgrzyt otwieranych drzwi i domyślił się, co się zaraz stanie, ale już było za późno.

Cycek stanął na wprost gmerającej w zamku bagażnika Joli.

Jola odwróciła się i zobaczyła Cycka.

Przez chwilę i jedno, i drugie nie wiedziało, jak ma się zachować.

Jola chyba pierwszy raz w życiu tak bardzo spanikowała, a Cycek musiał ogarnąć swój czarny temperament, bo najchętniej by tym wiadrem... Aż go ręka świerzbiła!!!

- Ahaaaa... i pewnie szukasz ramki - przemówił pierwszy, zbliżając się powoli i podstępnie jak wąż.

Planu B Jola na taką ewentualność nie przewidziała. Planem B miał być Jacek. Czemu nie dał jej znać? Co się stało?!

Postanowiła zagrać w otwarte karty, no prawie otwarte...

- Ja widziałam, że tu coś chowasz - wydukała. Cycek mlasnął z obrzydzeniem i splunął.

- Że niby coś kradnę?

- Że coś wynosisz z firmy...

- Niby co? - Spojrzał jej wyzywająco w oczy.

- Nie wiem co, nie widziałam. Chciałam sprawdzić.

- Ahaaaa - Cycek znowu powiedział przeciągle i nieprzyjemnie. - Owszem, coś wynoszę - dodał nieoczekiwanie, nie odrywając od niej napiętego spojrzenia - ale Wąs o tym doskonale wie. Cement... Zwyczajny wór cementu.

Jola postanowiła spróbować taktyki starej jak świat. Oczywiście w żaden cement nie uwierzyła. Jacek drugi raz się nie wyłga. Znikające obrazy, podpisy Pracza na kartce w pracowni... Coś w tym musiało być. Nawet się nie łudziła, że Cycek zademonstruje jej zawartość swojego bagażnika. A lepiej nie naciskać, niech myśli o niej...

- Dla mnie praca jest ważna - zaznaczyła głosem ambitnej idiotki. - Ja się utożsamiam... Nie chciałabym, żeby szefa ktoś okradał...

- A wiesz, że gdybym zadzwonił na policję, to ty byłabyś oskarżona o próbę kradzieży?

Co ta Jolka wymyśliła? Co się tam dzieje?

Jacka dręczył niepokój, ale nie dane mu było od razu wyjaśnić sytuacji, gdyż do holu wszedł jakiś facet i skierował się do sklepu. Trzeba wracać do pracy.

- Witam - powiedział przybysz niezadowolonym tonem i rozejrzał się wkoło, jak szlachcic, który postawił swą łaskawą stopę w wiejskiej lepiance. - Tak zaszedłem... Co tu macie dobrego?

Jacek z miejsca poczuł do osobnika antypatię.

Świniowaci blondyni z różowym ryjem nie wzruszali go szczególnie, chyba że świecili grubym złotem na szyi i zachowywali się tak jak ten tutaj - jak królowie wszechświata. Wtedy się lekko irytował. Ale cóż. Grzecznym trzeba być dla każdego, chyba że ktoś będzie niegrzeczny dla niego, wtedy tak zwaną kulturę Jacek gotów był każdemu wsadzić, za przeproszeniem, w dupę.

- Pan, widzę, jest koneserem sztuki - przemówił, bardzo starając się, żeby w jego słowach zabrzmiało uznanie. Takie orangutany to uwielbiają.

Blondyn poczuł, że w wiejskiej lepiance złożono mu należny hołd i jakby jeszcze bardziej urósł.

- Owszem, inwestuję w różne takie artystyczne cacka.

Jacek zastanowił się, czy jednak podoła psychicznie tej konwersacji, ale blondyn na szczęście nie oczekiwał już dalszych wyrazów uwagi. Uznał, że stoi przed nim naiwny, bo pracujący dla kogoś za psie pieniądze, matole. Własna przedsiębiorczość wypełniła go takim zadowoleniem, że zaczął być miły.

- Mam trochę gotówki i nie chcę jej wsadzać do banku. Szukam czegoś... Najlepiej obrazu, ale takiego, wie pan... - szukał odpowiedniego słowa.

- To będę miał coś dla pana.

- Naprawdę? Coś ładnego?

Jacek musiał odchrząknąć, chyba zbyt szybko się spieszył. Raczej nie chciałby, żeby *Piękni 1981* trafili w barbarzyńskie łapy stojącego przed nim „konesera”, ale może faceta zniechęci termin?

- Obraz Justyna Pracza, może pan słyszał?

- A słyszałem, słyszałem, Praczu dobrze stoi... Świetnie!

- Blondynek aż zagibał się z zadowolenia.

- Ale to dopiero w lipcu, bo wtedy będzie aukcja - zastrzegł Jacek. - Nawet nie mogę go panu teraz pokazać, jeszcze jest w opracowywaniu.

- A za ile, myśli pan, że pójdzie?

- Nie spyta pan, co to za obraz? - Jacek zaczynał być zły.

- Może nie będzie się panu podobał?

- Proszę pana... - Koneser przybrał postawę dyplomaty i człowieka tak do szczętu światowego, że aż tym światowaniem znudzonego. - Mnie się ten obraz już podoba, wcale nie muszę go oglądać. Praczu to Praczu, co mi pan tu będziesz gadał, ja na sztuce się znam...

Jacek pożałował swojej wylewności. Po co wyskakiwał z Praczem, teraz jeszcze, nie daj Boże, ten fajansiarz zjawi się tu w lipcu i położy swoje łapska na czymś, co w odczuciu Jacka było piękne. Licząc na to, że blondyn jednak odpuści, postraszył go, że Praczu może osiągnąć astronomiczną cenę. Mężczyzna zerknął na swój sygnet, porozglądał się jeszcze chwilę po sklepie i w końcu wyszedł.

Cyprian Jakimiak prawie dostał z wściekłości sraczkę.

Przylapawszy Jolę na dobieraniu się do jego osobistego bagażnika, zaczął oddychać głęboko i jeszcze głębiej, żeby się uspokoić.

Raz, dwa.

Raz. Dwa...

Udało się, ta podła dziewczucha nie zginie jednak z jego rąk od uderzenia cynkowanym wiadrem. Nie zginie, ale zapłaci za to. Już on przekona Wąsa, że trzeba ogarnąć tę sikse. Żeby nie czuła się zbyt pewnie i żeby nie zaczęła jeszcze bardziej fikać.

Przyglądził wąsa i popędził do gabinetu swojego szefa, gdzie zamknął się z nim na dobre pół godziny. Po odbytej naradzie, która przebiegła nad podziw zgodnie, wyprysnął na zewnątrz. Należało poczynić pewne kroki. Na przykład zajrzeć na ulicę Pilotów 58 i oddać w czyjeś ręce pewien pakunek, a potem zajechać do Praktykera.

Po wór pełen przebrzydłego cementu.

Jacek wreszcie mógł poszukać Joli. Znalazł ją na korytarzu uwijającą się przy oszklonej gablo-cie. W jednej ręce trzymała jakąś figurkę, drugą ścierała z półki kurz.

- *Paryska tancerka?* - Kiwnął w stronę maleńkiej postaci w niebieskiej sukience, którą blada z wściekłości Jola ścisnęła za nogi. - Ładniutkie i sporo warte przy okazji... Czemu ty to robisz, a nie pani Hela?

- Zapytaj Wąsa. Podobno moje paluszki są zgrabniejsze! Cytuję, oczywiście.

- A co wynikło z Cyckiem? - Miał nadzieję, że w końcu czegoś się dowie.

Jola na chwilę znieruchomiała i spojrzała poważnie na Jacka. Uznała, że sytuacja dojrzała do pewnych działań. Nie pozwoli wodzić się Cyckowi za nos, a co ważniejsze - nie pozwoli, żeby coś złego stało się obrazowi Pracza, a przez skórę czuła, że wszystko kręci się właśnie wokół tego.

- Czy ja ci mogę zaufać? - zadała pytanie, które nieco Jacka spłoszyło.

- Teoretycznie powinno się ufać tylko samemu sobie. I to nie zawsze - powiedział po głębszym zastanowieniu. - Ja sobie nie ufam. Nie wiem, jak w niektórych sytuacjach zareaguję, więc...

- Mogę czy nie mogę? Po prostu się określ. Jasno i wyraźnie, tak czy nie?

Jacek wyczuł w zachowaniu Joli determinację, co go poważnie zaniepokoiło. Przede wszystkim wiedział już jedno - że to on może zaufać Joli, co w jego mniemaniu było dużo ważniejsze. Lepiej mieć w tej szalonej dziewczynie sprzymierzeńca...

- Możesz, oczywiście.

- To w takim razie bądź pod moim domem dzisiaj o dwudziestej pierwszej. Wtedy wszystko ci powiem. Tylko załóż coś mało eleganckiego... Teraz wychodzę, jak oczywiście skończę majtać szmatką, więc nie pogadamy.

- Łachy mam jakieś założyć? - Jacek nie pojmował, jaki związek może zachodzić pomiędzy garderobą a zdradzaniem tajemnic. - Strój nocnego stróża wystarczy?

- Wystarczą dzinsy i ta twoja piękna koszulka z trupem, czy jak mu tam...

- Z kostuchą.

- Obojętnie, wystarczą.

- To może skusisz się na wspólny obiad? - Jackowi nie uśmiechało się czekanie aż do nocy, postanowił spróbować z innej beczki.

- Już się raz skusiłam, dziękuję za takie atrakcje... Za chwilę spotykam się z Alunią. Coś zjemy, a potem pójdziemy na małe kobiece zakupy. - Mimo niewesołej miny Jola zdobyła się na mrugnięcie okiem. - Ale ona jeszcze o tym nie wie.

Po Aluni ciarki łąziły tak, że aż ją smyrgało, nie wiedzieć czemu, w uszach.

Szła sobie pomału ulicą Staromiejską, słońce przyjemnie grzało, zapowiadając upalne lato, a jej chciało się przygarnąć do łona cały świat! Czasu miała dzisiaj dużo, bo pan Władysław wyjechał gdzieś w interesach, z mężem znowu harmonia grała że hej, a teraz czekało ją miłe, konsumpcyjne spotkanie z Jolą w Żłotym Ośle.

Same przyjemności!

Dodatkowo jeszcze zamierzała wieczorem przetestować nowy przepis na ciasteczka o zabawnej nazwie „słoniowe uszy”, jaki wyczytała w książce Marshy Mehran *Zupa z granatów*. A właśnie, odnośnie do uszu, podsłuchiwania i podpatrywania... Kiedy biegła rano do sklepu (o nie, bynajmniej nie wróciła do zwyczaju budzenia męża, ale bułeczki na śniadanie, na które sam wstał, mogła mu przecież przynieść), zobaczyła kręcącego się pod domem Jacka. Czy on czasem nie smali cholewek do Joli? Widziała, jak wtedy, w Starej Księgarni, na nią patrzył.

Tylko że chyba coś mu się pomyliło...

Z tej strony ogrodzenia znajdowało się okno pracowni Filipa, a nie pokój Joli. Po dłuższym zastanowieniu stwierdziła, że nie poinformuje o tym przyjaciółki. Lepiej się nie wtrącać. Może Jacek wcale by sobie tego nie życzył? Alunia miała wrażenie, że jakoś się tak pod tym oknem czaił. Może jest zbyt nieśmiały, żeby wprost powiedzieć o swoim uczuciu? A jeszcze Jola wspominała o jakiejś dziewczynie... Zbyt to wszystko skomplikowane jak na jej głowę. Jednego mogła być pewna - Jola z całą pewnością poradzi sobie bez niczyjej pomocy. Proszę, Alunia obrzuciła przyjaciółkę krótkim spojrzeniem, kiedy ta stanęła w drzwiach restauracji - dokładnie tak powinna prezentować się prawdziwa kobieta.

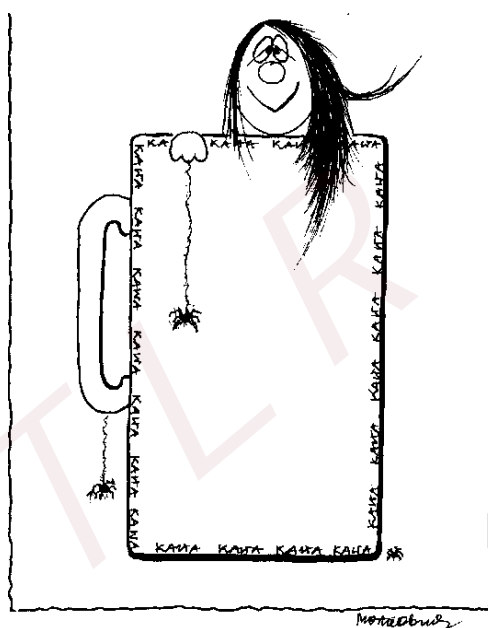
Stanowcza, energiczna... wściekła?

- Wszystko w porządku? - spytała z niepokojem, bo Jola sprawiała wrażenie tykającej bomby zegarowej. Coś ją musiało mocno wzburzyć, przy czym Alunia już powoli zaczynała się orientować, że Jola z siłą huraganu przeżywa tak samo oczko w rajstopach, jak wiadomość o skoku cen ropy na rynku światowym. Taka już była i Aluni ta cecha charakteru

Joli prawdziwie imponowała. Imponowała na spokojnie - ona sama nigdy, przenigdy nie chciałaby robić wokół siebie tyle zamieszania, chociaż ostatnio...

- Wszystko nie w porządku, ale ja tu przyszedłam jeść i prowadzić z tobą lekką konwersację, a nie przynudzać. Żeby jedno nie przeszkadzało drugiemu, nie mogę poruszać niebezpiecznych tematów. Żarcie nie może mnie ciężko trawić, czy tam na odwrót - wyrecytowała jednym tchem i uśmiechnęła się zabójczo. - To tak w zarysie... Dzisiaj pozwoliłam sobie zaprosić na wieczór Jacka, bo wiem, że twój Filip gdzieś wybywa, więc będę wam tłumaczyć hurtem, dlaczego mam ochotę co niektórych ukatrupić... A teraz może jakaś zapiekanka?

Jola doszła do siebie dopiero przy serwowanej w lokalu kawie pięciu przemian i ciasteczku marchewkowym. Mając pełny żołądek, spojrzała na świat zdecydowanie mniej ponuro.



85

- Teraz wiem, że żyję - zakomunikowała z przyjemnością. - Zdecydowanie lubię sobie dogadzać. Sybarytyzm pełną gębą... Nawet nie myślę o kaloriach, po prostu ich, małych franc, nie ma w tej chwili na świecie.

- Kalorie są jak bakterie, muszą być i tyle.

- O, widzisz, droga właścicielko domu jednorodzinnego przy ulicy Pilotów, że o psie nie wspomnę. Tu się z tobą nie zgadzam, o kaloriach można zapomnieć na chwilę, a nie na zawsze. Co ty generalnie sądzisz o dietach?

Już samo słowo dieta kojarzyło się Aluni nieprzyjemnie z chorobą, toteż jej mina mówiła sama za siebie.

- Aha, już widzę, co sądzisz... A co sądzisz o tym, żeby tak na przykład nosić seksownie przylegające spodnie?

Jola nie dawała sobie prawa do programowania Ali życia, o nie. Nie chciała też bynajmniej sugerować, że jej dotychczasowy styl życia jest zły. Gdyby jednak zdołała Alunię namówić na pewne ustępstwa, to kto wie, może przyjaciółka poczułaby się szczęśliwsza, a Filip mniej pewny siebie?

- Przylegające... nie wiem, ale spodnie tak. Spodnie mi się podobają.

Perspektywa zmniejszenia się tylnej części ciała, która zdawała się żyć swoim życiem i rozra-  
stała się wszcz, całkiem ignorując fakt, że inne członki pozostają drobne i niemrawe, wydała się Aluni  
nadzwyczaj atrakcyjna. Niestety, w miejscu bioder pojawiły się, nie wiedzieć kiedy, drzwi od stodoły,  
które bynajmniej nie nasuwały skojarzeń z powabną kibicią. Alunia boleśnie więc wzdychała i wbijała  
się w spódnice. Jakąś litość dla otoczenia trzeba jednak mieć...

Jola błyskawicznie wychwyciła jej wahanie.

- W spodniach, po malutkim ruchu czy diecie, nie wiem, co wolisz, wyglądałabyś świetnie - ku-  
siła, wiedząc, że niedługo osiągnie swój cel.

- Naprawdę tak uważasz?

- A która kobieta wygląda źle w spodniach?! Aluni zrzęda mina.

- Ja - wydukała niepocieszona.

- No, to trzeba coś z tym zrobić! Żadne smętowania i wzdychania, energię spożytkujesz inaczej.

- Jola klepnęła Alunię z rozpędu w plecy. - Dolinę Trzech Stawów masz pod nosem. Wiesz, ilu tam  
ludzi codziennie biega?

- Codziennie... Biega...

- Tylko konsekwencja, moja droga. W tym tkwi sekret i ja ci to mówię. Za darmo, bo dietetyk  
wziąłby za poradę stówkę jak nic. Mniej żarcia, więcej ruchu! Nie ma prostszego sposobu.

Wydobywszy z Aluni obietnicę cowieczornego joggingu, Jola zaproponowała wypad do EM-  
PiK-u, a tam spryskała ją perfumami *Noa Cacharela*. Tak jak przypuszczała, Alunia była urzeczona.  
Ciekawe, co na to Filip... Bo Jola, po wyrażeniu przez Alunię akceptacji co do zapachu, nie zważając  
na jej gorliwe protesty, dokonała zakupu i wręczyła przyjaciółce w prezencie małe, różowe pudełecz-  
ko.

Za dobre serce.

Że ją, sierotę, przyjęła pod swój dach.

A malarzynie niech nos urwie z pożądania!!!

Tego, co zdarzyło się później, Jola nie wyobrażała sobie w najkoszmarniejszych snach.

Z obiadu wróciła do pracy około drugiej. Już z daleka dało się zauważyć, że Cycek zaparkował  
swoją cud przerdzewiałą maszynę na chodniku przy schodach, żeby wywalić na światło dzienne zawar-  
tość bagażnika. Jola jeszcze nie podeszła bliżej, ale już wiedziała, co zobaczy w środku.

Worek cementu...



Myślałby kto, że ją takie demonstracje przekonają. Już ona swoje wiedziała i nie zamierzała beczynnie patrzeć, jak podrabia się podpisy przyzwoitych malarzy i wywozi się ich obrazy nie wiadomo po co i gdzie. Bez słowa przeszła obok Cycka, który udawał, że coś tam z auta wynosi, tak żeby ona mogła nacieszyć oko cementowym pakunkiem, i weszła do biura. Ania jeszcze nie wróciła, więc Jola postanowiła zaparzyć sobie dobrej herbaty i przemyśleć to i owo. Nie zdążyła nawet spokojnie usiąść w fotelu i przyłożyć ust do filiżanki, kiedy Wąs z bardzo nieszczególną miną stanął nad nią i niby uprzejmie wycedził:

- Czy zechciałabyś mi zdradzić, gdzie obecnie znajduje się *Paryska tancerka*?

Jola jeszcze nie przeczuwała najgorszego.

- Za szybą na korytarzu, a gdzie ma się znajdować? Przecież niedawno ją odkurzałam, sam mi kazałeś.

Wąs nadal uśmiechał się jadownicie.

- Właśnie... Wiem, że ty ją ostatnio oglądałaś, więc pytam, bo jej tam nie widzę.

Jola zerwała się z miejsca, prawie wylewając herbatę na klawiaturę. Wybiegła na korytarz i stanęła jak oniemiała przed gablotą. Wąs miał rację, figurki nie było. Chyba że ktoś ją przestawił albo znalazł się jakiś kupiec, o czym Wąs nie został jeszcze poinformowany.

- Może...

- Zapraszam do siebie, nie będziemy tu robić przedstawienia.

- Może ona gdzieś...

- Już dzwoniłem do Jankowskiej, Jacka też pytałem i innych. Nikt jej nie brał. - Wąs już przestał silić się na uprzejmości. - Zapraszam... Ale może najpierw pokażesz mi zawartość swojej torebki?

- Dobrze się czujesz? Że co?! - Ani myślała dać się obrażać. - Ja miałabym ją ukraść?!

- Czy zechciałabyś, droga Jolu... - słowa Wąsa znów zaczęły ociekać zatechłą słodyczą i ani się obejrzała, a jej osobisty szef przechylił się przez biurko i jak cham jakiś sparciały zanurzył w torebce swoje obrzydliwie profesjonalne łapy. To, że po nich od razu nie dostał, zawdzięczał całkowitemu zbaranienu, w jakie Jola popadła. A już wprost nie potrafiła znaleźć słów na określenie stanu jej ducha, kiedy...

Wąs wyciągnął z torebki *Paryską tancerkę!!!*

Przecież jeszcze w Złotym Ośle przerzuciła całą jej zawartość w poszukiwaniu portfela. Gotowa była przysięgać na kolanach, że figurki tam nie było!!!

Spojrzał na nią z tak odrażającym zadowoleniem, że aż ścierpła.

- Do mnie, proszę - wycedził.

Jola ruszyła jak na ścięcie. Nie była naiwna, jej umysł cechowała wrodzona podejrzliwość, czy raczej potrzeba dociekania sedna rzeczy. Dzięki temu skojarzyła to, co właśnie się działo, z incydem, który jeszcze nie tak dawno rozgrywał się na podwórku.

- Cóż... Jestem tobą rozczarowany - oznajmił Wąs, rozkładając ręce.

Mimo że Jola miała idiotyczne wrażenie, że Telewizja Katowice cudem zebrała pieniądze i kręci tu jakiś film, a ona niepojętym zrządzeniem losu, nic o tym nie wiedząc, została statystką, pojęła sytuację. Wąs celowo zlecił jej porządki w szafce na korytarzu. Zaplanowali to z Cyckiem, żeby wrobić ją w kradzież. Musieli podrzucić figurkę przed chwilą, kiedy poszła po wodę na herbatę. To świnię dwie owłosione!!!

- Do tej pory postrzegałem cię jako wzorową... - zaczął usatysfakcjonowany z wysokości swojego fotela Wąs, ale Jola nie zamierzała ciągnąć tego żenującego przedstawienia.

- Daruj sobie przemowy. Dobrze wiesz, że niczego bym nie ukradła!!!

- A może powinna to stwierdzić policja? Pobraliby odciski palców... - snuł swoją opowieść, bawiąc się wybornie. - Przesłuchaliby świadków, bo wydaje mi się, że wszyscy cię na korytarzu widzieli. Dobrze kojarzę?

- Zabawne, że o policji słyszę już dzisiaj drugi raz. - Jola doskonale wiedziała, że rozmowa nie taki miała przyjąć obrót, chociaż, gdy pomyślała, co by się w takiej sytuacji działo, włos zjeżył się jej na głowie. Oczywiście, zostałaby uznana za złodziejkę. Nikt nie zawracałby sobie gitary ustalaniem, co wydarzyło się naprawdę. Smutne, ale prawdziwe. - W takim razie jako porządny obywatel może jednak złożyć doniesienie?

Wąs porządnego obywatela przełknął nadspodziewanie gładko. Nawet nie stanął mu w gardle, choć powinien.

- Donosicielstwem się brzydę - wyznał przewrotnie, a zaraz potem zadał pytanie brzmiące nad wyraz sugestywnie: - A ty?

Jola poczuła ulgę, która bynajmniej nie zmniejszyła jej wściekłości. Powzięła żelazne postanowienie. Wyjaśni, o co tu chodzi, choćby miała gnić w więzieniu z powodu tego typu wypłacającego jej co miesiąc pensję!

Ale do tego wyjaśniania zabierze się po swojemu...

- Jak ty to zrobiłaś, przecież to jest przepyszne! - Jola nie mogła wyjść z podziwu nad upiornie pysznymi ciasteczkami Aluni. - Dobrze mówię? - zadała retoryczne pytanie Jackowi, który zdecydowanie czuł się jak w raju w tej pachnącej wanilią kuchni.

- W życiu nie jadłem czegoś bardziej... - usiłował dać wyraz rozkoszy, jakiej doznawał, ale przecież nie po to tu przyszedł. - A pan domu nieobecny? Nie poznam go? - zapytał jak ktoś uprzejmie zainteresowany.

Alunia pokręciła w odpowiedzi głową i ponownie dołała im herbaty cynamonowej.

- Wróci późno, ma jakieś spotkanie.

- Bo ja bym bardzo chciał zobaczyć jego pracownię. Lubię popatrzeć, jak artyści pracują. Zboczenie zawodowe...

- Jacek był asystentem konserwatora w muzeum we Wrocławiu - wyjaśniła Jola, czekając na kolejną porcję ciepłych pyszności.

Alunia aż się wzdrygnęła na samą myśl, że miałyby wpuścić kogoś do pracowni męża pod jego nieobecność. Zresztą Filip także nie zaprosiłby tam osoby, którą znał parę chwil; na taki przywilej trzeba było zasłużyć.

- Zupełnie niemożliwe. - Jacek usłyszał grzeczną odmowę, ale zbytnio się nie zmartwił. Ważne, że w końcu dostał się do tego domu. Z całą resztą już sobie poradzi, nie takie rzeczy się robiło...

- Jasne, tak pytałem. Wszystko przesmaczne, dziękuję - powiedział prosto z serca i wstał energicznie od stołu.

- Czy mogę na chwilę zniknąć w łazience?

Na podstawie wcześniejszej obserwacji wiedział, że pracownia jest na końcu korytarza, który skręcał za schodami. Miał tylko nadzieję, że drzwi będą otwarte. Wolał nie ryzykować działania wytrychem, bo w tym się nie specjalizował, choć naturalnie i to potrafił. Znał takich, którzy potrzebowali dosłownie kilku sekund i zamek puszczał, on jednak musiał się trochę nagimnastykować. Nie miał, jak to się mówi, wyczucia.

Na szczęście pracownia nie była zamknięta. Wyciągnął z kieszeni to, z czym tu przyszedł, i zabrał się do pracy. Uporał się ze wszystkim w parę minut, teraz jeszcze potrzebował znaleźć się w sypialni państwa domu, a zupełnie nie wiedział, gdzie jej szukać. Zamknął za sobą bezszelestnie drzwi i skamieniał.

Na wprost niego siedział pies.

Machał wesoło ogonem i przyglądał mu się z uśmiechem wymalowanym na swoim psim pysku. Jacek pomyślał, że uśmiech jest zwodniczy i że ta włochata bestia doskonale orientuje się w jego zamiarach, po czym spróbował się poruszyć. Bestia zahauczała - trudno nazwać ten dziwaczny dźwięk szczekaniem. Oczywiście, potwora usłyszała jego pani.

- Pilot! Chodź tutaj, piesku!

Piesek pokiwał łbem, jakby zapowiadał, że to nie ostatnie ich spotkanie, po czym pobiegł do kuchni. Jacek otarł pot z czoła i ruszył w tym samym kierunku. W progu zmienił nerwowy krok na ruchy leniwe, tudzież nonszalanckie, choć w duchu szalał ze zdenerwowania. Diabli nadali tu tego psa, mógł wszystko popsuć. Chwila... Czy psy lubią ciasteczka?

- Już jestem! - zameldował. - Zwarty i gotowy. I zamieniam się w słuch - powiedział do Joli. Zgodnie z obietnicą, powinna mu powiedzieć, czego, do licha, chciała dzisiaj od Cycka.

Jola potoczyła wzrokiem po kuchni.

- To siadaj, chyba nie będziesz tak nade mną zipał? - powiedziała do Jacka, który oddychał tak, jakby przed chwilą przebiegł setkę. - Ty też siadaj, do mówienia jest mi potrzebny komfort. - Przeniosła spojrzenie na Alunię wycierającą szklanki. - Muszę z kimś pogadać, bo już nie pojmuję. To znaczy

chyba pojmuję, ale nie wiem, czy dobrze i chciałabym się poradzić. I może poprosić o pomoc... - zaplątała się nieco i najpierw opowiedziała o tym, jak odkryła w pracowni Cycka kartkę z podpisami Pracza, a potem streściła dzisiejsze zdarzenia, kiedy to przyłapała Jakimiaka na wkładaniu jakiegoś przedmiotu do bagażnika - pochwaliła się również kradzieżą *Paryskiej tancerki*, której podobno dokonała.

- I co wy o tym wszystkim sądzicie? Czy mnie się wydaje, czy tu jest coś cholerycznie nie w porządku?

Alunia patrzyła na przyjaciółkę w skupieniu, nie komentując nawet słowem. Jacek wypuścił nerwowo powietrze i zaczął się kręcić.

- Słucham, ja się już nagadałam. Co tak milczycie? Jacek, może ty się odezwiesz, bo jeszcze niedawno wycofałeś się ze znikających obrazów. Może dzisiaj powiesz mi prawdę?

Jacek zdążył się uspokoić. Mógł sobie pogratulować w duchu, że jednak miał co do Wąsa i Cycka rację. Śmierdzieli. I zaczęli działać, tego był stuprocentowo pewien. Powiedzieć prawdę...

- Hmm... - Podrapał się po nosie. Z Jolą zamierzał być szczery, oczywiście na tyle, na ile mógł. - Wycofałem się, bo wyskoczyłem z tą informacją, a dopiero cię poznałem. Skąd miałem wiedzieć, że nie trzymasz z...

- Nie trzymam. Więc? O co chodzi ze znikającymi z naszej firmy obrazami?

- Od jakiegoś czasu chodzą słuchy - do Jacka dotarł sens powiedzenia „Przyprzeć kogoś do muru” - że Wąs robi jakieś przekrety. Nie mam bladego pojęcia jakie. Tak usłyszałem, odtwarzam jak płyta. I że lepiej nie dawać mu w komis obrazów. Znikają albo coś tam się z nimi dzieje...

- Co się dzieje? - Jola nie dawała za wygraną. Niewiele z tego, co mówił Jacek, rozumiała, chociaż faktycznie, ostatnimi czasy jakby coraz mniej ludzi korzystało z usług ich domu aukcyjnego.

- Konkretnie nic nie wiem, więc nie chcę siać zamętu. Wydedukowałem z tych plotek jedno, to samo, co ty. Coś się dzieje. I tyle...

Jola westchnęła.

- Rzeczywiście, za dużo się od ciebie nie dowiedziałam. Trudno. - Nie zamierzała bynajmniej rozpaczać, ale zabrać się do pracy. - Przeanalizujmy to, co mamy, może sytuacja się rozjaśni.

- Chcecie kawki? - poderwała się Alunia. Ona już się pogubiła. Poza tym, tyle się w życiu nasłuchała od Filipa o obrazach i innych takich, że rozmowa bynajmniej jej nie wciągnęła. Ze wszystkiego, co powiedziała Jola, zrozumiała jedno - do domu aukcyjnego ktoś przyniósł Pracza (nawet nie zapamiętała tytułu obrazu) i wokół niego całe to zamieszanie. Nie chce być nieuprzejma i jeśli tylko nasuną się jej jakieś sensowne wnioski, włączy się w konwersację, owszem, ale teraz woli się zająć kawą i podumać nad aktualnie czytaną książką.

- Bardzo chętnie - podziękował Jacek. - Czyli Cycek coś chował?

- Możesz mnie zabić... Chował! - Jola podniosła palce w geście przysięgi. - I możesz mnie zabić jeszcze raz, bo ja czuję, że to był Prac.

- Prac... - Jacek się zamyślił.

- W każdym razie na pewno nie cement, inaczej Cycek by mnie tym bagażnikiem tak w oczy nie kłuł.

- Zapewne...

- Co za polot, w ogóle! - Jola nie potrafiła się nadziwić. - Już sobie ten cement mogli darować, chyba że naprawdę mają mnie za kompletną idiotkę.

- Zapewne...

- I nieprzypadkowo zostałam złodziejką paryskiej damulki. Zatkali mi paszczę! Gdybym poleciała na policję... Co zapewne? - zreflektowała się naraz. - Że jestem idiotką?!

- Że biorą cię za nią - automatycznie sprostował Jacek; też się zachnął. - Ty co, przewrażliwiona? Zaraz powiem, że spódnica ci źle leży i będziesz rozpaczać, że masz za duży tyłek? - Już on wiedział, do czego prowadzą takie rozmowy. Baby! Absolutnie nie zamierzał dobierać słów i analizować sylab. - Jedźmy dalej... Mnie te podpisy Pracza interesują.

Jolę aż wgniotło w krzeselko. Z dreszczyku emocji. Oto siedział przed nią prawdziwy facet, który nie pozwolił sobie w męską kaszę dmuchać. Ustawił ją do pionu i słusznie. Może nie najdelikatniej, ale skutecznie. Że też wypaliła z tą idiotką, chyba naprawdę nią jest. Tylko skąd ta błogość?

- Już mówiłam. Cała kartka w podpisach Pracza. Pytałam Prudła, czy właściciel *Pięknych* nie zlecał Cyckowi jakiejś renowacji, bo te podpisy można na upartego tak tłumaczyć, ale nie. Prudło mówi, że obraz jest w bardzo dobrym stanie.

Jacek właśnie stwierdził, że psy wprost za ciasteczkami przepadają, kiedy Jola wypaliła:

- Po jakiego... psa mu te podpisy?

- Czemu psa?

- Bo cholera zrobiła się banalna. Może być kot albo *lemur catta*, obojętne. Po co Cyckowi te podpisy?!

- Poczekaj, bo ja po tej. zoologii muszę dojść do siebie... Czasem mnie ogłuszasz. Chce podrobić Pracza? - spytał i wepchnął kolejne ciasteczko do wilgotnego pyska Pilota, przekonując się przy okazji, że psisko posiada zęby jak szpikulce.

Jola prawdziwie się rozradowała.

- Też tak myślisz?

- Nie wiem. Zamiast myśleć, najchętniej bym zajrzał na górę do Cycka i sprawdził co i jak.

Niesamowite! Dokładnie taka ewentualność chodziła Joli po głowie od popołudnia.

Tylko że Jacek nie wiedział, w jaki sposób zamierzała dostać się do pracowni Jakimiaka. Bo zamierzała, i to jeszcze dzisiaj.

- A gdybyśmy tak... - zaczęła, ale Jacek dokończył za nią:

- ... weszli tam sobie na przykład dziś w nocy? Bez niczyjej wiedzy.

W sercu Joli fajerwerki eksplodowały kolorowym światłem. Czyżby porozumienie dusz, które znała do tej pory jedynie ze słyszenia?

Jacek tymczasem powiedział na głos to, nad czym myślał od czasu niefortunnej wyprawy po ekspertyzę do Częstochowy. Musiał jak najszybciej zamknąć sprawę. GPS nosił ze sobą już na stałe, ale miał złe przeczucia. Najpierw Cycek zapragnął osobiście odebrać świstek od pani Praczonej, teraz znowu najwyraźniej coś kombinował, a w tym przypadku Jacek dziwnie podzielał niepokój Joli. Coś się działo i nie wiadomo, czy już czegoś nie przegapił.

Daruje sobie podsłuch w sypialni, pracownia Filipa jest ważniejsza. Zresztą nie podejrzewał, żeby Alunia była w zмовie z mężem. Poznał ją lepiej i nabierał przekonania, że o niczym nie miała pojęcia. Wszystkie najważniejsze rozmowy i spotkania musiały więc odbywać się w pracowni, a to już ułatwił. Przed chwilą przykleił także pewien drobiazg pod blatem kuchennego stołu. Tak na wszelki wypadek.

Teraz zapragnął znaleźć się na placu Wolności i sprawdzić, czy Prac jest na swoim miejscu.

Alunia nie wyraziła zdziwienia, kiedy Jola z Jackiem nabrali nagle ochoty na romantyczny spacer - też chętnie by się przeszła, gdyby Filip wrócił i mógł jej towarzyszyć. W czwórkę różnie, bez niego czułaby się jak piąte koło u wozu.

Lepiej nie.

Została sama. Pokręciła się trochę po kuchni, zaparzyła herbatę senesową w swoim ulubionym kubku w pszczołki, a potem nie mogła się oprzeć pokusie i jeszcze raz otworzyła różowe pudełko, które otrzymała dziś od Joli - wyjęła z niego małą buteleczkę w kształcie szklanej kuli i zaniósła do łazienki. Zamierzała się zrelaksować w wannie w ciepłej wodzie z dodatkiem płynu „Kofeina i mentol”.

- Pilot, będziemy się... wykobiecać, jak mówi Jola. Gotowy? Twoja pani od dzisiaj będzie pięknie pachnieć. A od jutra, piesku, jogging na Trzech Stawach. Ty i ja. Codziennie!

Kąpiel była gotowa i Alunia już miała się zanurzać w miętowej pianie, kiedy w pokoju rozległ się dzwonek telefonu. Dźwięk bardzo nieprzyjemny. Nie lubiła telefonów po dwudziestej drugiej. Brak kultury, ot co.

- Cześć, szwagrowka. - W słuchawce usłyszała mało sympatyczny głos żony brata Filipa i poczuła, że dostaje wysypki. Drobnej, czerwonej i swędzącej. Czego Aśka o tej porze mogła chcieć? Towarzyskiej pogawędki? A... może udać, że telefon się popsuł i ona niczego, ale to absolutnie niczego, nie słyszy?

- Jest Fil?

Alunia nie przepadała za swoją szwagierką, z czym bardzo źle się czuła. Nie lubiła kogoś nie lubić, moralnie nakazywała sobie wręcz kochać bliźnich, dlatego unikała kontaktów z Aśką, w której

raził ją brak ogłady i delikatności. Z tego powodu dostawała wręcz torsji, kiedy musiała jechać z Filipem na drugi koniec Polski i składać wizytę jego rodzinie.

- FILIP - zaakcentowała, starając się jednak nie okazać niechęci (nienawidziła, kiedy szwagierka w ten sposób zwracała się do jej męża) - jest poza domem.

- Poza domem? Hi... hi... - Aśka miała z kolei brzydki zwyczaj dosłownego ujawniania swoich, w mniemaniu Aluni niezbyt skomplikowanych, odczuć.

- Filip pracuje - wyjaśniła z godnością.

- Hi... hi... Jasne, jasne. A wiesz, że ja też pracuję? - głos szwagierki zabrzmiał nagle normalnie, bez zgrzytających w nim dotąd obleśnych treści.

- Naprawdę? - zainteresowała się uprzejmie Alunia, nie przestając się zastanawiać, czy woda w wannie będzie za chwilę zimna, lodowata czy lodowato zimna. - A gdzie?

- W gastronomii.

- W jakiejś restauracji?

Aśce jakoś nie chciało przejść przez gardło w rozmowie ze swoją przemądrzałą szwagierką ze Śląska, że gastronomia oznacza w rzeczywistości bar przy trasie na Szczecin, więc zaczęła opowiadać, co zdarzyło się jej w pracy już pierwszego dnia.

- Mamy w Szczecinie takiego gościa. Mówią, że mafiozo. Wiesz, dziany jak diabli. Ma nawet pałacyk nad jeziorem, a oprócz tego...

- Rozumiem... Dziany... - przerwała jej Alunia, która już zaczynała tracić cierpliwość, co nie zdarzało się jej często. W dodatku nie znosiła użytego właśnie przez szwagierkę słowa. Nie lepiej powiedzieć majątny albo bogaty? Dziany - co to jest?

- Iiiii, wyobraź sobie, ja mu dzisiaj podawałam pomidorową... Załatwiał ciemne interesy z jakimś facetem. Ale dziwnie, bo pisali!!!

- Jak to pisali?

- Nooo, pisali na kartce, zamiast rozmawiać... Ja się tam przy nich trochę kręciłam...

Dla Ali sprawa stała się jasna. Już widziała, jak to kręcenie się musiało wyglądać. Pewnie Aśka o mało nie weszła na swoich klientów, nie mówiąc już o uszach, które musiały jej chodzić jak wielkie obrotowe radary. Nic dziwnego, że faceci wzięli się na sposób.

- Ja i tak mam tę kartkę! - z triumfem oświadczyła szwagierka. - Wyrzucili do... Nieważne, wyrzucili. Same bzdury. Rok zapamiętałam... tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty pierwszy, tak jak Solidarność, strajki. Może oni coś w polityce chcą powykrecać? Jak myślisz? Ja sobie tę karteczkę zostawię.

Do centrum podjechali samochodem Jacka, który wolał na wszelki wypadek zaparkować na Sokolskiej, pod Grzesznikami. Stamtąd poszli spacerkiem na plac Wolności i po drodze uzgodnili szczegóły akcji.

- To dlatego kazałaś mi nie przywdziewać fraka? - zapytał, usłyszawszy, że Jola zostawiła w oknie łazienki kawałek złożonej kartki papieru.

- Nie przeszkadza ci, że dokonamy małego włamanka? - przekornie odpowiedziała pytaniem na pytanie i zachichotała. Czowała się wyśmienicie. Szła sobie z długowłosym mężczyzną przez uśpione miasto, a wokoło unosiło się coś niesamowicie ekscytującego.

Jacek zerknął na dziewczynę, która kroczyła z nim zgodnie ramię w ramię, i też poczuł się szampańsko - zupełnie jak szczeniak na pierwszej randce. Na krótką chwilę zapomniał o Wąsie, Cycku i znikających w nieprzeniknionej dali obrazach Pracza.

Do cholery z nimi!

Był po prostu szczęśliwy!!!

A gdyby tak pobiec przez ten plac?...

Złapać Jolę za rękę i pobiec?

- A przez kibelek do pokoju Wąsa, on tam trzyma zapasowe klucze. - Jola pierwsza popsowała nastrój. Bo czy jej kolega z pracy, po którego obliczu błąkał się najwyraźniej sceptyczny uśmiezek, może się cieszyć z tej wspólnej wyprawy tak jak ona?

Nie ma się co łudzić.

W jego życiu panowała niepodzielnie Katarzyna Pierwsza, Dama z Pajęczyną na Łbie. I tyle, bez żadnych tam jakichś bezperspektywicznych rojeń na przyszłość. Koleżeństwo i już.

Czas się ogarnąć!!!

- Pokój Wąsa... - Jacek też doszedł do podobnych wniosków, tyle że niejako odwrotnie proporcjonalnych. Owszem, wobec Kaśki czuł pewne zobowiązania, ale ostatnio ona sama jakby ich sobie nie życzyła. Odkąd przeprowadził się do Katowic, nieustannie była zajęta, a narzucać się nie zamierzał.

Poza tym, czy u takiej dziewczyny jak Jolka mógłby mieć w ogóle jakiegokolwiek szanse?

- Co: pokój Wąsa? - Jola bezskutecznie czekała na ciąg dalszy. Jacek nad czymś się zamyślił i najwyraźniej zepsuł mu się od tego myślenia humor.

- Pokój Wąsa będzie otwarty?

- A po co miałby go zamykać? - Wzruszyła ramionami.

- Tylko Cycek zamyka swoją pracownię przed całym światem.

- To świetnie. W biurze jest jakiś zakamuflowany alarm? Bo nie widziałem, ale nie zawsze musi być wszystko widać.

- Wąs jest skąpy, szkoda mu. Podobno jego ojciec zatrudniał ochronę i tak dalej, ale Wąs... Możemy się nie martwić. Jedyne system alarmowy to pani Hela.

Do domu aukcyjnego dostali się bez żadnych komplikacji - okno w łazience wystarczyło lekko popchnąć, żeby bez trudu ustąpiło. Pokój Wąsa również zastali, tak jak Jola mówiła, otwarty na oścież.



Poświecili latarką, żeby znaleźć za oszkloną tablicą klucze i po ciemku przemknęli schodami na górę. Po chwili już otwierali pracownię.

- Poczekaj, ja wiem, gdzie dali *Pięknych*. W magazynie... Ale może najpierw poszukamy kartki z podpisami? - Jola objęła kierownictwo. Podeszła do stołu, gdzie na portrecie młodej kobiety powinna leżeć książka. Niestety, stosy obrazów, które widziała tu ostatnio poukładane pod gazetami, zniknęły. Za to kanapka przechodziła kolejną fazę metamorfozy - oblekła się w szare futerko włochatej pleśni.

- Ale śmierdzi! Jacuś, nie ma. Chyba dupa blada, za przeproszeniem, z tą kartką.

- Nie krępuj się.

- Z dupą bladą?

- Z dupą.

- To fajnie, ulżyło mi... Bardzo lubię z tobą tak szeptać. Dupa blada... - zachichotała, przeszukując okolice stołu.

Jacek czekał, służąc uprzejmie światłem latarki. Jemu też było miło. Znajdywał się już nielegalnie w życiu w różnych dziwnych miejscach, ale ten wypad należał do... jakby to określić... do najbardziej emocjonujących. Sam na sam, nocą, ze wspaniałą kobietą, która posiadała podobne do niego poczucie humoru. Z nutką dystansu i szaleństwa na dodatek.

- Nie ma francy. Przepadła - zakomunikowała ostatecznie Jola.

- Trudno, sprawdźmy teraz Pracza. On mnie bardziej męczy. Poczekaj... Co to? - Przypadkowo skierował światło latarki na przeciwległą ścianę, gdzie wisiała przyczepiona do lustra jakaś fotografia.

Podeszli bliżej.

Zdjęcie rozmiarów papieru kancelaryjnego przedstawiało obraz, na którym widniała wychudła kobieta z dwójką dzieci. W tym świetle ich twarze patrzyły jeszcze bardziej przejmująco i smutno.

- W innych okolicznościach powiedziałabym, żebyś mnie uszczypnął, ale teraz zabrzmiałoby to dwuznacznie. Po co Cyckowi zdjęcie *Bidy z nędzą*? I to takie bycze...

Jacek też się nad tym zastanowił, ale uznał, że jeszcze będą mieli czas na podobne rozmyślenia. Teraz wołał się skoncentrować na czym innym.

- Później pogadamy, chodźmy do magazynu.

W pomieszczeniu obok mogli włączyć światło, więc już nie musieli używać latarki.

Zaledwie w pokoju zrobiło się jasno, stanęli jak wryci. Z półek, jeszcze niedawno wypełnionych obrazami, ziało pustką.

- Ożeż w mordę... - słabo zaklął Jacek, który co prawda nigdy w magazynie nie był, ale domyślił się biegu wypadków. W ciągu paru sekund wyzwiał się w duchu od palantów, imbecyli i łazidupków. A tak mu chodziło po głowie, że coś się z tym obrazem nie uda. Zamiast czekać na kolejną okazję, mógł tu zajrzeć już w środę w nocy, kiedy Cycek przywiózł obraz z Częstochowy. Po całym dniu Jakimiak odbierał go od Prudła i zamykał pod klucz.

Na co on, do parszywej cholery, czekał?!

- Smurwa mać!!! - Jola też nie zmilczała, czym udało się jej wprawić Jacka w lekkie osłupienie. Obrazów nie ma. Jak kamfora nie wyparowały. Ktoś im pomógł, bez dwóch zdań. Ale tak plu-gawe słowo w ustach kogoś, kogo podejrzewał o klasę? Czy on się przesłyszał?

- Że co?

Jola dopiero teraz uzmysłowiła sobie, co wyrzekły jej piękne usta.

- Smurwa mać - powtórzyła z nieskrywaną przyjemnością. - Filip twierdzi, że u nich w domu nie można rzucać mięsem. Ma być Francja-elegancja. Szyk i styl... Więc musiałam się dostosować. Wymyśliłam, jak prasowałam przy *Smurfach*. Czasem nie mogę żyć bez ekspresji. Urocze, prawda?

Właściwie rozmowa z Jackiem wcale Joli nie zadowoliła. Posiedzieli jeszcze chwilę w samochodzie, ale żadne mecyje z tego nie wynikły. Nadal pozostawało zagadką, po co Cycek ćwiczył podpis Pracza i co się stało z *Pięknymi*, jak również ze wszystkimi innymi obrazami. Przecież Cycek nie zdołałby ich pomieścić w bagażniku... A może wywoził je już od zeszłej środy, kiedy ostatni raz odwiedziła magazyn? W każdym razie postanowili mieć Cycka i Wąsa na oku i czekać na dalszy rozwój wydarzeń. Zwłaszcza słowo czekać napełniło Jolę odrazą, ale w tej chwili już miała dosyć. Jedyne, o czym marzyła, to zimne mleko i ciepłutkie łóżko. Strasznie się zrobiło późno...

Pożegnała Jacka i weszła do domu - od razu pomaszerowała do kuchni, licząc w myślach dni miesiąca. Zważywszy, że przed paroma minutami minęła godzina dwudziesta czwarta, właśnie rozpoczął się nowy dzień.

Pierwszy kwietnia...

W chwilę po niej do kuchni przyczłapał zaspany Filip, którego nieco suszyło po dzisiejszym, a raczej po wczorajszym, spotkaniu biznesowym.

Jola nie wiedziała, co w nią wstąpiło.

Lubiła Filipa, ale jednocześnie odczuwała przy nim jakąś dziwną permanentną agresję, chociaż malarzyna nigdy jej nie zaczepiał. Wystarczyło jednak, że zaczepiał Alunię. I mimo że ostatnimi czasy bardziej się starał, Joli przyćmiło umysł. Być może miała na to wpływ późna pora tudzież ilość adrenaliny, która po burzliwych wydarzeniach w domu aukcyjnym oklapła do poziomu anemicznego i mdłego.

- Filipku, ja wszystko wiem - wyszeptała mu teatralnie do ucha. - Fałszujesz obraz Pracza *Piękni 1981*. Ale nie martw się, ja cię nie zdradzę...

Filipowi w nanosekundzie przeszło otumanienie alkoholowe. Zelektryzowany usłyszana wieścią stanął przy stole i ledwie uniknął upadku. W ostatniej chwili przytrzymał się blatu i osunął na krzesło.

- Prima aprilis! Nie wierz, bo się pomylisz!!! Ale się załaleś... - Jola dodała na zakończenie, łupnęła Filipa po przyjacielsku w plecy i zostawiła artystę zdruzgotanego nad szklaneczką mleka, którą mu w swojej łaskawości podała.

Następnego dnia Jola wzięła na spytki panią Helę i adres okazał się właściwy - dowiedziała się, że Cycek przeniósł gdzieś obrazy, gdyż w pracowni pojawił się grzyb.

- Chyba wyskoczył z jego zbutwiałej kanapki. - Jola nie mogła sobie darować ironii. - A gdzie ten nowy magazyn?

- A bo to się człowiek czego od Jakimiaka dowie... - poskarżyła się pani Hela. - Gburzysko takie, że bez kija nie podchodź. A capi tak, że tylko go do zoo dać, ze skunksem by za duet robili.

- Ale czy to w ogóle tu, w obrębie budynku? - dopytywała się, ignorując rewelacje natury higieniczno-osobistej, jakimi raczyła ją szatniarka.

- Wywozili wszystko wczoraj po pracy. Do dwudziestej tu siedziałam! Pani Joleczko, niech pani sama spyta, ja tam nic nie wiem.

Jola dałaby się pokroić, że przeprowadzka obrazów miała związek z wczorajszym incydentem na podwórku. Zaczęła Cyckowi zagrażać - już wcześniej Jakimiak zastawał ją w swojej pracowni i bał się, że w obecnej sytuacji tym bardziej będzie się do niej pchała.

Podobnie myślał Jacek, ale za dużo im z tego myślenia nie przyszło. Z działania również - Jacek postanowił przykleić się do Cycka i trafić za nim do magazynu, ale i to się nie powiodło. Przez cały kwiecień Cycek nie wybrał się w żadne miejsce, które można by uznać za nowy skład. Jola też zaczęła mieć przeraźliwie mało czasu. Najpierw wyskoczyły święta wielkanocne, na które pojechała do rodziców, do Zielonej Góry, a w maju wynikła sprawa z Przesmyckim, który powierzył

Wąsowi sprzedać swoją kolekcję. Nieoczekiwanie kopnął ją także zaszczyt awansu. Wąs podniósł jej znacznie pensję i przedstawił dodatkowe obowiązki - miała pozyskiwać malarzy do podpisywania kontraktów. W efekcie ani się obejrzała, a skończył się maj. W czerwcu pełną parą ruszyły przygotowania do lipcowej aukcji, oczywiście to ona kierowała urzędowaniem galerii (obrazy należało wystawić na miesiąc przed sprzedażą, żeby ewentualni kupcy mogli im się przyjrzeć). Z drżeniem w sercu znowu powitała *Pięknych 1981*, o których los tak się obawiała. Jacek też odetchnął i pierwszy tydzień ekspozycji spędził przed obrazem, aż Cycek się wściekł i go przegonił.

W domu u Aluni też wiele się działo.

Jola po powrocie z Zielonej Góry zaczęła coś przebąkiwać o poszukiwaniu mieszkania, ale Ala nawet nie chciała o tym słyszeć. Z Jolą mieszkało się wyśmienicie. Dzięki jej towarzystwu nie zgłupiała, kiedy Filip zamknął się w kwietniu w pracowni prawie na cały miesiąc. Raz tylko wychylił się stamtąd na dłużej, kiedy Pilot jakimś cudem przeniknął do jaskini artystycznego dumania i wyżarł resztkę bieli cynkowej. Ale się rozpętała awantura!!! Bo akurat tego odcienia nie było w sprzedaży i Filip musiał dokończyć obraz bielą tytanową pomieszaną z ochrą. Pilot został ekskomunikowany i od-tąd przebywał całe dni na podwórku. Dobrze, że Jola akurat wtedy pojechała do rodziców, inaczej by się nasłuchiwała... Po jej przyjeździe Ala zaproponowała, żeby oficjalnie uregulować sytuację mieszkaniową i podsunęła zaskoczony koleżance umowę wynajmu lokalu. Jola miałaby uiszczać tylko opłaty

związane z eksploatacją pokoju, co ją ogromnie ucieszyło, bo i ona czuła się u Aluni doskonale. Tym bardziej że po kwietniowym maratonie Filip wyjechał ze studentami na cały czerwiec na plener i mogły robić, co chciały.

Alunia, pozostawiona na miesiąc tylko do dyspozycji Joli, bardzo się zmieniła. Dała się w końcu namówić na rzetelne letnie zakupy, na które ze spokojnym sercem sobie pozwalała, gdyż małżonek otrzymał za kwietniowe zlecenie sowitą zapłatę. Jej szafa w końcu zaczęła przypominać garderobę prawdziwej kobiety - pojawiły się w niej bluzeczki z dekoltem, zwiewne sukienki, a nawet spodnie. Tak, spodnie! Alunia była bowiem osobą bardzo systematyczną. Jeśli już coś zaczęła, to kończyła. Codzienne bieganie po miesiącu zaczęło jej sprawiać niekłamaną przyjemność i nie musiała się do niego zmuszać, a w czerwcu mogła już sobie pozwolić na cudowne białe spodnie. Dzień, w którym stanęła w nich przed lustrem, był dniem triumfu. Oto patrzyła na całkiem odmienioną osobę. Młodą, szczupłą, opaloną - bo w czerwcu zaczęły się truskawki i każdą wolną chwilę po pracy spędzały z Jolą w ogródku na zbieraniu, a tam smagało je słońce. Oczywiście to Jola wpadła na pomysł, żeby wskoczyć w kostiumy kąpielowe, co już po tygodniu przyniosło efekty w postaci wspaniale brązowej skóry.

- Jak cię Filip zobaczy, to się przekreśli z wrażenia - zapewniła Jola, a Alunia pomyślała, że nie miałyby nic przeciwko temu. W nowym wydaniu czuła się fantastycznie, choć jeszcze nie zdążyła się przekonać do wszystkich ciuchów, na które została namówiona. A już na przykład pewna czerwona sukienka...

- O której wraca ten twój ślubny? Zdążymy z truskawkami?

Filip zapowiedział telefonicznie swój powrót z pleneru na kolację, ale było oczywiste, że na punktualność z jego strony nie ma co liczyć. Spokojnie mogły iść do ogrodu i zająć się grządkami pełnymi połyskujących w zachodzącym słońcu owoców.

- Zdążyłybyśmy nawet upiec chleb...

Kiedy zebrały całą grządkę, rozległ się dzwonek. Alunia pobiegła od furtki, ale po chwili wróciła rozczarowana, prowadząc Jacka, który przedstawiał swoją osobą widok żaloszny. Nie na tyle jednak, żeby zmarnowanie, bijące od niego obficie, przeszkodziło mu w stwierdzeniu, że Jola prezentuje się w stroju bikini nad wyraz apetycznie.

- Zostałem puszczony w trąbę... W swoje własne urodziny! - rzucił na powitanie i usiadł w wiklinowym fotelu.

Byłoby kłamstwem, gdyby Jola powiedziała, że obwieszczona nowina napełniła ją smutkiem - zwłaszcza ta o puszczaniu w trąbę - ale zaraz pożałowała kolegi. Nawet nie związał włosów, co jeszcze mu się nie zdarzyło. Zamiast pozwolić, żeby Jacek wypłakał się na jej w półobnażonej piersi, Jola wołała sobie jednak popatrzeć. Ach...

- My cię chętnie wysłuchamy - zapewniła gorliwie, bo słuchanie nie przeszkadzało przecież w rozkoszowaniu się widokiem mężczyzny spowitego w opadające mu na ramiona złote fale. A niech to!

Ramiona też prezentowały się całkiem, całkiem. Ciekawe, jakim sposobem Jacek dorobił się takich mięśni. Machając pędzlem w muzeum we Wrocławiu? A może żarł jakieś białkowe paskudztwa i pakował na siłowni?

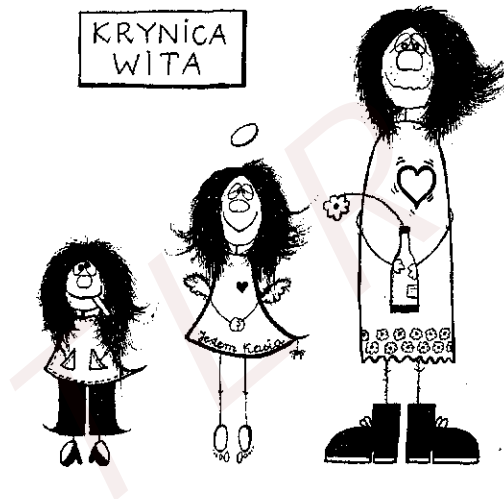
- Co wam będę dupę zawracał... O, przepraszam - zreflektował się, zerkając niepewnie na Alunię.

- Możesz zawracać, nie krępuj się. - Jola wpakowała sobie do ust dorodną truskawkę. - Co ta twoja Kaśka wymyśliła? Bo chyba o nią chodzi?

- Pojechała do Krynicy.

- Bardzo malownicze miasteczko.

- Pojechała do Krynicy z koleżankami - dopowiedział Jacek, a ostatnie słowo zabrzmiało, jakby miał na myśli wijące się robaki.



Tego akurat Jola za bardzo nie pojmowała. Co to, bez męskiej asysty nie można się już nigdzie ruszyć?! A może Kaśka powinna warować na smyczy przy budzie? Chyba Jacek nie należy do tak ograniczonych umysłowo typków... Owszem, za Katarzyną Pierwszą nie przepadała, łyżkami by jej nie jadła, ale bez przesady!!! Praw kobiet należy bronić!

- A ogłosili jakiś zakaz? Chyba trzeba się cieszyć, że nie poszła w tany z kolegami.

Jacek zagryzł wargi.

- Zakazu nie ma, ale pożądane są chęci. Bycia razem, spędzania wspólnie czasu. A ona wołała wyjechać z koleżankami. Z koleżankami! Nie ze mną, chociaż mogła wybierać, bo ją zaprosiłem. Dzisiaj nawet nie zadzwoniła z życzeniami. Nie żebym się domagał, ale liczy się pamięć... I na dodatek nie mam telewizora, a dzisiaj Polska gra z Kostaryką - dodał na zakończenie głosem jeszcze bardziej ponurym. - Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej. Historyczny mecz!

Jola porozumiała się wzrokiem z Alunią i już po chwili spiskowały w kuchni, dokąd wybrały się w celu zrobienia herbaty. Trzeba by Jackowi jakoś te urodziny odpaskudzić.

- Ty z nim pogawędzisz, a ja polecę do sklepu po szampana - zarządziła konspiracyjnie. - Odśpiewamy *Sto lat* i będzie dobrze. Potem puścimy piłkę i się poświęcimy, też pooglądamy... Nie złożyła mu życzeń, pojmujesz? Niech dziewczę wyjeżdża, krzyżek na drogę, niech się tam tarza w damskim towarzystwie i przeży, ale nie złożyć życzeń? Udusiłabym babsko na odległość. Zacisnęłabym rączki na tej jej tępawej szyjce! A potem splunęłabym na nagrobną płytę. Też na odległość, ale by siadło. Gwarantuję!

Wyrzuciwszy z siebie w ten sposób złość, Jola włożyła sukienkę, żeby nie świecić w Społem gołym tyłkiem, i pobiegła po zakupy. Dlatego nie była świadkiem poruszającej sceny, która rozegrała się tuż po jej wyjściu.

Na Pilotów 58 nieoczekiwanie zawitał pan domu...

Spodziewał się zastać swoją małżonkę stęsknioną i witającą go już od progu z oddaniem i radością. Pewnie siedziała w altance, oddając się lekturze ulubionej książki. Postanowił więc zrobić jej niespodziankę. Zamiast otworzyć furtkę kluczem, zadzwonił. Niestety, nie doczekał się odzewu, za to w jego czułe ucho wpadł śmiech. Wesoły, dźwięczny... Zupełnie jakby Alunia zaśmiewała się w towarzystwie mężczyzny! Może dlatego nie usłyszała dzwonka?

Filip rzucił podróżne klamoty pod bramą i pod osłoną żywopłotu zakradł się na tyły domu.

Że też się, jasny szlag, nie pomylił!!!

W jego ogrodzie siedział jakiś skurczybyk...

Siedział i sobie z Alunią gawędził!

Stąd widać było tylko, że palant miał długie włosy!!! To jeszcze bardziej spotęgowało furię Filipa - wielce niepokieszony, pogodził się ostatecznie ze smutnym faktem, że odziedziczył po ojcu skłonność do łysienia.

Wystartował.

Nie wiedział nawet, jak pokonał ogrodzenie. Z tego, co później się zdarzyło, pamiętał tylko jedno - widok swojej żony.

Alunia wyglądała urzekająco i... obco, co bardzo go spłoszyło.

Pośrodku ogrodu stała nie pani Piechowa, ale zjawisko!

I bynajmniej Filipa nie poniosła jego artystyczna wyobraźnia.

Alunia wyszczuplała i nabrała pewności siebie. Miała też nową fryzurę: po wielu dniach spędzonych na słońcu dostrzegła we włosach złote refleksy, co przekonało ją, że powinna się wybrać do fryzjera. Ten jednak nie poprzestał na rozjaśnianiu, ale nie pytając klientki o zgodę, podstrzygł jej włosy tak, że odmłodziła o dobrych kilka lat. Filip nie był zbyt drobiazgowy w rejestrowaniu kobiecych fatalaszków, ale nie mógł nie zauważyć nowego kostiumu kąpielowego - stary Jola osobiście pocięła, gdyż bardziej przypominał strój pletwonurka niż seksowne bikini. Teraz Alunia paradowała po ogro-

dzie w błękitnym cudzie w drobne srebrzyste kwiatuszki, które migotały na pupie przy każdym poruszeniu.

Po pierwszym szoku do Filipa dotarło, że jego małżonka biega przy obcym facecie prawie nago! I jest przeschęśliwa!!!

To dlatego cieszyła się, że wyjeżdża... To dlatego zaczęła używać perfum i malować paznokcie! A niedawno jakiś bęcwał odwiózł ją do domu. Czy to czasem nie ten sam?

- Filipku! Jesteś... - Alunia zdziwiła się gwałtownym wtargnięciem małżonka, który nie wiedzieć czemu wolał przeskoczyć przez płot, niż wybrać tradycyjną drogę powrotu do domu. Rozstroił ją też jego wzrok, wyczytała bowiem z niego rzeczy bardzo wymowne. - Myślałam, że będziesz później...

Filip najchętniej wyciorałby za kłaki faceta, który miał czelność przekroczyć próg jego ogrodu, ale nieoczekiwanie dla samego siebie postanowił być chłodny i wyniosły.

To dla Aluni będzie największą karą.

Niech trawia ją wyrzuty sumienia, niech jej pokretna dusza wije się w mękach!

Nie zwracając uwagi na wesołe paplanie żony (że też straciła to subtelne wyczucie sytuacji, które tak wysoko w niej cenił), Filip przemaszerował bez słowa tuż przed nosem swojej ponętnej połowicy i wszedł do domu. Przez chwilę nie wiedział, co robić. Pakować się? Z godnością zejść ze sceny, tak jak postanowił? Nie zobaczyć krwi, która powinna chlusnąć na obojczyku przycięty przez niego trawnik i zbrukać murawę po wsze czasy, dając przestrozę zdrajcom?

W chwili rozterki zawiesił wzrok na czymś arcymięłym.

Na stosiku kotletów, które Alunia usmażyła na jutrzejszy obiad. Cóż miał czynić? Rzucił się na nie; wręcz czuł, że zatapia zęby w ciele długowłosego herosa, a nie w zwykłych obsmażonych na złoto mielonych.

Na taki mniej więcej układ zdarzeń trafiła wracająca ze sklepu Jola. Jacek tkwił jak sparaliżowany w fotelu, Alunia rozpaczliwie zastanawiała się, czy powinna wejść do jaskini Iwa, czy pozostać na zewnątrz, a Filip pożerał kotlety i słał przez kuchenne okno całej trójce mordercze spojrzenia.

- Idź do tego wariata, wytłumacz mu. - Jola popchnęła przyjaciółkę, kiedy wysłuchała już, co się wydarzyło. Sama też nie zamierzała stać bezczynnie, o nie. Wątpiła, by malarzyna dać się tak łatwo przekonać, chyba że...

Ledwie Alunia zniknęła w tarasowych drzwiach, Jola zbliżyła się do Jacka, który najwyraźniej gotował się do ucieczki. O, nie, nie pozwoli mu wziąć nóg za pas, najpierw trzeba pomóc przyjaciółce!

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin - wyszeptała i po chwili rozplynęła się w najśłodszym na świecie pocałunku.

Filip, niestety, nie zobaczył odegranej na jego cześć sceny, ponieważ musiał zająć się wchodzącą do kuchni małżonką. Swoją pogardę dla jej nędznego zachowania zawarł w jednym wycudzonym właśnie słowie:

- Łajdaczka!!!

Alunia nie wiedziała, co wstrząsnęło nią bardziej. Wściekłość, że pod kilkoma kłapnięciami paszczyki jej męża znikł obiad na jutrzejszy dzień, nad którym spędziła pół popołudnia w żarze bijącym z patelni, czy dotkliwe poczucie krzywdy wywołane rzuconym niesprawiedliwie wyzwiskiem.

Co więcej - postanowiła tego absolutnie nie analizować.

Już się przy Filipie naanalizowała i nafreudowała.

I koniec z tym!!!

Wcale nie oczekiwała, że małżonek się zreflektuje i palnie w swój głupi czerep, ale żeby po tak ohydnie rzuconej potwarzy zwyczajnie wynieść się z miną obrażonego księcia do pracowni?

Tego już zdecydowanie, ale to zdecydowanie za wiele!

To ona, wierna żona, żeby nie powiedzieć kuchta domowa, zawsze grzecznie siedzi w domu i o ten dom dba, a on do niej takie słowa?

Jola pożegnała Jacka z wielką niechęcią, gdyż nie czuła się zbyt pewnie po pocałunku, który w założeniu miał być aktorskim popisem, a stał się czymś zupełnie niekontrolowanym i... niepokojąco przyjemnym. W domu powinna na nią czekać wdzięczna za rozwiązanie sprawy Alunia, ale po wejściu do kuchni Jola szybko zorientowała się, że sprawy nie przebiegły pomyślnie.

- Widział nas? - zapytała zaciekawiona, a ponieważ przyjaciółka nawet na nią nie spojrzała, ponownie spróbowała zwrócić na siebie jej uwagę: - Alicja?

- Czy ty możesz mnie pomalować i odstrzelić tak, że... że...

- Że wcięcie, wygięcie i rozpusta? - Jola w lot pojęła.

- Dokładnie tak. Potrafisz? Tak żebym wyglądała na... łajdaczkę?

- Na łajdaczkę?! Potrafię, ale po co ci to?

- Bo nadszedł czas! - zakomunikowała z mocą Alunia.

Równo po godzinie pani Piechowa stanęła w przedpokoju, żeby założyć buty. Joli, która przecież pomagała jej przejść wszystkie etapy metamorfozy, poczynając od zrobienia makijażu i fryzury po dobór biżuterii do czerwonej sukienki, aż zaparło z wrażenia dech. Co zaparło na widok żony Filipowi, który wynurzył się z pracowni w poszukiwaniu pożywienia, trudno powiedzieć. Jego całkowite zaskoczenie sprawiło, że Aluni po raz pierwszy w życiu dane było zrozumieć znaczenie wyrażenia „złośliwa satysfakcja”. A nawet „bardzo złośliwa satysfakcja”.

- Gdzieś się wybierasz? - Filip przemówił ze ściśniętym gardłem, zapominając, że miał być chłodny i zimny jak gład.

- Owszem. Wybieram się.

- A można wiedzieć gdzie?

- Można. - Alunia nawet samą siebie zaskoczyła opanowaniem. - Idę się, oczywiście, łajdaczyć... Łaj-da-czyć!



Gdyby Alunia w pełni rozumiała znaczenie artykułowanego słowa, może wypadki przybrałyby inny obrót. Jednak niedoszła pani pedagog obracała się w świecie opartym na prastarych zasadach moralnych. Seksualne ekscesy stanowczo odpadały. Co innego kieliszek dobrego wina. A że buty zakupione wspólnie z Jolą okazały się równie śliczne, jak niewygodne, lampkę boskiego trunku mogła wypić nie w lokalu nad wyraz eleganckim, gdyż w zasięgu jej obolałych nóg znalazł się jedynie bar, może nie czwartej kategorii, ale taki, gdzie o jakichkolwiek luksusach nie było w ogóle mowy.

Jej wejście do przybytku skwaśniałego piwa okraśliły męskie oklaski, ale z powodu otartych stóp Alunia nie poszłaby nigdzie indziej, nawet gdyby stado podpitych kibiców (właśnie leciał mecz) rzuciło się na nią z zamiarem dokonania czynów lubieżnych. Na szczęście nikt się na nią nie rzucił. Mężczyźni bowiem doskonale wyczuwają, z jakim rodzajem kobiety mają do czynienia.

W Aluni wyczuli damę.

Poza tym żaden facet w Polsce nie myślał w tej chwili o czynach lubieżnych, ale o wygranej swojego kraju.

Dama, jako jedyna przedstawicielka płci pięknej w lokalu, została zaproszona do stolika, przy którym najbardziej wrzeszczano, ale też godnie ją przyjęto i zafundowano całą butelkę białego wina marki Fresco. Przy trzecim kieliszku Alunia знаła już wszystkich przy stole, po szóstym - wszystkich bywalców baru U Zbysia, łącznie z samym Zbysiem, który przez połowę meczu usilnie tłumaczył jej, na czym polega rzut karny.

Alunia odśpiewała koło północy polski hymn, dostała czkawki i stwierdziła, że chyba już na dzisiaj dosyć się nałajdaczyła. Na pożegnanie otrzymała od któregoś z panów biało-czerwoną flagę, na której jej nowi koledzy ochoczo złożyli podpisy (rzecz jasna ci, którzy potrafili jeszcze koordynować ruchy kończyn górnych). Ali szczególnie spodobała się jedna z dedykacji:

*Ruwnej i słotkiej Alicji jej fan Teodor*

W zasadzie nawet nie pamiętała, który z zawianych panów nosił to wdzięczne imię, ale co z tego? Dzierżąc w jednej ręce flagę, a w drugiej buty, wróciła w szampańskim nastroju do domu. Nawet nie zauważyła, że zszokowany Filip zszedł z posterunku w altance, dopiero kiedy weszła za ogrodzenie. I że dokładnie obejrzał ją z ukrycia od stóp do głów.

- Polska gola! - Alunia pozwoliła sobie jeszcze na maleńki okrzyk i objając się o ściany korytarza, który nagle wydał jej się ciasną kiszka, powędrowała do łóżka.

Flagę umieściła wcześniej w pudełku na parasole.

Filip, nie wierząc własnym oczom, oddał się pasjonującej lekturze...

Aukcja przebiegła tak jak wszystkie inne aukcje organizowane corocznie w lipcu w Śląskim Domu Sprzedaży Dzieł Sztuki w Katowicach - to znaczy przyniosła Wąsowi spory zysk. Jola była na niej oczywiście obecna, bo chciała zobaczyć, w czyje ręce trafią *Piękni 1981*, ale spaskudziła sobie tym wyjściem humor. Pracza kupiło blondynowate indywiduum ze złotym łańcuchem na szyi. Od

obrzydliwca lazło zadowolenie na całą salę, bynajmniej nie z powodu nabycia płótna ulubionego malarza, ale zrobienia dobrego interesu. Żenada i tandeta w kropki... A już najbardziej rozstroiło ją męczeństwo malujące się na twarzy byłego właściciela obrazu, poczciwego pana Niezguły, który patrzył na Pracza z takim smutkiem, że Joli ścisnęło się serce.

Jedyne pocieszenie, że na aukcji spotkała starych znajomych. Doroty Magdaleny, portrecistki, nie widziała na przykład chyba od zeszłego lata, a bardzo lubiła rozmowy z tą filigranową brunetką, która na powitanie wykrzyczała:

- Cześć, kobieto!!! Już myślałam, że się wyniosłaś ze Śląska. Gdzie przepadłaś?

- Cześć... Madzia. - Jola zawsze się myliła i nigdy nie pamiętała, czy zwraca się do koleżanki po imieniu czy po nazwisku, co ta przyjmowała z taktem i rozsądnie akceptowała obie wersje. - Tonę w pracy, a ty?

- Jak każdy dzisiaj, niestety. Ten facet - Dorota Magdalena wskazała na Cycka, który z unieźmiem kręcił się przy świńskim blondynie - to ktoś od was?

- Cyprian Jakimiak, konserwator.

- Ma niezłą twarz. Ja go już widziałam...

W to Jola nie wątpiła. Jeśli znana portrecistka, która do gęb miała pamięć absolutną, mówi, że widziała mordę tej szui, to z pewnością tak było. Ciekawe...

- Gdzie?

- Właśnie że nie wiem! Męcę się, odkąd go tu zobaczyłam. Siedzę i myślę. Gdzie ja go mogłam spotkać?

- W sklepie plastycznym?

- Nie, w sklepie nie. Nazwa idiotyczna, tak na marginesie. Sklep plastyczny...

- W parku, na bazarze, w kościele - wyliczała Jola. - Chociaż w to ostatnie wątpię. Burdel byłby tu chyba bardziej na miejscu, ale do burdeli nie chadzasz?

- Na razie nie... W sklepie!!! - zawołała ucieszona malarka, chociaż zaledwie przed chwilą sklep wykluczyła. - W Praktikerze! Pamiętam, ciągnął za sobą worek z cementem i o mało mnie tym workiem nie zabił. Nawet zwróciłam mu uwagę.

Worek cementu podziałął na Jolę elektryzująco.

- A przypomnisz sobie, kiedy to było? - zapytała z tak wielką nadzieją, jakby chodziło o ratunek dla ludzkości zagrożonej atakiem nuklearnym.

Dorota Magdalena nie okazała najmniejszego zdziwienia.

- Tak konkretnie chcesz? Z datą? - zapytała tylko, a Jola musiała się pohamować, żeby jej nie uściskać. - Poszłam tam po prezent dla Grażynki, mojej koleżanki. Poczekaj, sprawdzę w kalendarzu, kiedy miała imieniny. - Sięgnęła do torby i przewertowała notes. - Jest! Na imieniny szłam w sobotę, więc w Praktikerze byłam trzydziestego pierwszego marca, w piątek. Godzina...

- Wystarczy, Dorotka... Jesteś boska, zapraszam cię na kawę. - Jola nie posiadała się ze szczęścia.

Drzyj, Cycu, przebrzydły kombinatorze!!!

Bomba wybuchła po tygodniu, w poniedziałek dziesiątego lipca.

Z samego rana najpierw do biura wpadł Jacek, który oznajmił, że dzisiaj zastąpi go w sklepie Monika. On jedzie na cały dzień do Raciborza, bo stamtąd ma odebrać zabytkową komodę. Informacją strzelił w kierunku Ani, toteż Jola zdziwiła się, kiedy w następnej kolejności zwrócił się do niej. Od pamiętnego pocałunku w ogrodzie jakoś im się znajomość nie składała. To znaczy okazywali sobie poważanie i inne rozmaite względy (na odległość), ale dziwnym trafem nie gawędzili jak dawniej. Nawet nie powiedziała mu o cemencie i w ogóle zastanawiała się, czy powinna.

Tak, unikał jej.

Jeden pocałunek, wielkie mi co! Zwyczajny, teatralny występ dla Filipa. Żeby jeszcze ten buziak wyszedł im jakiś dziamdziowaty albo mdły... Ale tak porażający?! Do dziś robiło jej się dziwnie, kiedy wspominała to zetknięcie warg, tę bliskość, żar. Ach! Nie miał się Jacuś czego wstydzić, oj nie miał. Powinien chcieć więcej, a nie robić uniki. A, prawda, Kaśka, zupełnie o niej zapomniała. Tak, tak. Tylko scenka aktorska dla Filipa, nic ponad to...

- Jola! - Jacka wiele kosztowała decyzja, którą podjął. - Może przyszlabyś dzisiaj do mnie? - rzucił ot tak sobie, ale w duchu aż go skręcało.

Pokomplikowało się wszystko ostatnio. Wcale nie zamierzał się zakochiwać, a tu proszę... I do tego ten pocałunek, który dokonał się w ogrodzie Aluni. Nie miało jednak sensu unikanie tej dziewczyny, bo zwyczajnie nie potrafił bez niej żyć. Zdał sobie z tego sprawę dziś rano, kiedy rozmawiał przez telefon z Kaśką. Należy dodać, że była to ich ostatnia rozmowa.

- Kupiłem meble i jeszcze ich nie poustawiałem - mówił dalej już z nieco większym rezonem, gdyż Jola przesłała mu znad biurka dość krzepiący uśmiech. - Stoją porozwalane w pokoju. Może byś tak swoim kobiecym okiem...

- Co kobiecym okiem?

- Tak optycznie... Żebyś mi powiedziała, co gdzie ma być i w ogóle. Ja umiem postawić tylko szafkę z telewizorem.

- Nie masz się czym chwalić - mruknęła Ania i też się uśmiechnęła. Może ci młodzi w końcu się dogadają, przecież na kilometry, hektary i mile morskie widać, że coś się między nimi ostatnio popsulo. A szkoda, nieźle się zapowiadali...

- Fakt - zgodził się potulnie. - To co, przyjdiesz? Tu ci zapisałem adres. - Podał Joli kartkę papieru.

- Dobra. Dwudziesta może być?

Jackowi pasowałyby nawet piąta nad ranem, byle tylko znaleźć się z Jolą sam na sam i skończyć z tym denerwującym uczuciem zawieszenia w próżni. Jak na skrzydłach pobiegł do samochodu i ze śpiewem na ustach udał się na raciborskie bezdroża.

Pół godziny później do biura wtargnął, bo nie można tego nazwać kulturalnym wejściem, blondyn z aukcji. Jego wygląd od razu skojarzył się Joli z rozwścieczonym byczkiem Fernando. Zafascynowały ją zwłaszcza nozdrza blondynowatego falujące nad podziw szybko i rytmicznie, jak skrzela jakiejś tłustej, białej ryby. Byczek, ryba, świnia... Jeden facet a tyle podobieństw, co za wybryk natury! Co za obfitość!

- Gdzie ten ze sklepu? - zapytał bez żadnych wstępów, ale Ania Jankowska, jako kobieta nieustraszona, nie zamierzała się poddać terrorowi czyjegoś chamstwa.

- Dzień dobry panu - przywitała klienta tonem grzecznym, acz stalowym, co nieco go przystopowało.

- Dzień dobry, gdzie...

- Anna Jankowska, asystentka dyrektora. W czym mogę pomóc?

- Marek Brandys. Z dyrektorem chciałem... Zostałem oszukany! Podrobę mi sprzedaliście, nie obraz!!!

Na Ani wyznanie blondyna nie zrobiło najmniejszego wrażenia.

- To na pewno jakaś pomyłka, ale proszę przyjąć moje kondolencje.

Wąs na usłyszaną rewelację aż wyszedł z pokoju. Znaki zapytania rysowały się nawet na jego krawacie.

- Co się stało, co też pan opowiada?! - Uściśnął dłoń Brandysa i zaprosił go gestem do gabinetu.

Jola widziała, że się nieźle przestraszył...

- Kupiłem obraz, tak? Z ekspertyzą!

- Zgadza się, więc nie rozumiem... - Grzegorz Wąs starał się być opanowany, co przychodziło mu z najwyższym trudem. Najchętniej zawołałby tu Cycka, ale mogłoby to zostać źle odebrane.

- Więc czemu Niezguła mówi, że daliście mi podróbę?! - wykrzyczał na niego blondyn.

Wąs całkiem zgłupiał i kompletnie nie wiedział, jak się zachować. Słuchał więc w milczeniu dalej, starając się sprawiać wrażenie zaniepokojonego i przejętego jednocześnie.

- Sprzedaję mieszkanie i traf chciał, że przyszedł je obejrzyć Niezguła z synem. Popatrzył na obraz i mówi... Co?! - Brandys zadał pytanie retoryczne, na które po chwili sam sobie odpowiedział: - Że na ścianie wisi kopia! Lipa!!!

- Proszę pana, to jest niemożliwe - próbował protestować Wąs, ale trafiła kosa na kamień. Blondyn nie pozwolił się zagadać.

- Niemożliwe?! Facet trzymał obraz nad łóżkiem przez dwadzieścia lat. Mówi, że zna na nim każdą kreskę! I że to nie ten obraz panu oddawał!!!

- To starszy człowiek... Ekspertyza...

- Panie! - Blondyn niebezpiecznie przechylił się przez biurko i utkwiał w Wąsie nieprzyjemne spojrzenie swoich błękitnych jak kafelki oczu. - Mój obraz ma się znaleźć!

- Wie pan, ja się oczywiście tą sprawą zajmę... Brandys przechylił się jeszcze bardziej.

- Czy zostałem pojęty?

Cokolwiek miało to oznaczać, Wąs wiedział jedno - musi potwierdzić i szybko coś wymyślić.

- Oczywiście. Zapewniam pana jednak...

- To ja pana zapewniam, że jeśli mój - tu blondyn zrobił pauzę i walnął w stół - jeśli mój obraz się nie znajdzie, zadziałam podwójnie. Podwójnie! Zawiadomię policję - to raz, i sam się za was wezmę - to dwa. Daję panu tydzień!

- Anka... - po wyjściu klienta Wąs zawołał słabym głosem. - Chodź na rozmowę.

- Ja? Czemu ja, przecież ja nie mam z tym nic wspólnego.

Jankowskiej wcale się nie uśmiechało obcowanie ze swoim szefem w takiej chwili.

Spodziewała się, że Wąs wymyśli coś brzydkiego, co oczywiście ona będzie miała zaszczyt wykonać.

I nie pomyliła się.

- Jutro pojedziesz do domu tego tu... - Wąs wykonał ręką gest w kierunku drzwi, który Ani skojarzył się z odganianiem natrętnej muchy - co wyszedł. Adres weź z faktury. Brynów, jeśli dobrze kojarzę. Pojedziesz i przeprowadzisz wywiad, spiszesz, co trzeba.

- Jaki wywiad? Co ja mam spisywać?!

- Zrobisz, co powiedziałem. Masz się przejąć.

- Grzesiu, ja się już przejęłam, tylko że dalej nie wiem, o co chodzi!

- Zaraz się dowiesz... Pojedziesz, przejmiesz się i zabierzesz obraz do ponownej ekspertyzy.

Bez dyskusji.

Gdyby Jacek urzędował u siebie, Jola już by do niego pobiegła. A więc jednak!!! Z tego, co wykrzyczał blondyn, jasno wynikało, że Cycek... sfalszował Pracza! Co ona teraz powinna zrobić? Może iść na policję? Nie, to chyba nie najlepszy pomysł, grunt to nie ulegać w ważnych chwilach emocjom. Wąs bankowo wyskoczyłby z tancerką, zostałyby zamknięta do ciupy i niczego nie mogłaby udowodnić. Musi zająć się wszystkim sama. Ewentualnie z Jackiem, który już na szczęście przestał się boczyć.

Po wyjściu z gabinetu Wąsa Ania prychnęła.

Z niesmakiem. Zwariował! Kompletnie. A już myślałam, że dawno temu sięgnął dna... - wyszeptwała.

- Opowiadaj! - Jola nie mogła się doczekać, aż koleżanka zda jej relację.

- Wiesz, że ściany mają uszy, lepiej nie tutaj. Poza tym kazał ci nic nie mówić. Wyobrażasz sobie?

- Jak to?

- Ja też nie rozumiem dlaczego. Przecież sama się domyślasz, o co chodzi. To chamidło darło pysk tak, że nawet do pani Heli doleciało. Wiadomo, że słyszałaś. Chcę herbaty! Chodźmy po wodę, pogadamy w łazience.

Nic nie mówić Joli? Piramidalna bzdura i tyle! Ania ani myślała wypełniać poleceń, z którymi się nie zgadzała i które stały w sprzeczności z przyjętą przez nią logiką.

- Czemu on do tego kretyna wysłał mnie? - spytała buntowniczo, kiedy już streściła Joli rozmowę. - I to na Brynów, gdzie nie lubię jeździć. Moment... Czy ten twój poprzedni chłopczyk nie stamtąd czasem?

Obraz byłego absztyfikanta zdołał się już rozmyć w pamięci Joli w odległą bezbarwną plamę. Zabawne, że w ciągu ostatniego miesiąca ten bubek ani razu nie przemknął jej przez myśl. Niebawem, nareszcie wyleczona!!!

- Stamtąd. Tylko czemu używasz brzydkiego słowa „poprzedni”? Czyżby w moim życiorysie pojawił się jakiś obecny, o którym dziwnym trafem nic nie wiem?

- Nie wiesz?

- Jankowska, wredoto... Wyczuwam aluzję. I nie podoba mi się. Może wrócimy do tematu rozdartego blondyna?

- Proszę cię. Ja się do niego nie wybieram, bynajmniej.

- Czy my?... - Jola sugestywnie zniżyła głos, a Ania przytaknęła.

- Tak, droga koleżanko. My się zamienimy. Ty tam pojedziesz i nasz... Nie, słowo dupiek stanowczo nie przejdzie mi przez gardło - zastrzegła żartobliwie. - Nasz apodyktyczny szef może się pocałować, też nie powiem w co.

- W kolano.

- Trochę wyżej i z tyłu, w... - chciała dokończyć Ania, ale do łazienki ktoś wszedł.

Toaleta składała się z dwóch oddzielonych ścianą części. Wejście prowadziło do pomieszczenia właściwego, przez które przechodziło się dalej, gdzie znajdowały się umywalki i kabina prysznicowa. Tam właśnie miała miejsce narada i tam doszedł je głos zdenerwowanego Wąsa:

- Poczekaj chwilę, sprawdzę...

Nie wypowiedziawszy słowa porozumienia, Ania z Jolą bezszelestnie dały nura pod prysznic i schowały się za zasłoną, starając się nawet nie mrugać oczami.

- Dobra, mogę rozmawiać. Straszyl mnie policją... Tak, dokładnie tak powiedziałem... OK, nie przez telefon... Jesteś u siebie? To za chwilę wsiadam do samochodu.

Jola postanowiła jechać za Wąsem, choćby miała zamknąć się dobrowolnie w jego bagażniku. W sekundzie przeanalizowała sytuację. Wąs już wychodził, a z osobistości zmotoryzowanych pozostawali do dyspozycji jedynie Prudło i Ania, która od dłuższego czasu zerkała na nią z podejrzanym zainteresowaniem. Jeśli poprosiłaby o pomoc koleżankę, ta nie dałaby się zbyć jakąś historyjką, tak jak Prudło. Z drugiej strony, Ania już niejako tkwiła w aferze; wiedziała, że coś się działo.

Jola podjęła decyzję.

- Ja muszę za Wąsem. Pomożesz?

Jankowska nie zawiodła. Ostatnio, kiedy podsłuchiwały w A-Dongu znajomego malarza, bawiła się doskonale. Bez zbędnych pytań ruszyła do wyjścia - liczyła się każda chwila, bo Wąs już pewnie odpalał samochód. W przelocie poprosiły jeszcze Prudła, żeby przeniósł się do biura, i po chwili siedziały w aucie. Zielony mercedes Wąsa skręcał w 3-go Maja.

- Mamy go! - Ania ruszyła z miejsca z piskiem opon. - Akurat dobra odległość, nie zorientuje się, że go śledzą asystentki. Hi, hi!

Wąs przejechał gładko przez centrum i skręcił w Kościuszki, a stamtąd odbił w Jordana. Ania zwolniła, gdyż ostatnia z ulic nie należała do najruchliwszych i mogłyby zostać zauważone. Znalazły się na niej akurat, gdy Wąs wjeżdżał w Zajęczka. Powoli minęły skręt i zaparkowały.

- Lecimy! Ja muszę wiedzieć, gdzie on polazł!

- Chcesz tam zapukać? - spytała ironicznie Jankowska, kiedy zbliżały się do bramy z numerem 34 B, pod którą stał znajomy mercedes. - Przecież mógł iść gdzieś indziej, a tu tylko zostawić wóz!

Jola długo się nie zastanawiała. Na ulicy były widoczne jak te łanie na wzgórzu.

- Ty się popłącz po okolicy i poudawaj, że szukasz jakiegoś adresu, ja wchodzę. Coś wymyślę, nie wiem... Trzeba sprawdzić.

- Gdzie? Dziecino! - Ania zaprotestowała, ale jej szalona koleżanka już otwierała furtkę. Spłoszona ruszyła więc przed siebie, starając się wyglądać na zagubioną sierotę poszukującą nie wiadomo czego.

Drepcząc po chodniku posesji, Jola właśnie stwierdziła, że jeśli pech i tym razem ją dopadnie i postawi zaraz na wprost niej Wąsa, to chyba powyrywa zębami te śliczne brukowane kosteczki, żeby ziemia mogła się rozstać. Chwilowo jednak, o dziwo, dopisywało jej szczęście. Mijając frontową ścianę domu, usłyszała jakby płynące po niej głosy. Zerknęła na ulicę. Pusta... Kucnęła i na czworaka dotarła do uchylonego okna. W środku ktoś grzmiał rozjuszony:

- Ani głowy, ani jaj nie masz, człowieku!

- Daj spokój. - Jola poznała swojego szefa. Usiadła po turecku tuż pod parapetem i nadstawiła uszu. - Lepiej powiedz, co teraz.

- Trzeba go było jakoś uspokoić!

Ta charcząca nuta, czy gdzieś już jej nie słyszała? Czy przypadkiem nie znała tego głosu? Próbowała znaleźć w myślach człowieka, do którego mogłaby dopasować to brzmienie, ale bezskutecznie.

- Przecież próbowałem!

Przez chwilę trwała pełna napięcia cisza i Jola poczuła, że żołądek zwija się jej w trąbkę. Zorientowali się, że mają towarzystwo? Na domiar złego ulicą przechodziła jakaś nobliwa dama w kapelusiku i mało nie skręciła sobie szyi, tak się oglądała. Jola wykonała więc przepisowy kwiat lotosu, po czym posłała staruszce zniewalający uśmiech. Co, jogi nie można poćwiczyć?

- Nic nie zrobisz? - Wąs znowu się odezwał.

- Oczywiście że zrobię, ale po swojemu.

- Co to znaczy po swojemu?

- Już ty się nie martw... Asystentka niech tam jutro pojedzie, ale niech nie zabiera obrazu - w głosie zabrzmiał rozkaz.

- Jak to? Myślałem...

- Niech nie zabiera. O resztę zadbam osobiście... Co ta baba tak się gapi? - usłyszała tuż nad sobą.

Starsza pani wracała. Jola z rozpaczą pomyślała, że to już koniec, że za chwilę zostanie zdemaskowana, zwolniona z pracy, oddana w ręce policji i jeszcze nie wiadomo co. Siedem plag egipskich jednak na nią nie spadło. Usłyszała trzaśnięcie okna i na ulicy zaległa cisza. Dama poczłapała dalej, słońce prażyło, w oddali słychać było szum samochodów. Kataklyzm chwilowo nie nadciągał, a Jola sporo się dowiedziała.

Wąs z Cyckiem nie działali sami.

Mieli szefa...

A szef zamieszkiwał przyjemną willę przy ulicy gen. Zajączka 34 B. W chwilę potem odbyła z Anią długą rozmowę.

Z młodym Wąsem trudno się było Bencowi dogadać.

Młode to, narwane i niestety głupie. Nie dorastał swojemu zmarłemu ojcu do jego dostojnych pięt. Z Wieśkiem to dopiero stanowili duet! Benc westchnął na samo wspomnienie przyjaciela i wspólnych interesów, które zapewniły im obu życiową pozycję. Jak z takiego człowieka mógł powstać tak nędzny ochłap, nie miał pojęcia. A może Maryśka gdzieś się na boku puściła, kto wie, całkiem prawdopodobne. Nigdy nie sprawiała wrażenia kobiety statecznej, takie fiu-bździu.

Nawet do niego kiedyś startowała, wariatka. Szkoda gadać. Grzesiek z pewnością wdał się w nią.

Ale jak tu przegonić syna najlepszego przyjaciela?

Benc już od jakiegoś czasu przemyślał, żeby się wycofać. Świat darł do przodu, wszystko się zmieniało. I ten postęp cywilizacji... Policja teraz dysponowała różnymi sposobami, których nawet



nie umiał sobie wyobrazić, a on jak z innej epoki. Postanowił, że ta transakcja będzie ostatnia. Mógł do niej w ogóle nie podchodzić, ale na gwałt potrzebował większej gotówki. Teraz, po wpadce, Wąs znowu chciał zamienić obrazy tak, żeby w posiadaniu Brandysa znalazł się oryginał, ale Benc nie uznawał paniki. Panika mogła wszystko zepsuć. Panika śmierdziała i dawała się wyczuć, ale w obecnej sytuacji i on musiał nieco zaryzykować...

Przysunął do siebie telefon i wystukał numer. Po chwili w słuchawce zabrzmiał znany mu głos.

- Taaa...

- Benc mówi. Dzwonię, bo mam mały problem.

- Wał, staruszk. Dla ciebie, to wiesz... prawie wszystko - usłyszał i już wiedział, że niczego nie uzyska.

Popęłnił błąd.

Ten, z kim rozmawiał, nie był głupi. On na jego miejscu też by się zorientował, że wszelkie przesunięcia w czasie oznaczają kłopoty.

- Potrzebuję większej forsy. Może weźmiesz to ode mnie wcześniej? Chciałem poczekać ze dwa tygodnie od sprzedaży, ale coś mi wypadło.

Przez chwilę w słuchawce pisała cisza.

- Cha-cha! - głos wyartykułował zgodnie z przecuciem Benca, który od tej chwili przestał się już silić na teatralne występy.

- Czyli gówna? - upewnił się dla zasady.

- Na rzadko, staruszk... Moja uniżona siemka. Pożegnamy się chyba w ogóle z tym interesem, bo mnie też coś wypadło i ja już nie reflektuję.

Tyle przygotowań.

Cóż, trzeba pomyśleć nad innym rozwiązaniem.

Do tej pory pan Władysław dał się poznać Aluni jako osobnik nad wyraz spokojny. Dzisiaj po raz pierwszy zobaczyła, że ten posąg cierpliwości i opanowania potrafi się jednak zdenerwować. Wróciła z zakupami i zastała swojego pracodawcę całego w nerwach. Ledwo biedaczek zipsał! Pospiesznie zaparzyła mu więc mocnej kawy i usiadła gotowa wysłuchać, co tak wstrząsnęło starszym panem.

- Jajo... - wystękał pan Władysław. - Chcą mi je sprzątnąć!

Pan Władysław, skądinąd właściciel sklepu, który w rozmowach nazywał galerią staroci, pasjonował się sztuką jubilerską. W pokoju bibliotecznym, za książkami, jak na filmach, miał zakamuflowaną szafkę, a w niej dorobek swojego życia - trzy jaja Fabergé. Trzy maleńkie cuda pokryte listkami, obrazkami i duperelkami. Alunia nie lubiła przesady i pomyślała, żeby jajo robiło za dzieło sztuki, wydał się jej dziwny (nawet nie wiedziała, ile coś takiego jest warte), ale pan Władysław aż piał nad zbiorem z zachwytem. Żeby nie sprawić staruszkowi zawodu, Alunia też okazywała podziw, którego do

piąń absolutnie nie można było zaliczyć, ale stanowił on rodzaj hołdu oddanego rzemiosłu. Owszem, żeby wykonać te wszystkie ozdóbki, trzeba nie lada talentu.

- Jak to: sprzątnąć? Kto?

Od jakiegoś czasu pan Władysław żył tylko jedną myślą - kupić do kolekcji kolejne jajo przywiezione z Rosji przez jakiegoś jego znajomego. Słyszała o tym niemal codziennie. Problem w tym, że jeszcze nie zebrał odpowiedniej kwoty, choć, jak mówił, niewiele mu już brakowało.

- Znalazł się inny kupiec - oznajmił z ciężkim sercem.

- To przykre... Nic nie można zrobić?

Pan Władysław chlipał powoli kawę i usilnie myślał. W zasadzie przychodziło mu do głowy pewne rozwiązanie.

- Niby można... Ale potrzebowałbym pani pomocy - powiedział żałośnie.

- Bardzo chętnie.

- A pojechałaby pani za mnie do Frankfurtu? Na jeden dzień? Wyleciałaby pani rano z Pyrzwic, a wróciła wieczorem? I coś zawiozła znajomemu... Ja się ostatnio niezbyt dobrze czuję, a pani zna język.

Jedyną komplikację w innych okolicznościach mógłby stanowić Filip, jednak teraz, kiedy na Aluni spoczęło zadanie regularnego łajdaczenia się, a małżonek nie przemówił od chwili przyjazdu nawet pojedynczą sylabą...

Wspaniała okazja!

- Z wielką przyjemnością, panie Władysławie - zgodziła się ochoczo, mimo że nie widziała związku między cudacznym jajem a wyjazdem. - Kiedy?

- O, nie tak od razu. - W starszym panu zaszła wyraźna przemiana. Od razu nabrał wigoru i po raz pierwszy dzisiejszego dnia się uśmiechnął. - Najpierw musimy napisać list.

- Po niemiecku, tak jak zwykle?

Alunia już pisała w tym języku za swojego pracodawcę, więc nie widziała problemu.

Jednak tym razem pan Władysław ją zaskoczył. Z dziwną u niego fanaberią, bo oprócz jaj nie prezentował większych odchyień od normy, zażyczył sobie, żeby Alunia przed napisaniem listu zakupiła pióro dla maturzystów. Dla maturzystów! Na szczęście nie musiała szukać daleko - pożądaną rzecz dostała na Żwirki i Wigury.

I przeżyła kolejne zaskoczenie.

Pan Władysław podyktował najbanalniejszy w treści tekst, w którym nie znalazło się nawet słowo na temat jej ewentualnej podróży, po czym poprosił o spełnienie kolejnych dziwactw.

- Pani Alu... List wyśle pani jutro, z Krakowa... To bardzo ważne, więc dam pani na jutro wolne. Ten adres wpisze pani jako adresata, a ten jako nadawcy... Koniecznie priorytet, żeby doszedł jak najszybciej.

Zastanawiające wydawało się zwłaszcza to, że pan Władysław występował nie jako pan Władysław, ale jako Marian Nowak z ulicy Pięknej w Krakowie - tak właśnie kazał się podpisać pod listem. Skąd ten znajomy miał więc wiedzieć, kio do niego pisze? Alunia nie wypowiedziała jednak na głos swoich wątpliwości, gdyż cechowała się wrodzoną dyskrecją. Podczas gdy adresowała kopertę, jej pracodawca zamknął się z rzezonym listem i piórem maturalnym w bibliotece i wyszedł stamtąd dopiero po półgodzinie.

- Pani Alu, liczę na panią - powiedział uroczyście, a wtedy po Aluni przeszedł dreszcz. Zabrzmiało to bowiem bardzo, ale to bardzo poważnie, co w zestawieniu z treścią listu traktującą w głównej mierze o pogodzie w Katowicach, było co najmniej niepokojące.

Czy z panem Władysławem aby na pewno wszystko w porządku?

Blok Jacka odnalazła Jola bez większych trudności. Na tablicy domofonu zobaczyła kartkę „Zepsute”, więc musiała poczekać, aż ktoś będzie wchodził na górę, co nastąpiło po pięciu minutach, dlatego przed drzwiami stanęła trochę po dwudziestej. Zadzwoiła, ale usłyszała jedynie metaliczne stukanie gdzieś w głębi budynku. Spróbowała ponownie, jednak Jacek nie stanął w progu i ucieszony z wizyty nie przywitał jej kwieciem. A może źle zapamiętała numer?

Wydobyła z kieszeni kartkę i sprawdziła. W porządku, dotarła tam, gdzie trzeba. Podumała chwilę i postanowiła spróbować po raz kolejny. Tym razem zamierzała energicznie zapukać. Jakby w odpowiedzi na jej grzeczne puk, puk, walenie w metal rozległo się znowu i Jola tym razem (bezczelnie przyłożyła ucho do drzwi) zyskała pewność, że rzęgot, który przypominał odgłos uderzania blaszanym kubkiem o więzienną kratę, dobywał się... z mieszkania Jacka!

Pomyślała o ostatniej ewentualności. Wyciągnęła komórkę i wykręciła numer kolegi. Za drzwiami usłyszała skoczną melodyjkę dzwonka, ale Jacek nie odbierał, tłuczenie skazańca jednak także nie ustawało, a nawet jakby się wzmogło. Co, u licha?!

Zdecydowała się więc na coś, co uważała za szczyt chamstwa, jednak usprawiedliwiła się okolicznościami. Nacisnęła kławkę.

Z chwilą otwarcia drzwi metaliczne postukiwanie wylało się na korytarz.

- Jest tam kto? - zawołała niepewnie. To, co zobaczyła, ścięło ją z nóg.

W pokoju, przykuty jakimś żelastwem do rury przy kaloryferze, pół wisiał, pół siedział... Jacek!

Ręce skuwały mu najprawdziwsze kajdanki, którymi zapamiętałe trząchał w elementy centralnego ogrzewania, produkując w ten sposób nieprzyjemne, acz skuteczne dźwięki. Usta miał zaklejone wstrętną czarną taśmą. Co do stroju zaś, to od razu rzucało się w oczy, że był golutki jak go pan Bóg stworzył. Kucając wstydliwie, prosił wzrokiem o jedno...

O ratunek!!!

Jola zaczerpnęła powietrza. Trzasnęła drzwiami i rzuciła się w stronę uwięzionego biedaka. Zaczęła od przywrócenia mu mowy. Jednym gwałtownym ruchem oderwała ordynarną czarną taśmę z jego ust.

- Ożeż psia morda lizana!!! - wycharczał z wielką ekspresją. - Walę od godziny!

- Jacuś, Matyldo święta! Co się stało?

- Nawet nie chciałem myśleć, że nie przyjdiesz. Ta ryża świnia...

- Która? Marek Brandys? - Ze świnia kojarzyła tylko jedną postać. - Przecież to blondyn.

- Świński, ryżawy, nieważne. - Jacek znów walnął kajdankami w rurę, tym razem z rozpaczą. - Jolunia, ja chętnie z tobą pogawędzę, naprawdę, bo bardzo lubię... z tobą gawędzić... Tylko może nie teraz, dobrze? Brandys...

- On ci to zrobił?

- On.

- Ale po co cię rozebrał? Ten zwyrodnialec chyba nie pogwałcił twojej, że się tak wyrażę, godności?

Jacek w odpowiedzi zwiesił głowę, a Jola zadrżała. Czy odgadła przerażającą prawdę? Czy doszło tu do brutalnego zamachu na...

- Czemu nic nie mówisz? Odezwij się!

- Zatkalo mnie, wybacz. Skąd ci się biorą takie rewelacje?

- Posłał jej niedowierzający uśmiech. Niezbyt wprowadzie szeroki, ale wystarczający, żeby odechnęła. - Nie zostałem... pogwałcony. Blondyn wpadł tu z dwoma zbirami, kiedy się kąpałem. Nie pozwolili mi przywdziać garnitur, żaluję.

- Skulił się jeszcze bardziej, co w końcu natchnęło Jolę do nakrycia go leżącym na wersalce kocem, choć miło było tak ukradkiem zerkać tu i ówdzie. Uda na przykład miał jej kolega bezkonkurencyjnie obłądne.

- Rano wpadł do biura i najpierw spytał o ciebie - poinformowała.

- Musiał się w okolicy, skurkowaniec, czaić do wieczora. Zawiozłem do sklepu komodę, a potem trafił za mną aż tu.

- Co mówił?

- Joleczko... - Jacek spojrzał wymownie i zabrzczał żelastwem.

- Kajdanki, prawda. Czy pytanie o kluczyk będzie z serii idiotycznych?

- Raczej naiwnych. Świnia zabrała klucz ze sobą, powiedziała, że wróci jutro, to może mu coś powiem. Skruszeję.

- Zamierzał zostawić cię tu do jutra?! To my go tu jutro po cichutku powitamy i razem go... do kaloryferka! Na golaska!

- I jego dwóch zbireczków też - z przekąsem dopowiedział Jacek i znowu się zaśmiał. - Przepyszne. Z tym będzie problem. - Wskazał na okowy, a uśmiech zszedł mu z twarzy momentalnie. - Tego się nie da po prostu przepiłować.

- Dlaczego?

- Bo kajdanki robi się ze specjalnego stopu metali. Już prędzej ta rura by się poddała.

- To może rurę? - Jola była gotowa złapać za piłę choćby zaraz.

- Nie zdemoluję centralnego ogrzewania! Nie wypłacę się.

- To co zrobić? Jakiś kowal, młot... A może policja? Oni przecież mają takie bransoletki, więc na pewno jakiś kluczyk dopasują. Hmmm... - Jola przypomniała sobie ostatnie zdarzenia, ze sfingowaną kradzieżą *Paryskiej tancerki* włącznie, i jakoś jej policyjne rojenia przeszły. - Nie, gliny odpadają. Głupio jednak wymyśliłam.

- Strasznie głupio, co byśmy im powiedzieli? Że facet, który założył mi biżuterię na rączki, podejrzewa, że świadomie namówiłem go do kupna sfałszowanego obrazu? Od razu by się wszystko wydało, stałbym się podejrzanym numer jeden. Już nie powiem, że Wąs podskoczyłby z uciechy, że może mnie wrobić. - Jacek nie miał złudzeń, a Jola nie mogła mu odmówić racji. W Polsce wolnością cieszą się przestępcy, w więzieniach siedzą naiwni biedacy. Wszystko na opak. Przy tym nieszczególnym splocie wydarzeń ich sytuacja rzeczywiście wydawała się co najmniej nieciekawa. Obecny właściciel obrazu świadczący przeciwko Jackowi, ona sama uznana za złodziejkę... Wąs z Cyckiem na pewno wyłgaliby się, jak dwa razy dwa cztery.

- Co proponujesz w takim razie? - zapytała.

- Ten kowal nie był taki zły, tylko ja bym może wolał ślusarza.

- To dzwonię.

- Poczekaj! - Jacek ją zatrzymał. - Myślisz, że jak ślusarz zobaczy faceta w kajdankach, to nie zadzwoni na komisariat? Nawet ma obowiązek! Ślusarze znają się z gliniarzami jak łyse konie i mają z nimi układy. Kto policji otwiera te wszystkie pozamykane mieszkania, jak myślisz?

- Nie wyważają ich to pewne, ale nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Skąd ty takie rzeczy wiesz?

- Takie tam... Musimy znaleźć dla ślusarza jakieś uzasadnienie, żeby nie zadzwonił pod dziewięć dziewięć siedem. Przekonujące, podkreślam. Przychodzi ci coś do głowy?

Z produkcją pomysłów Jola nigdy nie miała problemów, już prędzej z ich nadwyżką. Teraz też olśniła ją pewna myśl. Zuchwała i oryginalna, ale czy trzeba sobie żałować rozmachu i poprzestawać w życiu na rzeczach małych?

- Nasza Ania ma męża, mąż ma szefa, szef ma sejf...

- A ja mam kajdanki. Bęc.

- Ślicznie pasują, tak na marginesie. To nie jest wyliczanka, matołku. Słuchaj dalej. Szef raz zapomniiał hasła do sejfu i musieli wezwać fachowca. Zbyszek, mąż Ani, znał jednego i podpowiedział. Podobno znakomity, tylko że niemiły. Ale szef i tak był wdzięczny... To z tej premii Ania ma bordową torebkę.

- Musi być śliczna. - Jacek z trudem pohamował się, żeby nie okazać zniecierpliwienia, choć fakt istnienia gdzieś we wszechświecie zaprzyjaźnionego ślusarza poprawił mu humor i napełnił serce nadzieją, że nie umrze przytulony do rury grzewczej. - Tylko co powiemy Ani?

- Prawdę. Ania już wie o zamianie obrazów, bo Brandys zrobił występ przy niej. Solidaryzuje się...

- A jaką bajkę sprzedamy ślusarzowi? - Jacek pominął milczeniem wtajemniczenie Jankowskiej i martwił się już o coś innego.

- Ja się tym zajmę. Ty się nie odzywaj, tylko seksownie milcz... Idę się przebrać.

- Seksownie milcz?

A cóż to do licha miało oznaczać?

Około dwudziestej pierwszej w domu Józefa Szydłaka zabrzmiał telefon. Dzwonił pan Zbyszek i prosił o przysługę. Jego znajomy nieszczęśliwie się zatrzasnął, a zbliżała się noc i wiadomo, każdy chciał spędzić ją w łóżku, może niekoniecznie we własnym, ale przynajmniej w cywilizowanych warunkach. Pan Józek naturalnie przyjął zlecenie, każda okazja dorobienia paru groszy była dobra. Nie wiedział, o jakie zatrzaśnięcie konkretnie chodzi, bo pan Zbyszek szybko się rozłączył, ale Szydłak mógł się i bez takiej informacji obejść.

Po prostu zabrał ze sobą wszystkie narzędzia, jemu i tak obojętne - na własnym krzyżu tego nie nosił, miał poloneza.

Po piętnastu minutach przybył na miejsce. Trochę poczekał na dole, bo domofon nie działał, ale na szczęście psy obsikują wieczorem blok z każdej strony, a właściciele muszą z nimi latać. Wszedł za jakąś paniusią, którą prowadził cielak prawie, nie pies. Po co baby takie bydlaki kupują, to człowiek nie odgadnie...

Pan Józef wjechał na trzecie piętro i zadzwonił do drzwi.

Otworzyła mu rasowa bruneta.

Matko Boska, Józefie, patronie, czy on nie został czasem wezwany do burdelu?!

Słyszał, że na osiedlu pełno takich mieszkań. Niby normalnych, ale nocą walą do nich chłopcy, wiadomo po co. Czarnula pycho miała miłe, znaczy się, przyzwoite. Jakby ją tak za dnia spotkał, dajmy na to na poczcie, nigdy by nie powiedział, jak taka zarabia na chleb. Jeśli one jedzą chleb... Obejrzał ją sobie dokładnie, bo nigdy nie wiadomo, czy jeszcze się kiedyś taka okazja zdarzy.

Kobita była raczej wysoka, ale jak to się mówi, śwarniutka.

Na obcasikach dreptała tak skocznie, że wszystko się na niej przyjemnie bujało. Dwie jędrne kule wyglądały na świat z tego takiego, jak to się mówi... Z gorsetu. Na jego oko fatałaszek jakiś taki chyba bordowy był, ale głowy by nie dał, bo w burdelu świecili świeczkami. Jednak pasek do pończoch zobaczył od razu. Przepisowy, czarny! I pończoszki też piękne. Ach, takie cuda się na świecie dzieją...

- Proszę dalej, tutaj jest ten pan - powiedziała czarnula i przepuściła go do pokoju.

Tu już pana Józka wryło w parkiet. Ścisnęło go potężne rozczarowanie. Spodziewał się co najmniej dywanu z lamparta i marmurowego kominka. A tu pokój jakiś taki byle jaki. Zwykła tandeta! Telewizor, parę gruchotów pod ścianą, лыso jak w oborze. Tylko łóżko i to pojedyncze, zwykłe. Żadne obcudaczone czy wodne.

- Zdarzył się nam mały wypadek. - Babeczka wskazała na coś na podłodze.

Dopiero teraz pan Józek zobaczył, że pod kaloryferem wisi... chłop!

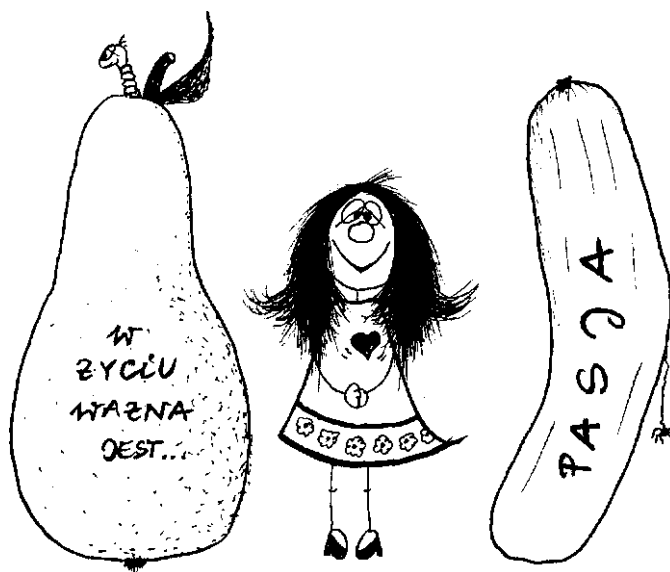
Cały goły, przykuty do rury kajdankami. Uśmiechał się idiotycznie, aż go zemdliło.

Świństwo!!! Żeby jeszcze przypiąć głupka do łóżka, to, owszem, słyszał, ale do centralnego? Ponownie zmierzył wersalkę wzrokiem i zrozumiał.

- Nie lepiej to zainwestować w porządne spanie? Z poręczami?

- Pomyślimy. Trochę eksperymentowaliśmy i... - znowu za szczebiotała kobitka.

Eksperymenty! Jakby to innych zajęć w życiu nie było. Już on nie wierzył, że nie można znaleźć żadnej uczciwej roboty. Nawet daleko nie trzeba szukać - w warzywniaku na targu wisiała wczoraj kartka. Poszukują sprzedawczyni. Tu ogórek, tam gruszka i już się coś dzieje.



- A klucz? - spytał podejrzliwie.

Czarnulka chrząknęła i spojrzała na gołego debila. Debil też chrząknął.

- Namówiłam go, żeby połknął...

W gorsecie Jola wystąpiła publicznie po raz pierwszy. Kupiła go niedawno, nie żeby snuła w związku z nim jakieś sypialniane plany, po prostu w Triumphie natknęła się na wyprzedaż, a warto mieć w szafie coś powabnego. I proszę, jak znalazł... Ciuszek seksowny, Jacek prawie stracił na jego widok orientację w terenie, ale pierońsko było w tych koronkach Joli zimno w tyłek. Kiedy po opuszczeniu mieszkania przez zniesmaczonego ślusarza włożyła dres i koszulkę, Jacek wyglądał, jakby mu ktoś wręczył torbę cukierków, po czym zabrał ją z powrotem i jeszcze zagrał biedakowi na nosie. Słowem się nie odezwał, sam także przywdział ubranie, świeczek natomiast nie pozwolił zgasić, uparł się.

- O, nieeee... Chociaż to zostaw - poprosił i wyciągnął z lodówki butelkę czerwonego wina. - Pogawędzimy w romantycznym klimacie. Wreszcie wolny, co za ulga!

- Miałeś mi dokończyć o naszym rudym blondynie - przypomniała trochę nieufnie Jola, która za czerwonym winem przepadała, ale za dziewczynami o pomarańczowych włosach, patrz Kaśka, niekoniecznie.

- Siadaj na wersalce, ja klapnę na podłodze. - Jacek rozmasował sobie nadgarstki i, na szczęście, póki co, nie myślał o amorach. - Brandysowi wpadło do główki, że jestem w zмовie z Wąsem i dlatego namówiłem go do kupienia kopii, a oryginał gdzieś ukrywam. Opowiadałem ci, że przyszedł kiedyś do sklepu przed aukcją... Wczoraj Niezguła trafił przypadkowo do mieszkania Brandysa i stwierdził, że obraz, który wisi na ścianie, nie jest prawdziwy. Zażądał zwrotu.

- Niezguła?

- Blondyn. Ode mnie zażądał.

- Odmówiłeś - podsunęła Jola.

- Odmówiłem, wtedy... Reszty się domyślasz. Jak blondyn poleci na policję, jestem załatwiony. Główny podejrzany, jak nic - zakończył zrezygowany.

- Chyba że coś wcześniej wydumamy. Musimy sobie radzić sami i rozwikłać tę całą aferę, zanim wszystko się wyda. A wyda się na sto procent, już teraz nie wygląda to zbyt ciekawie.

- Umiesz liczyć, licz na siebie. Całkowicie się z tobą zgadzam. Sami... - przytaknął Jacek.

- Dobrze. Teraz będę głośno myślała, uwaga. Wąs z Cykiem sfalszowali obraz, więc mają teraz dwa. Kopię i oryginał.

- Może oryginał też już sprzedali, nie wiemy.

- Poczekaj, teoretycznie... Kopię i oryginał... Kopię sprzedali na aukcji jako prawdziwy obraz Pracza blond pięknemu Brandysowi, a oryginał wzięli dla siebie.

- Też na sprzedaż, oczywiście - wtrącił z przekonaniem Jacek. - Podwójny zarobek, temu to ma wszystko służyć, bo przecież nie sztuce. Jakiemuś zagranicznemu maniakowi sprzedadzą, jeśli się nie mylę. On będzie doskonale wiedział, że w Polsce wisi u kogoś inny Pracza, który rzekomo jest prawdziwy, ale co mu szkodzi. Zamknie się w swojej prywatnej, zboczonej galerijce i hejaa! Będzie się napawał.



Jolę przeszył mały wstrętek. Nie utożsamiała się jakoś wściekle z patriotyzmem, swój kraj to swój kraj, nawet się nad tym nie zastanawiała, jednak postawiona przed możliwością wyboru, nie wyniosłaby się z Polski za nic w świecie, mimo że dostrzegła tu mnóstwo niewytłumaczalnych zjawisk, których nie obawiałyby się nazwać nadprzyrodzonymi. Ale ogałacać Polskę z resztek, które w niej jeszcze zostały po tych wszystkich wojnach i innych zawieruchach historii? Brzydko!

- Jaki mamy plan? - zapytała rzeczowo.

- A mamy jakiś plan?

- Zawsze trzeba mieć plan, a jak się nie ma, trzeba wymyślić. Plan to podstawa. Ewentualnie w razie potrzeby można go uzupełniać improwizacją.

- Aha, improwizacją... W takim razie jestem spokojny, z tobą nie zginę.

- Może podsumujemy to, co już wiemy. - Jola z godnością zignorowała ostatni komentarz. - Na początek... Jacek!!! Przecież ja ci nie powiedziałam!

- Czego?!

- Pierwszego dnia, kiedy przyszedłeś do pracy, podsłuchałam, jak... Poczekaj, ja to zapisałam, żeby nie zapomnieć i zrozumieć, ale nie doszłam...

Jacek poczuł w głowie lekki zamęt. Chwilami nie nadażał za tą dziewczyną, jednak przebywać w towarzystwie kogoś, kto by go nie inspirował, nie zastanawiał, nie wkurzał nawet... Martwota, a nie prawdziwy żywot.

- Wąs z Cyckiem rozmawiali, posłuchaj... - Jola otworzyła notes i odczytała zapis marcowej rozmowy. Jacek usiadł, starał się nie uronić ani słowa. Z wizji przerzucił się na fonię, gdyż dowiadywał się o rzeczach niezmiernie ważnych.

- Dokładnie zapisałaś? - upewnił się mocno przejęty.

- Tyle, ile zapamiętałam. „Może zawiadomimy starego”... To sobie zakoduj, bo zaraz ci opowiem coś z dzisiaj.

- Jak to zaraz? Nie możesz od razu?

- Wszystko mi się pokiełbasi. Wolę po kolei, od początku.

- Postaram się nie pęknąć z ciekawości. Dawaj.

- Po tej ich rozmowie obejrzałam sobie *Pięknych* pod ultrafioletem i zapewniam cię, że widziałam oryginał.

- Kiedy to konkretnie było? - chciał wiedzieć Jacek.

- Przed oddaniem obrazu do Praczonej na ekspertyzę, też w marcu. Dalej w kolejności szły bagażniki, czyli podpisy Pracza, które widziałam w pracowni Cycka. Dowód moim zdaniem niepodważalny na ich działania... Plus oczywiście akcja z bagażnikiem, po której Cycek przeniósł magazyn, żeby nie mogła się tam dostać i sprawdzić, czy obraz jest na miejscu.

- Faktycznie, Jakimiak musiał wtedy wywozić *Pięknych*. Ale trafiłaś!

- Owszem, porządki w wykonaniu Cycka.

- I sprzątnął nam obraz na dwa miesiące! Wtedy zrobił kopię, to by się zgadzało... Potrzebował wzoru, to raz. Dwa - obrazu nie podrabia się w tydzień, przecież płótno musi później co najmniej przez miesiąc schnąć. Akurat się wyrobił do czerwca, na ekspozycję przed aukcją.

Słowa Jacka z czymś się Joli skojarzyły - zwłaszcza to, że obraz musi schnąć. Czy ktoś już jej tego nie tłumaczył?

- W takim razie przed aukcją wywiesili w galerii kopię - stwierdziła, choć nie bez znaku zapytania w głosie.

- Na pewno... Tak mi coś w tym obrazie nie pasowało, chociaż nie wiedziałem co. Cycek nie pozwalał za długo patrzeć, pamiętasz? I ustawili go w kącie, bez okna.

- Też się zdziwiłam. A, jeszcze! My się ostatnio nie ten... nie komunikowaliśmy za specjalnie, więc ci nie powiedziałam, ale z cementem to oczywiście najzwyczajniejsza bujda. - Tu Jola opowiedziała o spotkaniu z Dorotą Magdaleną, która miała wątpliwą przyjemność być w Praktykerze poturbowana przez Jakimiaka ciągnącego worek cementu.

- Ale się Cyckowi znowu złożyło... Portrecistka! Ha! - ucieszył się Jacek.

- Potem wrobili mnie w *Paryską tancerkę* i, o dziwo, Wąs dał mi awans.

- Kij i marchewka. Klasyczne.

- Nawet mnie nie denerwuj... Resztę znasz. Aukcja, Brandys, oszustwo. I teraz dzisiaj. Wąs po wizycie blondyna w biurze poleciał na Zajęczka do jakiegoś faceta, żeby się go poradzić. Pojechaliśmy za nim z Anią.

Oczy Jacka po wysłuchaniu relacji z poczynań koleżanek przypominały dwa wielkie spodki. To właśnie tego człowieka próbował namierzyć! Ha! Szef całego interesu! Jasne było, że takie kmiotki jak Wąs i Cycek musiały podlegać komuś mądrzejszemu. Ileż on czasu spędził, jeżdżąc to za jednym, to za drugim... I nic. Jajo zbite! Albo się ze swoim zwierzchnikiem nie kontaktowali, albo byli sprytniejsi, niż Jacek sądził.

- To ten ich „stary” z rozmowy, którą za pierwszym razem podsłuchałam? - upewniła się Jola. - On wszystkim kieruje?

- Na to wygląda.

- Musimy ustalić jego nazwisko i...

- Na początek, dla pewności, zanim zajmiemy się różnymi działaniami, ustalmy jedno... - zaproponował Jacek - czy obraz, który wisi u Brandysa, jest na pewno kopią. I ty to zrobisz, bo widziałas Pracza przez ultrafiolet. Zabierzesz lampę...

- Ale Cycek trzyma ją u siebie!

- Ja się tym zajmę, mnie tam wpuści. - Jacek wziął na siebie zdobycie potrzebnego przyrządu. - Zabierzesz lampę i obejrzysz obraz. Potem będziemy myśleć, co dalej... Teraz zastanawia mnie, dlaczego Wąs najpierw kazał Ani wziąć Pracza, a ten ich szef przeciwnie, powiedział, żeby go zostawić.

- Coś miał na celu, ale co?

- Na pewno niedługo się dowiemy. Czuję to w nerkach, niestety.

- A co mówią ci twoje nerki w temacie blondyna? Obiecał ci jutro wizytę.

- Już ja go przywitam...

Jola zmilczała. Jeden na jednego, owszem. Nie bałaby się o Jacka, ryży blondyn nie prezentował się zbyt okazale, ale dwa zbiry w jego towarzystwie mocno ją niepokoiły.

- Może ci jakoś pomóc? Coś wymyślimy - zapewniła, ale na twarzy swojego kolegi dostrzegła panikę.

- Jola, ty już nic nie wymyślaj, ja cię proszę. Ustawmy lepiej meble... I chciałem ci coś zakomunikować. Od dzisiaj jestem człowiekiem wolnym. Matrymonialnie.

Łajdaczenie się Alunia kontynuowała rzetelnie i, podobnie jak jej małżonek, udawała, że dom na ulicy Pilotów zamieszkuje samotnie. Jeszcze tylko jedno doprowadzało ją do rozstroju nerwowego. Skoro Filip postanowił ją ignorować i odgrywać ciche dni, to czemu niekonsekwentnie ładował się do ich wspólnego łóżka? Co z tego, że do małżeńskiej sypialni ściągał o drugiej w nocy, skoro Alunia i tak nie spała, chociaż udawała, że śpi. A już takie przypadkowe dotknięcie nogą w nogę pod wspólną kołdrą wprost wstrząsało całym jej od niedawna wyzwolonym jestestwem... Tych przypadkowych zetknięć znieść po prostu nie potrafiła, mając dotkliwą świadomość, że bliskości ciała towarzyszy nieznośna odległość duszy. Nieznośna!!!

Po powrocie od pana Władysława Alunia wymiotła więc wszystkie ubrania Filipa z szafy i z fantazyjnym rozmachem rzuciła pod drzwi pracowni, a potem zabrała się do pierwszej w swoim dorosłym życiu pracy plastycznej, która miała być wymownym niewerbalnym komunikatem: zakaz wjazdu do sypialni! Na kartonie wykonała czerwone koło, a w środek wkomponowała nieco koślawe łóżko. Całość opatrzyła napisem:

*Dotyczy mężów obrażających swoje żony. Obowiązuje do odwołania.*

Tak, rysunek ekstra klasa. A Filipa niech gęś kopnie!

Alunia uśmiechnęła się pod nosem i poszła wziąć prysznic.

Pilot natomiast wykazał zainteresowanie spoczywającymi na stole siatkami, w szczególności zaś zajął się gazetą. List, który z niej wypadł, spodobał mu się już od pierwszej chwili. Powąchał go, polizał i postanowił posmakować. Tarmosił zawzięcie róg koperty, kiedy do kuchni wróciła Alunia, która przypominała sobie, że niektóre zakupy powinny niezwłocznie trafić do lodówki.

- Paskudny ty! - Rzuciła się ratować korespondencję, którą powierzył w jej odpowiedzialne ręce pracodawca. - Nie wolno!

Pilot przezornie wycofał się do ogrodu, chociaż jego pani nie zniżała się do przemocy fizycznej tak jak jego nadpobudliwy pan. Coś z nią jednak ostatnio było nie w porządku. Skończyły się zupki, mięsko i smyranie za uchem. Pilot otrzymywał po raz trzeci w przeciągu paru dni zwykłą 139 kaszę! W domu już obłędnie nie pachniało, kuchnia przestała stanowić dla niego najpierwszą atrakcję. Dziwadło, doprawdy...

List przedstawiał sobą widok co najmniej nieelegancki i nie mogło być mowy o posłaniu do Frankfurtu kawałka obstrzępionego i zeszywniałego od psiej śliny papieru. Alunia jednak postanowiła nie psuć sobie tym faktem humoru. Po pierwszej irytacji przytomnie stwierdziła, że to żaden problem przepisać list i zaadresować nową kopertę. Położyła poszarpane szczątki na lodówce, po czym wróciła do przerwanej kosmetyczno-upiększającej działalności. Pysznic, makijaż, potem sesja przed lustrem. Zje szybki obiad, który bynajmniej nie będzie się składał, jak dotąd, z dwóch wyszukanych dań, ale z kaszy jaglanej i brokułów ugotowanych szybko na parze. Do tego sos beszamelowy, który wymagał jedynie podsmażenia cebulki, czosnku i wylania na patelnię mleka z łyżką mąki. Jeszcze pietruszka, lubczyk, pieprz ziołowy i gotowe. Zostanie trochę dla Joli, i dobrze. Niech się Filip nie łudzi. Posiadanie zamiast żony - łajdaczki ma swoje nieprzyjemne następstwa.

Na przykład pusty żołądek...

Łajdaczyć się postanowiła Alunia metodycznie. Po pierwszym wypadzie do podrzędnego baru poprosiła Jolę o spis przyjemnych katowickich lokali, które warto odwiedzić. Co drugi dzień, bo jednak takie łązenie potwornie męczy, ubierała się szykownie i ruszała w trasę. Jeśli akurat nie miała ochoty na wykwinną kolację, szła do kina, ewentualnie do teatru. Łajdaczyła się samotnie albo z Jolą, którą pomysł przyjaciółki zachwycił. Czasami dołączała do nich także Ania Jankowska i było jeszcze śmieszniej.

Po jakimś czasie łajdaczenie zaczęło się Aluni strasznie, ale to strasznie podobać.

Filip natomiast zaczynał się robić z dnia na dzień coraz bardziej ponury.

W towarzystwie Jacka czas galopował na łeb, na szyję w pędzie wręcz niewypowiedzianym. Joli nie chciało się wierzyć, że dochodzi jedenasta w nocy, kiedy wreszcie postanowiła zakończyć wizytę. Oczywiście, choć dom na Pilotów nie znajdował się daleko, jej kolega zaproponował swoje twarde ramię i odprowadził ją do aż furtki.

Tu nastąpiło dziwne coś.

Jacek mianowicie zapytał, czy Alunia dalej się łajdaczy, powodując w głowie Joli prawdziwy mętlik myśli. Czy ona aż tak przestaje się przy tym mężczyźnie kontrolować, że mówi rzeczy, których później nie pamięta? Dałaby się tępym nożem pokroić, a potem solą morską posypać, że o łajdactwach swojej przyjaciółki nie wspominała. To skąd o tym wiedział? Może usłyszał, jak rozmawiała o kłopotach Piechów z Anią?

Nie zdążyła jednak niczego wyjaśnić, gdyż Jacek zaskoczył ją swoim otworem gębowym, który znalazł się w intymnej odległości od jej otworu gębowego - zamiast rozedrzeć się na całą okolicę, albo chociaż na jej połowę, Jola wykonała romantyczny przegib i zapomniała o całym świecie. Po tym smakowitym pożegnaniu stwierdziła, że dookoła dostrzega jedynie piękno i wspaniałość, a jej duszę przepelnia radosna lekkość. Do domu wleciała prawie na skrzydłach, nie zahaczywszy piórami o futrynę. Rozanielenie zupełne!

Filip stukał czymś w pracowni, a Alunia popijała przy kuchennym stole herbatę - zapach roztańczający się po pomieszczeniu wskazywał na żurawinę.

- Też przed chwilą wróciłam - zakomunikowała radośnie i chlipnęła gorącego napoju. - Dzisiaj zjadłam sobie ciasteczko kaprys w Gaudim. Do tego kawka kokosowa. Pyszności. A ciacho gigantyczne!

- Też lubię tam chodzić... Co to? - Jola po intymnym sam na sam z Jackiem już stanęła na nogi i przyjrzała się podartej kopercie, która spoczywała na lodówce. Jakoś nie kojarzyła pedantycznej Aluni z gromadzeniem śmieciuchów.

- Aaaaa... List mojego dziadka. Pilot chciał zjeść, ale uratowałam.

- Czemu ten wasz Pilot taki żarty? Przecież go nie głodzisz. Wczoraj brał mi się za spódnice, muszę zamykać pokój.

- Spódnica to jeszcze nic. W kwietniu, jak wyjechałaś na święta do rodziców, zjadł Filipowi całą białą farbę. To się dopiero działo!!!

- Farbę? - Jola przyjrzała się podejrzliwie kłębkowi sierści śpiącemu pod stołkiem.

- Musiał się wynieść do ogrodu, dopóki mojemu małżonkowi nie przeszło. Ciekawe, swoją drogą, jak długo teraz będzie go trzymać... Dobrze, że mnie nie wyгнаł do altanki, chociaż wszystko może się jeszcze zdarzyć. Co ty na sobie masz? - spytała przejęta Alunia, bo Jola, której zrobiło się potwornie gorąco, ściągnęła koszulkę i w kuchennym świetle ukazał się bordowy gorsecik. - Jakie piękne! Pokaż całe!

Gorset wstrząsnął Alunią dogłębnie, aż na chwilę zaniemówiła.

- Mogę przymierzyć? - spytała nieśmiało, wcale nie licząc, że Jola się zgodzi. W bieliznę nigdy nie inwestowała, ta część jej kobiecej garderoby leżała całkowitym odłogiem. Ale to, co Jola miała na sobie... Prześliczne!

- Pewnie, przecież to ma dół odcięty, musisz mieć swoje gacie. Może czarne? Pończochy też weź, zobaczymy w komplecie. Zaraz się przebiorę i ci przyniosę, poczekaj.

W posiadaniu Aluni pozostawały jedne jedyne koronkowe majteczki, które zakupił dla niej osobiście mąż, kiedy chciał ją jeszcze w takich cudach oglądać. Majteczki szczęśliwie pyszniły się głęboką czernią. Po założeniu gorsetu i zapięciu paska do pończoch Alunia poczuła się jak... prawdziwa łajdaczka!

- Muszę coś takiego mieć - z tymi słowy wróciła do kuchni, dokonując prezentacji.

- Jeszcze czegoś ci brakuje - Jola zachichotała i wręczyła zdziwionej Aluni kajdanki, które specjalnie zabrała, żeby przyjaciółka uwierzyła w to, co się dzisiaj zdarzyło.

W tym samym momencie w kuchni zmaterializował się, niczym posępny duch, Filip. Jola, widząc wyraz jego twarzy, zrejterowała.

Tego, co się powyprawiało, Filip od dłuższego czasu nie mógł pojąć. Rzucił nieprzemyślanym słowem i rozumiał, że Alunia mogła poczuć się dotknięta, jednak jej zachowanie przechodziło wszelkie pojęcie. Flaga! Do tej pory nie mógł uwierzyć w to, co na niej przeczytał. Słodkiej Alicji... Fan Teodor... Wspaniałej Kobiecie...

Jego Alunia?

Jego spokojna, stateczna i godna zaufania Alunia? Skromna, chciałoby się rzec?! Co też się z nią powyprawiało?!

Nawet nie dała mu szansy wyjaśnić, porozmawiać... Był wściekle zazdrosny! Ona, sam na sam, włochaty i umięśniony facet w ogrodzie i ona. Sama, obca, prawie naga i jeszcze to wcześniejsze odwożenie. Paznokcie, perfumy i nowa fryzura. Makijaż!!! Co się działo?

Flaga!!!

Nie koniec na tym...

Jego małżonka posunęła się jeszcze dalej w swoim podłym zachowaniu. Zaczęła się gdzieś regularnie szlajać i rozbijać po nocy taksówkami! Czy on miał to akceptować? Przyzwalać? Przecież to wszystko było wymierzone w niego! Tylko w niego, w niego, który zarabiał na ten dom, na ich rodzinę. Zarabiał, starał się, jak potrafił! Może jeszcze nie idealnie, ale starał się. Robił rzeczy...

Ach!!!

I on teraz miałby odezwać się pierwszy? Wy-klu-czo-ne!

Flagą Alunia przypieczętowała swój los.

Jak sobie pomyśli, ilu facetów tam gdzieś, nie chce nawet wiedzieć gdzie, spotkała... I co z nimi robiła... Nie mógł nawet znieść myśli, że jakieś obce łapy dotykały jego żony w talii podczas tańca, a co dopiero jakieś zaloty, umizgiwania...

Dzisiaj też się włóczyła. Zastał jedynie swoje rzeczy rzucone pod pracownią, a na drzwiach sypialni... Nie, to już... A więc tak?! Poukładał ubrania na podłodze, bo we wszystkich szafkach tłoczyły się jego malarskie skarby, i podjął męską decyzję.

Czas się rozmówić.

Nie stanie jednak przed nią cały uflogany w farbie, jak smotruch jakiś wstrętny, żeby mogła czuć się lepsza. O nie! Wziął prysznic, zaaplikował sobie nawet trochę kremu i użył wody kolońskiej, po czym zadbał o ubranie. Chciał wyglądać. Nonszalancko rozpięta koszula i miękkie beżowe spodnie. Ręce koniecznie w kieszeniach, zresztą i tak nie wiedział, co z nimi zrobić.

Siedziała w kuchni - słyszał, jak rozmawiała z Jolą.

Nabrał powietrza i stanął w drzwiach.

Umarł prawie...

Jego kochana Alunia siedziała na stole i machała frywolnie nogami ubrana jak... jak dziwka! Wprost nie wierzył, że te rączki, do tej pory tak niewinne i zapracowane, bawiły się teraz... kajdankami? Najprawdziwszymi kajdankami!!!

Piersi, pończochy, pasek, kajdanki.

Kajdanki!

Filip poczuł, że słabnie.

Że ogarnia go jakieś ciepło, że spada, niknie, odlatuje w dal bez pożegnania. I że płacze jak dziecko.

Płacz Filipa rozedrgał Alunię, rozbroił ją całkowicie i zmiękczył. Prawdę mówiąc, nie wyobrażała sobie, żeby całe to napięcie między nimi miało tak pęcznieć i pęcznieć. Czekala, aż w końcu coś przerwie przeciągającą się nieprzyjemnie sytuację. Dokulturalniła się, spędziła parę wysmienitych chwil w uroczych miejscach. Miło. Teraz już chyba wolałaby wrócić do zwykłego trybu życia.

Pojednanie nastąpiło burzliwe.

W ogrodzie, a konkretnie w altance.

Filip tak namiętnie ją przeproszał, a ona tak namiętnie pragnęła być przeproszana, że po wydarzeniach tej nocy Jola nie mogła już założyć pożyczonych Aluni pończoszek. A kajdanki? No cóż... Właściwie, czemu nie spróbować czegoś nowego?

Pan Józef otrzymał kolejne wezwanie o pierwszej w nocy.

Jacek dotarł do mieszkania prawie na skrzydłach miłości. Prawie.

Szczęście mącił mu jeden szczegół. Gdzie, do diabła, są *Piękni 1981*?!

Jeśli u świńskiego blondyna wisi kopia i jeśli Wąs z Cyckiem zamienili płótna już w czerwcu, przed ekspozycją, to... to przyczepił nadajnik do kopii. I teraz może sobie całe oprogramowanie wsadzić w ucho!

Do komputera rzucił się od razu po wejściu. Uruchomił program, obsłużył go pięknie i czekał na informację. Komputer wyrzucił mu dzielnice, nazwę ulicy i numer domu identyczne jak za ostatnim razem. Brynów, ble, ble... Nic nie uległo zmianie. Pogapił się jeszcze przez chwilę na żółte ulice wyświetlone na ekranie.

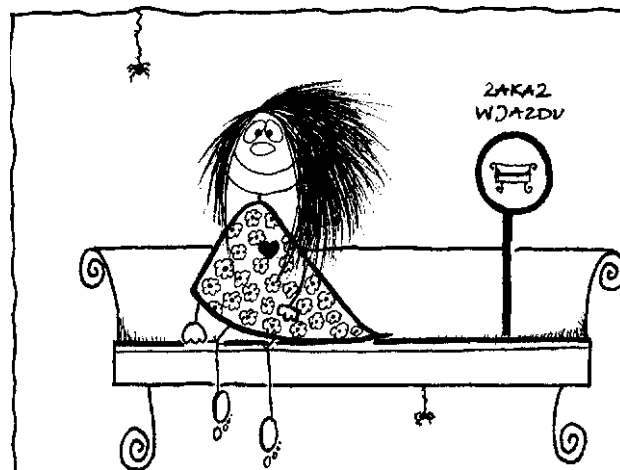
Po jedenastej...

Nie będzie się wygłupiał i budził ludzi, chociaż aż nim szarpało.

Facetem z Zajączka zajmie się jutro.

Rano Alunia czuła się jak z krzyża zdjęta, choć promieniała szczęściem. Dawno nie przeżywała takich seksualnych wzlotów. Dziś okropnie bolały ją wszystkie mięśnie, ale to szaleństwo... Ta pasja

lubieżna... Co wstąpiło w Filipa, że zmienił się w zwierzę nienasycone, nie miała pojęcia, ale posiadać takie zwierzę co noc w sypialni... I kajdanki, tylko że tym razem z kluczykiem... Kto by pomyślał!



Zdarła zakaz wjazdu do łóżka i wciąż rozmyślając nad pewnymi nocnymi scenami z życia małżeńskiego, zajęła się śniadaniem. Trzeba jakoś zaplanować dzień. Dzisiaj miała odbyć idiotyczną podróż do Krakowa, tylko po to, żeby wysłać list. Hmm... Czy popełniłaby wielkie przestępstwo, gdyby go przepisała, a następnie wysłała z poczty kilka domów dalej? Pobolewał ją brzuch, w mięśniach szczypało nieprzyjemnie. Gdyby tak w wolny dzień jeszcze poleżeć, poczytać, później może ugotować coś pysznego? Nie zhańbi się kłamstwem i jeśli pan Władysław zapyta, powie prawdę. Że się źle czuła i nie wyobrażała sobie wyprawy pociągami hen w Polskę. To kulturalny starszy pan i na pewno zrozumie. A jeśli nie spyta, Ala nie będzie się wyrywać z odpowiedzią.

Zjadła śniadanie, przepisała poszarpany przez Pilota list na ozdobnym papierze we fiołki, zaniósła go na pocztę i zamierzała resztę poranka spędzić na słodkim samotnikowaniu, popijając herbatę żurawinową i czytać *Pachnidło* Süskinda. Niestety. O dziesiątej usłyszała dzwonek domofonu. To Kuba, jej kuzyn, który dostał się w tym roku na akademię i męczył Filipa lekcjami z rysunku.

- Cześć, Alunia. Filip w domu?

- Cześć, Kubuś. Filip jest na uczelni... Wejdiesz? - spytała kurtuazyjnie, mając szczerą nadzieję, że kuzyn odmówi.

- Chętnie. Napiłbym się kawy, mogę?

Kuzyn był młodzieńcem wyjątkowej urody, ale i wyjątkowego wścibstwa, toteż Alunia oddychała z ulgą, kiedy maszerował za Filipem do pracowni i nie wtykał swojej upstrzonej lokami głowy do kuchni. Trudno, trzeba się będzie zająć gościem.

- Dzwoniłem do niego na komórkę, ale abonent kaput.

- Poza zasięgiem? Filip egzaminuje, pewnie wyłączył telefon - wyjaśniła niemrawo, zalewając w filiżance neskę.

- A dałabyś mi numer na uczelnię?



Alunia dałaby Kubusiowi wszystko, gdyby tylko zechciał wypić kawę duszkiem i zniknąć, żeby się mogła położyć. Do kompletu zaczynała ją boleć także i głowa. Okropność.

- Zanotuj sobie...

- Momencik, jakaś kartka by się przydała. Mogę? - Kubuś złapał za pogryziony list na lodówce.

- Proszę. O, pióro dla maturzystów? - Alunia zainteresowała się, kiedy kuzyn wyciągnął z tylnej kieszeni dzinsów pisadło podobne do tego, jakie kupiła wczoraj dla pana Władysława. - Właściwie, skąd taka nazwa?

- Zaraz zobaczysz. Zanotuję numer...

Kubuś zapisał na kopercie podyktowany przez Alunię telefon, lecz ona sama nie mogła dojrzeć cyfr. Dopiero kiedy poświecił przymocowaną na końcu pióra lampką...

- Są! - ucieszyła się. - To dlatego? Można zapisywać różne rzeczy na ściągach i nic nie widać? Ale sprytne!

Tylko po co takie cacko panu Władysławowi? Czy miało ono coś wspólnego z listem, który jej podyktował? Warto by sprawdzić.

- Mogę na chwilę? - Wyjęła pióro z rąk Kuby, żeby poświecić nim nad poszarpaną kartką. - Jest! - tym razem okrzyk Aluni oznajmił pojawienie się na dole listu napisu, który głośno odczytała:

*18.07. 15.00. 32 8010532. 1981*

- Jakiś szyfr? - Kuba zagwizdał. - Ten numer w środku to chyba telefon, bo widzę kierunkowy do Katowic.

Alunia nie odpowiedziała. Przepisała wszystko dokładnie, a następnie szybko złożyła kartkę. Targnął nią niepokój. Pan Władysław chciał przekazać coś znajomemu w tajemnicy, a ona wściubiła nos w sam jej środek. Poczowała się co najmniej niekomfortowo. Jak teraz powinna postąpić? Przyznać się, że wysłała list, w którym na próżno ktoś będzie szukał zaszyfrowanej treści? Chyba Kuba ma rację. Środkowe cyfry wskazują na numer telefonu. Dwie pierwsze wyglądają na datę osiemnastego lipca. To dokładnie za tydzień. Czyżby pan Władysław przekazywał w ten sposób, aby ten, kto otrzyma list, czyli... Alunia zerknęła na leżącą na stole kopertę. Gerard Gelding... Tak, żeby ten ktoś zadzwonił osiemnastego lipca o godzinie piętnastej pod wskazany numer? A 1981? Błyskawicznie wróciła myślami do ostatniej telefonicznej rozmowy z Aśką - swoją szwagierką. Czy ona wtedy nie wspomniała tego samego roku? Jeśli to oczywiście rok...

- Kubuś, ja cię strasznie przepraszam, ale muszę coś teraz załatwić - delikatnie dała kuzynowi do zrozumienia, że czas kończyć wizytę. Po jego wyjściu złapała za słuchawkę. Pewnie zachowywała się irracjonalnie, ale co jej szkodziło. Może to zwykły zbieg okoliczności? Sprawdzi dla świętego spokoju.

Aśka bardzo się zdziwiła.

- Tego jeszcze nie grali! Ty dzwonisz do mnie?

- Pamiętasz, opowiadałaś mi kiedyś, że miałaś dziwnych klientów, którzy zamiast rozmawiać, pisali...

- Pamiętam, no i co?

- Jaki był rok na tej kartce?

- Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty pierwszy, bo co?

- A masz jeszcze tę kartkę?

- Mam, a czemu?

- A przesłałabyś mi ją?

- Po co?

Tu pojawił się problem. Alunia nie mogła w nieskończoność ignorować wścibskich zapytań szwagierki. Należało udzielić odpowiedzi, ale jakiej? Kłamać nie potrafiła, a nie chciała zdradzać zbyt wielu szczegółów, gdyż Aśce mogły w związku z tym przyjść do głowy różne głupie rzeczy. Sama do końca nie wiedziała, czemu draży tę sprawę. Może dlatego, że nie rozumiała zachowania pana Władysława?

- Hmm... Chciałam coś sprawdzić. Charakter pisma.

- Czyj?

- Jednego takiego, który też coś zanotował o osiemdziesiątym pierwszym roku.

- Aha. Gdzie zanotował?

- Też na kartce.

- Aha. No dobrze, szwagrówka, skoro ci tak bardzo na tym zależy...

Aśka nawet długo nie dała się prosić. Rozmowa zatoczyła idiotyczny krąg, co sprawiło, że Aluni zawirowało w głowie i straciła już orientację: co, na jakiej kartce, po co i przez kogo. Szwagierka natomiast poczuła się zadowolona, że nagle jej osoba znalazła się w centrum wszechświata dzięki zarozumiałej damie ze Śląska, i zrezygnowała z przesłuchania. Obiecała wysłać kartkę poleconym jeszcze dzisiaj, a Ala mogła z czystym sumieniem zasiąść do swojej lektury. Listem postanowiła się już dzisiaj nie zajmować. Chwilowo sparaliżował ją umysłowo i przestała z tego wszystkiego cokolwiek pojmować.

Panu Władysławowi zdecydowała się jednak nic nie mówić. Ze wstydu zapadłaby się chyba pod ziemię. Perfidnie naruszyła tajemnicę korespondencji.

I na dodatek chyba knuła coś przeciwko własnemu pracodawcy.

Co z tego, że niechcący i z rozpędu...

- Na pewno kopia? - Jacek dostał wypieków i to bynajmniej nie z powodu gorącej zapiekanki, którą właśnie spożywał w towarzystwie Joli. Pierwsze kroki po wyprawie do świńskiego blondyna skierowała do Złotego Osła, gdzie umówiła się z Jackiem na obiad. - Ta lampa nie jest czasem zepsuta?

- Lampa liczy sobie cztery miesiące i działa bez zarzutu - zapewniła. - *Piękni* u blondyna są prawie czarni, nie muszę ci chyba tłumaczyć, co to znaczy?

Jacek sam doskonale potrafił odczytać wiek obrazu pod ultrafioletem, ale nie miał takiej możliwości i musiał zdać się na Jolę, której w tym względzie ufał. Jeśli obraz odbijał się pod lampą na czarno, nie mógł być namalowany przed dwudziestoma laty. To oczywiste.

- Coś jeszcze... - przypomniała sobie Jola. - Większą część obrazu zrobili paskudzielce w bieli cynkowej, żółtej, tak jak powinni, ale kawałek świeci chłodno bielą tytanową. Partactwo... Alunia mówiła coś o farbie, że są kłopoty z produkcją, że w sklepach brakuje cynkowej, więc może Cyckowi w trakcie malowania zabrakło.

- Czyli kopia - powtórzył smętnie Jacek, odsuwając od siebie talerz. Poniósł klęskę na całej linii, wstyd przyznać, przez głupią złośliwość losu. Gdyby wtedy nie zgubił nadajnika...

- Co ty tak się zachowujesz, jakbyś był winny? - zirytowała się nagle Jola. - Zapiekanka pyszniętka, proszę jeść i nie grymasić. Kopia... Mnie też skręca, ale co mam zrobić? Zagłodzić się? Zgłosić publiczny protest? Sypnąć zapiekanką na środek Osła i zawyć? Smacznego, czosnek jest zdrowy. - Energicznie postawiła mu talerz pod nos i wręczyła widelec.

Jacek wpatrywał się przez chwilę w Jolę. Miała rację. Przemyśli sytuację i zastanowi się, co dalej. Nie będzie odgrywał łzawych, podszytych czosnkiem scen.

- A jak Brandys? Miły był?

- Raczej na zimno zły. Nie panoszył się, paszczkę miał zawartą w szczękoscisku, ale sapał i stękał. Poświeciłam lampą w łazience, powiedziałam, że nie jestem w stanie niczego stwierdzić, i poszłam. Jak mu patrzyłam w ryj i myślałam o wczorajszej furze od centralnego...

- Dobrze, dobrze... Ale nie wygadałaś się, że mnie uwolniłaś? Bo ja dla blondyna szykuję małe fiku-miku. Niespodziankę.

- Powinieneś wznieść pomnik na moją cześć, bo zmilczałam. Ale jak sobie pomyślałam, że zostawił cię na pastwę głodu i chłodu... - Jola znowu się uniosła, ale Jacek nie pozwolił jej się przejąć na dłużej.

- Pomnik? W moim zasięgu leży raczej tablica pamiątkowa, nie wiem, czy cię zadowoli.

- Może być tablica, ale porządna. I nie czarna... Szpinak też lubię. - Jola rozsmakowała się w furze warzyw piętrzącej się na talerzu, ale szybko wróciła do rozmowy. - My tu mniem, mniem, a czas omówić ważne sprawy. Zanim zaczniemy trawić, ja proponuję. U blondyna wisi kopia *Pięknych*. Chciałeś być pewny tej kopii, zanim coś postanowimy. Chyba już jesteś? Mówię drukowanymi, uważa! KOPIA!!!

- Jestem pewny, mów ciszej. Teraz możemy postanawiać.

- To działajmy! Na początek trzeba ustalić imię i nazwisko tego ich szefa z Zajączka.

Jacek chrząknął, po czym sięgnął do kieszeni i skromnie położył przed Jolą małą niebieską karteczkę, na której widniało imię, nazwisko i telefon.

- Ja już co nieco zadziałałem od wczoraj - rzekł zadowolony, z przyjemnością odnotowując wyraz miłego zaskoczenia w spojrzeniu Joli.

- Benc? - odczytała głośno nazwisko. - Śmieszne jakieś... Skąd ty to wziąłeś? To jego, oczywiście? - upewniła się.

- Miałem adres, więc jakoś sobie poradziłem.

W kwestiach, co do których chciał, żeby pozostały niewyjaśnione, Jacek postanowił stosować prostą taktykę: zasłona tajemnicy plus pomniejszanie własnych zasług. Że w zasadzie to nic, że takie tam, że ma się swoje sposoby. Miał nadzieję, że obrona taktyka wystarczy na jakiś czas. Nie łudził się, że uda mu się zwodzić Jolę w nieskończoność - była na to zbyt dociekliwa. I tak w końcu się dowie. A wtedy...

- Świetnie, a ja myślałam, że stracimy na to mnóstwo czasu.

- Więcej trudu będzie nas kosztować założenie podsłuchu.

- Podsłuchu? - zapytała niedowierzająco. W niedowierzaniu, należy odnotować, pobrzmiwała także ekscytacja. Perspektywa różnych konspiracyjnych działań ogromnie Joli odpowiadała. Nawet w tej chwili mogła biec, rzucać czosnek i szpinak i trzymać zębami kable podsłuchowego oprzyrządowania. Jeśli, oczywiście, zaszłaby taka potrzeba.

- Warto by wiedzieć, co się dzieje w obozie wroga. - Jacek mrugnął do niej okiem. - Będziemy mieli nad nimi przewagę.

- Cudownie. Ale skąd weźmiemy ten podsłuch i wszystko?

- Ze sklepu, jak to skąd? Albo z internetu. Ja się tym zajmę.

- I każdy tak może? - Jolę poraziła wizja nieograniczonej inwigilacji dowolnej osoby. Podstępem można się przecież wdrzeć do każdego domu i założyć odpowiednią liczbę pluskiew. Małych elektronicznych cudów, które ogołocą człowieka z intymności.

- Deprymujące?

- Paskudnie! To zamach na człowieka!

- Więc możemy Staremu niczego nie montować - rzucił lekko Jacek, ciekawy reakcji Joli.

- O nie! Ja miałam na myśli normalnych, porządnych ludzi. Ten z Zajęczka nie jest porządny...

Podsłuch! I to szybko!

- Nie tak zaraz, najpierw pomyślmy, jak wejść do jego domu. Miejmy nadzieję, że on ten obraz jeszcze posiada.

Jola zamilkła na dłuższą chwilę. Zmarszczyła zabawnie nos, usta złożyła w ryjek.

- Jacek! - wystrzeżiła. - Mam pomysł...

- Niegroźny dla otoczenia?

- Dla otoczenia może groźny, ale dla nas fenomenalny - zapewniła przejęta. - Wiem, jak wyciągnąć z Benca, czy jeszcze nie sprzedał *Pięknych*.

- Jak?

Jola nachyliła się w stronę Jacka i przybrała konspiracyjny ton głosu, co go rozbawiło, choć starał się zachować powagę. Miewała rewelacyjne pomysły, fakt, może i tym razem wymyśliła coś sensownego.

- Będziemy chcieli kupić *Pięknych*! Prawda, że genialne?

- Hmm... Hmm...

- Będziesz jakimś tam biznesmenikiem i złożysz mu ofertę.

Jacek spojrzał na swoje buty, z którymi, mimo zmiany stylu ubierania, stanowczo nie potrafił się rozstać, zupełnie ignorując fakt, że oficerki niekoniecznie pasują do spodni w kant. Biznesmenik? Nie, nie identyfikował się. Nawet biznesmenikom współczuł. Całe życie trząść się nad kasą? Walczyć, zdobywać? Pracować na zawał serca i żonę à la „mam bramę na pilota, jadę do marketu, dostanę tam kota”?

- Jola, popatrz na mnie. Czy ja naprawdę, twoim zdaniem, wpisuję się w biznesmenowy klimat? Wyglądam?

Chyba przesadziła. W towarzystwie Jacka czuła się wyśmienicie właśnie dlatego, że biła od niego oryginalność i serdeczność. W niczym nie przypominał wyelegantowanych gogusiów, nawet kiedy na żądanie Wąsa włożył garnitur. Włosy zebrane w kucyk trochę się wymykały i powiewały wokół miłego dzioba, buciory kłapały, a golizna opalonego ciała pod rozchełstaną koszulą wabiła damskie spojrzenia, nie mówiąc już o tym, że Jacek wypełniał cały swój artystycznie przetworzony strój mięśniami, nie wyglądając przy tym jak rozrośnięty tępak.

- Nie wyglądasz nawet na asystenta biznesmenika - musiała przyznać. - Ale plan jest dobry?

- Plan tak. Tylko jak go sobie wyobrażasz w praktyce?

- Prościutko. Musimy znaleźć kogoś, kto wygląda na człowieka interesu. On złoży propozycję Bencowi, czyli szefowi Wąsa. Jeśli Benc się zgodzi, to znaczy, że ma oryginał. A wtedy...

- Wtedy zrobimy transakcję ustawianą. On da nam obraz, a my...

- Potniemy gazety, zwiążemy, a na wierzch rzucimy po stówie? - tym razem to Jola weszła w słowo Jackowi, który na jej wersję zaśmiał się w głos. On widział zakończenie zdecydowanie inaczej, całość jednak przypadła mu do gustu. Gdyby tak dopracować szczegóły...

- Coś w tym stylu, mniej więcej. Ale ogólnie owszem, brzmi przyzwoicie. Potem oddamy obraz Brandysowi i po krzyku. Przecież kupił go legalnie, nawet jeśli nam się to nie podoba.

- Nie podoba nam się.

- Ale tak właśnie trzeba będzie zrobić.

- A Wąs? Cycek, Benc? Ma im być darowane? Przecież na pewno znowu coś wymyślą! Następnego razu nie zniosę, już teraz posiwiały mi włosy, popatrz. - Jola nachyliła nad talerzem Jacka głowę, demonstrując swój prawy profil. - Tu gdzieś z boku, poszukaj.

- Śliczne - zapewnił z uśmiechem, choć niczego nie zauważył.

- Ja nie chcę być siwa!

- Aaaa... nie myślałaś, żeby zmienić pracę?

Taką ewentualność Jola rozważała wiele razy, ale zawsze odsuwała ją z różnych względów na bok.

- Trudno jest po grafice znaleźć jakieś sensowne zajęcie.

- To zacznij rysować.

- Rysować? Przecież ja jestem nikiem! Kto by chciał kupować moje prace? Jacuś, zejdź na ziemię... A Wąs, chociaż goryl w krawacie i kawał szowinistycznej świni, to mnie i Ani dobrze płaci, bo odwalamy za niego największą robotę i wie, że mógłby nas stracić. Można się do niego przyzwyczaić, jak się go ignoruje. Ale teraz... Przystępca i oszust. Nie wiem, co zrobię, może powinnam się rozejrzeć za mężem? To znaczy, tak teoretycznie... Nie żeby dla pieniędzy... - zastrzegła na zakończenie.

- Za mężem zawsze można się rozejrzeć. Ważne tylko, żeby go nie przeoczyć - usłyszała i ta złota myśl dobiła ją jeszcze bardziej.

Coś ten Jacek brzmiał za poważnie. I o czym ona z nim rozmawia, do jasnej Anielki?!

Czy naprawdę wypowiedziała obłe i odrażające słowo MAŻ, które z coraz większą częstotliwością brzmiało w jej rodzinnym domu, nie bez sugestii zresztą? Chyba zwariowała! Miałaby się dać ciorać tak jak Alunia, wmawiając sobie przy tym wielkie szczęście? Zdychać przy garach, prasować koszule, sprzątać, tachać siaty i co tam jeszcze?! A potem otrzymać zapłatę w postaci obelgi?

- Męża odwołuję!!! Palnęłam i koniec. Żadnych mężów i nie życzę sobie kontynuować takich rozmów. Kawę poproszę. Pięciu czy sześciu przemian, jak jej tam... Zamówisz?

Jacek już swoje wiedział.

Jeśli w Joli taka myśl w ogóle zakiełkowała, dobra nasza! Może się dziewczę zapierać, może się od małżeńskich treści odcinać. On będzie drażył. Nie teraz i nie tutaj, ale drażył będzie. Bo on dokonał wyboru. I czuł, że nie jest temu uparciuchowi w spódnicy obojętny. A jeśli faktycznie Jola z zasady sprzeciwia się małżeństwu... Cóż robić, przecież na łańcuchu nie zaciągnie jej przed ołtarz. Będą sobie po prostu żyli razem. I już!

- To co ze sprawiedliwością? - zapytała Jola, kiedy Jacek wrócił do stolika z filiżankami. - Będziemy tę bandę tropić? Jak Wąs pójdzie do więzienia, to już mogę się pożegnać z pracą, a z drugiej strony coś we mnie protestuje na takie podłe złodziejstwo.

- Taaaa - usłyszała w odpowiedzi. Jacek mieszał w zamyśleniu kawę, a kwestia sprawiedliwości zdawała się go w ogóle nie obchodzić. - Ten człowiek interesu, który za nas kupi Pracza... Skąd go weźmiesz? - nieoczekiwanie przeszedł do rozmowy sprzed chwili.

- Mam taką cud-koleżankę, która posiada różnych dziwnych znajomych.

- Czy my chcemy różnych dziwnych znajomych?

- A który niedziwny zgodzi się brać udział w tym, co planujemy? Wiesz o takim, to go dawaj.

- Nie wiem. Moi znajomi nie wyglądają na biznesmenów i są daleko stąd, we Wrocławiu.

- To nie stawiaj oporu. A Aldona mieszka rzut beretem, na Staromiejskiej. Jest prześliczna i zna wszystkich majątnych facetów w Katowicach. I oni zrobią dla niej wszystko, a potem zamilkną. Tylko skinie paluszką. Najmniejszym i wypielegnowanym. Jak uda się namówić Aldonę, to ona namówi kogoś, żeby nam pomógł.

- Namówi?...

- Nie sugeruj nic obleśnego, proszę cię. Aldona ma chłopaka i ci różni dziwni koledzy o tym wiedzą. Ale żadne sakramentalne „tak” przecież jeszcze nie padło, więc są zvarci i gotowi. Co ty na to?

Propozycja wydała się Jackowi tak idiotyczna, że pomyślał, iż może się udać. Ale wtajemniczenie kolejnej osoby nie leżało mu okrutnie. Ania Jankowska, pewnie pobieżnie Alunia, teraz jakaś tam Aldonka. Czy niedługo powstanie specjalna sekcja dochodzeniowa składająca się z koleżanek Joli?!

- Co jej powiesz?

- Prawdę.

- Nie zgadzam się! - zaprotestował stanowczo. - I miałbym do ciebie również prośbę, żebyś za bardzo nie chwaliła się Aluni tym, co robimy.

- Aluni? Alunię nużą tematy malarskie dzięki Filipowi! Jak słyszy słowo obraz, uszy jej się automatycznie zamykają. A Aldona jest przeprze... Ładna, mądra i rozsądna. Do tego jeśli jej powierzysz sekret, to jak w studnię - zapewniała Jola, ale Jacek patrzył powątpiewająco.

- Naprawdę znasz taką? Piękna, mądra, rozsądna?

- Znam, ale zaczęłam się zastanawiać. Możesz się w niej zakochać, więc chyba...

Jacek położył rękę na dłoni Joli i z całego serca zapewnił:

- Nie mogę, bo już jestem zakochany. W kim innym.

Kiedy Niezguła, który szukał mieszkania dla syna, znalazł się przypadkowo u chcącego sprzedać swoje lokum Marka Brandysa jako ewentualny klient i śmiertelnie zdenerwowany stwierdził, że zakupiony na aukcji przez Brandysa obraz to kopia, ten nie mógł uwierzyć. A potem uwierzyć musiał. Pan Niezguła prawie się na widok *Pięknych* popłakał i Brandys zyskał pewność. Dwadzieścia lat gapić się na obraz nad własnym stołem? Można się napatrzeć i zapamiętać na całe życie.

Zrobili go w...

A tak coś przewrotnie patrzyło z oczu temu szczawikowi z kucykiem, z którym gadał w sklepie. Taki cwany, przemądrzały znawca sztuki! Skurkowaniec! Niemożliwe, żeby sam z siebie namawiał na Pracza. Murowane, że właściciel domu aukcyjnego o wszystkim wiedział. Grzegorz Wąs, zapamiętał jego imię i nazwisko.

Marka Brandysa nikt nie wykiwa.

Ta ich rozmowa... Dyrektorek wił się i płaszczył jak mała zachłanna pijawka. I był zaskoczony, zmieszany. Już on zna się na ludziach. Dał mu więc tydzień, bo dyrektorek chyba pojął, że z Brandysem nie pójdzie tak łatwo, a pijawki wolą unikać policji. Z pijawkami można się dogadać, jeśli się wie, jak z nimi postępować. A on wiedział. Jeszcze tego samego dnia wziął do pomocy chłopaków i znalazł mieszkanie szczawika. Pojechali prosto za nim. I zaobrączkowali go. Nawet się skutecznie bronił, ale Włodek dał mu w końcu radę. Skończyły się żarty. Żeby mordy nie dał po sąsiadach, równiutko mu ją zakleili. Się przyjdzie dzisiaj wieczorem, to może zmieni zeznania, zobaczymy. Przestraszony będzie na pewno i dyrektorek przekona się, że Brandys ma jaja. Bo ma!

Rano przyszła jakaś pinda z domu aukcyjnego i zamknęła się z obrazem w kiblu, żeby popatrzeć pod lupą czy lampą, nie wiadomo. Ale nic nie zobaczyła. Trudno, on sobie spokojnie poczeka. I nie popuści.

Analizował po raz kolejny sytuację, kiedy do drzwi dało się słyszeć grzmotliwe łup, łup! Co za chamstwo jakież tak wali? Co jest?! Ludzie są bez kultury!

Na korytarzu stał niewielki facet o wyjątkowo antypatycznym ryju. Zanim przemówił, cmoknął, jakby mu coś wlało między zęby.

- Policja - rzucił i podetknął Brandysowi pod nos legitymację. Od wyciągniętej łapy zalatywał smród papierosów i jakby jakiejś emalii czy rozpuszczalnika.

- Policja? A w jakiej sprawie? - Naraz drgnęła w nim nadzieja. - O obraz chodzi?

- Tak jest, dostaliśmy zgłoszenie.

- Od kogo?

- Można do środka? - Facet znowu cmoknął i wpakował się Brandysowi na lśniący parkiet.

- Zapraszam, pan...

- Gdzie jest dowód rzeczowy? - Facet nie zamierzał wdawać się w dyskusję.

- Obraz?

- A o czym mówimy?

Brandys, rad nierad, poprowadził przedstawiciela organów ścigania do największego z pokoi i wskazał na ścianę.

- Wisi...

- To ściągnij go pan. Zabieram go.

- Teraz?



- A kiedy? Najszybciej za trzy dni dostanie pan pokwitowanie.

- Co z nim zrobicie?

- Pojedźcie do laboratorium, trzeba sprawdzić, czy rzeczywiście kopia. O wynikach powiadomimy, ale takie rzeczy, wie pan, nie od razu...

Wiedział, oczywiście. Najważniejsze, że coś się w sprawie ruszyło. I chyba sam dyrektor musiał zgłosić sprawę, ale już nie wypadało się dopytywać. Gburowaty ten policjant, morda zakuta jakaś. Nieważne, grunt że drgnęło. Drgnęło, nie drgnęło, a szczawika i tak odwiedzi. Odkajdankuje go i po swojemu przesłucha. Albo odwrotnie. Najpierw przesłucha, a potem rozkuje.

Dobrego nigdy za wiele.

Zgodnie z przewidywaniami Aldona nie zawiodła. Wysłuchała Joli i z miejsca zgodziła się na udział w całym zamieszanu. Odebranie złodziejowi łupu wzięła sobie niemal za punkt honoru. Jedyna trudność polegała na wytypowaniu odpowiedniego kandydata.

- Ma wyglądać? Takich to ja znam wielu. Hmm... - zamyśliła się.

- Naprawdę? Czy my aby na pewno mieszkamy w tym samym mieście?

- W tym samym, w tym samym. Kto by się tu nadawał?

- Wygląd to nie wszystko, facet musi też być chyba lekko kopnięty - podsunęła Jola, przyglądając się nienagannemu francuskiemu manikiurowi koleżanki, która wydeła lekko usta i powiodła palcem po brzegu szklanki.

- Kopniętych też znam wielu - zaśmiała się. - Ale Romuś Kulesza będzie chyba w sam raz. Mówisz i masz, on tak zawsze powtarza. Wielki, kudłaty...

- Ma wyglądać - przypomniała Jola.

- Wygląda bardzo dobrze. Kudłaty, dlatego że kręcony blondyn, ale ufryzowany, wypachniony. Robi jakieś interesy, chociaż ja bym wątpiła, czy takie czyste. Zniknął kiedyś na dwa lata, nikt nie wiedział, gdzie jest. Potem mówił, że siedział w Chinach na kontrakcie, ale mnie tak coś świta, że siedział, owszem, ale raczej w sanatorium za kratkami.

- To chyba lepiej? Nie będziemy uczciwego obywatela wikłać, bo nie możemy mu powiedzieć prawdy. Wolę kłamać nieuczciwemu. Jacek, ten mój kolega, już miał opory, jak powiedziałam, że ciebie wtajemniczę.

- Romuś nie będzie się dopytywał, już ja o to zadbam, nie martw się.

- Tak? To świetnie. Spotkajmy się w takim razie z nim jutro. Może wygra casting...

Z Jackiem Jola zobaczyła się dopiero o osiemnastej u niego w mieszkaniu. Po przejściach Aluni z Filipem i niezapomnianej scenie w ogrodzie lepiej było unikać zapraszania go do siebie.

- Chodź, chodź. - Otworzył drzwi, zanim zdążyła sobie przypomnieć wczorajszy koszmar, kiedy stojąc na wycieracze, wsłuchiwała się w dźwięki wytwarzane przez niego kajdankami. Znowu para-

dował bez ubrania, przewiązany w pasie ręcznik zbyt wiele nie zakrywał. - Poczekasz chwilkę? Zaraz przyjdę, tylko się ogolę. Rozgość się.

- Po wczorajszym przemeblowaniu czuję się tu już rozgoszczona - mruknęła, kiedy Jacek zniknął w otchłani łazienki. - Aldona się zgodziła! - krzyknęła. - Słyszysz?

- Słyszę, weź sobie może jakieś gazety. Ja zaraz kończę!

O wiele bardziej niż prasa Jolę zainteresował włączony komputer, który stał na biurku. Jacek bawił się w gierki? Ciekawe. Nie słyszała o takiej grze. Na zielonym ekranie zobaczyła zaznaczone na żółto ulice Katowic. Woźniczki, Kępowa, Brynowska...

- Jak to działa? - zapytała, bo Jacek już wchodził do pokoju. Bez ręcznika, za to w dżinsach i fioletowej koszulce z napisem: „Nie lubię chodzić do przedszkola”.

- W co? Yyyy...

Ale zrobił minę! Jasne, nie lubi chodzić do przedszkola, w domu ma przecież lepsze zabawki. Zresztą baby też prezentują sobą małe zboczenia. Pudry, buciki, koronki, duperełki, jakich męskim rozumem się nie ogarnie.

- Znalazłam biznesmena - postanowiła nie ciągnąć wstydliwego tematu i odeszła od biurka.

Jacek szybko zamknął komputer, a wyraz spłoszenia spełzył z jego lica, które znowu stało się krasne, a teraz nawet gładziej niż zazwyczaj. Jola odnotowała także, że powiewało od niego przyjemnie miętą - pewnie jakieś zapachowe cudo po goleniu.

- Opowiadaj!

- O czym? Aldona wybrała jednego i jutro zobaczymy. Zrobimy u ciebie takie niezobowiązujące spotkanie towarzyskie, na razie bez tłumaczenia chłopu, o co nam chodzi. Jak się facet nie spodoba, Aldona będzie zapraszać następnych. Do skutku.

- A jak się spodoba?

- To mu powiemy, że mamy do niego prośbę. My będziemy gadać, a Aldona dla odmiany będzie mu zaglądać w oczka.

- W oczka... Jaką prośbę?

- Zamierzamy kupić obraz, ale właściciel nie chce sprzedać byle komu, a my wyglądamy na gołych i wesołych. Nie miałyby zaufania, więc potrzebujemy kogoś odpowiedniego w zastępstwie. Proponuję nie ściągać do jutra tej koszulki. Ja też włożę coś marnego.

- O, przepraszam cię bardzo - Jacek się zachnął. - Nawet nie wiesz, ile ta marna część garderoby kosztowała.

- Ale wygląda, jakbyś sobie ten napis wykonał sam. Pastą do zębów.

- Za grosz wyczucia!... Co planuje pani dalej, pani kierownik?

- Pominę twój złośliwy przytyk. Dalej... zadzwonię do Benca i zaproponuję spotkanie biznesowe. Ja będę asystentką naszego Romana, ty jego osobistą ochroną. Na rozmowę z Bencem włoż garmi-

tur, koszulka do szafy. A na spotkaniu zobaczymy, co wyniknie. Jeśli Benc jeszcze nie sprzedał *Pięknych...*, to się z nami dogada. Ten nasz biznesmen trochę się potarguje, żeby nie było podejrzane. Potem umówimy się na transakcję, bo to przecież nie od razu, więc zostanie trochę czasu, żeby się zastanowić, jak ją zorganizować. Odzyskamy obraz, oddamy Brandysowi i po sprawie.

- Zastanawiam się, czy Benc w ogóle będzie chciał z nami gadać. - Jacek nagle zwątpił. - Wszystko pięknie, ale wyobraź sobie, że masz obraz. Zachachmęciłaś i masz. Nie sprzedasz go przecież byle komu z ulicy, ale osobie zaufanej.

- W takim razie siedźmy i popijajmy wino. - Jola zirytowała się. - Patrzmy przez okno, nie ruszajmy kończynami, a złodzieje niech rozkradną cały świat. Potem możemy ewentualnie skoczyć na małe wczasy do więzienia. Bo dziwnym trafem wrobią w imprezę nas. Ciebie, wiadomo. Brandys już wprost powiedział, że jesteś w zмовie z Wąsem. A skoro ja połaszczyłam się na *Tancerkę*, mogę być też zdolna do gorszych rzeczy. Wąs wyrobi mi opinię u władz, spokojna głowa...

- Ja tylko na głos myślę.

- Myśl może w odpowiednim kierunku. - Posłała Jackowi niechętnie spojrzenie.

Czy on nie pojmował rzeczy oczywistych? Trzeba działać! Tylko patrzeć, jak blondyn popędzi na policję i zgłosi, że został oszukany.

- Poza tym jak wytłumaczysz Bencowi, że wiesz, że to właśnie on jest w posiadaniu *Pięknych*? - Jacek zadał kolejne pytanie.

- Czy od razu trzeba rzucać tytułami? Biznesmenik powie, że obilo mu się o uszy nazwisko Pracza i tyle. Lubi Pracza, nieważne co. A nie chce zdradzać informatora, bo go straci. Pełna dyskrecja. Kasę ma, dziwnym trafem kasa zatyka gębę wielu ludziom. Zauważyłeś?

Jacek poczuł, że oblewa go fala gorąca. Zbyt pochopnie zgodził się chyba, żeby Jola objęła kierownictwo, a w zasadzie nawet się nie zgadzał. Ani się obejrzał, a już robił to, co sobie wymyśliła.

- Aha. I biznesmen odstawi cały ten teatr, bo Aldona jest piękna, mądra i rozsądna?

Dochodziła dwudziesta. Na parkingu przy ulicy Granicznej zaparkował czarny ford, z którego wysypało się trzech mężczyzn. Dwóch mięśniogłowych i wypłowiały blondyn. Świsnęły zatraskiwane drzwi, w powietrzu przebrzmiał klikot autopilota. Panowie splunęli i tocząc wkoło spojrzenia władców podwórka, pobujali się pewnym krokiem do jednego z bloków. Nie czekając na windę, wdrapali się na trzecie piętro i stanęli pod znanymi sobie drzwiami.

- Co, wchodzimy? Przecież nam nie otworzy...

- Włącz. - Blondyn skinął głową i odruchowo poprawił na szyi złoty łańcuch.

Właściciel potężnego torsu już naciskał na klamkę, kiedy drzwi niespodziewanie odskoczyły. W progu stanął (jak?! skąd?!) policjant i mierzył w nich bardzo niezadowolonym spojrzeniem.

- Słucham panów.

- My... - Blondyn na chwilę zaniemówił.

- Tak?

- Czy ten pan...

- Ten pan jest aktualnie przesłuchiwany w sprawie o oszustwo. A panowie pukać nie potrafią?  
A może tu się szykuje wtargnięcie?

Na widok Jacka Romuś Kulesza, zwany przez co niektórych Kulą, zapomniał języka w gębie. Raz z zaskoczenia, dwa - Jacek tak na niego spojrział, że Kula w lot pojął. Miał ten jęzor trzymać na uwięzi i nawet nim nie mlasnąć. Aldona powitała Jacka swoją opaloną w solarium dłonią i przedstawiła towarzystwo. Po różnych grzecznościach, które przetrzymał, nie spuszczać oka z przybyłego w jego progi gościa, nadszedł czas na kawę.

- Może pan Roman pomoże mi w kuchni?

Jola z Aldoną zachichotały zadowolone, że zostaną obsłużone przez dwóch facetów, po czym zajęły się miłymi ploteczkami. Jacek puścił kandydata na biznesmena przodem. Już w korytarzu pozwolił sobie na komentarz.

- Posłużyły ci te dwa latka, przybrałeś w talii... Gdzie to? W Chinach?

Kula zmilczał, ale nie zamierzał się dać zaczepiać. Stanął pośrodku kuchni, założył ręce za pasek, żeby poczuć się pewniej.

- Co jest? Coś nie tak? Aldona mnie tu specjalnie...

- Kula! - Jacek zbliżył się na tyle, że mógłby Romeczkowi dmuchnąć w jego rozwichrzoną grzywkę. - Przypadek. Chodzą podobno po ludziach. Nawet z Wrocławia potrafią się za człowiekiem przywlec...

- Czego chcesz?

- Żebyś trzymał buzię na kłódkę. Nie znasz mnie, ja nie znam ciebie.

- Tylko tyle? Nie wierzę.

- Zrobisz to, o co zostaniesz poproszony, nic więcej.

Na nosie Kuli zebrały się małe krople potu.

- Nie chciałbym wrócić... do Chin. - Starł się nie okazywać emocji, ale w jego głosie czuć było napięcie.

- Nie wrócisz. Zrób to, o co cię poprosimy, nic nielegalnego zresztą. Potem się rozstaniemy, ciąg dalszy nie nastąpi. Finito... Pamiętaj, nie znamy się... Bierz dzbanek z kawą i pędź do pań. A do Aldony, na stronie, też ani słowa. Grób, mogiła... Jasne?

- Grób? Jak to grób? - Romeczkowi nie udało się i tym razem opanować paniki.

- Co się trzęsiesz? Nie trzeba się było więcej uczyć, baranku? Takie powiedzenie jest. Milczeć jak grób, nie znasz? Nie znasz... Tacy jak ty powinni wrócić do szkoły. Idziemy.

Czy Jacek nie zrobił znajomemu Aldony jakiejś krzywdy, choćby psychicznej? Jola zauważyła, że Romek wracał z kuchni co najmniej przerażony i popatrywał na Jacka spod byka. Ki diabeł?

- Doszliśmy z panem Romanem do porozumienia - obwieścił tymczasem Jacek. - Pan nam pomoże, zapewnił... Jolu, wytłumacz, o co chodzi.

- Zaraz, zaraz. - Jola baczniej przyjrzała się siedzącemu naprzeciw niej mężczyźnie, który bynajmniej nie wyglądał na zachwyconego. - Nie rozumiem. Pan Romek się zgodził, chociaż nie wiedział na co?

Jacek chrząknął i posłał Romusiowi spojrzenie, które sugerowało, że podczas konwersacji z paniami należy wykrzesać z siebie nieco więcej finezji.

- Nooooo... Ja ufam Aldonie. Jeśli ona chce mnie o coś prosić, to ja zawsze. Pan...

- Jacek - odpowiedział z naciskiem posiadacz swojego imienia.

- Tak... Pan Jacek... może na mnie liczyć. Nie ma problemu, mówisz i masz.

Stanowczo coś jednak w powietrzu zawisło, a Jola życzyła sobie oddychać powietrzem czystym, nieskażonym różnymi niewypowiedzianymi aluzjami. Wołała aluzje wyartykułowane, które miały tę zaletę, że można było z nimi polemizować.

- Przepraszam was na chwilę - rzuciła w stronę Aldony. - Jacuś, pozwolisz do kuchni? - Niemal wywlokła swojego kolegę zza stołu.

- Już, już.

- Zgadzasz się na tego faceta? - zapytała, nacierając na niego pod lodówką.

- Zgadzam się.

- A czemu, jeśli łaska?

- Ładniutki jest, lokowaty, pachnący... Pasemka ma.



- Jacek! Ty nie rób sobie jaj! Czemu on taki przestraszony?

- Jaj... Fu, takie brzydkie słowa w tak ponętnych ustach. Już dobrze... Okazałem mu siłę swojej zazdrości i lekko się spłoszył.

- Że jak?

- Że bardzo ci się przyglądał, więc nakreśliłem mu nieco sytuację.

W pierwszej kolejności Jolą targnął pusty śmiech, a po chwili poczuła w środku irytację. Co to za rządzenie się jakiejś jej osobą, zwierzęce obsikiwanie terenu!

- Uprzejmie cię w takim razie proszę, żebyś mi też nieco nakreślił... Sytuację...

Jacusz przysunął się bliżej i zasiajał Joli do ucha ciepłym oddechem.

- Sytuacja wygląda tak - wyszeptał - że żaden gość z kręconym czerepem nie będzie ci się gapił nie powiem gdzie.

- A gapił się?

- Jak cholera!

Chwile spędzone pod lodówką Jola musiała zaliczyć do upojnych. Jacek znajdował się ze swoim męskim ciałem tuż-tuż, a jego nos smyrał ją sympatycznie po policzku. I to bijące od niego mięto-we ciepłko...

- Jola!!! - z pokoju, jak na zamówienie, rozdarła się Aldona. - Powiedz Romkowi, że mu fajnie w tych włosach, bo mi nie wierzy!

- Fajnie mu!!! - odkrzyknęła, po czym spojrzała pytająco na Jacka, który odskoczył jak oparzony i wylądował pod oknem.

- Romek od biedy może być - zapewnił, jednak trochę był na Aldonę zły. Włosy Kuleszy miał w tym momencie w głębokim poważaniu. - Będzie się dobrze jako biznesmen i klient prezentował. Poza tym lubi malarstwo, tak powiedział.

- No, nie wiem...

- Ale ja wiem, bierzemy go. Idź mu dokładnie wytłumacz, ja wezmę się za coś z procentami.

Znajomy Aldony, pokrzepiony piwkiem, odzyskał koloryt i chęci do rozmowy. Według zapewnień Jacka niby znał się na sztuce, jednak nie słyszał o tak wybitnym malarzu jak Pracz, co Jolę mocno zdziwiło. Palnęła więc stosowny wykład, po czym przeszła do szczegółów, które Romek przyjął bez zastrzeżeń. Potulnie wszystkiego wysłuchał i zapewnił po raz kolejny, że nie ma problemu, że mówisz i masz i tak dalej. Przy drugiej butelce zażądał natomiast, by Jola go nie postarzała i zwracała się do niego per „ty”. Po zacieśnieniu w ten sposób znajomości pozostawało tylko wykonać telefon do Benca i spróbować się umówić. Ufff... Joli skoczyła nieco adrenalina, ale cała trójka otoczyła ją wianuszkami, co znacznie zmniejszyło treść. Pocieszenie stanowił także fakt, że Jacek ustawił rozmowę na tryb głośnomówiący, więc gdyby miała palnąć jakąś głupotę, wkroczyłyby do akcji i coś po cichu zasugerował.

Po wystukaniu numeru przez chwilę w pokoju panowała cisza, a potem dał się słyszeć oschły męski głos. I znowu Jola nie mogła odgonić nieprzyjemnego akustycznego wrażenia, że głos tego człowieka jest jej znajomy.

- Benc, słucham.

- Dzień dobry, my się nie znamy... Yyyy... Jo... Joanna Ziemińska, asystentka pana Romana Kuleszy. - Jola z przerażeniem stwierdziła, że z rozpędu podała prawdziwe imię i nazwisko Romka. Ten jednak przyjął to spokojnie, dając znak, że wszystko w porządku.

- Kulesza, Kulesza... Słyszałem o panu Kuleszy - padło niespodziewanie i w głosie Benca pojawił się nowy, uprzejmy ton.

Jacek pokazał wszystkim wyprostowany kciuk w geście „Dobra nasza”, Jola także poczuła się pewniej.

- Mój przełożony ma dla pana pewną propozycję.

- Cóż mogę powiedzieć... W jakiej materii?

Matyldo święta, co powinna odpowiedzieć? Takich spraw nie omawia się chyba przez telefon? Już i tak wyskoczyła jak idiotka z personaliami Romka. Jacek, zgodnie z tym, co sama myślała, położył palec na usta, nakazując milczenie.

- Może szczegóły omówimy osobiście? - zasugerowała.

- Rozmowa nic nie zaszkodzi... Jutro o osiemnastej?

Romuś z Jackiem porozumieli się wzrokiem i pokiwali głowami.

- Chwileczkę, zajrzę do notesu... Osiemnasta? W porządku, jesteśmy umówieni.

- Prowadzę Małą Galerię na Kościuszki. Pani wie, gdzie to jest?

- Wiem, oczywiścieeee... - Lekko przesłoniła głośnik telefonu, bo Jacek zakrztusił się kawą, ale szybko wybiegł z pokoju, żeby Benc nie usłyszał jego charkotu.

- To zapraszam tam jutro pana Kuleszę. Żegnam.

Czy ona przypadkiem nie obsługiwała przed chwilą wiertarki udarowej? A może odgrywała jakiś skoczny kawałek na kontrabasie? Tylko tak mogła wytłumaczyć stan rozklekotania swoich dłoni.

- Dajcie mi czegoś na uspokojenie, łapy mi się trzęsą! Mała Galeria?... Czyli nasz Benc ma sklep z antykami. No proszę, jak pięknie!

Romek skoczył po szklanę, do której nalał Joli najpierw soku malinowego, a potem piwa.

- Dałaś czadu - wyraziła uznanie Aldona. - Chwileczkę, zajrzę do notesu... Hi... hi... Bomba! Romuś, ty znasz tego gościa? Benca? - Skinęła na telefon.

- A skąd!

- To czemu on zna ciebie? - Jolę również zastanowiły usłyszane słowa.

- Nie mam pojęcia! Przecież nie powiedział, że mnie zna, tylko że o mnie słyszał. Wielu o mnie słyszało, sławny jestem - zarechotał.

- Dla nas to nawet lepiej - oświadczył Jacek, stając w drzwiach. - Zaczął inaczej rozmawiać, zwróciliście uwagę? Kto wie, może ten idiotyczny pomysł wypali... Zdrówko!

Romek zdrowia sobie nie żałował, a że zaczął wznosić toasty już w trakcie wcześniejszej rozmowy z Jolą, po pewnym czasie wspólnego biesiadowania padł na twarz, szczęśliwie na wersalkę. Jacek z siłą, o jaką by go Jola nie podejrzewała, przeniósł spijaczonego kolegę do drugiego pokoju.

- Niestety Romek lubi czasem zajrzeć do kieliszka - musiała przyznać Aldona.

- Ale nie schła nam się jutro? - Jacek pozbierał butelki po piwie i ustawił je pod ścianą.

- Jak dzisiaj zmoczył dziób, jest nadzieja... Ma przejścia z żoną.

- I startuje do ciebie?

- Jakie tam startuje! - Aldona prychnęła i podkuliła nogi, prezentując seksowne udo, czego Jacek zdawał się w ogóle nie zauważać. - Romek musi się spotykać z ludźmi, żeby nie zwariować.

- Więc się spotyka z tobą? Siedemdziesięcioletnia staruszka to też ludź.

- Noooo, podobam mu się, nie powiem, ale on wie, że ja mam Andrzeja. Generalnie to chyba jesteście zadowoleni? Ten wasz od obrazu...

- Benc.

- Benc o nim słyszał, nie jest źle.

- Właśnie. - Jacek chciał zaproponować Aldonie coś jeszcze. - Nie wiem, czy mogę, ale... co byś powiedziała, gdybyśmy cię poprosili o założenie Bencowi podsłuchu? - wypalił bez żadnych wstępów, chociaż nie uzgodnił wcześniej swojego pomysłu z Jolą.

- A ja? - Jola drgnęła. - Po co narażać Aldonę?

Aldona z wrażenia poderwała się z fotela. Jejku, przez chwilę poczuć się jak jakaś dziewczyna Bonda? Świetnie!

- Zgoda! - zakrzyknęła.

I masz babo, a raczej baby, placki... Co on ma teraz? Rzucac monetą? Na szczęście Jola przeżyła sprawę.

- Jednak ty, Aldonka, będziesz lepsza - przyznała. - Jeśli pójde na spotkanie z Bencem, to wizualnie będę już spalona.

- Jasne, a co mam robić? - Aldona czekała na rozkazy.

- Jutro wszystko kupię i ci wyjaśnię - oznajmił Jacek. - Podsłuch to taka mała pierdółka, którą trzeba przykleić. Najlepiej pod stołem w salonie i w pokoju, gdzie facet pracuje, dzwoni, rozmawia...

- Czyli gdzie?

- To już musisz ustalić na miejscu.

- A jak tam wejdę?

- Hmm... Zastanówmy się.

- Ja myślę, że Benc od razu wpuści Aldonę, jak ją tylko zobaczy. - Jola machnęła ręką. - Ale jakiś bajer trzeba przygotować... Może zrobię coś do picia? Te butelki też zabiorę, psują krajobraz.

- Teraz? - Jacek się skrzywił. - Ty jesteś dobra w bajerach, wymyśl coś.



- Może jakaś kolacyjka? Masz ser? Zrobilibyśmy grzanki. Mnie osobiście lepiej się myśli z pełnym żołądkiem.

- Jola...

- Co? Mówię wam, że facet przepadnie na widok tej wariatki. Popatrz na jej nogi... Dom, wyрко, wszystko stanie dla niej otworem! Bez obrazy, oczywiście - dodała, gdyż Aldona zrobiła dość niewyraźną minę.

- Jakim otworem?! Benc ma prawie sześćdziesiątkę! - Jacek już się zniecierpliwił.

- Sześćdziesiątkę? A ty skąd o tym wiesz? - spytała jego szybko łącząca fakty koleżanka, a Jacek, gdyby mógł, odgryzłby sobie swój niewyparzony jęzor. Znowu wpadka! Szybko, musi coś wymyślić!

- Przeszedłem się dzisiaj po obiedzie na Zajączka. Trafiłem, jak wychodził.

- I nie podzieliłeś się?!

- Jolunia, zapomniałem - udał skruczę. - Nic specjalnego nie zobaczyłem, więc nie pchało mi się na usta, ale zdążyłem faceta obejrzyć... Właśnie! - Jacka olśniło. - Może Aldona będzie pracownicą administracji?

- Przecież to domek jednorodzinny - Jola zareagowała od razu, porzucając niewygodną dla Jacka kwestię. - Do kitu. Ja bym na przykład z prądem kombinowała. Prąd mają wszyscy.

- O, widzisz! Ale co dokładnie z tym prądem?

- Aldona może być z energetyki i spisywać stan liczników. U nas ostatnio sprawdzali. A po pokojach też się przejdzie i zobaczy, czy gniazdko mają uziemienie. Ale to chyba trzeba jakimś przyrządem, więc nie wiem.

- Mogę. - Aldona nie widziała przeciwwskazań. - Jak mi wytłumaczycie, co z tym uziemieniem...

Jawne parsknięcie pewnie by Aldonę uraziło, więc Jacek zakaszłał.

- Najważniejsze, żebyś tam weszła i podziałała na Benca - powiedział, chrząkając. - Reszta jakoś pójdzie. Uziemienie proponuję zostawić.

Obiektywnie rzecz biorąc, nieco cygańska uroda Aldony naprawdę mogła otumaniać reprezentantów płci męskiej. Chmura kręconych włosów, pełne usta. Do tego te różne brzęczące bransoletki. O, ta powyżej kostki na przykład, bardzo miły dzindziołek. Pierś wychylająca się spod bluzeczki obszytej przy dekolcie złotym napisem „Greg Zorba” też niczego sobie. Jednak przy Joli...

- Po prostu obejrzyj gniazdko - uciał temat.

- Obejrzę, potem zagadam, usiądziemy przy stole...

- Poprosisz o herbatę, on pobiegnie w podskokach, jeśli jeszcze jest sprawny, do kuchni... - podsunęła Jola.

- I przykleję małą pierdółkę, czyli podsłuch, pod stołem. Idealnie. Zdrówko!

Impreza przeciągnęła się do wieczora. Romuś przebudził się na *Wiadomości*, po których zamówił taksówkę dla siebie i Aldony. Jacek odprowadził Jolę, zamienił z nią parę słów po drodze i czym prędzej wrócił do siebie.

Mała Galeria na Kościuszki!

Program też, ni stąd, ni zowąd, wyrzucił mu dzisiaj po południu taką ulicę - dlatego się zakrzuszył, słysząc ją z ust Benca. Przypadek? Niemożliwe! Musi sprawdzić, pod jakim numerem galeria figuruje i czy to ten sam numer, który podał komputer.

- Mała Galeria... - mruzczał, uruchamiając w internecie wyszukiwarkę. - Jest! Zgadza się! W mordę jeża!

Co się w takim razie wydarzyło? Nie rozumiał. Przecież kopia powinna wisieć u ryżego blondyna. Czemu trafiła do Benca? Blondyn nie mógł być jego współnikiem, bo to już w ogóle byłoby pozabawione sensu...

Musiał szybko z kimś porozmawiać.

Pilot stanowczo mógł się pochwalić lepszą kondycją niż Alunia, choć po trzech miesiącach regularnego biegania i ona czuła się już w nogach lepiej. Na początku dyszała jak ranne zwierzę, przystawała co chwilę, a teraz dobiegała bez postojów aż za staw do Pan de Rossy i z powrotem. Jednak wczoraj zrezygnowała z wieczornego wysiłku z powodu bólu brzucha, a dziś też nie najlepiej się czuła. Dobiegła do głównej alei i postanowiła dać za wygraną. Pospaceruje tylko, rzuci Pilotowi jakiś kij, żeby się cieszył i nie szczekał.

- Pilot! Łap!

Kudłata kula zniknęła w zaroślach w pogoni za rzuconym przez Alunię badylem, jednak jakoś długo nie wracała. Alunia stęknęła i poszła za psem. Tak jej się niefortunnie rzuciło. Za krzakami ciągnęły się wielkie rury, chyba z elektrociepłowni. Jeśli kij utkwiał między nimi, Pilot po powrocie do domu będzie się nadawał jedynie do porządnego szorowania, a na to zupełnie nie miała ochoty.

Już chciała na niego zawołać, kiedy psisko dopadło jej stóp. Ale tak dziwnie, chyłkiem. Jednocześnie Alunia usłyszała czyjeś głosy, które dolatywały raczej ze sporej odległości i mogły być niesione po rurach, jednak nie odważyła się tego sprawdzać. W ich okolicy uwielbiali się kręcić bezdomni, a na spotkanie z nimi nie miała ochoty. Coś jednak sprawiło, że nie wycofała się, ale zaczęła słuchać i składać pojedyncze wyrazy w zdania.

- Za długo to ...rwa! - ktoś grzmiał.

- Robię co ...gę - odpowiedział mu drugi głos, w którym Alunia z zaskoczeniem rozpoznała Jacka! Na pewno. Z trudnością, ale jednak. Jacek miał bardzo charakterystyczny głos, nie sposób go było pomylić z żadnym innym. - Dużo prze... już wiemy... Ma ...enca na ...cy.

- Ja bym go już ...ował. Wszystko ...sne. Wystarczy tam wejść!

- Jeszcze parę dni! - odpowiedział Jacek tym razem wyraźnie. - ...ości! Mam plan, a ty załatwisz z ...rem.

To były ostatnie słowa, jakie Alunia usłyszała. Przejście przez krzaki stanowiło bowiem drogę na skróty do sąsiedniego stawu i właśnie pojawiła się na niej jakaś para. Musiała się wycofać.

- Pilot! Chodź, piesku, do domu.

Czy Jola na pewno wiedziała, z kim się spotyka?

O czym ci dwaj rozmawiali?

Efekty? Plan?

Ja bym go już ...ował?

Czy, nie daj Boże, chodziło o słowo „zamordował”?!

A może ona po prostu przesadza? Rozpakował, zawojował, jajczkował... W słowniku języka polskiego istnieje przecież całe mnóstwo słów o takiej końcówce. Czemu ona wybrała najmniej przyjemne? W sumie dotarły do niej jedynie skrawki wyrazów. Najlepiej zostawić wszystko tak, jak jest, i o niczym Joli nie informować. Jeszcze pomyślałaby, że Alunia się wtrąca, i mogłyby z tego wyniknąć jakieś niedomówienia, żale.

Co to, to nie.

Przecież Jacek to taki sympatyczny chłopak.

W czwartek nad ranem Jola obudziła się poruszona. Pot się z niej bynajmniej nie łał, gdyż sen, który wstrząsnął jej wnętrzem, nie należał do koszmarów. Był za to sugestywny i proroczy - to ostatnie miało wkrótce się potwierdzić. Weszła do obrazu.

Do *Bidy z nędzą* Pracza. Namalowana przez niego kobieta ściągnęła z szyi wisior papieru toaletowego i obdzieliła nim Jolę, mówiąc:

- Bierz, bo to nieprawdziwe.

Towarzyszące kobiecie dzieci zaczęły płakać i drzeć się wniebogłosy:

- Oddaj nasz papier! Dwadzieścia lat za nim staliśmy!!! Auuuuuu!!!

Przez chwilę Jola poczuła na sobie komunistyczny oddech wcale nie tak zamierzchłego systemu. Żeby człowiek się wysrał i miał kolejną troskę - czym się podetrzeć?

Kiedy zaparzała herbatę, słowa kobiety ciągle brzmiały jej w głowie. Nawet nie zwróciła uwagi, że w kuchni buszuje także Filip. Wesolutki od czasu pojednania z Alunią jak szczygieł.

- Ho, ho, ho... - podśpiewywał, ładując do tosterka złożone kawałki chleba.

- Widzę, że już nie masz kłopotów ze wstawianiem? - zagadnęła.

- Nie, nie, nie... Ho, ho, ho... Ale ty chyba masz jakiś kłopotek?

Czemu by nie uchylić rąbka tajemnicy przed tym wariatem? Przecież to także artysta.

- Mam nawet kłopoty. Trudno uwierzyć, ale od jakiegoś czasu poszukuję z jednym moim znajomym obrazu Pracza. *Piękni 1981*. Ktoś zrobił kopię i zamienił z oryginałem. Kopię sprzedał jako prawdziwe płótno. Oryginał też przepadł. Albo już sprzedał, albo sprzedaje.

- No proszę. - Filip zastygł w bezruchu. - A... co ty masz z tym wspólnego?

- Pracuję w domu aukcyjnym, gdzie wszystko się zaczęło.

- W Śląskim Domu Sprzedaży Dzieł Sztuki? - wypowiedział nazwę w największym niedowierzaniu.

- ... w Katowicach, trzeba jeszcze dodać dla ścisłości. Co się tak dziwisz? Alunia ci nie mówiła?

- Alunia nie rozmawia ze mną na takie tematy.

- Faktycznie... Tosty ci się zaraz spalą - rzuciła na odchodnym.

Niby małżonek Aluni miał taki dobry humor, a tu zmarszczył brwi i coś podejrzanie zaczął milczeć. Nie, ona nie jest niczyją życiową partnerką i nie musi nikogo otaczać duchowym wsparciem. Może poniechać każdego soseniaka. Zabrać swoją zieloną herbatkę z plasterkiem cytryny i zniknąć.

- Że też ja jestem taką debilką, to się aż dziwię! - Stała porażona nagłą myślą.

- Co? - Filip drgnął.

- Nic, nic. Debilką jestem, jakich mało!

Jola jeszcze raz usłyszała kobietę z obrazu Pracza, która przemawiała do niej jakby zza grobu: „Przecież to nieprawdziwe”!!!

Jak mogła nie skojarzyć?

*Bida z nędzą* też została podmieniona!

Bez dwóch zdań!

O siódmej trzydzięci Jacek śnił swój osobisty sen. Pływał w jeziorze. Powoli przebierał rękami w klasycznym kraulu, kiedy przez wlewającą się do uszu wodę usłyszał przeraźliwy dźwięk gwizdka ratownika. Jak to cholerstwo nie chciało przestać!!! Jak drażyło... Przebłyskiem świadomości skojarzył jednak, że znajduje się w łóżku, a gwizdek to nic innego jak dzwonek do drzwi. Poszedł otworzyć.

Że na tyłku nie ma zupełnie nic, pojął, widząc reakcję Joli, bo właśnie ona stała w progu. Po pierwszym spojrzeniu, jakim go obrzuciła, przeniosła dyskretnie wzrok na szafę w przedpokoju.

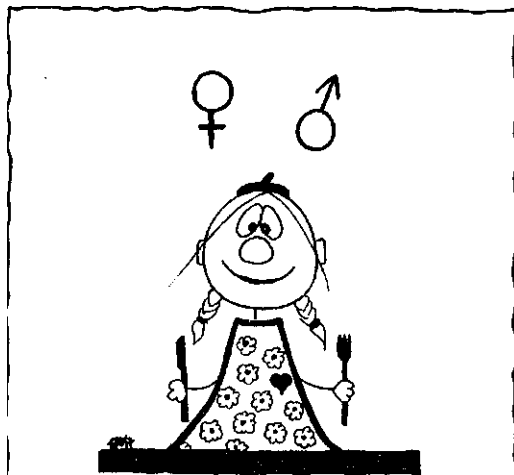
- Ja cię kręcę - wydukał i zasłonił to i owo rękami. Próbował się wycofać, ale zahaczył nogą o chodnik i wywinąłby prześlizgniętego orła o rozpostartych skrzydłach, które odsłoniłyby tak pieczołowicie zakrywaną przez niego tajemnicę, gdyby nie Jola.

Złapała Jacka za trzepocące w powietrzu ramię.

Po czym sama straciła równowagę i grzotnęła prosto na niego. Szczęśliwie zdołał przed upadkiem przestąpić kilka kroków w bok, dzięki czemu oboje wylądowali na rzuconej na podłodze poduszce.

- Pode mną chyba leży goły chłop - stwierdziła po krótkiej chwili Jola, bojąc się nawet drgnąć. - Czemu ja cię ciągle widzę albo gołego, albo w ręczniku?

- Głodnej babie goły chłop na myśli... Poza tym nie wymieniłaś kajdanek.



- Kajdanki niczego nie zasłaniają.

Jacek oplótł ją ramionami, a kiedy doszła do wniosku, że z braku powietrza za chwilę wyzionie na nagim koledze ducha, wyszeptał:

- A może to przeznaczenie?

W związku z tym, że od uścisku Jacka włosy na szyi zaczęły jej wibrować jak szalone, a przeznaczenie chyba faktycznie już za długo za nią łąziło, poddała się. W końcu, ileż można powstrzymywać te wszystkie chucie uciążliwe? Idące na dodatek w parze z... uczuciem?

Do diabła!!!

Kolejna godzina jej życia należała do bardzo przyjemnych.

- Zbałamuciłeś mnie - powiedziała już później niby z wyrzutem, ale przecież nawet nie wiedziała, co zrobić z nadmiarem przepelniającego ją zadowolenia.

Siedziała sobie w koszulce Jacka na stole i machając wesoło nogami, chrupała przyrządzoną przez niego bułkę z twarożkiem. Jacek z rozpuszczonym blond włosom i uśmiechem nieschodzącym mu z twarzy uwijał się przy kuchence, robiąc kakao.

- I bardzo mnie to cieszy.

- A ja biegłam do ciebie z nowiną.

- Nooo? Wiesz, że kakao trzeba najpierw wymieszać na sucho z cukrem, zanim się doleje mleka? Łatwiej się rozpuszcza.

Cudowny chłopak. Jak miło być rozpieszczaną chociaż przez chwilę. Przez chwilę, co do tego nie miała złudzeń. Jacuś lubił gary mniej więcej tak jak ona. Cóż, pozostaje im gospoia. To kakao zaraz ci wypadnie z rąk, jak ci coś powiem.

Jacek ścisnął mocno kubek.

- Śmiało, skoncentrowałem się.

- *Bidę z nędzą* pamiętasz? U Praczowej?

- Pamiętam.

- O włamaniu mówiła, że nic nie zginęło, takie tam...

- No owszem, mówiła.

- A pamiętasz, jak zakradliśmy się do pracowni Cycka, żeby sprawdzić, czy Prac jest na miejscu? Na lustrze wisiało...

- ... zdjęcie *Bidy z nędzą!!!* Ooooożeż, smurwa mać, że tak splagiatuję! - Jacek odstawił kubek, bo dotarła do niego logika wydarzeń.

- Plagiatuj sobie dalej.

- Czemu ty mi tego wcześniej nie powiedziałaś?! Podmienili też *Bidę!* Pojechalibyśmy do Częstochowy zaraz przed pracą! A teraz dziewiąta, nie zdążymy.

- Ty łotrze! A kto mi wstawiał gadki o przeznaczeniu?!

- I co teraz? - zapytał przejęty.

Powoli zaczynał się domyślać, w jaki sposób kopia *Pięknych* trafiła do Benca. Co gorsza, podejrzewał, że z kolejnym falsyfikatem stanie się to samo. Powędruje do Małej Galerii na Kościuszki.

- Nie gorączkuj się tak. - Jola wstała, żeby wyłączyć mleko. - Co by ci ta wycieczka do Praczowej dała? Mówiła, że włamanie było rok temu.

- Popatrzylibyśmy przez lampę, czy znowu kopia.

- Skoro Cycek miał tak duże zdjęcie obrazu i skoro było włamanie, to naprawdę się łudzisz, że u Praczowej wisi oryginał? Nie ma szans wisieć. Wisi podróbka. Ale skoro tak bardzo chcesz się pogapić...

- Z Bencem widzimy się dzisiaj o osiemnastej, pracę kończymy o piątej.

- Czyli po pracy odpada. Może po Bencu?

Jacek szybko ocenił sytuację. Spotkanie w galerii potrwa z godzinę, może krócej. Licząc czas na dojazd, do Praczowej dotarliby najwcześniej około godziny dwudziestej. To chyba niezbyt odpowiednia pora na wizytę u starszej pani.

- Odpada - zdecydował niepokieszony. - Pojedziemy jutro. A teraz... Co byś powiedziała na małe zbałamucenie, tym razem po śniadanku?

Po krótkiej, lecz dla Filipa wstrząsającej wymianie zdań z Jolą, pan Piecha zadzwonił na uczelnię. Niech się wypchają studenci ze swoimi poprawkowymi zawracaniami głowy. On ma ważniejsze rzeczy do załatwienia, egzaminy zwyczajnie przełoży. Teraz Benc...

Zdecydowanie sprawy przybrały obrót, jakiego się nie spodziewał.

Nie mógł czekać z założonymi rękami. Śmiertelnie się przestraszył. Może jeszcze da się to wszystko jakoś odkręcić? Przynajmniej spróbuje.

Począł, aż Alunia wyjdzie do pracy i zamknął się w pracowni. Tu czuł się bezpiecznie, na swoim miejscu. Odetchnął głęboko kilka razy i sięgnął po telefon, choć w tej chwili wolałby ścisnąć w rękę jadowitego węża niż zwykłą plastikową słuchawkę.

- Benc, słucham.

- Filip... - Chciał podać nazwisko, ale przytomnie urwał. Tyle się teraz słyszy o podsłuchach, lepiej nie ryzykować.

- Co pan?!

- Ja chciałem z panem porozmawiać...

- Proszę pana, my nie mamy o czym ze sobą rozmawiać - usłyszał oniemiały.

- Ale...

- Żadne ale, nie znam żadnego Filipa! Po co pan do mnie wydzwaniania?! Nie znam pana, żegnam. Tu Filipem zatrzęchło.

I już wiedział, że jego podejrzenia nie były bezpodstawne. I że jest źle. Oraz że nadszedł czas, żeby zadbać o rodzinę. Nie zastanawiał się długo, w zasadzie wcześniej założył, co zrobi.

Pojedzie do Częstochowy.

Od rana Aldona obdzwaniała wszystkich swoich męskich znajomych, zadając im jedno zasadnicze pytanie: „Co to jest uziemienie?”. Odpowiedzi padały rozmaite, począwszy od definicji Piotrusia, który wyznał, że dobrze trafiła, bo on właśnie jest uziemiony: nie ma forsy i leży w domu chory, ale łatwo mu pomóc - Aldona mogłaby zrobić dobry uczynek i przyjść z wizytą. Największą przenikliwość wykazał Wojtek, od razu połączył temat z elektrycznością, potem jednak zaczął enigmatycznie bredzić o prądzie, zwarcu i o jakimś przebicciu. Nie używał przy tym ludzkiego języka, ale bełkotu izmów i innych wrogo brzmiących słów, na które szkoda było Aldonie impulsów telefonicznych. Jakiś pożytek jednak z tej rozmowy wyniknął - Wojtek zdradził, że przecież Romek Kulesza powinien się znać na elektryczności, gdyż zanim rozbuchał swoją karierę jako węglowy książe, pracował w punkcie naprawy telewizorów. Puściła więc Romkowi sygnał na komórkę, żeby oddzwonił - miał telefon firmowy, mógł nawet czytać książki do słuchawki, a wiadomo, że nie umiał się wypowiedzieć w jednym zwartym słowie.

- Cześć, kochanie - przywitał się, jak to on, poufale.

- Cześć, Romciu. Czemu się nigdy nie chwaliłeś, że naprawiałeś telewizory?

- Naprawdę? Nie mówiłem ci? Niemożliwe! - zaskoczony kłamał jak z nut, ale Aldona domyślała się przyczyny, więc dała spokój. Ostatecznie gdyby sama na przykład składała pudełka od zapalek, też chyba nie uznałaby za stosowne przykleić karteczki z powyższą informacją na słupach ogłoszeniowych.

- Ja obdzwaniam cały świat, a ciebie mam przecież pod ręką... Co to jest uziemienie? Tylko tak wytłumacz, jakbyś rozmawiał z upośledzoną umysłowo.

- Mówisz i masz, nie ma sprawy.

Małe, elektryczne tête-à-tête z Romkiem ostatecznie wybiło jej z głowy sprawdzanie uziemienia w domu Benca. Nie знаła się, nie rozumiała, nie zamierzała niczego do gniazdek wtykać. Mogła na nie tylko zerkać. Z daleka.

- To było... wymowne, Romeczku. Bardzo ci dziękuję.

- Ależ proszę. Aaaaa ty od dawna znasz tego Jacka? - spytał.

Wczoraj koleżanka Aldony opowiadała, że chcą kupić od jednego gościa obraz, ale że on załatwia interesy jedynie z ludźmi majątymi, a ona i Jacek nie wyglądają. Proszą więc jego, Romana, jako osobnika z prezencją, o pomoc. Pójdzie z nimi na spotkanie, ustali z facetem cenę, a przy następnej wizycie dobiją targu. Oni, rzecz jasna, dadzą pieniądze. Może by i cały ten bajer kupił, gdyby nie osoba... Jacka. Bardzo chciał dojść, w co go tak naprawdę wrabiają, a Aldona mogła ten problem rozwiązać.

- Od wczoraj, a czemu?

- A, takie tam...

- Co: takie tam?

- Aaa tam... - krygował się.

- Romek!

- Tak między nami to ci chyba powiem, ale Jackowi, a zwłaszcza tej jego dziewczynie, ani słowa. Dobrze?

- Joli? Coś ty, będę milczeć jak grób.

- Grób? Znowu grób? Tylko nie grób!

Aspirant Andrzej Pyrcik otrzymał w spadku babę.

Franek źle się poczuł i zszedł z posterunku, to znaczy z dyżuru, a pozostali byli zajęci i akurat trafiło na niego. Baba przyszła zgłosić, jak powiedziała, przestępstwo. Latami przyglądała się bezeczeństwu i w końcu powiedziała dość.

Musi donieść władzom.

Pyrcik liczył co prawda, że pójdzie dziś do domu wcześniej, ale cóż. Za babami przepadał, dostarczały prawdziwej rozrywki. W ogóle bardzo lubił ludzi. Ludzie stanowili dla niego zjawisko i temat do przemyśleń. Zwłaszcza ci na Śląsku. Opuszczając rodzinny Myszków, trochę się obawiał, że jako tak zwany gorol, czyli przyjezdny, nie zostanie mile przyjęty przez tubylczą ludność, ale, na szczęście, martwił się na zapas. Ślązacy reagowali przychylnie na drobnego, grzecznego młodzieńca, w którym wyczuwali duszę pogodną i niekonfliktową.

- Już można zeznawać? - upewniła się siedząca przed nim kobieta.

Pyrcik z zawodowego nawyku, nieświadomie nawet, dokładnie ją sobie obejrzał, bynajmniej się nie wgapiając. Człowiek jest przecież żywym zapisem informacji, a policjant powinien wiedzieć, z kim



ma do czynienia. Babę Pyrcik zaliczył do pocziwych. Nie leniła się w życiu, ale zapewne ciężko pracowała, co dało się poznać po jej zniszczonych dłoniach i twarzy pomarszczonej jak pieczone jabłko.

- Krymułowa jestem... Bronisława - powiedziała trochę niepewnie, przyciskając kurczowo do piersi torebkę. - Przyszłam zgłosić molestowanie...

- Oj, to nieprzyjemna sprawa. - Pyrcik swobodnie przełamał lody. Nie chciał, by kobieta czuła się zbyt oficjalnie. Oficjalne zeznania są ubogie, z ludźmi trzeba się zaprzyjaźniać.

- Żeby pan wiedział... Ja to siedem lat nie mogłam spać! - Krymułowa w mig wyczuła swoją od lat ćwiczoną intuicją, że gołowas za biurkiem to swój chłopak.

- Kawał czasu. Pani Krymułowa Bronisława... O dowód mogę prosić?

- Można, ja tu oficjalnie przyszłam zeznać i już daję. - Kobieta wyciągnęła z torby zawiniątko, z którego wydłubała dokumenty.

- To teraz panią słucham - powiedział, kiedy skończył z papierkowymi formalnościami. - O jakie molestowanie chodzi?

- Ja to się na molestowaniach nie znam. Normalne molestowanie, ja wiem jakie?...

- Dobrze, proszę zacząć od początku, po kolei. Co się zdarzyło?

Krymułowa poprawiła się na krzeselku i zaczerpnęła tchu. Chciała opowiedzieć wszystko dokładnie, żeby ją tam gdzie nie ciągaliby za fałszywe składanie zeznań. Wszyscyutko, jak na spowiedzi.

- Marynia, moja przyjaciółka, była molestowana. Siedem lat.

- Imię i nazwisko, jak by pani była uprzejma podać. Przyjaciółki.

- Maria Teumann. Przez dwa ny na końcu. Ona pracowała u Benca Władysława. Jako gosposia. Normalne takie tam zajęcia wykonywała, jak w domu. Ale to nie wszystkie jego wymagania...

- To ten pan molestował pani przyjaciółkę? - Pyrcik chciał usłyszane już informacje jakoś sobie uporządkować.

- On, ten Benc - potwierdziła z zaciętością pani Bronisława.

- A ile lat liczy sobie przyjaciółka? I ten... Benc?

- Marynia to by już tak przeszło siedemdziesiąt miała w maju, a ten dziadyga to młodszy, ale dokładnie nie wiem. Sześćdziesiąt?

- Rozumiem. Na czym dokładnie to molestowanie polegało? Umiałyby pani powiedzieć?

- Pewnie, że bym umiała... Kazał sobie pisywać listy. Po niemiecku. I jeździła z tymi listami po Polsce, bo nie pozwolił ich śłać z Katowic. O, nie. Zakaz miała... Słyszał pan kiedy takie co? Żeby jeździć nadawać poleczone do Krakowa?

- Adresat w tym Krakowie mieszkał? - Pyrcik się pogubił.

- Adresat to w Niemcach, ona do Krakowa najczęściej musiała jeździć, na pocztę.

- Żeby wysłać?

- No! Nie głupota?

- A treść tych listów? Nie mówiła przyjaciółka? Pani Bronisława aż klepnęła się po udzie.

- Masz pan! Mówiła, jakby miała nie mówić. My to latami zachodziły w głowę, co też ten człowiek wymyśla. Bo listy głupie strasznie. O wszystkim i niczym, panie kapitanie.

Kapitana Pyrcik przełknął, nie chciał kobiety wytrącać z rytmu. Ciekawe. Albo facet niezdiagnozowany, albo rzeczywiście coś się kroi. Ileż to śledztw zamknięto za sprawą głupiego przypadku.

- Czyli? Tak konkretnie?

- Właśnie tego konkretnie tam najmniej było! O pogodzie, o trasie średnicowej, że budują. Raz nawet o zoo! Że marabuta Benc widział. To po kiego grzyba Marynię do Krakowa z takimi bzdurami w świat wysyłał?

- A ten przełożony pani przyjaciółki nie leczył się czasem... psychiatrycznie?

- Panie! To co, ja bym panu czubkiem głowę zawracała? Normalny, jak pan albo ja! Sklep z antykami na Kościuszki prowadzi, to coś w tym łbie musi mieć, nie?

Sklep z antykami odezwał się w głowie aspiranta alarmowym „Piiiiiiiiii”.

- Słuchaj pan dalej, to nie koniec - ciągnęła pani Krymułowa. - Marynię zaprzysiągł tak, że o tych listach nie mogła się nawet słowem odezwać. Ale jak przysięgała, to se dopowiedziała w myślach, że przysięga nie mówić nikomu oprócz mnie. A potem musiała jeździć do Niemców, do Frankfurtu najczęściej. Dawał jej paczki i musiała zawozić. Potem stała na ulicy, on tam mówił na jakiej, ale ja nie wypowiem, i ktoś po nie przychodził. Na ulicy stała, a czasem to mówiła, że patrzyli na nią te Niemce jak na, wie pan...

Pyrcik usiłował sobie wyobrazić stojącą na ulicy siedemdziesięcioletnią kobietę, ale skojarzenia jakoś mu się nie nasuwały. Chyba że staruszka się zgubiła, że cierpi na zaawansowaną sklerozę i nie pamięta, gdzie mieszka.

- Wie pan... - pani Bronisława zaakcentowała. - No, jak na prostytutkę!

Pyrcik czuł się zobowiązany pokiwać współczująco głową, a nawet przywlec na twarz wyraz oburzenia.

- Świat się wali, panie kapitanie. Staje do góry nogami!

- To prawda... A pani Marynia nie zerknęła przypadkiem, co w tych paczkach się znajdowało?

- Nie zerknęła, co pan! Przecież nie dla niej. Ale coś jej tak na obrazy za każdym razem wyglądało. Po dotyku i wyglądzie.

- Ciekawe. - Będzie musiał przekazać to zeznanie komisarzowi, na pewno go zainteresują co niektóre szczegóły. - A to molestowanie?

- Przecież cały czas mówię, molestował ją strasznie! - Pani Bronisława z boleścią złapała się za serce.

- Seksualnie?

- Jak? Gdzie tam seksualnie? Panie kapitanie!!!

- Pani Bronisławo! - Pyrcik pozwolił sobie przejść na bardziej poufaly ton. - Niech no żeż pani zeznaje porządnie! Do współżycia ją zmuszał?

- No, jeszcze tego by brakowało! Molestował ją, męczył i żyć nie dawał, to mało? Tylko listy, paczki i wyjazdy. To nie molestowanie?! Kiedy ona, bidulka, miała wnuki bawić?

- Faktycznie, musiała nie mieć czasu. - Nie łudził się, że pani Krymułowa chciałaby poznać właściwą definicję molestowania. Ważne, że w końcu doszedł, co miała na myśli. - A ten adresat z koperty... Ten z Frankfurtu na przykład...

- Ja mam wszystko spisane. O, proszę. - Podała mu dowód nadania listu poleconego sprzed roku. - Kiedyś zapomniała mu Marynia oddać.

- Gerard Gelding - przeczytał. - A tu? Czemu nadawca to nie ten... Benc, tylko Marian Nowak? Tu tak jest napisane.

Pani Bronisława wzruszyła ramionami.

- Toż dlatego do pana przychodzę. Tak się kazał podpisywać. I jeszcze jak do Krakowa na pocztę jeździła, to musiała ją zmieniać, żeby nie na tę samą.

- Rozumiem... Pani Bronisławo, a może przyjaciółka sama by do mnie przyszła? - zapytał nieśmiało.

Kobieta przeżegnała się na taką propozycję.

- Co też pan! Marynia nie żyje. Na zawał pół roku temu zesła, ale ja to myślę, że to molestowanie ją zabrało, świeć Panie nad jej duszą, a Benca skaraj, jak możesz...

Filip dotarł na ulicę Wierzbową jak w amoku, cud że nie spowodował po drodze żadnego wypadku. Doskonale wiedział, gdzie mieszka wdowa po Praczu, ponieważ przed dwoma laty został przez nią poproszony o domalowanie na jednym z obrazów kosy. Kosę miała ścisnąć śmierć, ale, o ironio, Praczu zmarł przed ukończeniem płótna i nie zdążył wyposażyć kostuchy w należyne rekwizyty.

Wejść tam, tylko tam wejść - w głowie kołatała mu obsesyjna myśl. Chciał sprawdzić, chciał się przekonać. Jeśli się nie mylił... Wtedy się zastanowi, ale musiał znaleźć się w mieszkaniu Praczowej, musiał popatrzeć na obraz!

Zapukał do drzwi. Nic, żadnego odzewu. Poczekał i zapukał jeszcze raz, Praczowa miała już swoje lata, mogła nie dosłyszeć. Nie dzwonił - pamiętał, że dzwonek rzeźbił straszliwie nieprzyjemnie, a wszelkie dźwięki dochodziły do niego teraz ze zdwojoną siłą. W głowie niemiłosiernie mu łupało i czuł, że za chwilę zasłabnie ze zdenerwowania. Tu, na wycieraczce Praczowej albo na schodach.

Nikogo...

Dla pewności nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły.

Gdyby wiedział, że wdowa po malarzu kopci sobie z przyjemnością na balkonie papieroska i dlatego nie słyszy jego dobijania się, postąpiłby chyba tak samo.

Wszedł.

Zdecydowanym krokiem skierował się do dużego pokoju i stanął przed *Bidą z nędzą*. Spojrzał w oczy dzieciom, bo oczy poruszały najbardziej i dokładnie zapamiętał ich wyraz, kolor, skargę. Więc jednak... Zyskawszy pewność, nie wahał się ani chwili, korzystał z okazji. Być może Praczoła śpi w drugim pokoju, trzeba się spieszyć.

Ściągnął obraz ze ściany, owinął go w leżącą na stole gazetę i wyszedł.

Po chwili zastanowienia zawrócił.

Ponownie otworzył drzwi i wytarł dokładnie kłamekę.

Żeby nie został żaden ślad...

Do akcji Aldona przygotowała się rzetelnie.

Najpierw wydrukowała fikcyjną listę mieszkańców, potem pomyślała o stroju. Wiedziała, że nie może przesadzić, przecież pracownica energetyki nie występuje w pracy w indyjskiej bluzeczce z rozchylanym dekoltem. Granat to jest odpowiedni kolor! Czy ona dysponuje jakimś mało ciekawym ciuszkiem, to znaczy... skromnym? W którym, po pewnych modyfikacjach, mogłaby się prezentować kusząco? Na tyle, żeby staruszka zmącić umysłowo i otumanić?

Wybór padł na śliwkowy komplecik z Vero Mody. Tak, niezbyt wyzywający, ale z boku, jak się stanie à la wysuw biodra, efekt murowany. Koniecznie jakieś szpilki do tego... Włos zaplątany w seksowny koczek, kilka pasemek dyndających po bokach, wymskniętych niby, jakby dopiero wstała z łóżka. Faceci boją się kobiet nieskalanie ufryzowanych, takie ideały wydają im się niedostępne, a że padalce z natury są zbyt leniwe, żeby się starać o niewieście wdzięki, kilka wirujących wokół szyi pasemek powinno zrobić swoje. Wyśmienicie. Bluzeczka... A niech będzie biała, na guziczki. Trzy pod szyją oczywiście rozpięte. I wyeksponowana pierś. Tak jest, cudownie. Pracownica roku! Miss Amper 2006 wywołująca u mężczyzn nieskończony woltaż napięcia!

Gotowe.

Nie zapukała od razu do drzwi Benca, o nie. Jeszcze mogłoby się okazać, że stan liczników spisywano wczoraj i co wtedy? Przemyślnie odwiedziła więc najpierw sąsiadów staruszka i dopiero kiedy upewniła się, że nie czekają ją przykre niespodzianki, podeszła do furtki z tabliczką, na której widniał napis: „Gen. J. Zajączka 34 B”.

Brzdękniętym sygnałem domofonu, nawet jej nie zapytano o cel wizyty.

Aldona, która spodziewała się być zobaczona przez osobnika płci odmiennej, stanęła przed drzwiami w pozie dyskretnie, ale jednak kuszącej. Udawała, że poprawia coś przy bucie, licząc, że zmagnetyzuje Benca miękkością swych atrybutów w miseczce pełne C, wychylających się w tym skłonie obiecująco spod stanika.

Ale otworzyła jej baba.

Osobistość w fartuchu i chustce na głowie. Nawet nie stara, dosyć miła, choć Aldona, dusza ciesząca się ogólnym życiowym nieskrępowaniem, wyczuła w niej chyba perfekcjonizm i jakieś takie ciasne uporządkowanie. Kobieta, mimo że występowała w stroju roboczym, tchnęła schludnością.

- Dzień dobry - rzuciła na powitanie, starając się zachować rezon. - Liczniki spisujemy.

- Proszę bardzo. - Kobieta puściła ją przodem, więc Aldona skorzystała z okazji i szybko zapięła guziki. Baby są przecież wredne i wystarczy, że wygląda się lepiej niż one, a już zaczynają szykanować i czynić wstręty. Niepojęte, ale wąska talia i kształtny biust wywołują w niektórych babsztylach zimną nienawiść. Dlatego Aldonka preferowała towarzystwo męskie. U panów mogła liczyć na zachwyty i pełną akceptację oraz wsparcie niemal w każdej sytuacji.

- Właściciel nieobecny? - spytała najgrzeczniej, jak tylko potrafiła.

- Tak, pana Benca nie ma, ale proszę, ja wszystko pokażę.

Kobieta wydawała się w porządku. Wpuściła ją do środka, zaprezentowała licznik, nawet uśmiechnęła się sympatycznie i czekała na ciąg dalszy.

- Jeszcze chciałabym sprawdzić uziemienie. - Aldona postanowiła jednak użyć słowa, które zaplątało jej się dziś rano w umyśle, licząc, że umysł kobiety wykazuje taką samą hermetyczność, jeśli chodzi o tematy elektryczne. - Mogę obejrzeć gniazdko?

- Proszę.

- A pani jest... żoną właściciela? - pozwoliła sobie na niedyskretne pytanie.

- Nie, żoną nie. Ja pomagam panu Bencowi prowadzić dom.

- Aha... Ojej! - Aldona złapała się nagle za głowę.

- Coś nie tak?

- Wie pani, ja jestem alergiczką - wyznała przejmująco, jak gdyby była nosicielką jakiegoś niebezpiecznego wirusa i potrzebowała natychmiastowej pomocy medycznej. - Zapomniałam zażyć leku, mogę? - Złapała za torebkę, piejąc w duchu z podziwu nad własną pomysłowością.

- Oczywiście. Może dam pani coś do popicia? - kobieta zatroskała się i zaproponowała to, na co Aldona liczyła.

- Jak by pani była taka miła...

Przymocowanie podsłuchu pod blatem stołu zajęło Aldonie parę sekund. Zrobiła wszystko tak, jak dzisiaj przykazał jej Jacek, z którym spotkała się w trakcie przerwy na obiad. Kiedy kobieta wróciła, Aldona stała już pośrodku pokoju i rozglądała się z zainteresowaniem.

- Może przejdziemy dalej? - zapytała, odbierając szklanekę. Popiła parę łyków i podziękowała. - Tu już sprawdziłam, w porządku.

Kolejne pomieszczenie stanowiła biblioteka czy raczej gabinet. Stały w nim półki z książkami, zabytkowe biurko, a na nim komputer i przygotowane do gry szachy. W rogu pokoju wznosił się kominek wykonany ze ślicznych zielonych płytek ceramicznych.

- Jak tu pięknie - westchnęła Aldona i była to szczerza prawda. - Mogę zobaczyć? - spytała, podchodząc do szachownicy.

- Proszę, to duma pana Benca. Hebanowe.

Aldona przysiadła na skórzanym krześle przy biurku. Jedną ręką sięgała już pod spód mebla, przyklejając, co należy, drugą ujęła figurkę damy, w której rozpoznała Margaret Thatcher.

- Coś niesamowitego!

- Prawda? Pan Benc to esteta. Nawet na muszli klozetowej ma *Narodziny Wenus*. - Kobieta przyłapała się naraz na niedyskrecji i zakłopotała. - Chyba nie powinnam takich intymnych szczegółów zdradzać.

- Nic nie szkodzi, ja nikomu nie powiem... Wspaniale. - Aldona jeszcze raz wyraziła swój podziw dla figurek i dla domu w ogóle, po czym zaczęła się żegnać. Została odprowadzona do drzwi i już miała wychodzić, kiedy gospodyni pana Benca przełamała się i zapytała:

- Przepraszam, ale zawsze mnie coś zastanawiało, może pani mi wytłumaczy. Co to jest uzienienie?

Przed Małą Galerią znaleźli się punkt osiemnasta.

Jola jako osobista asystentka, Jacek w roli ochroniarza i oczywiście najważniejsza tego wieczoru postać - Roman Kulesza, po rozmowie z Aldoną już znacznie spokojniejszy. Nie popełniał przestępstwa, a nawet przyczyniał się do zaprowadzenia porządku. Kto by pomyślał... Powziąwszy przed paroma miesiącami rzetelne postanowienie prawego życia, mógł je bez najmniejszych przeszkód kontynuować.

Benc na widok Kuleszy w otoczeniu tak licznej świty wywalił z zaskoczenia oczy, jednak nie zaprotestował. Otworzył drzwi i wpuścił całe towarzystwo do antycznego środka swojego sklepu. Czego tu nie było! Jacek obejrzał wewnątrz z zaciekawieniem i stwierdził, że miejsce, w którym on sam pracuje, jest w porównaniu z Małą Galerią zaledwie straganem ze starociami, a nie sklepem w pełnym tego słowa znaczeniu. Meble, obrazy, porcelana, biżuteria. Wszystko! I to w doskonałym wyborze, nie mówiąc już o smaku właściciela.

- Zapraszam dalej. - Benc wyciągnął ramię w gościnnym geście, pokazując kolejne pomieszczenie, które stanowiło biuro i zaplecze jednocześnie. Na stoliku czekał już przygotowany dzbanek gorącej kawy i filiżanki. - Napijcie się państwo?

- Ja z chęcią - oznajmił Kulesza, a rostry blondyn w garniturze rzucił się do podawania. Benc zerknął przypadkiem w dół i skonstatował, że osobisty ochroniarz Kuleszy nosi śliczne czarne oficerki. W taki upał! Akt męstwa po prostu. Chyba otworzy okno, zrobiło się nieznośnie duszno. Lipiec dawno nie był tak upalny.

- Panie Benc... - zagaił Kulesza. - Pyszna kawa. Panie Benc, otrzymałem pewną poufną informację, że jest pan w posiadaniu czegoś, co bardzo mnie interesuje. *Piękni 1981* Justyna Pracza.

Benc popił kawy i zapatrzył się w oficerki Jacka. Ani myślał dopytywać się o źródło informacji, domyślał się. Wąs, idiota, szuka po mieście zbytu. Ale dobrze, co mu w zasadzie szkodzi. Porozmawiać można.

- Owszem, posiadam ten obraz. Ale pan się orientuje, że z wiadomych względów nie będzie pan go mógł eksponować?

- Orientuję się. Nie po to do pana przyszedłem.

- Nie? A po co? - Benc nie mógł sobie darować odrobiny złośliwości.

- Ja za Praczem przepadam...

- O, to miło słyszeć. A który jego obraz lubi pan najbardziej? Tylko proszę nie mówić, że *Pięknych*. - Benc przeczuwał, że facet nie potrafiłby nawet wymienić tytułów Matejki, no może z wyjątkiem *Bitwy pod Grunwaldem*, a co dopiero mówić o Praczu. - W porządku, zostawmy to - po chwili uciał jego męki. - Ile pan w takim razie proponuje? Za malarza, za którym pan przepada?

Jola przyglądała się przebiegowi wydarzeń z fotela w rogu pokoju. Musiała przyznać, że Benc zaimponował jej swoją przenikliwością, choć Romek naprawdę stanął na wysokości zadania i prowadził pertraktacje z błyskotliwością, o jaką by go nie podejrzewała. Benc nie uwierzył w zamięłowanie Kuleszy do sztuki, ale najwyraźniej zależało mu przede wszystkim na ubiciu interesu. Jednak nie to nią wstrząsnęło, bo od pewnego czasu nie mogła się uspokoić po dokonanym odkryciu.

Ona już tego człowieka widziała.

Elegancki, starszy jegomość z wydatnym brzuszkiem.

Zrozumiała także, dlaczego za każdym razem, słysząc jego głos, nie mogła się pozbyć wrażenia, że skądś go zna.

Benc spotkał się z Filipem w A-Dongu i zlecał mu...

Co mu zlecał, do najjaśniejszej Brygidy?

Przez głowę Joli przelatywały setki myśli, z których przebijały się natrętnie dwie, nad wyraz kłopotliwe i niewygodne. W zestawieniu nabierały sugestywnego znaczenia, do tej pory nie skojarzyła pewnych faktów, ale teraz...

Benc dał Filipowi zlecenie na obraz.

W kwietniu, kiedy Filip zamknął się na miesiąc w pracowni, Pilot wyżarł mu resztkę bieli cynkowej, a przecież fragment kopii *Pięknych*, został namalowany bielą tytanową!

Czy to by oznaczało...

Co z tego, że podrobione podpisy Pracza widziała u Cycka, skoro nie złapała Jakimiaka za jego spoconą łapę. A jeśli to nie on był ich autorem, tylko Filip?

Warto by się jakoś na przyszłość zabezpieczyć.

Gerard co prawda jeszcze nigdy nie zawiódł, ale alternatywę, choćby w postaci węglarza Kuleszy, zawsze trzeba mieć.

Benc po raz pierwszy zdecydował się zrobić transakcję z kimś z Polski - chciał jak najszybciej dostać gotówkę, a załatwianie spraw z Frankfurtem trwało. Wybór padł na znajomego polityka ze Szczecina, ale nie udało się. Ten jakiś tam Brandys połapał się, że kupił kopię, polityk podziękował. Więc niech już będzie Gerard, przynajmniej jego jest pewny, w Polsce mogą być jeszcze z Praczem problemy. Tfu! Odpukać... Miał nadzieję, że do czasu finalizacji jajo mu nie przepadnie - w końcu to nie marchewka, na którą stać wszystkich. Tyle dobrze, że znalazł następczynię po Maryni, chociaż i tak będzie ją musiał po sprzedaży *Pięknych* zwolnić.

Zasiadł z lampką koniaku przy biurku, gdzie przygotował sobie wcześniej partyjkę szachów. Szachy miał piękne, cacko po prostu, zresztą prezent od Gerarda. Figurki z drzewa hebanowego, gładziutkie w dotyku, stanowiły karykatury sławnych polityków. Bić Reaganem konia, żeby nie wyrazić się ordynarnie, co za dzika satysfakcja!

Tak.

Kulesza.

Słyszał o nim, tak jak słyszał o wszystkich tych, którzy posiadali w Katowicach większe pieniądze. Pośrednictwo w handlu węglem. Cóż, innym razem pewnie by się zastanawiał, ale ten raz miał być pożegnalny, więc... Może być i sprzedawczyk węgla, ważne, że zapłaci gotówką, jeśli oczywiście interes z Gerardem nie wypali. Potargowali się dla zasady, przy czym Kulesza, prowadząc negocjacje, zerkał na faceta, którego przedstawił jako ochronę osobistą, jakby prosił go o aprobatę.

Osobista ochrona, osobista asystentka. Ciekawe, czy facet posiada także osobistą podcieraczkę do... A, szkoda gadać! No, ale trudno, klamka zapadła. Przezornie jednak umówił się na sprzedaż po osiemnastym, w środę, dziewiętnastego lipca. Wtedy już będzie wiedział, na czym stoi, porozmawia z Gerardem i podejmie decyzję.

Zawsze może się przecież rozmyślić i przekazać osobistej asystentce Kuleszy przykrą wiadomość.

Że alternatywę szlag trafił.

Z bramy podwórka przy ulicy Kościuszki, znajdującego się na tyłach Małej Galerii, wyszedł pospiesznie niewysoki mężczyzna. Ostatnią godzinę spędził przez nikogo niedostrzeżony za kontenerem na śmieci. Tam, pod uchylonym oknem, doskonale dało się słyszeć toczoną w środku rozmowę. Podekscytowany jej treścią wsiadł do zdezelowanego auta i skierował je ulicą w dół, do centrum.

Na plac Wolności dotarł niedługo później. Zaparkował i pospiesznie wszedł do kamienicy opatrzonej powyżej wejścia napisem Śląski Dom Sprzedaży Dzieł Sztuki w Katowicach.

- I co? - zapytał niecierpliwie na jego widok Grzegorz Wąs.

- Wszystko wiem! - obwieścił Cycek z obleśnym mlaskiem pod krzaczastym wąsem.

- Chodź, chodź... Mów! Było spotkanie?

Farta mieli dzisiaj nie z tej ziemi. Dzięki Jolce, która kłapała coś do Jankowskiej.



Wąs z reguły nie słuchał babskiego gładzenia, raczej czuwał. Włączał odsłuch dopiero wtedy, kiedy słyszał ważne dla niego słowo. Tym słowem-sygnałem, które dziś go zelektryzowało, było nazwisko Benca! Skąd Jolka dowiedziała się o starym, nie miał pojęcia. Pozostawała jeszcze możliwość, że znała Benca niejako zawodowo, przecież działali w tej samej branży. Wyłapał z jej słowotoku jeszcze inne niepokojące informacje: spotkanie, dzisiaj, osiemnasta. Hmm...

Cycek wiedział, co robić. Po pracy pojechał za Jolką i czekał pod domem. Potem wystarczyło trzymać się wariatki w bezpiecznej odległości.

- Było... Słyszałem!

- Nie! - Wąs nie wierzył własnemu szczęściu.

- Słyszałem, na zapleczu gadali, a ja siedziałem pod oknem.

- No?!

Cycek cmoknął.

- Jolka siedziała cicho, długowłosa też...

- Głupek też tam był?

- Był, ale się nie odzywał. Gadał tylko ten, co z nim przyszli, Ku... coś tam... Nie dosłyszałem nazwiska, bo Benc mówił niewyraźnie. Nie znam człowieka.

- I co? I co?

- Facet chciał kupić *Pięknych*.

- Nie! - Wąs znowu wyraził niedowierzanie.

- Umówili się na sprzedaż w środę, dziewiętnastego, w galerii. Na dwudziestą.

- Cycuś! Skurczybyku, jesteś wielki! Mamy go! Chciał być mądrzejszy od nas, ale się przeliczył, stary cwaniak...

Kolację spożyła Jola u Jacka, omawiając przy okazji przebieg spotkania z Bencem.

Jednak zrobione przez niego z uczuciem kanapeczki wchodzić nie chciały.

- Może pomidora przesoliłem? - zatroskał się.

Pomidory doprawione zostały idealnie i w ogóle Jacek bardzo się starał. Już fakt, że dobrowolnie zabrał się do siekania koperku, wart był rozczuleń, ale...

Jolę gryzł Filip.

Permanentnie i bez nijakiej pamięci, i co gorsza, musiał ją kąsać sam na sam.

Jacka, jako powiernika, wybiła sobie z główki od razu u Benca. Już takiego świństwa by Aluni nie zaserwowała.

Jakaś wdzięczność należało okazać, bez względu na to, czy się uważało jej mężczyznę za lśniącego przykładem wzór cnót, czy za artystycznego obiboka, który nie męczy się jedynie dzierżąc pędzel. Czy Filip zszedł na haniebną drogę przestępstwa, czy też nie, trzeba zachować pewne rewelacje dla siebie. Humorek zdechł, konsternacja trawiła Jolę dogłębnie. Niby prawie miała pewność co do winy

Filipa, ale przecież istniała i taka możliwość, że jednak się pomyliła. Co by powiedziała Aluni, gdyby się okazało, że owszem, Benc zlecił Filipowi namalowanie obrazu, ale co z tego. Nie potrafiła udowodnić, że chodziło o Pracza. A farba... Skoro zabrakło bieli cynkowej w magazynach, to zabrakło jej także innym malarzom, nie tylko Filip kłął z tego powodu na czym świat stoi.

Im dłużej Jola nad tym rozmyślała, tym więcej zaczynała mieć wątpliwości.

A jak się ma wątpliwości, lepiej zająć paszczę czym innym niż gadanie.

Na przykład kanapkami.

- Jacek, poezja! - pochwaliła arcydzieło, które piętrzyło się na kawałku chleba. - Tylko tak sobie rozmyślałam...

- Ja też rozmyślałam. Widziałaś, jakie cuda zgromadził Benc w tym swoim sklepie? Z zewnątrz byś nie powiedziała.

- Myślisz, że dorobił się tego wszystkiego na oszustwach?

- Bardzo możliwe. Facet, niby starszy gość, ale kuty na cztery kopyta. - Jacek usłyszał w swoim głosie podziw i zrobiło mu się nieprzyjemnie. - Co tam, damy mu radę. Najważniejsze, że jeszcze nie sprzedał *Pięknych*. Inaczej nie zgodziłby się z nami rozmawiać.

- Miejmy nadzieję... Coś ten nasz Romek mu nie przypasował. I na twoje buciki też łypał.

- Pewnie mu żal, że takich nie ma. Ale faktycznie, Romek mu nie podszedł. Chyba się nie rozmyśli? - przestraszył się nagle.

- Wypluj to słowo!

Jacusz nie kazał sobie drugi raz powtarzać. Pomieszczenie sprzyjało - do zlewu wystarczyło uczynić jeden krok. Splunięcie dalekie było od magicznych rytuałów zapewniających przychyłość bogów, ale kto wie. Mogło dziać cuda.

- Załatwione - zawiadomił.

- Przecież widziałam. Hi... hi... Na Benca urok... Jacek! - Jola nagle odstawiła talerz. - Śmichy-chichy, ale wpadliśmy!

- Jak to wpadliśmy?

Powędrował myślą do upojnego poranka i oczami wyobraźni ujrzał jego ewentualne biologiczne konsekwencje, które, co stwierdził z filozoficznym spokojem, nawet przypadły mu do gustu. Małutka dziewczynka z sympatycznym pysiem Joli albo mały chłopczyzna o jej ciemnych włosach... Czytałby im ciekawe książki, zabierał na wystawy...

- Przed nami transakcja! - Jola uściśliła, co Jacek odczuł niemal jako osobistą przykrość. Ale dobrze. Wkrótce zajdą pewne okoliczności, w których świetle ich wspólna przyszłość mogła wydać się Joli niejasna, choć dla niego mieniła się słonecznym blaskiem. Owszem, od czasu do czasu przyślanianym burzową chmurą, ale jednak.

- Transakcja... Chyba trzeba się cieszyć? - Nie zrozumiał.

- Ale jak ty to sobie wyobrażasz? Zapłatę konkretnie. Bo chyba nie myślisz, że Benc zajrzy do walizki z pieniędzmi, pocieszy się widokiem ogólnym, czyli paroma słowami na wierzchu, i nie będzie grzebał w bebeczach? Uważasz, że pozwoli nam wyjść? Taki głupi nie będzie. Zobaczył nas dzisiaj z Romkiem, więc bardzo prawdopodobne, że sam też postara się o jakąś ochronę.

To akurat miał Jacek od wczoraj przemyślane. I przedyskutowane.

- Damy mu prawdziwe pieniądze.

Mniejszy efekt wywołałby chyba stwierdzeniem, że posługuje się biegle językiem arabskim.

- O czym ty do mnie komunikujesz, to znaczy... Jakim cudem prawdziwe? Skąd?!

Jacek zrobił skromną minę.

- Mam odłożone na swoje cztery kąty. Osiemdziesiąt tysięcy.

Jola nie byłaby sobą, gdyby wypowiedzianego wyjaśnienia nie próbowała jakoś podważyć, nawet jeśli wyjaśnienie składał mężczyzna o udach jak atleta. Podający jej właśnie talerz ze świeżymi ogóreczkami.

- Wolę małosolne, więc zaprzestań... Skoro tak, czemu walczyliśmy z gratami w wynajmowanym mieszkaniu, a nie w twoim własnym?

- Jakoś nic mi się nie podobało, a przyznasz, że jeśli chodzi o mieszkanie, osiemdziesiąt tysięcy to jest kwota wyjściowa. Raczej na okazję, a nie na wolny rynek. Wolałem wynająć i spokojnie szukać dalej, nie na łapu-capu.

- O czym my w ogóle rozmawiamy?! Cztery kąty, mały, biały domek! Jacek, obudź się! My chcemy sfinansować transakcję, a nie ją przeprowadzić. Jeśli dasz Bencowi prawdziwą forszę...

- Nie martw się, ja nie pozwolę sobie tych pieniędzy odebrać. Ale gotówka musi na spotkaniu być. I będzie, nie żadne tam pocięte atrapy.

- I co dalej?

- Zobaczysz - obiecał tajemniczo, co wcale jej nie uspokoiło. - A małosolne zaraz ci przyniosę ze sklepu. Poczekasz? Picie też nam się skończyło, a gorąco jest jak... Zaraz będę z powrotem!

Zła na Jacka, że uciał rozmowę w niezbyt odpowiednim momencie, wzięła się za zmywanie naczyń. Potrzaska trochę skorupami i od razu poczuje się lepiej. Przy trzecim talerzu zadzwonił telefon. Jola wytarła ręce i podniosła słuchawkę. Zamierzała poinformować, że Jacek niedługo wróci, ale rozmówca po drugiej stronie milczał, chociaż pierwszy powinien otworzyć gębę i się przywitać.

- Słucham - powtórzyła z irytacją po raz kolejny. - Halo, do jasnej...

- Dzień dobry - ten po drugiej stronie w końcu się zdecydował. - A Tomek? - Pytanie zabrzmiało jak z innej planety.

- Co, Tomek?

- No, Tomek... Gdzie jest Tomek?

- Tu nie ma żadnego Tomka. Pod jaki numer pan dzwoni?

Odpowiedź zbiła ją z tropu, gdyż człowiek podał cyfry właściwie - pewnie źle coś zapisał.

- Tu naprawdę żaden Tomek nie mieszka - zapewniła.

- A pani to kto?

- Ja?

Oooo, ty cymbale! Grzecznie ci mówią, że pomyłka, a ty drażysz?

- Ała Pugaczowa. Do swidania! - rzuciła na pożegnanie z pięknym rosyjskim akcentem i wróciła do przerwanej czynności.

Jacek wrócił niebawem.

- Małosolnych nie dostałem! - wydarł się już od drzwi.

- Dzwonił jakiś bezkulturalny i dobijał się do Tomka. Co to za Tomek? Może mieszkał tu przed tobą? - zawołała.

Ponieważ Jacek nie zareagował, Jola poczekała, aż przyjdzie do kuchni i powtórzyła. W przedpokoju mógł przecież nie dosłyszeć.

- Dzwonili tu do jakiegoś Tomka. Jacek wyraził uprzejme zakłopotanie.

- Tomek... Tomek - powtarzał na głos, jakby coś sobie przypominał. - Aaaa... Tomek? Chyba chodziło o właściciela mieszkania, tak ma na imię. Czego chciał ten... bez kulturalny?

- Jednak słyszałeś.

Zwalczenie pokusy, która już ścisnęła za gardło i domagała się wyjaśnień, dlaczego Jacek nie odpowiedział na proste pytanie od razu, tylko zwlekał, wyczerpało Jolę psychicznie. Ale nie doczepiła się, nie zawisała u jego ust jak zmierzła domowa hetera. Jeden intymnie spędzony poranek nie daje przecież prawa, żeby łądować się w czyjeś życie, żeby rozliczać, inwigilować...

- Słyszałem, ale nie chciałem się drzeć. - Jacek uznał temat za wyczerpany. - Nie ma małosolnych. Więc kupiłem łososia, będzie ci bardziej smakował niż kanapki. Może być?

Filip sprawiał wrażenie chorego.

Płatał się po domu z kąta w kąt i słał Aluni spojrzenia podobne do tych, którymi raczył ją Pilot po każdej awanturze ze swoim panem. Na pytania o przyczynę rozpaczki odpowiadał, że nic się nie stało i że wszystko jest w porządku.

Ale wszystko w porządku nie było.

Alunia znała małżonka na wylot. Podobne przybicie prezentował w chwilach zagrożenia egzystencjalnego - kiedy nie miał zleceń i kiedy brakowało pieniędzy. A przecież ostatnio powodziło im się znakomicie.

Największego tego dnia zaskoczenia doświadczyła jednak wieczorem.

Filip posprzątał pracownię!!!

No, może słowo posprzątał niekoniecznie pasowało do wymięcenia stamtąd niepotrzebnych rupieci, bo przecież dalej istniało w niej mnóstwo różnych zakamarków nietkniętych ludzką ręką od cza-

su zagnieżdżenia się tu Filipa, ale wstrząsał już sam fakt jakichkolwiek działań porządkowych w wykonaniu męża.

Stare ramy po obrazach, szmaty upačkane farbami, sterty zaschniętego na kamień płótna, gazety, posiwiałe ze starości pędzle i wiele innych śliczności zostało złożonych na trawniku w spory stos, a następnie podpalonych.

- Filipku, ty chyba tam wsadziłeś obraz! - Alunia zakrzyknęła, gdyż w hajcującej się niebieskawym płomieniem kupce zobaczyła zarys jakiegoś płótna.

- To stary gniot, nie ma się czym przejmować - usłyszała przybity głos męża, który osobiście pilnował ogniska.

- Na pewno?

- Na pewno, Aluniu. Gniot jakich mało... - Filip zapewnił tak żałośnie, jakby palił w ogrodzie wszystkie swoje marzenia. - Najwyższa pora się go pozbyć.

Alunia zadrzała.

Z Filipem działo się coś bardzo złego... Nazajutrz rankiem jeszcze spał, kiedy przyszedł listonosz z poleconym od Aśki. Alunia pobiegła do furtki i rozerwała kopertę już w ogrodzie. Zachłannie przyjrzała się przesłanej przez szwagierkę karteczce, która była dowodem na spotkanie się dwóch biznesmenów pod Szczecinem. Widniał na niej nakreślony koślawym pismem napis:

*1981 wybitnego...*

Początek tego czegoś został oddarty, Alunia trzymała w rękach jedynie skrawek papieru, jednak nie miała wątpliwości, kto był autorem notatki.

Władysław Benc, jej chlebowdawca.

Znała ten charakter pisma z suchych zapisków zostawianych jej na stole: „Kupić chleb, cukier”. To on rozmawiał z tym kimś, o którym szwagierka mówiła „mafioso”. I to gdzie? Na drugim końcu Polski. Świat powoli staje się naprawdę globalną wioską. Kto by pomyślał, że dowie się o wizycie pana Władysława na wybrzeżu w tak zaskakujący sposób, dzięki Aśce-barmance przy trasie na Szczecin.

Alunia wpatrywała się w karteczkę i próbowała uporządkować myśli. 1981... Pałętał się ten rok naznaczony wydarzeniami historycznymi okropnie. Może pan Władysław zamotał się jakoś politycznie? Tyle się teraz słyszy o lustracjach, tyle prania brudów, pomówień. Może dlatego załatwia coś w tajemnicy? Może miała przewieźć jakieś ważne dokumenty, które uchroniłyby jej pracodawcę przed nieprzyjemnościami?

Pan Władysław zakodowany został w jej wnętrzu jako postać nobliwa i odznaczająca się nie-spotykaną klasą. Jakichkolwiek nie wyczyniałby ekstrawagancji i jakichkolwiek nie dopuszczałby się postępów, z pewnością były one uzasadnione, a już na pewno prawe.

Po prostu nie dysponowała wiedzą o motywach pana Władysława.

I tyle.

Nie widziała jednak związku między rokiem 1981 a czekającym ją wyjazdem do Frankfurtu, chociaż bardzo się starała. Tym bardziej nie rozumiała, co cała sytuacja miała wspólnego z jubilerskim jajem. Musiała mieć, skoro temat jej wyjazdu do Niemiec wypłynął tuż po komunikacie pana Benca, że ktoś chce go ubiec i kupić jajo przed nim.

Powinna jednak zająć się swoimi sprawami, pan Władysław wie, co robi. Ostatnio nadużyła przecież zaufania swojego pracodawcy. Obiecała wykonać dziwactwa, jakie jej zlecił, a tymczasem oszukała go. Nie wprost, nie kłamała, że wysłała list z Krakowa, ale nie przyznała się do modyfikacji polecenia. Zameldowała, że list jest w drodze, a pan Władysław nie wypytywał - nawet przez myśl mu nie przeszło, że mogłaby go zawieść.

Alunia oszukała człowieka.

Czuła się z tą świadomością parszywie.

I chyba dlatego zbierało się jej na wymioty, odkąd tylko wstała z łóżka.

Przyzdobiła więc pięknie krzaczek hortensji tym, co miała w sobie najlepszego.

Wyblakły prostokąt na ścianie w miejscu wiszącego jeszcze wczoraj obrazu pani Praczoza zauważyła dopiero dzisiaj z samego ranka. Najpierw nie rozumiała tego, co widzi. Później doświadczyła wrażenia, że wszystkie wewnętrzne treści wędrują w niej do góry z szybkością światła, więc ledwie powłócząc nogami, dotarła do łazienki. Następnie zemdląca.

Ocknęła się dopiero tarmoszona przez sąsiadkę, której, sierocie, wyszedł cukier, a wychodził regularnie raz w miesiącu i Praczoza gotowa była z tego powodu zakupić tony białego proszku w Makro i obdzielić nim niepozbitą panią Kisiakową. Podziękowała Bogu, że nie zdażyła wcielić w życie swoich zamiarów. Nigdy by nie przypuszczała, że krótka pamięć sąsiadki może okazać się pożyteczna - co najmniej uratowała ją od zapalenia oskrzeli, a może nawet płuc, gdyż wdowa odkryła fakt kradzieży przyodziana jedynie w cienką haleczkę i w takim właśnie stroju oklapła na zimną posadzkę.

Policję Kisiakowa zawiadomiła chwilę później, stawiając na nogi pół komendy miejskiej. Przyjmujący zgłoszenie dyżurny zrozumiał, że kradzież nastąpiła dopiero co i że zginęło pół tuzina obrazów pędzla co najmniej samego Kossaka. Poprosił zatem, żeby niczego w mieszkaniu nie dotykać, aby nie utrudnić pracy ekipie śledczej.

Ekipa przybyła na miejsce zdarzenia po dwudziestu minutach.

Aspirant Andrzej Pyrcik przebywał w Częstochowie służbowo. Wysłany do sąsiedniego miasta przez zwierzchnika, postanowił przy okazji odwiedzić kolegę w dochodzeniówce, którego znał jeszcze z liceum w Myszkowie. Kolega, Jurek Niecko, dziwnym trafem także zapragnął kroczyć po drodze sprawiedliwości, od czasu kiedy razem z Pyrkiem złapali złodzieja żarówek z klatek schodowych. Ze spotkania ucieszył się przeogromnie, a że akurat miał dyżur i wypadł mu wyjazd na oględziny, zaproponował Andrzejkowi małą partycypację połączoną z wymianą przyjacielskich nowinek. Pyrcik zaś,

po wczorajszej rozmowie z Krymułową, na hasło „kradzież obrazów” zbystrzał okropnie i trzeba byłoby go związać, gdyby mu ktoś tej przejażdżki zabronił.

Więzy z pewnością i tak by przegryzł.

Przed przybyciem policji Praczowa odpracowała już najgorszy wybuch hysterii - stratę obrazu odebrała niemal jak drugą śmierć małżonka. Po fali spazmatycznych łkań znajdowała się obecnie na etapie rezygnacji. Wpatrywała się w ścianę i mechanicznie pochłaniała drażetki M&M's. Panowie policjanci zastali więc ofiarę kradzieży w nie najlepszej formie, co Pyrcik dostrzegł już w pierwszej chwili. Kiedy technik razem z Nieckiem wyrazili zgodę, poszarogęsił się w kuchni, nie bacząc na to, że znajduje się w obcym mieszkaniu. Zaparzył mocnej kawy i postawił ją przed poszkodowaną. Już sam zapach wystarczył.

- Straciłam coś po mężu - martwo wypowiedziała, sięgając jednak po kubek. - Znajdziecie to?

W pytaniu zabrzmiała przenikliwa rozpacz. Obaj z Nieckiem spojrzeli po sobie i zgodnie zapewnili:

- Oczywiście!

- To on malował. Justyn Pracz, mój mąż... *Bida z nędzą*... Pamiątka...

- Wszystkim się zajmiemy, od tego jesteśmy - Niecko starał się uspokoić kobietę. - Właśnie zabezpieczamy ślady. To miejsce po skradzionym obrazie? - Wskazał na odznaczający się na ścianie jaśniejszy prostokąt.

- Tak. Jakie ślady? - Praczowa westchnęła dogłębnie. - Wczoraj obraz był, dzisiaj nie ma. Ja nie wychodziłam z domu, tu się nikt nie włamał, jak poprzednim razem...

- Poprzednim razem? - podchwycił Niecko.

- Poprzednim razem się włamali, ale nic nie zginęło. Teraz się nie włamali, a *Bidy* nie ma. Jak oni to zrobili? Już nic nie rozumiem - wdowa zaczynała mówić zmienionym głosem i Pyrcik pomyślał, że Praczowa za chwilę rozklei się ostatecznie.

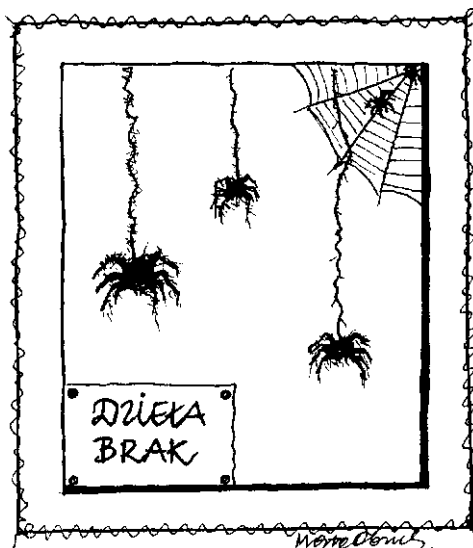
- Wszystko się wyjaśni - dołączył do zapewnień kolegi.

- Zadam pani teraz kilka pytań. - Niecko przysiadł przy wdowie, podczas gdy technik zajął się robieniem zdjęć. - O której skradziono obraz?

- Nie wiem, niedawno zobaczyłam.

- Czyli nie potrafi pani dokładnie określić czasu? Dyżurny nam przekazał, że przed chwilą.

- Kisiakowa dzwoniła, sąsiadka. Ona mnie znalazła, ja zasłabłam, jak się zorientowałam, że *Bidy* nie ma.



- Aha. I sąsiadka myślała, że kradzieży dokonano przed chwilą?

- Nie wiem, co Kisiakowa myślała. *Bidy* nie ma! To jest pamiątka po mężu. On mi nie daruje!

- Przecież to nie pani wina, spokojnie. Proszę podać autora i dokładny tytuł obrazu. Może znajdzie się jakieś zdjęcie?

Obrzydliwie rzeżący dzwonek do drzwi spowodował lekkie zamieszanie, które jednak szybko zostało opanowane. Niecko dał sygnał, żeby nikt się nie wychylił, a wdowa poszła otworzyć.

- Ooo, dzień dobry. To państwo? - przywitała się.

W drzwiach stali kobieta i mężczyzna. Na widok munduru Pyrcika, który nie umiał usiedzieć na miejscu i zmaterializował się za plecami Praczowej, jakby się spłoszyli czy przerazili. Innym razem pozwoliby właścicielce mieszkania grzecznie pożegnać gości, przecież był tu nieoficjalnie i nie wypadało się wcinać koledze w czynności śledcze, ale coś go tknęło i zaprosił parę do środka.

W ten oto sposób Pyrcik wkroczył na drogę do awansu, chociaż miał o tym mniej więcej takie pojęcie jak Praczowa, która jeszcze niedawno kleła na swoją sąsiadkę, a w chwili obecnej sklerozę Kisiakowej błogosławiła.

Jola zrozumiała dzisiaj, czym są słynne palpitacje serca. Kiedy stanęła twarzą w twarz z żywym i przypatrującym się jej badawczo policjantem, zwątpiła. Opanował ją irracjonalny strach.

Że jest winna.

Wszystkiemu.

Że sama ukradła, sfalszowała i podmieniła *Pięknych*, o kradzieży *Paryskiej tancerki* oczywiście nie wspominając. Że kieruje międzynarodową szajką przemycającą dzieła sztuki za granicę, że Cycek działa na jej zlecenie, że...

- Państwo w jakiej sprawie? - policjant zapytał uprzejmie, zamykając za nimi drzwi. Aż wierzyć się nie chciało, że nie zostali aresztowani i przesłuchani tu, na miejscu - na dywaniku pani Praczowej w przedpokoju.



- Przyjechaliśmy w odwiedziny, jesteśmy znajomymi - Jacek podał pierwsze lepsze wytłumaczenie. On również nie spodziewał się spotkać na Wierzbowej stróża prawa, jednak potrafił doskonale ukryć zaskoczenie.

- Proszę do pokoju. Pani Praczoza jest trochę zdenerwowana, bo dokonano kradzieży - policjant udzielił im informacji i Jola zdziwiła się jeszcze bardziej.

Pierwszy raz oglądała na oczy policjanta, który zdradzał tajemnicę służbową. Nie wróżyło to dobrze, musiał mieć coś na celu. Jola nie przypuszczała, że faktycznie zmaterializował się przed nią fenomen - Pyrcik nie bawił się z ludźmi w podchody. Przecież za chwilę tych dwoje i tak domyśli się przebiegu wydarzeń. Nie przepadał za przesłuchaniami, które ogłupiały świadków, wypracował sobie inne metody.

- *Bidę z nędzą* ukradli - dołożyła jak na zawołanie wdowa, a Jola na tę wiadomość usiadła na wersalce, nie zwracając uwagi na kręcących się w pomieszczeniu policjantów.

- Nie! - prawie zaprotestowała.

Pyrcik z Nieckiem wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Z dziewczyny wydobywał się autentyczny żal. Pewnych rzeczy nie da się zagrać bez fałszywej nutki, a siedząca przed nimi osoba wydawała się być zdruzgotana.

- Państwo są z Katowic, z domu aukcyjnego. Robiłam dla nich ekspertyzę - wyjaśniła pani Praczoza, widząc zainteresowanie policjantów.

„Katowice” zabrzmiały w uszach Pyrcika alarmująco i znowu nasunęły skojarzenie z Krymułową, którą podkomisarz Morozowski przesłuchiwał wczoraj ponownie, a po wpisaniu danych do komputera prawie ucałował. Dlatego Pyrcik pozwolił sobie teraz zadać kluczowe pytanie, przy czym o wiele bardziej niż odpowiedź interesowała go reakcja tej dwójki:

- Czy znacie państwo niejakiego Władysława Benca?

Pierwszy akt tragedii Filip miał już za sobą, a dokonał się on w zasadzie przy marnym jego udziale. Po prostu zadziałał w nim instynkt, wydobył się z niego jakiś nadFilip, który musiał walczyć, działać i nie zważając na otoczenie, zdobyć obraz.

Teraz pozostawała jeszcze jedna próba - postanowił ostatecznie rozmówić się z Bencem. Może śmierdziel nie chciał rozmawiać drogą telefoniczną? Wiadomo, jak to jest... W eterze ktoś by ich jeszcze usłyszał, lepiej odstawić konfrontację osobistą. Wypowiedzieć, co mu leży na wątrobie, i wyłożyć ten napęczniały z niepewności organ na biurko Benca. Liczył, że tym razem zostanie potraktowany jak człowiek. Ze zrozumieniem i szacunkiem.

Zawiódł się jednakże srodze.

Wszedł do galerii, ale nawet nie zdążył zbliżyć się do biurka, nie mówiąc już o wywalaniu czegośkolwiek na zabytkowy mebel. Benc na widok Piechy zareagował bowiem bardzo gwałtownie.

- Proszę stąd wyjść! Natychmiast! Filipek zdębiał.

Z całym swoimi pokładami zrozumienia i szacunku, które teraz wydawały się postulatami żalnymi. Chyba jeszcze nigdy nie został potraktowany tak niegodziwie, nie mieściło się to w jego pojmowaniu świata, po prostu się nie mieściło!

- Panie Benc! Ja żądam zwrotu *Pięknych 1981*. Moich! - rzucił twardo, widząc, że uprzejmością niczego nie wskóra.

Obrzydliwy staruch przestał wydawać mu się dżentelmenem. Spojrzał na przybyłego w jego progi malarza jak na rozdeptaną żabę i złożył usta w pełnym wyższości uśmiechu. Stojąc za biurkiem, opierał się delikatnie dwoma paluszkami o cudnej urody krzesło obite różową satyną. W Filipie zażrzytało od doznanego kontrastu estetycznego, ale jeszcze miał nadzieję.

- „Moich”! - Benc powtórzył drwiąco. - A to dobre!

- Ja oddam pieniądze, postaram się.

- Cha, cha!

- Może w ratach... - Filip gotów był na wyrzeczenia, ale z każdą chwilą czuł, że płaszczyć się już dłużej nie potrafi.

- Raty!!! - Benc zarechotał głośniej, po czym zimno wycedził: - Żegnaj pana. Proszę wyjść z mojego sklepu! Koniec współpracy.

- Pan mnie oszukał! Ja pójdę na policję - krzyknął w odruchu rozpaczony Filip, ale na Bencu groźba nie zrobiła najmniejszego wrażenia.

- I co im powiesz, frajerze? Sam pójdziesz siedzieć!

Na łonie natury rozmowa płynęła Joli i Jackowi nad wyraz przyjemnie. W drodze do Katowic zbiegli do Poraja, gdzie rozłożyli się nad zbiornikiem wodnym, od którego powiewał miły chłodek, dzięki czemu dawało się w tym upale jako tako myśleć.

- Aż się nie chce do tego zapyziałego miasta wracać - stwierdziła Jola, wystawiając swoje cztery litery, przykryte oczywiście czym trzeba, ku słońcu.

- Nie chce się.

- Poleżmy jeszcze trochę, ja muszę odzyskać siły po policji u Praczowej.

- Przestraszyłaś się?

- Okropnie! Czy znamy Benca...

- Przecież nie robimy niczego złego. Chcemy tylko odzyskać obraz, który Benc podmienił za pomocą Cycka i Wąsa. Odzyskać i oddać go właścicielowi, żeby nie było na nas - przypomniał Jacek. - Nie czuj się jak... przestępczyni.

- Śmieszne słowo. Ale policja mnie spłoszyła, fakt. Mam nadzieję, że to przesłuchanie wyszło dobrze?

- „Nikogo takiego nie znamy” zabrzmiało wiarygodnie. Jesteśmy tylko świadkami, że *Bida z nędzą* wisiała u Praczowej i że sobie tej kradzieży starsza pani nie zmyśliła.

- Spisali nasze dane i to mi się nie podoba.

- Też nie jestem zachwycony.

- Ożeż! - Jola uniosła się nagle na łokciach, czym skutecznie popsowała Jackowi widok, bynajmniej nie na okolicę. - Musimy zadzwonić do Brandysa!

- Po co?

- Może jemu też ukradli...

- Moja droga. - Jacek postanowił trochę przyhamować zapał dziewczyny. Historia z obrazami powoli wchodziła w fazę końcową i nie chciał robić teraz zbytniego zamieszania, a w tym Jola była znakomita. On już swoje wiedział, Jola niekoniecznie musiała mieć ogląd całościowy. Jej wiedza mogła mu zacząć szkodzić. - Odpocznij chwilę, przecież po to się zatrzymaliśmy... Lecz wygasić ten wulkan energii wcale nie było łatwo.

- Ja już podpoczywałam - oznajmiła stanowczo. - Benc zaciera ślady, kradnie kopie. Nie ma obrazu, nie można mu udowodnić, że był sfalszowany. Mam grzać cztery litery w Poraju? Wstawaj, jedziemy!

Jacek podniósł się z trawy naburmuszony. Pomysł wyjazdu do Praczowej okazał się całkiem chybiony, a Jola chciała gnać do Katowic, kiedy tu cykały świerszcze i pachniało lasem. Do kitu taka impreza!

- Gdzie jedziemy?

- Do biura, Ania da nam numer ryżego blondyna.

- Nie może podyktować przez telefon? Zostalibyśmy...

- Wąs coś ostatnio za bardzo nadstawia swoje profesjonalne uszy, wolę nie ryzykować.

- A komórka? Przesłałaby SMS-em.

- Jankowska nie zabrała dzisiaj telefonu, zapomniała. Jedziemy.

Ryży blondyn pytaniem Joli o obraz bardzo się zbulwersował.

- Pani mnie o to pyta? Przecież to wy zgłosiliście policji, bo kto? Ja nie mam obrazu. Przyszedł do mnie jakiś tajniak i zabrał do ekspertyzy.

- Tajniak?

- Legitymację pokazał. Zaraz... We wtorek! - blondyn się zatroskał. - Już mi powinni przesłać pokwitowanie, dzisiaj jest piątek. Mówił, że do trzech dni dostanę.

Na dźwięk słowa „policja” Jola całkiem zgłupiała i wołała się rozłączyć, żeby jeszcze z czymś nie wyskoczyć. Nie mogła się podzielić sensacją z Jackiem, bo właśnie obsługiwał jakąś rozgrymaszoną klientkę, więc wróciła do biura.

- Brandys dzwoni do Wąsa. Co ty mu naopowiadałaś? - zaniepokoiła się Ania.

- Ciiii... - Jola na palcach podeszła do drzwi przełożonego. Swoim telefonem do ryżego nie otworzyła chyba przysłowiowej puszki Pandory?

- Jolka! - wyszeptała z naganą Ania.

- No co?

Wąs miał charakterystyczny sposób mówienia, kiedy kłamał, to już Jola zdążyła dawno stwierdzić. Teraz też łąał na potęgę, a że był zdenerwowany, mówił podniesionym głosem i słyszało się go całkiem dobrze.

- Ja nikogo nie zawiadamiałem, chociaż, oczywiście, jest to jakaś myśl. Nie życzę sobie pomóc, proszę pana! Tak. Tak. Wszystko się wyjaśni, skoro policja już wie. Świetnie się składa! Podda się obraz badaniom. Tak. Oczywiście...

Zaraz, Wąs nie mówił prawdy. To pewne. Ale przecież nie mogło wynikać z tego, że to on zawiadomił policję o oszustwie! A jednak miał z tą sprawą coś wspólnego.

Tylko co?

Jacek posiadał w tej kwestii swoje własne zdanie.

- Przesadzasz, Jolu - podsumował jej podejrzenia.

- Znam patalacha! Wąs kręcił! Nie wiem, o co chodzi, ale maczał palce w zniknięciu kopii blondyna na sto procent. Poza tym, gdyby naprawdę ktoś zawiadomił policję, to mielibyśmy tu niezły Sajgon. Przesłuchania i inne takie. No, powiedz, że nie?

Temu Jacek nie mógł zaprzeczyć. Jola nie dała się zwieść na manowce i raczej nie było jej tam sensu posyłać. Zaczęłyby kopać, pluć i gryźć. A gdyby tak zaryzykować?

- Policjant w Częstochowie zapytał o Benca - przypomniał. - To by się zgadzało.

- Tego nie umiem wytłumaczyć. Ale jednego jestem pewna, gdyby policja wiedziała o oszustwie, już by tu byli. Tym bardziej że Brandys mówił o tajniaku, który zjawił się po obraz we wtorek. Tyle dni i nic?! Jakieś pokwitowanie mieli mu przesłać do dzisiaj. Już to widzę! - Jola prychnęła. - Nie wiem, jakie są procedury policyjne, ale to jakaś chała.

- W sumie...

- Tajniak! A mato jest teraz przebierańców? Co to za trudność się ztajniaczyć?! Słyszysz się przecież, że jakieś gnojki przebierają się w mundury, nawet mają wozy i tak dalej. I gucio! Zatrzymujesz się, bo ci machają lizakiem, i po kwiatkach, jesteś obrobiony... Może nawet przywiązują cię do drzewa.

- Mimowolnie puściła nieco wodze fantazji, co Jacek skwitował uśmiechem.

- Owszem, możliwe. Nie z drzewem, chociaż... Na golasa do tego drzewa? - Chciał być dowcipny, ale chyba nie został właściwie zrozumiany.

- Daruj sobie! - Jola obruszyła się. - Tajniak. Pokazał legitymację! Bzdury!

- Bzdury?

- Nie łączysz faktów?!

- Jola...

- Ja łączę! Nie wierzę w żadnego tajniaka! Benc ze swoją bandą wcisnęli Brandysowi fałszywy obraz, a teraz go świsnęli, bo się wydało! Skompletowali już swoje podróbki, policja może im... Nie zdziwiłabym się, gdyby tajniakiem okazał się nasz cudny Cycuś. Typ cichociemny, złodziejasek w dupę smolony!

- Teoretycznie możesz mieć rację.

- Ja mam rację praktycznie! - Jola zażarcie obstawała przy swoim. Postawa Jacka jakby uległa zmianie. Chęci do współpracy niby prezentował, ale usiłował czynić trudności, zaczął przejawiać opory jakiegoś nienazwane...

A może zbyt szybko doszło między nimi do cielesnych dyrdymałów? Może się zniechęcił i uznał ją za łatwą zdobycz?

- Przepraszam cię, ale muszę już iść - raptownie ucięła spór i z godnością wymaszerowała ze sklepu.

O, nie!

Niech się Jacuś ugryzie!

Niekoniecznie wymagała, żeby jej wybranek zgadzał się z nią we wszelkich kwestiach, nawet wolała polemikę, która zapewniała rozmaite atrakcje, ale siła argumentów akurat w tym przypadku musiała dotrzeć do każdego! Logika, czysta logika! A jeśli facet nie chyli czoła przed logicznym myśleniem...

To znaczy, że jest zwykłym młotkiem!

Ostentacyjnie poniechała z nim dalszych konwersacji na resztę dnia. Po pracy też wyszła przed wszystkimi, żeby Jackowi nie przyszło do głowy jej odwozić. Z rozpędu przemierzyła plac Wolności i zatrzymała się dopiero przy Trollu. Nie, do domu nie chciała wracać. Filipowi coś się stało, od wczoraj atmosfera na Pilotów 58 panowała tak gęsta, że można ją było ciąć piłą mechaniczną. Jak na złość, malarzyna nie zniknął w pracowni, tylko przemieszczał się z kąta w kąt, rażąc w oczy przybiciem i melancholią. Udzielało się cholerstwo.

Jola wprosiła się więc na wieczór do Aldonki na Staromiejską, co ta przyjęła wręcz entuzjastycznie. Od czasu akcji energetycznej nieustannie miała dobry humor, który chwilami mąciła nuda. Dalsze rewelacje w znanej aferze uszczęśliwiły ją nieziemsko. Kiedy usłyszała rzucone przez Jolę przypadkiem nazwisko Brandysa (Jola wolała do tej pory poprzestawać na ryżym blondynie), klasnęła w dłonie.

- Jola! Brandys Marunia?

- Ma runia? Co to jest ruń? Jakaś choroba weneryczna?

- Jola nie zrozumiała.

- Marunia! Marek!

- Mów do mnie normalnie. Już miałam nadzieję... Znasz ryżego?

Czy na Śląsku uchował się jeszcze jakikolwiek męski egzemplarz, którego Aldona by nie znała?

- Pewnie, że znam! Marunia to mój stary kumpel!

- Aldonka, proszę cię, nie przygniataj mnie egzystencjalnie. On nosi na szyi złoty łańcuch, jak krowa, a raczej jak byk. Buhaj nawet!

- Nosi, zawsze nosił. Lubi, jak po nim widać forszę.

- Moim zdaniem to po nim widać przebytą operację nacięcia płata czołowego. Nie, źle mówię - Jola się poprawiła.

- Po nacięciu człowiek jest przytępiały, cichy. A Brandys tryska furją i ogólnie jest go dużo w okolicy.

Aldonka wyglądała na ucieszoną.

- Cały Marunia!

- Przestań już z tym runiem, na litość boską! Czekaj... Aldona! - Joli wpadł do głowy pewien pomysł. - A ty byś mogła do ryżego zadzwonić i zapytać o tego tajniaka? Jak wyglądał, czy miał wąsy. Aha, i czy śmierdział.

- Co? - Aldonka myślała, że źle słyszy.

- Opowiadałam ci o Cycku. I tak się zastanawiam, czy to nie on odegrał przed Marunią policjanta. Od Cycka zawsze wonieje potem, tudzież zaśmierdłymi skarpetkami. Do rozpoznania łatwy. Chodzi w skórzanych klapkach i...

- Nie, bez pikantnych szczegółów, proszę!

- Już milczę! Zadzwonisz?

- Jasne.

Jola postanowiła przeczekać rozmowę koleżanki z Brandysem w kuchni, gdzie dokonała napadu na lodówkę. Aldonka przysła tam po dziesięciu minutach, które zeszyły jej na ploteczkach. Marunia sam się poskarżył, że został oszukany - Aldona nawet nie musiała pytać. Pochwalił się także, że wszystko znajduje się na dobrej drodze, ponieważ policja dostała od kogoś zgłoszenie. Nie wiadomo jednakże, kto wykazał się taką trzeźwością umysłu. We wtorek przyszedł do niego obrzydliwie śmierdzący tajniak, ubrany co najmniej niechlujnie. Już by wolał kogoś w mundurze, przynajmniej nie byłoby żal na człowieka patrzeć. Na prośbę Aldony Marunia ochoczo opisał tajniaka, trochę się z niego pośmiali, po czym wśród buziaczków i ciągnących się w nieskończoność papań zakończyli rozmowę.

- Cycek jak nic! - ucieszyła się Jola. - Bardzo ci dziękuję. A Jackowi kij w oko! Niczego mu nie powiem.

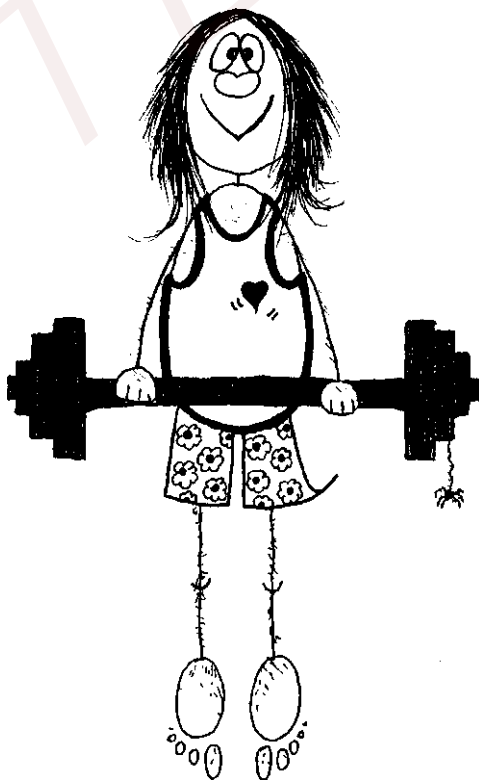
I wtedy Aldona zadała zagadkowe pytanie, które początkowo Joli umknęło, ale które później pobrzmiewało w jej myślach przez długi czas:

- Czy ty naprawdę znasz tego swojego Jacka?

Sobota i niedziela stwarzały możliwość wykreślenia Jacka z życiorysu, toteż Jola zaplanowała sobie te wolne dni dokładniutko, żeby nie poświęcać czasu na idiotyczne roztrząsania. Nie miała bladego pojęcia, że skutek osiągnie podczas weekendu całkiem odwrotny od zamierzonego.

W sobotę rano wybrała się z Alunią na gigantyczne zakupy spożywcze - Ala urządziła przyjęcie dla znajomych, więc Jola zadeklarowała ochoczo swą pomoc. Po dowiezieniu wszelkich specjalów do domu pomagała w przyrządzaniu co niektórych dań - szybko jednak wyszło na jaw, że żadna z niej kucharka. W namaszczeniu przyglądała się, jak Alunia komponuje z mięsa, papryki i innych magicznych składników cudownie pachnącą potrawę o nazwie bogracz, do której zamierzała podać grzanki z masłem czosnkowym. Ciasta zostały upieczone już wczoraj i Jola nie mogła się doczekać tortu makowego przekładanego masą kokosową.

Na przyjęciu bawiła się świetnie, gdyż Filip zaprosił wielu kolegów, którzy stawili się na garden party samotnie, a widząc skrzącą temperamentem brunetkę, zapragnęli nawiązać z nią bliższą znajomość. Rozmowa płynęła wartko, co chwilę ktoś dorzucał jakąś osobistą historyjkę do głównego nurtu dyskusji, która jakimś dziwnym splotem opowieści zaczęła dotyczyć tematu męskiej urody, ze szczególnym uwzględnieniem długich włosów. Długowłosych spotkało się u Aluni aż trzech i ogólny wydźwięk brzmiał pozytywnie. Tak, długie kłaki u mężczyzn to piękno i erotyzm. Ponieważ Filip z dość smętną miną zaszył się gdzieś w ogrodzie, Alunia pozwoliła sobie zagadać do Joli na forum:



- Opowiedz o Jacku, on to dopiero ma się czym pochwalić. Piękny blondyn. Włosy prawie do pasa. A może pójdziesz po niego? Mieszka niedaleko.

Na te słowa odezwał się niewysoki szatyn, który z upodobaniem chrupał korniszonka:

- Mój brat wynajmuje mieszkanie na Granicznej jednemu gościowi. Też Jacek i też ma długie włosy, tylko spina je w kucyk.

Od słowa do słowa stało się jasne, że mowa o tej samej osobie. Jola o Jacku pomyśleć musiała. Skoro jednak stał przed nią brat właściciela mieszkania...

- A pana brat jak ma na imię? Nie Tomasz czasem?

- Nie, czertu? Adrian.

- Na pewno?

Niby można nie zapamiętać imienia właściciela wynajmowanego mieszkania, ważniejsze jest nazwisko, ale... Jakie to dziwne pytanie zadała jej dzisiaj Aldona? Czy ona naprawdę zna Jacka? A cóż to miało znaczyć? Nie spytała, bo nie wzięła tego na poważnie. Zupełnie jakby ją zapytano, czy naprawdę wie, jak wygląda kaloryfer! Zresztą po co ona psuje sobie wieczór bzdurami.

Tomasz, Adrian, szczał ich burek, niech sobie chłopaki żyją.

Jacka burek też niech obsika, żeby było po równo!

W niedzielę Jola została zaproszona przez Krysię do stolicy Dolnego Śląska. Aldona wygadała się, że jedzie z Romkiem na wycieczkę do Wrocławia, więc Jola zadzwoniła do Krysi i bezczelnie się wprosiła. Skorzysta z okazji, że ominie ją dopust pociągowy, i zabierze się ze znajomymi. We Wrocławiu miała przyjemność znaleźć się ostatnio podczas studiów, a niedzielę chciała spędzić, ze względu na Filipa, poza domem. Krysia wyraziła nieudawany zachwyt, zatem o ósmej rano Jola pędziła już w limuzynie Romka do miasta, które mogło się pochwalić, jak dla niej, najcudowniejszą starówką w Polsce.

Z Krysią umówiły się w uroczej restauracyjce na placu Solnym. Wspominając studenckie czasy, wypiły po kawie, obgadały kilka studentek, po czym zamierzały zaserwować sobie turystyczny spacer szlakiem najważniejszych zabytków.

- Ja zapłacę - zastrzegła Jola, jednak Krysia nie chciała się na taki afront zgodzić.

- Chyba coś ci spadło na głowę w dzieciństwie! Nie żelazko czasem? Ja płacę! Do mojego miasta przyjechałaś.

- I co z tego?

Krysia do tego stopnia upierała się przy swoim, że zaczęła Joli wpychać na siłę portfel do torby. Jak na galanterię skórzaną portfel miał już swoje lata - Jola dostała go na urodziny jeszcze w liceum. Nabrała do powycieranego staruszka takiego sentymentu, że nie mogła się z nim rozstać, mimo że zamykanie działało już na słowo honoru. Podczas szamotaniny zatrząsk puścił, a monety posypały się z brzękiem po marmurowej posadzce kawiarni.

- O rety, Jolka! Ja cię przepraszam.

- Obie jesteśmy wariatki, przestań. To na szczęście się nam sypnęło.

Do pomocy dwóm atrakcyjnym paniom rzucił się młody bystry kelner.



- Bardzo panu dziękujemy.

- Ależ nie ma za co. Oooo... proszę, jeszcze nadajnik. - Kelner z nieodmiennie uprzejmym dygnięciem podniósł z podłogi coś małego i położył przed nimi na stole.

- Jeszcze raz może pan powtórzyć? - Jola oniemiała.

W małym gównie rozpoznała niby-baterijkę, która jakimś cudem zaplątała się jej kiedyś w torebce. Całkiem o niej zapomniała.

- Nadajnik GPS - kelner powtórzył z uśmiechem.

- Co to jest nadajnik? Coś nadaje, tak? - zapytała z zainteresowaniem Krysia.

- Przyczepiony do czegoś wysyła fale i dany obiekt można namierzyć z dokładnością do kilku metrów. - Młody człowiek zdawał się doskonale orientować w zagadnieniu. Joli coś świtało, o nadajnikach oczywiście słyszała, lecz w praktyce jakoś postęp cywilizacyjny jej nie zaatakował. A szkoda...

- Czym namierzyć? - dla pewności spytała.

- Programem komputerowym.

Żółte ulice Katowic na zielonym tle stały Joli w oczach jak żywe. I zmieszanie Jacka, kiedy odkryła tę jego „grę”. Nie mogło być mowy o żadnym zbiegu okoliczności!

- Rany... - wysapała przerażona i poprosiła o wodę.

- Źle się czujesz? - Krysia dostrzegła zmianę na jej twarzy.

- Okropnie.

Musiała się zastanowić, ogarnąć jakoś to kłębowisko domysłów, które znienacka ją dopadły. Co prawda już od dłuższego czasu pewne pytania zaczynały w niej kołatać, ale umysł - oszust znakomity - wypierał niewygodne wnioski, nie dopuszczał nawet, żeby powstawały, produkował różne zastępcze fikcje, które wątpliwościom miały zakłajstrować gębę na amen.

Ale nie zakłajstrowały.

Jola doskonale przecież pamiętała, że Jacek szukał kiedyś czegoś w aucie, a ją samą wysłał w tym czasie do McDonalda po ciasteczko. Potem mówił, że dolewał olej. Trele-morele.

Jacek zgubił nadajnik!

Jechali wtedy po raz pierwszy do Praczonej oddać... Oczywiście!!!

Jechali oddać do ekspertyzy *Pięknych*. Jacek zamierzał więc na pewno przymocować GPS do obrazu Pracza!

W następnej kolejności pojawiła się przed Jolą, nie wiadomo skąd, wizja pewnego wspólnego obiadu w Grazy. Zaskoczyła wtedy Jacka nad lekturą. Nie przypominała sobie tytułu, ale mówił coś o fałszowaniu dzieł sztuki. O fałszowaniu!

I jeszcze aluzyjne pytanie Aldony...

- Krysiu? Czy mogłabyś się ze mną przejść do Muzeum Sztuki Dwudziestolecia Międzywojennego? Mam tam sprawę.

Kiedy Jola po powrocie z Wrocławia stanęła w drzwiach kuchni, Alunia wiedziała, że wydarzyło się coś strasznego. Jola wyglądała tak, jakby przepłakała wiele godzin, co nie miało się z prawdą. Po odwiedzeniu muzeum zadzwoniła do Aldony i powiedziała, że wróci jednak pociągiem i że dziękuje Romeczkowi za dobre chęci. Coś jej wypadło.

Tym czymś było zdruzgotanie duchowe.

Nie mogła się w takim stanie pokazać na oczy nikomu znajomemu. Pojechała na dworzec i wsiadła do najbliższego pociągu, na który szczęśliwie nie musiała zbyt długo czekać.

Upały nie zachęcały do wojaży, raczej wygoniły ewentualnych podróżnych nad wodę, więc prawie bez świadków przechlipała drogę powrotną. Czując wcześniej, co się święci, nabyła na dworcu chusteczki higieniczne. Cztery paczki. Zasmarkowała wszystkie.

Do Katowic dojechała jako inna osoba.

Nie pozwoli się oszukiwać.

Nie pozwoli i już!

Związek powinien polegać na uczciwości i lojalności. Odkryła, że lojalność ceni sobie ogromnie. Żadnych przemilczanych sekretów, żadnych tajemnic.

I jeszcze jedno.

Jola nie wyobrażała sobie spędzić życia z przestępcą.

Obojętnie, czy z łysym szczerbatym capem, czy ze złotowłosym dorodnym adonisem. A Jacek zachowywał się jak ktoś, kto miał coś na sumieniu.

- Alunia, czegoś się dowiedziałam. I domyśliłam. O Jacku! - obwieściła z rozpaczą. Musi wyrzucić z siebie choćby część prawdy. Inaczej pęknie, rozleci się na części.

- Wiedziałam!

- Co wiedziałaś? - Jola nie znajdowała się w nastroju do maskowania nieufności.

- Już dawno się zastanawiałam, czy ci czegoś o Jacku nie opowiedzieć, ale głupio mi było. - Alunia nie zamierzała już niczego ukrywać. - Jeszcze mogłabyś pomyśleć, że cię celowo zniechęcam do mężczyzny. Z zazdrości.

Co też ona wymyśla? Jaka zazdrość?!

- Ty jesteś prawie jak święta, nawet w tych pasemkach. Wystarczy spojrzeć na mnie, od razu widać, nad kim jaśniej aureola... Z zazdrości? Ja wiem, że ty chcesz jak najlepiej, niczego złego bym nie pomyślała, zgłupiałaś?!

- Nie wieem. Ja różne takie mam o Jacku... spostrzeżenia.

- Żebyś ty wiedziała, jakie ja mam spostrzeżenia! - wyrzuciła z siebie zbolalym głosem Jola.

- To która pierwsza?

- Mów ty, ja do jutra mogę nie skończyć.

- Już, już, tylko naleję ci inki. Ciepłutka, z miodem. Pij na poprawę nastroju. - Ala z troską postawiła przed przyjaciółką parujący kubek. - Hmm, od czego by tu zacząć?

- Najlepiej od początku. Wszystko, co ci się kojarzy z moim... kolegą.

- Od początku... Najpierw widziałam, jak Jacek skradał się pod oknami.

- Czyimi?

- Nie twoimi właśnie. Pod pracownią Filipa chodził, pewnie mu się pomyliło.

Analizując wszelkie poczynania Jacka, Jola wcale nie przyjęła tej pomyłki gładko.

Filip również musiał tkwić w aferze, tak jej zaczynało wychodzić, chociaż przez wzgląd na Alunię starała się go wykluczyć. Skoro jednak malarzyna wypływa na różne sposoby.

- Chodził? Może przechodził?

- Chodził, zaglądał. I to tak jakby nie chciał być zauważony.

- Przyłapałaś go?

- Nie. - Alunia pokręciła głową. - Ale pamiętam, nie wiem, czy to w ogóle ma związek, że jak nas odwiedził, koniecznie chciał zajrzeć do pracowni. Pamiętam, bo musiałam mu odmówić i stresowałam się, że jestem niemila.

- I nie wszedł?

- No coś ty!

To, co właśnie usłyszała od Aluni, jeszcze bardziej utwierdziło ją w podejrzeniach. Nie zamierzała jednak znowu zagłębiać się w rozpacz i żale. Będzie twarda!

- Mów dalej, niech mi już klapki całkiem spadną z tych głupich gał.

- Już mówię. Czyli najpierw te okna mnie zdziwiły. Potem biegałam i rzuciłam Pilotowi kij. Nieszczególnie, w krzaki i między rury. I tam podsłuchałam, jak Jacek z kimś rozmawiał. Nie wiem, może przesadzam, ale chyba usłyszałam „Ja bym go zamordował”. Chyba...

Jola wpatrywała się w Alunię z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Powoli zaczynała myśleć, że jej zdolności percepcyjne chyba jednak się kończą. Jacuś przestępcą. To musiała sobie bezlitośnie uświadomić, żeby nie stać przed facetem jak krowa tępą i naiwną. Już prawie się z tym faktem pogodziła. Jacuś przestępcą...

Ale mordercą?!

- Jacek chce mordować - powtórzyła automatycznie, bez jakichkolwiek emocji.

- Już nie pamiętam, kto chciał mordować. Jacek czy ten jego rozmówca. I w ogóle nie wiem, czy mordować. Może inne jakieś słowo?

- Nie oszukujmy się. - Żeby nie zwariować, Jola postanowiła w samotności przetrwać usłyszaną właśnie rewelację, a teraz skoncentrować się na pozyskiwaniu kolejnych informacji. - Mówili coś jeszcze?

- Jacek powiedział, że ma plan. Ciekawe jaki...

Na tyle jednak Jola przytomność umysłu zachowała. Aluni ani słowa! Dla jej własnego bezpieczeństwa. Może uważać Jacka za łotra, którym niewątpliwie jest, jednak żadnych szczegółów, tylko ogólniki.

- Alunia, ja coś odkryłam.

- Coś strasznego?

- Straszliwego nawet. Jacek jest zbir. Czarującym, ale cholernie sprytnym przestępcą. Gdybym się tak z nim nie zbliżyła...

Alunia łypnęła okiem spod rozjaśnionej grzywki.

- Z nim się zbliżyła czy do niego?

- Bardziej z nim. Więc, gdybym się tak z nim nie zbliżyła, to pewnie dalej myślałabym, że Jacuś to żywy święty, który pojawił się na tym padole w blasku niebiańskiej chwały, a wszędzie tam, gdzie postawi nogę, wyrośnie stokrotka. Uf, aż się zmęczyłam tą twórczością.

- Niebiańska chwała, stokrotka. Ładne.

- Ale chcę ci opowiedzieć o czymś innym. Jest taka awantura u nas w pracy, rozmawialiśmy o tym z Jackiem, kiedy piekłaś te śmieszne ciastka z uszami.

- Słoniowe uszy?

- Chyba tak. Pamiętasz rozmowę? Opowiadałam, że Cycek wynosił coś z magazynu, że widziałam u niego podrobione podpisy Pracza.

- Jola, ja już mam dosyć malarzy, naprawdę. Coś kojarzę, ale uważnie nie słuchałam, przyznaję się.

- Ktoś fałszuje i podmienia obrazy. U nas w pracy. Tyle ci powiem, żeby cię nie zanudzać.

- Jacek?

- Tu jest właśnie pies pogrzebany. Przepraszam, Pilot - Jola rzuciła w kierunku pupila. - Niby nie Jacek, niby on jest przeciwko temu, kto tą aferą kieruje, ale wielu rzeczy nie rozumiem i nie umiem ich połączyć, dlatego coś mnie zżera. Teraz może ja po kolei... Jacek przyjechał do Katowic z Wrocławia. Mówił, że był asystentem konserwatora zabytków w Muzeum Sztuki Dwudziestolecia Międzywojennego. I...

- I? - ponagliła Alunia, gdyż Jola zacięła się na dłuższą chwilę.

- I ja dzisiaj rozmawiałam z tym konserwatorem. Powiedziałam, że chcę coś podać Jackowi Kordkowi...

- I?

- I facet otworzył szeroko szczękę. Żaden Jacek Korcik nigdy tam nie pracował i nie pracuje.

- Niemożliwe!

- Też nie chciałam wierzyć. Opisałam go dokładnie. Rozstrzygnęły włosy. Włosy musiał mieć długie nawet jakiś czas temu, hodowla trwa lata. Nawet nie był tam woźnym, bo przecież mógł skła-

mać Wąsowi co do stanowiska, żeby dostać pracę. Wypytałam konserwatora dokładnie. Żadnych wątpliwości.

- Nie rozumiem.

- Ja też nie rozumiem. Co gorsza, podejrzewam nawet, że Jacek to nie Jacek.

Alunia otworzyła szeroko swoje błękitne oczy.

- Dalej nie rozumiem.

- Kiedyś odebrałam w jego domu telefon i ktoś chciał rozmawiać z Tomkiem. Idiotyczny telefon, Tomek i Tomek. Ale wczoraj słyszałaś?

- Co?

- Ten śmieszny chłopak z korniszonem.

- Marcys?

- Niech mu będzie. Zgadałam się z Marcysiem, że jego brat wynajmuje mieszkanie na Granicznej jakiemś długowłosemu Jackowi. I brat nie ma na imię Tomek, a Jacek się tak właśnie wykręcił. Że właściciel to Tomek i to z nim pewnie ten ktoś, kto dzwonił, chciał rozmawiać.

- Może brat Marcysia wynajmuje jakiemś innemu Jackowi? Zbieg okoliczności.

- Podałam Marcysiowi adres. Ten sam.

- No to ja już nie wiem. - Alunia ze zmartwienia rozłożyła ręce.

- Znowu kłamstwo! Ja myślę, że Jacek to Tomek!

- Jola, ja się chyba pogubiłam.

- Ale ja się nie pogubiłam! Ja się odnalazłam! W porę. Dzięki nadajnikowi.

- Jakemu nadajnikowi? Co ty opowiadasz? Wy tłumaczenie przyjaciółce sytuacji zabrało sporo czasu.

Patrzyła nieco podejrzliwie, w końcu jednak uwierzyła, że Jola nie żartuje i z wypiekami na twarzy wysłuchiwała historii o poszukiwaniach Jacka w aucie. Nadajnikiem nawet się zainteresowała, mętnie myśląc, że dziwnie się składa. W tym tygodniu to już drugi raz ktoś objaśnia jej dziwne rzeczy - ostatnio nasłuchiwała się o uziemieniu.

- Zobacz sama. - Jola wyjęła z torby portfel i położyła przed Alunią małe czarne byle co, które tyle narozrabiało w życiorysie pewnej zakochanej kretynki.

- Tylko po co ten, jak tam? GPS?

- GPS.

- Po co ten GPS Jackowi?

- Podejrzewam, że dzięki nadajnikowi chciał mieć na oku pewien obraz.

- Aha... Może to wcale nie jego? - spytała Ala, dotykając delikatnie małego guziczka.

- Jak to nie jego?! A czyje? Z nieba przecież do mojej torebki nie spadło, a miałam ją podczas wyjazdu do Częstochowy. Poza tym widziałam u Jacka w komputerze program do lokalizacji obiektu. Taka plansza, jakby plan miasta. Kelner mi uświadomił.

- Niesamowite. Jakby taki nadajnik wszyć Filipowi... - rozmarzyła się Alunia, po czym obie niespodziewanie zachichotały.

- Może niedługo zaczną coś takiego produkować - wyraziła przypuszczenie Jola. - Wiesz, jaki byłby popyt?! Nadajnik małżeński. Szał na rynku!

- Dobrze, zostawmy już elektronikę. Zgłodniałam. Chcesz kromeczkę?

- Przed pójściem spać? A kysz!

- Ja chcę. Ostatnio w nocy trochę z Filipem spalamy.

- Alunia lekko się zawstydziała.

- Znaczy, małżonek wrócił do sypialni?

- Oj, wrócił. Pracownia leży odłogiem.

- To dobrze, że spalacie, Filip chyba potrzebuje teraz relaksu. Co mu właściwie jest? Jakiś męski przekwit? Psychoza maniakalno-depresyjna ewentualnie?

- Nie wiem. Zamknął się w sobie.

- Nawet po... spalaniu nie da się z niego nic wyciągnąć?

- Mówi, że ma dużo pracy.

- W wakacje?

- Nie wiem, ja się tym nie interesuję i do niczego nie wtrącam. Jak mówi, że ma dużo zajęć, to znaczy, że ma

- Alunia ucięła, a Jola popadła w zamyślenie. Pogratulować zaufania. Zresztą, może to jest jakiś sposób?

Puścić faceta, niech się pasie swobodnie na wolności. Gdyby nie jej wrodzona podejrzliwość, pewnie nadal patrzyłaby Jackowi w oczy, a on wiódłby na boku jakieś podwójne, zaplątane życie. Nie, już chyba raczej woli patrzeć na świat trzeźwo i bez złudzeń. Chociaż takie patrzenie boli.

- Hmm... Dużo zajęć, niech będzie. Pysznie wyglądają te twoje kanapki.

- Często się, przynajmniej nie będę miała wyrzutów sumienia, że tylko mnie idzie w biodra.

Wracając do Jacka...

- Skończyłam na nadajniku? - upewniła się Jola, zanim z ponurą miną wgryzła się w kanapkę z żółtym serem. - To jeszcze nie koniec cudów techniki, niestety, musisz być dzielna. Jacek zna się też świetnie na podsłuchach.

- O nie, znowu coś. Skąd wiesz?

- Tym fałszowaniem obrazów kieruje taki jeden człowiek. Wiemy kto i wiemy, gdzie mieszka. Wykombinowaliśmy z Jackiem, że warto by mu założyć podsłuch, żeby wiedzieć też, co zamierza i tak

dalej. Oczywiście Jacek załatwił całe oprzyrządowanie. Cholera! Ja ten podsłuch całkiem wymazałam z pamięci, a on nawet nie pisał. A podsłuchiwał już na pewno! Aldonka wczoraj założyła.

- Kto?

- Taka koleżanka, nie znasz jej. Aha, i jeszcze. Widziałam kiedyś u Jacka książkę. Tytuł mi się stracił, ale przypomniałam sobie padalca. *Sztuka fałszerzy, fałszerze sztuki* - chyba tak leciał.

- Jaki to ma związek z podsłuchem?

- Nie wiem, ale ta książka płacze mi się po umyśle, jak analizuję sytuację. Wszystko się kręci wokół fałszerstwa! Kim jest ten mój... Jaki mój?! Co ja opowiadam! Kim jest Jacek? Jaką odgrywa rolę w tym całym zamieszaniu? Alunia, może ty mi rozjaśnisz horyzont? Pomocy!

- Cóż, żółty ser chyba nie wpływa zbyt dobrze na koncentrację. Nie wiem, może Jacek ma spółkę z tym takim...

- Z tym, który kieruje aferą?

- Yhyyy.

Taką ewentualność Jola jednak wykluczyła. Jacek szczerze stał po przeciwnej stronie niż Benc i reszta towarzystwa, za to dałaby się utopić w Rawie - cuchnącej upojnie katowickiej rzece. Nie, stanowczo nie. Już prędzej podejrzewała, że Jacek chce odzyskać i kopię, i oryginał *Pięknych 1981*, żeby samemu zawładnąć obrazami.

- A może on też jest oszustem, który chce wyłączności na interes? - rzuciła. - Bo z tą bandą na pewno nie trzyma. Sam dla siebie.

- Naprawdę tak myślisz?

- Czasami nie wiem już, co myśleć. Wiesz, że mój kolega ot tak - Jola pstryknęła palcami - posiada osiemdziesiąt tysięcy złotych? Niby zbiera na mieszkanie.

- Dlaczego ot tak? Może ciulał pół życia? Poza tym osiemdziesiąt tysięcy to nie jest chyba jakiś upiorny majątek. - Oceniała Alunia i poszła do lodówki po keczup.

- Niby nie, ale na początku Jacek robił wrażenie, jakby był biedny jak mysz kościelna. Zwodził mnie.

- Przesadzasz.

- O, właśnie. Ostatnio Jacek też mi to powtarza, zamiast działać i współpracować. Ramię w ramię! Nie jest ze mną szczerzy, mięśniak jeden. A tak na marginesie... Nie widziałam jeszcze, żeby asystent konserwatora mógł się pochwalić takimi bicepsami.

- Pewnie ćwiczy na siłowni.

- Już to widzę! Coś ty! Widziałam go w akcji, przesuwał szafę, jakby była marnym puchem. To nie są mięśnie z proszku i odżywek, co niby pięknie napompowane, ale w użyciu wysiadają. Jacek jest po prostu silny, z wysiłku ma takie kształty.

- Ja się na mięśniach nie znam. - Ala sięgnęła po kolejną kanapkę. - To znaczy, na jednym tak. Filipiek ma mięsień piwny. Na brzuchu.

- A ja się znam, mój brat ćwiczy i jest słaby jak żebro bakterii. Ale mięsa wyhodował na sobie tyle, że można paść. W każdym razie dziewczyny padają. Powinny zobaczyć, jak braciszek znosił po schodach wersalkę. Musieliśmy go prawie reanimować. Taki mięśniakowaty niby.

- Czemu ty się czepiasz mięśni?

- Bo Jacek nie jest tym, za kogo się podaje, i tropię każdy ślad!

- I co ci te ślady mówią?

- Brzydko mi mówią. Wcale bym nie chciała, żeby mi mówiły, ale naiwna nie zamierzam być. Jacek to przestępca. Może nawet morderca... - Wbiła w Alunię twarde spojrzenie.

- Jola, ja cię proszę! Nie wiem, czy wtedy dobrze usłyszałam, czy czegoś nie przekreśliłam, a ty robisz teraz z Jacka nie wiadomo kogo.

- Wiadomo kogo!

- A o policji myślałaś? - Alunia spytała słabo. Nagle stwierdziła, że inka i żółty ser niekoniecznie idą ze sobą w parze. A już keczup z mlekiem stanowczo się kłóci.

- Zwariowałaś?! Wszystko by było na nas. I nie tylko na nas. - Jola pomyślała o Filipie i westchnęła. - Policja całkiem odpada. To znaczy, do czasu... Po czasie to chyba raczej nie będę miała wyboru, jeśli dojdzie do tego, o czym myślę, że dojdzie - zaplątała się.

- A zwykła rozmowa? Może powinnaś poprosić Jacka o wyjaśnienia?

- O nie! Nie zamierzam się przyznawać do tego, co wiem!

- Czemu? Tak byłoby najprościej. Szczera rozmowa...

- Tyle kłamał i jeszcze miałabym się ludzić, że wyjaśnię coś szczerą rozmową? Było wiele okazji do szczerych rozmów. Nie skorzystał. A teraz nie skorzystam ja. Do czasu tego, co ma się zdarzyć, będę siedzieć cicho.

- A co się ma zdarzyć?

- Różne takie.

- Aha! - Alunia o nic więcej nie spytała. Przytaknęła, czując, że kakao i ser dokonują w jej żołądku rewolucji. - A ja myślę, że mi się zdarzyła... ciąża - wydukała z wysiłkiem i truchtem pobiegła do łazienki.

Gdyby Jola zerknęła przez okno na zewnątrz, wiedziałaby, że nie jest jedyną osobą, która cieszy się z powyższej wiadomości. W zaparkowanym pod domem aucie siedział ze słuchawkami na uszach Jacek. Uśmiech nie schodził mu z ust.

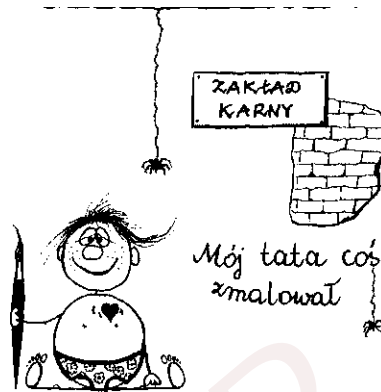
Nowina o rozmnożeniu spadła na Filipa jak pięćdziesiąt gromów z jasnego nieba - jeden grom stanowczo nie oddawał siły rażenia powyższej wiadomości. Filip najpierw oszalał ze szczęścia, a potem pogrzyżył się w otchłani rozpaczy jeszcze głębiej. Dziecko!



Od początku małżeństwa odkładał tę decyzję w niesprecyzowaną przyszłość, obawiał się, że może nie podołać powadze sytuacji. Nie sztuka przecież spłodzić potomka, ale trzeba zapewnić mu przyszłość, poświęcać czas, pokazywać obrazy, zabierać do muzeum, żeby mały człowiek nie wyrósł na ignoranta w dziedzinie sztuki.

Dziecko...

Tak się ucieszył, a tymczasem bąbel może nie oglądać swojego tatusia przez wiele lat. A jeśli już, to na sali widzeń. W więzieniu.



Przez słuchawkę słyszałby, jak jego syn, bo niewątpliwie spłodził syna, wymawia pierwsze słowo i nie ma się co ludzi, że będzie brzmiało ono TATA!

Nie dopuści do tego. Jego dziecko musi mieć normalny dom, a przede wszystkim musi mieć rodziców.

Ojca i matkę.

Alicję i Filipa Piechów.

Poczuł, że siła działania rozpiesza go od wewnątrz. Kiedy usłyszał w środku nocy, że został ojcem, nie mógł zasnąć aż do następnego dnia. O siódmej rano wstał z łóżka i pobiegł do sklepu po bułeczki dla małżonki. Alunia musi teraz dbać o siebie. Kto wie, może powinna rzucić pracę u tego jakiegoś starucha. On w każdym razie byłby za. W tym momencie słodkie rozważania o rodzicielstwie popsuła natrętna myśl o pieniądzach, które zaczęły drażnić Filipowi dziurę w sercu. Powinien zabezpieczyć rodzinę, już teraz wypadałoby odłożyć co nieco. Lekarze, wyprawka, pieluchy, łóżeczko. O ile jeszcze niedawno gotów był oddać pieniądze Bencowi w zamian za swoją kopię, teraz podobna ewentualność wydała mu się pomysłem całkowicie poronionym. Nie, może jednak nie używać pewnych słów... Pomysłem do bani!

Rozwiąże tę paskudną sprawę inaczej.

Kuba, kuzyn Aluni, którego Filip przygotował do egzaminu na akademię, stawiał się na telefoniczne wezwanie punkt jedenasta pod teatrem - Filip wolał umówić się na mieście, skąd łatwo mogli się dostać na Kościuszki, do Małej Galerii. Tam bowiem postanowił zaprowadzić kuzyna.

- Na uczelnię się dostałeś? - zapytał młodzieńca już na samym wstępie.

Kubuś odpowiedział zgodnie z prawdą, choć nie bez ociągania, które było następstwem wczorajszej mocno zakrapianej imprezy:

- Dostałem się, przecież wiesz.

- Dzięki komu?

- Nooo...

- Co: no, chłopku?! - Filip zbliżył się do Kubusia na niebezpieczną odległość.

- Dzięki tobie, oczywiście! Lekcje mi dawałeś.

- W końcu zaskoczyłeś. Nie tylko lekcje pomogły - Filip zaznaczył dwuznacznie, choć dobrze wiedział, że kuzyn Aluni miał talent i trafił na studia tylko dzięki kilku miesiącom rzetelnej orki pod jego, Filipa, okiem.

- Jak to?

- A ty wiesz, ilu zdolnych kretynów zdawało na jedno miejsce?

- Wiem.

- I co? Myślisz, że same lekcje wystarczyły? - Filip podle łągał, nawet czułby do siebie wstręt, gdyby nie to, że kłamał w słusznym celu. Do pomocy należało Kubę zachęcić, choćby szmatławą manipulacją.

- Eee, tego... Naprawdę mi pomogłeś... jakoś dodatkowo?

- Szepnąłem komu trzeba twoje nazwisko.

- Rany! - Kuzyn podrapał się po czuprynie i zrobił idiotyczną minę. - Super, dzięki. Iiiiiii po to mnie tu ściągnałeś? Żeby mi to powiedzieć?

- Pośrednio. Nadszedł czas, żebyś okazał wdzięczność. Kubuś z trudem przełknął ślinę.

- Aha... Eeee, nie ma sprawy. Co mam zrobić?

- Jest taka jedna szuja, która mi coś ukradła.

- O rany!

- Odstap już od swych ran, chłopku, bo mnie aż ręka swędzi... Facet ma niedaleko stąd sklep z antykami, a moją rzecz trzyma na zapleczu.

- Skąd wiesz?

- Znam jego zwyczaje, nie interesuj się. Potrzebuję kluczy.

- Ale co ja miałbym...

- Miałbyś te klucze podiwanić. Zajumać, jak wy to teraz mówicie.

- Zajumać?!

- Ukraść, rypnąć, świsnąć... Przynieść mi!

Czy Filipek postradał zmysły? Kuba poważnie zaczął rozważać taką możliwość i z mieszanymi uczuciami przyglądał się mężowi Aluni, który zachowywał się co najmniej dziwnie. Nigdy nie spr-

wiał wrażenia zbyt normalnego, ale dzisiaj przechodził samego siebie. Wzdychał, sapał, rozglądał się nerwowo. Chory czy co?

- Ojcem zostałem - wyjął półgębkiem, chociaż niewiele miało to, jak dla Kuby, wspólnego z czynem, do którego Filip zmuszał go w imię wdzięczności. Po raz pierwszy pomyślał, że może jednak powinien wybrać inne studia i nikogo nie prosić o korepetycje. Budowa maszyn na przykład.

- Na serio? Ekstra! - Walnął malarza z radości w plecy, ale ten spojrzął na niego bykiem.

- Nie pozwalaj sobie. To co? Jedziemy?

- Poczekaj! Zaskoczyłeś mnie. Ty na poważnie? Mam gdzie wejść i wynieść stamtąd czyjeś klucze?

- Dokładnie tak.

- Ale...

- Jakubku. - Filip pogładził kuzyna po rumianym policzku. - Kocham cię jak brata. Jeśli jednak nie przyniesiesz mi kluczy, o które tak ładnie proszę, to znowu szepnę komu trzeba twoje nazwisko. Tym razem po to, żebyś z tej uczelni wyleciał.

Kubuś, jeszcze przed chwilą lekko otumaniony i niedospany, oprzytomniał ostatecznie. A po godzinie, wyczekawszy moment, kiedy do galerii wszedł jakiś klient, dokonał pierwszej w swym nieskalanym przestępstwie życia kradzieży. Choć chyba lepiej nazwać ten incydent wypożyczeniem mienia. Kiedy Filip dorobił już wspomniane klucze, przyszedł student sztuk pięknych pojawił się na Kościuszki ponownie. Że niby chce o coś jeszcze spytać. I położył pęk żelastwa na miejsce - na śliczny secesyjny sekretarzyk w kącie pomieszczenia.

Nie wiedział, bo skąd, że całe zdarzenie zarejestrowała niewielka kamera tkwiąca w oku wypchanego ptaszyska, które rozpościerało swe zakurzone skrzydła na szafie. Właściciel galerii również nie miał pojęcia, że imponujących rozmiarów cietrzew dostał nagle sokolego wzroku. A już w ogóle nikt nie przypuszczał, że chodnik po przeciwnej stronie ulicy został wcześniej specjalnie rozgrzebany tylko po to, by pewien sympatyczny młody człowiek mógł go przez następne parę dni układać od nowa. Młodzieniec w odrażająco brudnym kombinezonie i śmiesznej czapce z wystrzępionym pomponikiem niby pracował, ale częściej urządzał sobie przerwy na papierosa, co nikogo z przechodniów nie dziwiło. Siedząc na stercie brukowej kostki, nie spuszczał z oczu osób, które wchodziły do galerii i z niej wychodziły. Szczególnie zainteresowali go dwaj mężczyźni. Młody, na oko dwudziestoletni, i szepczący mu coś do ucha nieco starszy. Obaj spoglądali w stronę galerii podejrzanie często.

Kiedy młody wszedł do sklepu, jego starszy towarzysz zaczekał w bezpiecznej odległości na zewnątrz. Przez szybę widać było, że młody wyraźnie się czaił. Czekał, aż właściciel zajmie się klientami, a potem... Chyba zabrał coś ze stolika w rogu pomieszczenia!

Młodzieniec na stercie wyrzucił niedopałek. Leniwie zwłóknął się ze swojego posterunku i, poprawiając spodnie, wszedł do pobliskiej bramy. Naraz dokonała się w nim niepojęta przemiana. Prze-

stał wyglądać jak nierozgarnięta siła robocza, w spojrzeniu - żywym i bystrym - pojawił się błysk intelektu. Mężczyzna wyciągnął telefon komórkowy i marszcząc brwi, rzucił do słuchawki:

- Tu Pyrcik. Potrzebowałbym kogoś na Kościuszki, żeby przejął dwóch gości. Coś się dzieje.

Na czas upałów powinno się pozamykać zakłady pracy.

Albo zainstalować w nich klimatyzację, do cholery!

Komisarz Morozowski, noszący dzięki swoim kolegom mało oryginalny pseudonim Mrozu, miał już wszystkiego dosyć. Absolutnie wszystkiego! W czasie upałów zawsze walczył z sennością, dawało też o sobie znać serce, które od lat odmawiało posłuszeństwa - pewnie nie bez znaczenia pozostawał fakt, że należał do osób skrytych i nieuzewnętrzniających uczuć. Zamarzył o morzu. Siedziałby na plaży, tuż przy brzegu, gdzie łechtałaby go świeżutka bałtycka bryza, mewy przyjemnie by kwiliły... Urlop!

Niestety, na upragnione wczasy musiał jeszcze poczekać prawie miesiąc - na wybrzeże pojedzie dopiero pod koniec sierpnia. Wtedy odpocznie, zatrzaśnie zawodowe drzwi, a już na pewno wymaże z pamięci co niektóre odpychające gęby.

Z ryżego blondyna komisarz Morozowski ucieszył się jednak okrutnie. Mimo dającego się we znaki zmęczenia, od razu połączył jakimś swoim nadzmysłem opowieść Brandysa i kradzież Pracza w Częstochowie z niedawną historią baby, która uparcie zgłaszała molestowanie. Może jednak nie przesadzajmy z tym nadzmysłem - owszem, w coś takiego Mrozu został przez naturę wyposażony i wiele lat pracy w policji wyostrzyło mu spojrzenie na pewne sprawy, ale bez Pyrcika, który znalazł się przypadkiem w odpowiednim czasie i w odpowiednim miejscu, sto lat by trwało, zanim połączyłby informacje.

Naprawdę łebski chłopak z tego Pyrtka, świetnie im się razem pracowało. Mrozu nie musiał się przy koleźce nadwierać konwersacyjnie, mógł się poświęcić dedukcji, a Pyrcik odwalał w tym czasie ocieplanie atmosfery, bratanie się z ludźmi, czego Morozowski nie cierpiał po prostu szczerze i namiętnie. Jak dla niego, świat powinien się składać z dowodów rzeczowych, śladów, wniosków i motywów. Całą resztę z powodzeniem mógł trafić szlag. Albo meteoryt. Wielkie bum i nie byłby zmuszony rozmawiać z nadętymi idiotami.

Takimi jak siedzące przed nim indywiduum.

- Kupił pan na aukcji obraz... - powtórzył za poszkodowanym i zawiesił pełne męczeństwa spojrzenie na Pyrciku. Jak na złość, młokos zamiast pomóc, zajmował się tym razem gryzmoleniem. Może pisał raport; niedawno zszedł z posterunku na Kościuszki, gdzie tkwił od samego rana.

- Kupiłem, legalnie! - zastrzegł przezornie blondyn. - Justyn Praczu, *Piękni 1981*.

- Dowód zakupu poproszę.

- Tutaj. - Brandys wyciągnął z portfela plik kartek. - A tu ekspertyza.

Morozowski przeczytał dokumenty dokładnie, z właściwą sobie sumiennością.

- W porządku. Na jakiej podstawie przypuszcza pan, że został oszukany?

- Poprzedni właściciel obrazu tak powiedział. Że to nie jest oryginał, który on zostawił w domu aukcyjnym. Że musieli podmienić i sprzedać mi kopię.

- Ma pan świadka, tak? Imię i nazwisko tego poprzedniego właściciela.

- Niezguła, imienia nie znam, ale wziąłem telefon. Może ja po niego zadzwonię?

- Dzwon pan.

Pan Niezguła dotarł na komendę trochę przestraszony, choć jednak pełen nadziei na szczęśliwy finał nieprzyjemnej historii. Może w ogóle nie powinien myśleć o sprzedaży Pracza? Czuł dziwne wyrzuty sumienia i wyrwę w piersi. Tyle lat mu *Piękni* towarzyszyli, a on ich teraz posłał na zmarnowanie w nieprzyjazny świat.

- Ja panu przysięgam - walnął się w pierś, patrząc przy tym nie na Morozowskiego, przed którym składał zeznania, ale na podpierającego milcząco ścianę Pyrcika - że pan Brandys nie kupił mojego obrazu. To nie jest mój obraz! Poznałbym go!

- Zaraz do tego dojdziemy. Oddał pan obraz, *Pięknych 1981* Justyna Pracza, do Śląskiego Domu Sprzedaży Dzieł Sztuki w Katowicach, tak? - upewnił się Morozowski i otarł pot z czoła.

- Tak - potwierdził pan Niezguła i pokazał wystawiony przy tej okazji kwit komisowy jako dowód.

- Obraz został wystawiony na aukcji i kupił go pan Marek Brandys?

- Tak.

- Następnie znalazł się pan w mieszkaniu pana Brandysa i stwierdził, że to kopia?

- Dokładnie tak, panie komisarzu. Ja znam na moim obrazie każdą kreskę. Kopia na pewno!

- We wtorek - Morozowski ciągnął niewzruszony, popatrując tylko co chwilę to na Niezgułę, to na Brandysa - ... jedenastego lipca, do mieszkania pana Brandysa przyszedł człowiek, który podał się za pracownika policji i zabrał obraz, rzekomo do laboratorium.

- Najpierw rozmawiałem z właścicielem domu aukcyjnego, ale facet się wyparł - sprostował markotnie blondyn. Do tej pory, pouczony przez komisarza, siedział z głową na kłódkę, co jednak kosztowało go zbyt wiele. - Byłem tam w poniedziałek. We wtorek rano przyjechała jego asystentka, ale też mi nic nie powiedziała sensownego. Potem pojawił się tajniak, z legitymacją. Miałem dostać do piątku pokwitowanie, ale coś mi nie pasowało. To z tego domu aukcyjnego ukradli, żeby nie było dowodu oszustwa, ja wam mówię! Trzeba ich aresztować. Tego młodego ze sklepu, co mi podpowiedział Pracza, i tego jego dyrektora.

- Panie Brandys, niech pan opanuje emocje. Nikogo nie będziemy na razie aresztować. Wszystko musi iść swoim tokiem. Najpierw trzeba wszcząć śledztwo.

- To jeszcze nie wszczęte?! - Brandys podniósł głos, a Niezguła skulił się na krzeselku. Komisarz bowiem już nic nie powiedział, tylko przesłał Brandysowi jedno ze swoich słynnych mrozących krew w żyłach spojrzeń.

- Przecież po coś tu przyszedłem! - blondyn nie dał za wygraną. - Mam świadka!

- Panie Brandys. Wszystko swoim tokiem, mówię. Rozumiemy się?

Blondyn, bardzo nierad z obrotu sprawy, zamilkł, ale gotowało się w nim niemożebnie. Od siedzącego naprzeciwko sztywniaka w mundurze aż wiało biurokracją. Mur nie do przebiccia, nawet jak dla niego. Co innego wypierdek pod ścianą. Z oczu patrzyło mu człowiekiem. Już miał do policjanta zagadać, kiedy komisarz znowu powtórzył:

- Rozumiemy się?

- Rozumiemy... się - przytaknął zły jak diabli.

- Panu Niezgule dziękuję. - Morozowski skinął facecikowi za biurkiem. - Może pan już iść, będziemy w kontakcie, gdyby zaistniała taka potrzeba. A do pana mam jeszcze parę pytań. Potrafiłby pan opisać człowieka, który podał się za tajniaka?

- Jasne jak słońce, że bym potrafił.

Po zakończonej rozmowie z Brandysem komisarz Morozowski mógł w końcu odetchnąć. Ale nie na długo. Wkrótce otrzymał bardzo ważny telefon z Komendy Głównej Policji w Warszawie. Już w czwartek, po wizycie pani Krymułowej, okazało się, że dotknęli z Pycikiem za ledwie czubka góry lodowej.

Góry, która wkrótce miała stopnieć.

Następnego dnia pod budką telefoniczną na jednym z katowickich osiedli spacerował starszy pan. Przechadzał się zdenerwowany po chodniku to w jedną, to w drugą stronę i popatrywał na zegarek. Dochodziło piętnaście po trzeciej.

Niebywałe...

A jednak prawdziwe.

Gerard zawiódł.

Ileż może tu tak łązić? Jeszcze wpadnie komuś w oko.

Dwadzieścia minut po umówionej godzinie Władysław Benc zdecydował się na odwrót. Westchnął przygnębiająco i podreptał w stronę przystanku autobusowego. Nie zamierzał snuć przypuszczeń, dlaczego Niemiec nie zadzwonił.

Trudno się mówi.

Tak całkiem źle przecież nie było.

Po prostu skorzysta z alternatywy. Z Kuleszy, węglarza. Jemu sprzeda obraz i wreszcie zamknie swoje sprawy. Kupi jajo, rozliczy się z Wąsem. I wyjedzie do Polanicy-Zdroju, gdzie niedawno nabył

okazyjnie śliczny domek. Będzie chodził po górach, korzystał z pijalni wód i szalał na dancinach. Małego sklepu z antykami też nie zawadzi na tej spokojnej emeryturze otworzyć.

I może, jeśli wszystko się dobrze skończy, będzie żył długo i szczęśliwie.

I co dziwne - uczciwie.

Musi się do tej myśli przyzwyczaić.

Jola siedziała wieczorem w kuchni przybita.

Nie mogła jeść, nie mogła pić, nie mogła spać.

Próbowała dodzwonić się do Aldony i poważnie z nią porozmawiać - cóż bowiem miały znaczyć te jej słowa o znaniu Jacka naprawdę? Czy Aldona o czymś wiedziała? Niestety, wredna małpa nie odbierała telefonu, przy każdej próbie włączała się poczta głosowa, więc Jola spasowała i z powrotem pogrzyżyła się w beznadziei. Jediną czynnością, którą zdołała wykonać dziś do końca, chociaż i tak musiała się do niej zmusić, było stworzenie anonimu.



Tak, anonimu.

Na kartce papieru przykleiła z powycinanych z gazet liter zdanie:

*Prawdopodobnie w czwartek dowie się o wszystkim policja.*

Kartkę wrzuciła rano w kopercie przez okno do pracowni Filipa.

Tyle chociaż mogła dla malarzyny zrobić. Niech wie i jakoś się przygotuje. Jola zamierzała bowiem naprawdę pójść w czwartek na policję, jeśli Jacek nie odda do tego czasu Brandysowi oryginału *Pięknych*. Pojutrze wszystko się rozstrzygnie. Nie można oczekiwać, że Jacek poleci do ryżego blondyna z obrazem w zębach w środę o dwudziestą pierwszą, zaraz po spotkaniu z Bencem, ale w czwartek już koniecznie. Powiedzmy, że Jola poczeka do wieczora.

Do tego czasu planowała być dla Jacka prawie miła, żeby uśpić jego czujność, ale nie miała okazji. I wczoraj, i dzisiaj, a, jak dowiedziała się od Ani, i jutro, Jacek pracował w terenie. Monika zastępowała go w sklepie, a on sam zwoził z Polski eksponaty. I dobrze. Twarz pokerzystki, a jakże, można wystawiać do osobnika, którego posiada się w odwłoku.

Ale w odwłoku Jola Jacka nie posiadała.

Raczej w sercu, jak na razie.

Przetransportować się z jednej części do drugiej, skubaniec, nie dawał, chociaż próby podejmowała Jola liczne.

- Będziesz się smucić w towarzystwie - zawiadomiła Alunia, wkraczając do kuchni. - Teraz zrobię porządek tutaj.

- Nie masz dosyć? Niedługo noc.

- Absolutnie. - Pogłaskała się po brzuchu, mimo że nadal pozostawał płaski. - Teraz posprzątam, póki się dobrze czuję. Będzie jak znalazł, jak poczuje się gorzej.

- Zagonisz Filipka - pocieszyła Jola i nawet się na taką wizję uśmiechnęła.

- A wiesz, że on mi zaczął pomagać? Odkąd dostał nauczkę z łajdaczeniem... A już jak się dowiedział o dziecku... Kto by pomyślał. Poczekaj, przetrę stół.

- Jesteś nieznośna. Daj, ja powycieram. - Jola wyjęła Aluni z rąk ściereczkę. - Specjalnie to robisz, żeby mnie odciągnąć od ponurych myśli. Wiem, wiem... Chwała ci za to. Od góry do dołu wytrę, żebyś nie kręciła nosem. I od spodu. O, masz tu przyklejonego jakiegoś gada. - Schyliła się, żeby zerwać to, co wyczuła przez materiał szmatki.

- Co mam przyklejonego?!

- No właśnie nie wiem. Sama zobacz. - Jola zrobiła miejsce przyjaciółce. W złączeniu pomiędzy nogą stołu a blatem coś tkwiło. Zasnęte, nieforemne, w mało przyjemnym odcieniu brązu, choć w kuchni panował lekki półmrok i określenie koloru mogło nie być trafne.

- Oby to nie był zdechły pająk - powiedziała z odrazą Alunia. - Nie cierpię robactwa. Zamówię dezynfekcję i deratyzację.

- Na mój skromny gust deratyzacja oznacza odszczurzanie, więc chyba nie ma potrzeby.

- Brzmi dobrze. Zamówiłabym. Nie, to nie jest pająk... Guma do żucia z jakimś czymś okrągłym! - oceniła po bliższych oględzinach Alunia, gdyż Jola w tym czasie zdążyła włączyć światło.

- Z czym?

- Nie wiem z czym, wygląda na maleńki magnes. Odklejamy?

- Odklejaj, twój stół. Chcesz nóż?

- Daj. Rękawice gumowe też by się przydały, nie wezmę tego świństwa do ręki.

- Przecież to chyba guma Filipa. Męża się brzydzisz?



- A coś ty! Nigdy w życiu Filipa! Już on wie, że jak bym zauważyła, awantura murowana. Myślałam, że... twoje.

- Proszę cię! - Jola udała oburzenie. - Takie masz o mnie złe zdanie? Mieszkam pod twoim dachem i upiększam ci meble gumą do żucia? Alunia!

- Hmm... Nie? Już dobrze. Uwaga, odklejam!

Wydobyty spod stołu kawałek gumy posiadał na sobie niewielki duperel. Przez chwilę wpatrywały się w niego całkowicie zdezorientowane. To coś na pewno nie było, tak jak sugerowała Alunia, magnesem. W pierwszym momencie Joli przyszedł na myśl nadajnik, chociaż... Pamięta, że zerknęła przez ramię Jackowi, zanim poszedł do Aldony z...

- Alunia - wyszeptała przyjaciółce do ucha najciszej, jak tylko potrafiła. - Chyba mamy w domu podsłuch.

Za jedyne w miarę bezpieczne pomieszczenie na naradę uznały łazienkę, gdzie powędrowały, obie nieziemsko przejęte.

- Do mnie nie dociera. - Alunia opadła na deskę klozetową, którą uprzednio zamknęła. - Podsłuch? A może tu też? - Rozejrzała się lękliwie po własnej toalecie.

- Kto by tu miał kogo podsłuchiwać? I kiedy? Podczas sikania? Doznania słuchowe dla zbrojczyń chyba...

- A może ten ktoś przewidział, że się zorientujemy i przyjdziemy porozmawiać do łazienki?

- Nie wytwarzaj takiej atmosfery, bo za chwilę pobiegnę po długopis i słowem do ciebie już więcej nie przemówię.

Alunia zakryła usta ręką.

- Już się nie odzywam - obiecała.

- I czemu mówisz, że „ktoś” przewidział? Zastanówmy się. Chociaż nawet bez zastanawiania... znowu przychodzi mi do głowy Jacek - szczerze przyznała Jola i załamana usiadła na dywaniku obok wanny. - Czy ja śnię? Czy my naprawdę znalazłyśmy podsłuch?

- Nie wiem. Ty twierdzisz, że to podsłuch.

- Widziałam coś takiego u Jacka, dlatego twierdzę.

- Widziałas u Jacka? - Alunia powtórzyła za Jolą, dając do zrozumienia, że pewne wyjaśnienia mogłyby naświetlić sytuację.

- Mówiłam ci przecież, że imprezą z fałszowaniem i podmienianiem obrazów kieruje jeden człowiek i że założyliśmy mu podsłuch.

- Aha, faktycznie, ale rozmawialiśmy w niedzielę, czyli przedwczoraj. Zdążyłam zapomnieć. Od niedzieli tyle się wydarzyło. Zostałam mamą...

- Mamą to zostałaś chyba wcześniej?

- Wcześniej, ale ostatnio do mnie niewiele dociera.

- Jak mówisz, że do ciebie nie dociera, to do mnie zaraz dociera więcej. Coś mi się jeszcze przypomniało! - Jola obwieściła niemal radośnie. - Jacek wie o twoim łajdaczeniu.

- Wie? - Wiadomość nie przypadła Aluni do gustu.

- Wie. Spytał, czy dalej się łajdaczysz, a ja myślałam, że mam zaniki pamięci. Że sama mu powiedziałam, a potem zapomniałam. - Joli wyraźnie ulżyło. - Galopująca skleroza mi nie grozi, po prostu podsłuchał, ale nie przejmuj się. Łajdaczką byłaś etatowo. Co w takim razie robimy z tym głównem? - Jola przeszła do konkretów.

- Nie wiem. To mój pierwszy podsłuch.

- Mój też. W normalnej sytuacji to wiadomo. Zgłoszyłybyśmy na policję, przyjechaliby i sprawdzili, czy tych pluskiew nie ma więcej. A tak... Albo będziemy do czwartku siedzieć cicho, a ważne sprawy omawiać na przykład w ogrodzie, albo przeszukamy dom same. A najlepiej wszystko razem. I cicho, i przeszukamy.

- Czemu do czwartku? - zaintrygowała się Alunia.

- W czwartek zamierzam się zgłosić na komendę - Jola na wszelki wypadek wyszeptwała przyjaciółce rewelację do ucha.

- Popieram, ale czemu w czwartek?! Może dzisiaj?

- Do czwartku z Jackiem się wyjaśni. Dzisiaj wybij sobie to z główki.

- Szkoda, nie lubię podsłuchów... I pójdziesz? Tak po prostu?

- Pod moim nosem, a nos mam czuły na sztukę, kradną obrazy. Już straciłam się w tym wszystkim. Nie wiem, kto fałszuje, kto podmienia. Wąs, Jacek czy może premier Botswany do spółki z Benem. W dodatku jestem nabijana w butelkę. Sercowo... Mam się dać?!

- Nie - Alunia słabo zaprzeczyła.

- Otóż właśnie! Nie dam się! I ty też masz się nie dać, obojętnie, co się zdarzy. Pamiętaj! Nigdy, nikomu!

Wydarzenie z podsłuchem paradoksalnie postawiło Jolę do pionu. Zamiast roztrząsać, co powiedział i zrobił Jacek, skoncentrowała się teraz na przeszukiwaniu pracowni, do której próbował się wprosić. Nie szukały długo - takie samo małe, tyle że tym razem srebrne, odnalazły po przestawieniu przez Alunię wazonu z pędzlami. Jola zarządziła oglądanie wszystkiego i z wszystkich stron, więc z pogratulowania godną konsekwencją zajrzała pod spód naczynia. Okazało się, że słusznie.

- A jednak tu wszedł! - Alunia potrząsnęła wazonem.

- O, Jezu! - na dobre przerażona pozwoliła sobie na wplątanie w wydarzenia sfer niebiańskich. - Przestaje mi się to podobać. Czemu ten twój Jacek... - Zamilkła naraz pod wpływem wzroku Joli, który mówił: „Nie artykułować na głos niebezpiecznych treści”. - Muszę iść do sklepu - dokończyła po chwili ni w pięć, ni w dziewięć, i pociągnęła Jolę za sobą.

- Czemu on nas podsłuchuje?! - zadała pytanie dopiero na chodniku pod furtką.

- Też się zastanawiam. Może chodzi mu o mnie? Chce wiedzieć... Ożeż!

- Co?

- Konspirację urządzamy. - Jola popukała się w głowę.

- A w niedzielę...

- A w niedzielę obsmarowałyśmy Jacka jak się patrzy - dokończyła posepnie Alunia.

- I co teraz? Przecież on wie, co myślimy. To wszystko się gdzieś nagrywa, a on sobie potem odsłuchuje.

- Myślisz? Może mu się coś tam w szpiegowskim sprzęcie popsulo i...

- Morze jest szerokie i głębokie. - Jola westchnęła. - I drogie, podobno taniej wychodzi Chorwacja niż Bałtyk. Alunia... On wie! Dlatego znika z pracy i bierze wyjazdy. Wie!

- Co to dla nas oznacza?

- Miejmy nadzieję, że oznacza dobrze. Że Jacuś się ogarnie i zrobi, co należy. I że nie będę zmuszona iść na policję jak baranica na rzeź. Albo jak oślica ewentualnie.

Owszem, Filip przymierzał się do czegoś, co niewątpliwie było złe.

Przymierzał się, zastanawiał i roił sobie różne przebiegi sytuacji, wspierając się wiedzą mgliście zapamiętaną z filmów sensacyjnych. Mgliście, gdyż nie przepadał za podobnymi głupotami. A tu proszę, teraz sam stawia czoło sytuacji znanej mu dotąd jedynie ze szklanego ekranu, w który zresztą zbyt-  
nio się w życiu nie wgapiął - szkoda mu było czasu, przecież zamiast tkwić w kapciach przed telewizorem, mógł, owszem, w tym samym obuwiu, kreślić pędzlem arcydzieła w pracowni. Kto wie, ile te płótna będą kiedyś warte. Może jego pierworodny i jeszcze nienarodzony będzie się kiedyś cieszył owocami talentu ojca, które to owoce osiągną zawrotne ceny na rynkach, ho, ho, światowych!

Ale najpierw należało stawić czoła rzeczywistości.

Sam do końca nie wiedział, czy się odważy. O tym jednak, że musi się odważyć i że nie ma odwrotu, przekonał się wczoraj, czyli we wtorek. W poniedziałek dorobił przy pomocy Kuby klucze do sklepu Benca, ale potem przestraszył się swoich niecnych działań. We wtorkowy poranek doznał jednak silnego wstrząsu - pod oknem znalazł najprawdziwszy anonim, który uzmysłowił mu, że sprawy mają się znacznie bardziej poważnie, niż sądził.

Ktoś wie, że on wie.

Ktoś na pewno też wie, że on jest winien.

I ten ktoś darował mu czas do jutra.

Czas, który on wykorzysta na zatarcie śladów przestępstwa.

Przestępstwa, którego sam, w swojej głupocie, dokonał.

Zacieranie śladów należało jednakże dokładnie przemyśleć.

Na początek strój obserwatora borsuków. Koniecznie nijaki, najlepiej szary albo czarny, żeby zlać się z otoczeniem. Gdyby musiał uciekać, chociaż jego plan zakładał coś zupełnie przeciwnego,

lepiej nie odróżniać się od przechodniów. Czarne sztruksy i siwa koszulka. Dobrze. Na włosy żel, żeby mu czasem na miejscu żaden włos z głowy nie wypadł i nie pozostał na Kościuszki w postaci gotowego materiału do badań DNA. Rękawiczki obowiązkowe. Jakaś reklamówka na to, co zamierzał wynieść z galerii. Swoją torbę zostawi w domu - tylko by mu przeszkadzała, a do wykonywania działań przestępczych ręce musiał mieć wolne i nieskrępowane.

- Filipku? - zaintonowała wdzięcznie pod drzwiami Alunia.

- Co tam?

- Co robisz? Zajęty jesteś?

- Pracuję - równie czule odkrzyknął.

- Wychodzę!

Jak dla Filipa komunikat zdecydowanie odrażający w treści. Chociaż... W zasadzie obecność Aluni mogła tylko skomplikować sytuację. Mimo to zawołał:

- Jak to „wychodzę”? Teraz? Gdzie?

- Do pracy. Dziadek prosił, żebym coś dla niego załatwiła.

Już lepiej, chociaż i tak wiadomość o opuszczeniu przez małżonkę domu nie przypadła Filipowi do gustu, oj nie. Od pewnego czasu kojarzył wieczorne wyjścia Aluni z flagami, barami i innymi takimi rozkosznymi niespodziankami. Do pracy, wieczorem? Co to za nowe zwyczaje jakieś podejrzane?

- O ile wiem, to w twojej pracy nie było do tej pory nocnej zmiany - rzucił z naganą. - Nie wracaj za późno! - dodał już bardziej po ludzku, przypominając sobie, że ewentualny świadek jego dzisiejszej nieobecności w miejscu zamieszkania, czyli żona, schodzi właśnie uprzejmie ze sceny. Należało się cieszyć, a nie kręcić nosem.

- Czy możesz otworzyć drzwi, zamiast się wydzierać? - usłyszał w odpowiedzi. - Normalni ludzie rozmawiają, patrząc sobie w oczy.

- Alunia, ja pracuję! - uciął dyskusję. Wołał jednak nie pokazywać się małżonce w połyskującym żelem hełmie na włosach - Przeszkadzasz mi!

- Ja cię tylko informuję, najmilszy z małżonków...

Znowu źle, miał być dla Aluni grzeczniejszy. Te jej upiorne łajdactwa właśnie od tego się zaczęły.

- Miłego wieczoru, kochanie! - zawołał, starając się ukryć irytację. - Nie mogę wstać, bo stoję w farbie. Baw się dobrze!

- Nie mogę wstać, bo STOJĘ w farbie - powtórzyła pod nosem Alunia. Zamyśliła się i podreptała do drzwi.

Miała na sobie najnowszą sukienkę, w której wyglądała po prostu bosko. Filip stwierdził ten fakt, przypatrując się żonie z okien pracowni. Chwilę potem z domu wyszła Jola, też odstawiona jak na cygańskie wesele. Co z nimi? Gdyby nie znał Aluni od tyłu lat, pomyślałby, że się wymykają jedna po

drugiej na jakieś umówione tajne spotkanie. Z mężczyznami, oczywiście. Hmm... Należało się zacząć spieszyć. Być może w innych okolicznościach pozwoliłyby sobie na odrobinę szpiegowskiego szaleństwa i poszedł za żoną, dochodziła jednak dziewiętnasta - o tej godzinie zaplanował wymarsz. Ulice Katowic powinny być już pustawe, miasto nie należy bowiem do metropolii tętniących po zmierzchu życiem towarzyskim. Można wejść do bramy (zaplecze galerii znajdowało się od strony niewidocznej dla przechodniów), najzwyczajniej w świecie włożyć klucz do zamka, przekręcić. Nikt nie zwróci uwagi.

Tak, tak...

Dogodna godzina na włamanko.

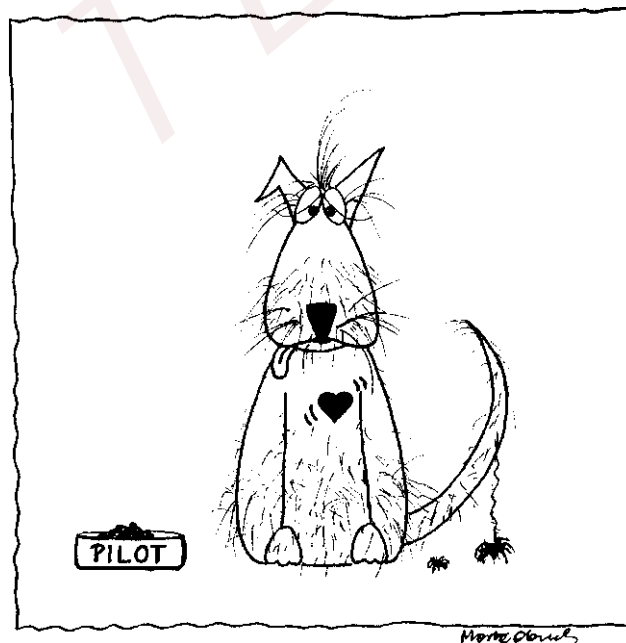
Ledwie opuścił dom, co uczynił w wielkiej konspiracji, wybierając na tę okazję okno pracowni, leżący w kuchni Pilot uniósł uszy.

Został sam.

Bardzo tego nie lubił - zwłaszcza brakowało mu miłego pobrzękiwania naczyniami w kuchni i zapachu farb, w których paćkał się jego pan. Chociaż nie miał w zwyczaju oddalać się od ulubionych miejsc, dziś postanowił wprowadzić w swoje psie życie przyjemną odmianę.

I pójść w ślad za Filipem.

Którego jakoś ostatnio bardzo pokochał.



Inaczej żart, na ef...

Figiel pasuje - Pyrcik policzył okienka w krzyżówce, którą męczył, zerkając co chwilę w panoramę Kościuszki. Tkwił tu od obiadu. Po drugiej stronie ulicy, nieco wyżej, parkowali jego koledzy, a w furgonetce obok - czarni, z grupy specjalnej. Im to dobrze, przynajmniej mogą ze sobą pogadać. Morozowski nie zaszczylił go od godziny nawet słowem. Siedział z założonymi rękami i ani drgnął - że

też mu tyłek nie zdrętwiał, twardzielowi... Nie jest jednak źle, w radiu świetnie grali, w termosie chlupała pyszna kawa, a godzina zero miała wybić już za pół godziny. Po akcji pewnie będzie jeszcze potrzebny, ale dzisiaj przynajmniej się wyśpi - wczoraj porzucił błogie zajęcie chodnikowego i wsiadł do służbowego opla, w którym spędził całą okropną noc. Ale od poniedziałku, kiedy to Benca odwiedził pewien malarz i jego młody pomocnik, do galerii nie zbliżył się nikt, kto wzbudziłby jakiegokolwiek podejrzenia.

Pyrcik obejrzał się za przejeżdżającym tramwajem.

Nic, spokojnie jak na placu kościelnym.

Powietrze w końcu ostygło, cień zakrył szczelnie ulicę wraz z poupychanymi na niej kamieniami. W oddali pobrzmiwały pojedynczo odgłosy gasnącego miasta. Z zaułków i ślaskich podwórek, jak szczury, zaczęli wyłazić ci mieszkańcy, którzy najlepiej czuli się w mieście właśnie o tej porze - kiedy wszyscy pozostali udawali się do swoich domów, do swoich żon, dzieci i telewizorów. Ubrani w omszałe z brudu i woniejące piwskim szaty przystawali przy bramach i penetrowali otępiałym wzrokiem okolicę.

A nuż coś się wydarzy.

Jak na zamówienie, coś faktycznie zaczęło się dziać, ale na razie jedyną osobą, która zachowała trzeźwy umysł, okazał się Pyrcik.

Jednocześnie zdarzyły się bowiem dwie rzeczy.

Od placu Miarki nadeszła zapierająca dech w męskich piersiach blondyna. Rasowa. Tak uważali reprezentanci płci brzydkiej na całej ulicy Kościuszki. Nawet Mrozu się ocknął. Zmarszczył brwi i, jak typowy samiec, zajrzał w opalone bioderka dziewczyny wyeksponowane nad płytkim pasem dzinsów.

Pyrcikowi płaski brzuch blondynki wydał się jednak zbyt spieczony na solarium - na widok takich piękności zaczynał odczuwać w żołądku pewien niesmak. Niesmak nie dotyczył kryteriów tylko estetycznych. Żadnych głupich laleczek. Osobowość! To jest to!

Dlatego zerknął, a jakże, ale na zerknięciu się skończyło.

To mu pozwoliło wyłapać moment, w którym do bramy przy Małej Galerii ktoś wszedł. Zobaczył tylko zarys postaci. Facet, na pewno. Z przylizanymi włosami. Dziwny. Paskudny, jak ci tutaj pod sklepem. Ale oni czuli się na ulicy jak u siebie na wsi, a tamten, to Pyrcik zarejestrował w ułamku sekundy, rozejrzał się inaczej. Kontrolnie. A jeśli kontrolnie...

- Włazł tam jakiś. Sprawdzę - poinformował Morozowskiego i wyszedł z auta.

Wsadził ręce do kieszeni i niedbałym krokiem pobujał się na drugą stronę ulicy. Przechodząc obok podwórka, zerknął w głąb, jak ktoś zagubiony, kto szuka adresu.

Łuup!

W bramie gruchnęły zatrzaszkowane drzwi. Więc chyba facet polazł do jakiegoś mieszkania. Na to wygląda, bo na podwórku nikogo. Pyrcik podszedł więc jeszcze do zaplecza galerii, posłuchał chwilę i na wszelki wypadek delikatnie nacisnął klamkę. Zamknięte.

W porządku.

Nawet nie oddychać!

Filip wślizgnął się na zaplecze i zamienił w wielki gład narzutowy. Potem przekreślił zamek i skamieniał ponownie, żeby przez chwilę pomyśleć. Jest już wewnątrz. Jeśli Benc zainstalował tu jakiś alarm, należało zmobilizować umysł i przestać popadać w histerię. Ma niewiele czasu przed przybyciem policji. Słyszał o alarmach sprzężonych z komisariatami. Złodziej się włamuje, a na komisariacie drze się dzwonek i wszyscy pędzą na miejsce zdarzenia. Tak, ale przecież on nie jest złodziejem, odbiera tylko to, co do niego należy.

Okoliczności go zmusiły.

Raz kozłowi śmierć!

Ledwie się uspokoił, fala gorąca zalała mu wnętrzności ponownie. Ktoś nacisnął na klamkę!

Delikatnie i miękko. Po cichutku jak duch. Tylko raz, ale Filip o mało się nie przekreślił na tamten świat.

Zamarł.

Czekał, cały zamienił się w słuch. Na podwórku coś zaszurało. Najpierw tuż przy drzwiach, następnie coraz dalej i dalej. Wreszcie nastąpiła cisza.

Postał jeszcze chwilę w bezruchu, wykorzystując czas na obserwację wnętrza.

Może mu się wydawało?

Może to jego własny strach wyprodukował wizję poruszającej się klamki? A szuranie... Pewnie jakiś dzieciak dokazywał na podwórku.

W końcu otrzeźwiał. Nie ma czasu, nie ma czasu. Znaleźć obraz, zabrać i schować się. Tak, to najlepsze rozwiązanie. Zabierze obraz i nie będzie uciekał. Łapie się uciekających. A on nie. Zadziała zupełnie inaczej. Ha!!!

Był kiedyś z Bencem na zapleczu, stąd wiedział, że staruch trzyma obrazy właśnie tu. Podczas tej krótkiej wizyty wyczał, że wielka dębowa szafa zastawia sobą jakby wnękę. Tam właśnie zamierzał się wcisnąć i zaczekać. Jeśli do galerii wpadnie policja, a na jego gust powinno to nastąpić do pół godziny, bardzo dobrze. Niech wpadają chłopaki. On posłucha, posiedzi parę godzin za szafą i wyjdzie nad ranem. A jeśli nie wpadną, tym lepiej. Też poczeka, powiedzmy do dwunastej, i pójdzie sobie spacerkiem w stronę Skłodowskiej-Curie, a stamtąd na dworzec, gdzie zamówi taksówkę.

Tak, do roboty!

Filip rzucił się do opartych o ścianę ram. Niezła kolekcja, pomyślał, oglądając po kolei każdy z obrazów. *Pięknych* znalazł na samym końcu. Dwa niewielkie płótna stały rozdzielone jakimś pejza-

żem. Podeszedł z nimi do okienka na tyłach pomieszczenia, gdzie jeszcze docierała odrobina mdłego światła. Nawet nie musiał zbyt długo porównywać. Bez trudu rozpoznał swoją pracę, choć stanowiła świetną kopię.

A gdyby zabrać również oryginał, a następnie przekazać go anonimowo w ręce policji? Nie zdążył rozważyć tej kwestii, ponieważ z wnętrza galerii doleciał niespodziewany dźwięk.

Ktoś otwierał drzwi.

Wszystkie postanowienia padły na twarz. Mogła Jola postanawiać różne dziwactwa, knuć plany podstępne, a nawet pisać po dwadzieścia razy na kartce: „Jacek to bęcwał i kmiotek”, stawiając przy tym mnóstwo ponurych wykrzykników, które swoją wymową przebijały cztery kartki w głąb notesu. Bzdury nieużyte!

W końcu nastąpiła długo wyczekiwana środa. Jacek, znów nieobecny w pracy, zadzwonił dzisiaj przed południem i potwierdził, że spotykają się na Kościuszki, pod galerią, za pięć dwudziesta. Więc przyszła, chociaż nogi się pod nią uginały.

Spojrzała Jackowi w te jego sympatyczne oczęta.

I poległa.

Kmiotki mają oczodoły bez wyrazu, przymglone bynajmniej nie inteligencją. A Jacuś potrafił zajrzeć w kobiecą duszę. Bardzo, bardzo głęboko.

- Co słyhać? - spytał po prostu i na powitanie pocałował ją w usta, chociaż tuż obok stał Romek Kulesza, który nie kwapił się do odwracania głowy. Dyskretne odejście na stronę także nie zaświtało mu w łepetynie.

Tyle czasu się nie widzieli... Od piątku, całe pięć dni! Jola pomyślała tęsknie, że zamiast utrzymywać dystanse i siać grzeczne chłody, najchętniej przylgnęłaby do Jacka już na stałe. I bardzo ciasno.

- Niedużo - odpowiedziała z udawaną otuchą.

- Co: niedużo?

- Niedużo słyhać. Pytałeś. A u ciebie? Co słyhać? - Jola skonstatowała nagle, że słowo „słyhać” bardzo źle się jej kojarzy w zestawieniu z Jackiem i jego niecnymi przyrządami do podsłuchiwania. I kłamstwa też, i tajemnice tym bardziej. - Zresztą nieważne. Róbmy, co trzeba. Masz pieniądze?

Jacek potrząsnął trzymaną w rękę sportową torbą. Po twarzy przemknął mu jednak cień, który nie uszedł uwadze Joli. Nawet przez moment zastanawiała się, czy nie powinna uciec. A może udać niestrawność? Połączoną z rozwolnieniem. Trudno, niezbyt to eleganckie, ale przynajmniej nie musiałaby ze sobą tak walczyć. Miotać się pomiędzy złością a cholera wie czym.

- Jest wszystko, co potrzeba - odpowiedział pełnym napięcia głosem. - Czemu nieważne?

- A czemu miałyby być ważne?

- A naprawdę nie jest ważne?



Przysłuchujący się temu wszystkiemu Romek westchnął z udręką, po czym uznał, że warto by nadać toczącej się dyspacie jakiś sensowny kierunek.

- Sratatata! Ważne czy nieważne, to uzgodnicie sobie w domu, przy kawie. Mnie z nerwów swędzi pod pachami, więc...

- Więc czas zmienić antyperspirant - Jola przerwała mu w pół słowa. - Już ósma, wchodzimy? Drzwi galerii otworzyły się jak na zamówienie, zanim zdążyli zapukać.

- Zapraszam dalej - powitał ich Benc. - Czekamy, ja i moja asystentka. Poznajcie się, państwo. Pani Alicja Piecha - tu Benc wskazał na postać nieśmiało wychylającą się zza jego pleców.

O ile Jola nie zareagowała na wypowiedziane przed chwilą słowa, bo zwyczajnie do niej nie dotarły, to widok stojącej skromnie pośrodku galerii... Aluni całkowicie ją obezwładnił.

Alunia?

Tutaj?

Asystentka?

Czyżby...

Nie!

Czyżby Benc był tym dziadkiem, u którego pracowała? Jak to możliwe?! Wydawało jej się, że w ich rozmowach nie padło ani razu jego nazwisko. Jola też nie zdradziła danych szefa szajki, więc w sumie... W sumie Alunia mogła prowadzić dom prezydenta Katowic, jeśli pasowałby wiekiem.

Benc podstarzałym szefem Aluni.

Alunia asystentką faceta, który kradł i podmieniał obrazy!

Do stu tysięcy zarzyganych choinek!!!

Przecież Alunia nie mogła mieć z tym nic wspólnego, to musiała być straszliwie ponura złośliwość losu, wystarczyło przyjrzeć się jej oczom, które wyrażały szczytowe otumanienie.

Chociaż... Może nie złośliwość, może zrządenie losu? Jej przyjaciółka powinna posiadać w pewnych kwestiach rozległą wiedzę. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Milczeć! Tylko milczeć i absolutnie nie pokazywać, że się znają!

Jacek też, na szczęście, wpadł na taką samą odkrywczą myśl. Widok wspólnej znajomej bynajmniej nie wstrząsnął jego wnętrzem. Zachował się tak, jakby dopiero co Alunię poznał. Ukłonił się uprzejmie i skierował wzrok na Benca wymieniającego uścisk dłoni z Romkiem. Alunia również uciekła spojrzeniem i trzymała się z tyłu za swoim pracodawcą, który zaproponował:

- Chodźmy na zaplecze, tam spokojnie porozmawiamy. Jednak rozmowa nie kleiła się.

Alunia ponownie spojrzała na Jolę i trwała tak, bez słów wypowiadając niezliczoną liczbę wyjaśnień. Jacek stał za fotelem, w którym rozpierał się zmieszany Romek, a Benc czekał, aż któryś z gości w końcu się odezwie.

- No tak, to może z konwersacji jednak zrezygnujemy - stwierdził zniecierpliwiony i sięgnął do tyłu, gdzie pod ścianą stały oparte obrazy. Jeden z nich wyciągnął przed siebie.

- *Piękni 1981.* Justyn Prac. Do państwa dyspozycji razem z ekspertyzą - oświadczył niemal uroczyście, choć nie potrafił do końca ukryć niesmaku, który trawił mu duszę.

- Można obejrzeć? - wystartował Jacek, podchodząc bliżej.

- Proszę bardzo.

- Panie Romanie... - Jacek podał płótno Kuleszy.

- A, tak, oczywiście. Obejrzeć... - Romek się zreflektował.

- Jeśli państwo już się nacieszyli widokiem - powiedział po dłuższej chwili Benc, kiedy obraz przechodził kolejno z rąk do rąk - to może byśmy zakończyli formalności?

- Mówisz i... Ależ oczywiście. - Romek uklonił się na siedząco. - Pieniądze na stół, proszę - rzucił rozkazującym tonem Jackowi, który podniósł z podłogi torbę z wymalowaną na niej czerwoną panterą. - Płacimy, szefie. Nie ma lipy. Torba dla pana, gratis.

Spojrzenie Benca mówiło wiele. Nie wyartykułował jednak targających nim treści, gdyż najpierw w galerii, a potem na zapleczu, rozpętała się trzecia wojna światowa.

Tupot wielu nóg.

Drzwi walące z głuchym trzaskiem o ścianę.

Do niewielkiego pokoiku, gdzie dokonano właśnie transakcji, wpadli, a raczej włali się czarną falą, zamaskowani mężczyźni.

Jola, Jacek, Romek, Ala, Benc... Żadne z nich nie zdążyło nawet pisnąć, a już leżeli obezwładnieni na podłodze.

- Policja! Jesteście aresztowani!!! - wykrzyczano im nad uchem i Jola poczuła dziabnięcie czegoś twardego na plecach. Przyciskający ją do posadzki policjant dosłownie wwiercał jej lufę w płuca!

Jednocześnie miało miejsce kolejne wydarzenie.

Z łomotem odskoczyły drzwi prowadzące na podwórko.

- Rączki do góry! - niespodziewanie dał się słyszeć czyjś ściśnięty głos.

Od podniesienia głowy nie mógł Joli powstrzymać nawet wyrok śmierci, a co dopiero wbijane w żebra żelastwo. Czy ona dobrze słyszała? Tak!!!

W drzwiach zaplecza zatarasowali się... Wąs z Cyckiem! Obaj trzymali w rękach po małym, żalonym pistoleciku i właśnie wpatrywali się w wymierzone w nich lufy brygady antyterrorystycznej. Oczy robiły im się coraz większe i większe...

Zaskoczenie trwało krótko.

Zanim Wąs zdążył ocenić sytuację i zareagować, już leżał na podłodze z nosem jak rozdeptana żaba. Podobnie zbaraniały Cycek. Przez straszliwie długą chwilę trwała cisza, po czym, nie wiadomo

skąd, nad całym tym pobjowiskiem zabrzmiało radosne szczeknięcie. Alunia drgnęła i odruchowo zawołała:

- Pilot!

W progu stanął wesoły psiak.

Zatoczył wkoło wzrokiem i pomachał na powitanie ogonem, niczego sobie nie robiąc z czarnych drabów zastygłych nad leżącymi na podłodze ludźmi.

Za psiakiem na zaplecze wszedł szczupły blondyn, którego Jola już gdzieś widziała, ale gdzie? Miły uśmiech, jasne włosy. Uprzejmość bijąca z oblicza... Czy nie u Praczonej czasem?

Pilot najwyraźniej uważał, że blondyn to swój człowiek. Posłusznie usiadł przy nodze policjanta i posłał pełne uczucia hauknięcie w stronę... szafy! Policjant porażony jakąś myślą wymruczał: „Włazł tutaj”, i jak szalony rzucił się do mebla, usiłując go ruszyć z miejsca. Na to z podłogi wystartował... Jacek, który (tak, tak, jego już dawno nikt na muszce nie trzymał!) podszedł do blondynka i dalejze przesuwając szafę razem. Co za synchronia i współpraca! Bez jednego słowa!

- Panie podkomisarzu - policjant wysapał - on tam jest, na sto procent!

Joli już nikt nie przeszkadzał usiąść. Dźwignęła się więc i oparła o ścianę.

Panie podkomisarzu?

Do kogo on mówi? Nie do Jacka przecież!

Szafy nie trzeba było odsuwać do końca. Kiedy między nią a ścianą powstała szczelina, wyskoczył z niej, jak... Filip z konopi, malarzyna Piecha we własnej, godnej pożałowania, osobie.

Z reklamówką w dłoni, omotany jakąś szarawą siecią, która musiała być do niedawna pajęczyną, stanął niepewnie przed zgromadzoną publiką, lecz najwyraźniej dokonał się w nim przełom, gdyż nagle wypiął swą zakurzoną pierś i twardo oznajmił:

- Nic nie powiem. Żądam adwokata.

Słyszając te dumne słowa, Alunia drgnęła ponownie i również odważyła się usiąść, co sprawiło, że została dostrzeżona. Przez Filipa.

Pierś malarzyny natychmiast zapadła się jak przekłuty szpilką balonik. Niepewnie wypowiedział jednak, najpierw w stronę Pilota:

- Kundlu, ty zdrajco! - a później w stronę zszokowanej małżonki: - Aluniu, kochana... ja ukrałem tylko swoje. A ty? Skąd tutaj?

Już po wszystkim.

Jola powinna czuć ulgę. Ale nie czuła. Od pamiętnej akcji w galerii minął tydzień, a jej duszę gniołł jeszcze większy kamień niż poprzednio. Kilka ton czegoś zimnego i twardego na sercu.

Paskudzielstwo.

Siedziała na tarasie i beznamiętnie patrzyła w osiedlowy krajobraz. Policja zamknęła dom aukcyjny, wszyscy oczywiście zostali bez pracy. I ona, i Ania, i Prudło, i nawet pani Hela. Alunia również. Oczywiście nie Jacek. Jacek od dawna pracę miał.

Policjant zasmarkany.

Wilk w owczej skórze.

Podkomisarz...

Oszust!

A słoneczko świeci, choć powinno zaprzestać, bo doprawdy nieznośna ta radosna aura, kiedy człowiek w środku zrozpaczony i sponiewierany. Powinien ponuro siąpić deszcz, zawodzić wiatr i w ogóle powinno być chłodno, głodno i lękliwie. Żeby można się zagrzebać w łóżku i mieć pretekst do wsadzenia nosa pod poduszkę.

Na zawsze.

- Zrobiłam torcik makowy. Dla ciebie. - Tuż obok pojawiła się Alunia z dwoma talerzami upakowanymi apetycznie furkami ciasta. Czarna chmura w głowie Joli, z której powinny się posypać błyskawice i grad, powoli odpłynęła w inny rejon nieboskłonu. - A niech tam, zaszalałam. Ja już się nie muszę odchudzać...

- A ja powinnam - prawie odburknęła Jola.

- Czemu? Jesteś w sam raz.

- Nie powinnam się odchudzać, ale dbać, żeby nie musieć się odchudzać.

- Powiedzmy, że rozumiem. Hmmm.

- Nie hymkaj mi tu podejrzenie. Powinnam dbać! Czas się ustatkować, wziąć kogoś za męża. Uatrakcyjniać się w tym celu...

- A Jacek? - nieśmiało podsunęła Alunia. Od środy, kiedy doszło do aresztowania pana Władysława, który okazał się szefem szajki fałszującej obrazy, minął tydzień. Jola wciąż jednak o Jacku słyszeć nie chciała i nie pozwalała go wpuszczać do domu nawet za próg. Alunia zaczęła się już o przyjaciółkę poważnie martwić - zacięła się w sobie, zmarkotniała, prawie nie wychodziła z domu. Źle. Może chociaż ten torcik coś zmieni, Jola to przecież niepoprawny łasuch.

- O Jacku ani słowa! - Jola uniosła się na krześle i zmierzyła Alunię groźnym spojrzeniem.

- A słówko?

- Nawet słówka!

- A słóweczko? Malutkie... W ogóle ze mną nie rozmawiasz. Ani o Jacku, ani o niczym. Może w końcu? - kusila, podsuwając Joli ciasto.

- A czy potem dasz mi porozpaczać w samotności?

- Oczywiście! Samotność... w ogrodzie, w sieci - nie.

- Przeczytałaś?

- *Samotność w sieci?* Jakoś jeszcze mi się nie udało. Ale walczę. Dobry torcik?
- Przepyszny. Kawusi bym siorbnęła do tego.
- Stój, już przygotowałam - poinformowała Alunia, widząc, że Jola zamierza udać się do kuchni. - Za drzwiami balkonowymi stoi taca.
- Lepiej to nie miałam nawet u mamy. Ale będę musiała pomyśleć o ewakuacji - ponuro wyrzekała Jola, kiedy wróciła na taras z dzbankiem pełnym kawy.
- O jakiej ewakuacji?
- Z tego domu.
- Czemu?! Wygania cię ktoś? A może my ci się teraz źle po tej aferze kojarzymy?
- Kobieto, zostaniesz matką! Już zostałam, ale jak mały Piecha wyjdzie na wierzch... Znaczą, kiedy się urodzi... To co? O waszej przestrzeni życiowej myślę. Zacznie brakować miejsca!
- Gdzie?!
- Alunia! W twoim domu, a gdzie? Ja tu jestem lokatorką!
- Ty jesteś rodziną, a nie lokatorką - pospieszyła z korektą przyjaciółka. - Tak, tak. Matką chrzestną zostaniesz i to bez żadnej dyskusji!
- Naprawdę? - Jola aż pojaśniała.
- No, chyba że się nie zgodzisz.
- Jak ja bym mogła się nie zgodzić?!
- Ucieszyłaś mnie w takim razie. Tylko Jacek...
- Co: Jacek?!
- Ojciec chrzestny - Alunia prawie wyszeptała, od czego Joli zrobiło się zimno.
- Podła! I podstępna!
- Sama widzisz. Czas podjąć pewne tematy, bo do tej pory nie rozmawialiśmy o wszystkim dokładnie. Takie tam półsłówka, ciągle zamykałaś się w pokoju.
- Bo nie mogę przeżyć, że wyszłam na idiotkę! To znaczy, na pewno nią jestem, nie musiałam wychodzić, ale wiedziałam o tym tylko ja. A teraz wiedzą wszyscy. I Jacek też pewnie się śmiał, że tak łatwo mnie nabrał i zamydlił mi oczy. Nadużył zaufania, okłamał. Zadał śmiertelny cios - Jola nabierała rozpędu.
- O, o ,o... Ktoś tu się chyba zagalopował.
- A wiesz, że niedobrze wybijać człowieka z rytmu, kiedy galopuje?
- Zagalopofuje - Alunia wsadziła sobie do ust łyżeczkę kremu kokosowego. - Pofiedziałam „zagalofowuje”. Uwfielbiaałam to fiassto.
- Ja też. O czym my to?
- Okłamał, zadał śmiertelny...

- Właśnie. Cios! - wyartykułowała Jola. - Dobrze, zgadzam się. Wypowiadam się przed tobą i się odczepisz. Zostawisz mnie z moimi ponurymi myślami i umrę w spokoju. Od czego zaczynamy? Od pana Władysława?

- Niech będzie.

- Czemu mówiłaś o nim „dziadek”?

- A po co miałam rzucać nazwiskami? - Nie rozumiała Alunia. - Ty też mogłaś rzucić.

- Wolałam cię nie wtajemniczać w pewne nieprzyjemne sprawy, ale ty Benca spotykałaś co dzień! Nie podejrzewałaś, że coś z nim nie tak? Nie zachowywał się dziwnie?

- Najpierw najnormalniej w świecie. Zwykły starszy pan. Trochę się zdziwiłam, że chciał gosposię, która mówiłaby i pisała po niemiecku. Ale potem się wyjaśniło - potrzebował też kogoś do pisania listów. Na początku to one były zwyczajne, dopiero, kiedy zaproponował mi wyjazd do Frankfurtu, zaczęło mi coś nie pasować.



- Nie! Zaproponował ci wyjazd? Że niby po co? Bzz, bzz...

- Jola! - Do Aluni po chwili dotarło, co przyjaciółka sugerowała. - Przecież to starszy pan!

- A ty co myślisz, że starsi panowie nie mają potrzeb? Ja będę miała, jak będę stara. Oby!

- O potrzebach pana Władysława nic nie wiem. Chyba że o jajach...

- Alicja!!! - Jolę aż zatchnęło.

- A ty swoje, widzisz, nawet nie pozwolisz mi dokończyć... Jaja Fabergé!

- Fabergé?! Ufff, ulżyło mi. Co z tymi... jajami? Jajo to w ogóle brzydtko brzmi, nie uważasz?

Wstrętnie! Jaaajooo... Jajko. Jajeczko...

- Benc te jajka kolekcjonował.

- Przecież one są warte fortunę! Kolekcjonował? Tak po prostu? Aha. - Jola już ochłonęła. - Przez chwilę zapomniałam, że mówimy o starym capie, który handlował obrazami. Kogo jak kogo, ale jego było stać na kolekcjonowanie różnych rozkosznie drogich cacuszek. Nie zdziwiło cię, że emeryt porywa się na Fabergé?

- Nie miałam pojęcia o ich wartości! Nigdy się tymi jajkami nie zachwyciłam, nawet po cichu ci się przyznam, że dla mnie to trochę kicz. Po cichu, bo wszyscy uważają inaczej.

- A ja się głośno przyznaję, że wolę pierścionek na przykład. Niż jajko.

- Zaręczynowy?

- Czemu? Alunia! Przestań sobie roić!

- Żebyś ty widziała jego minę, jak znowu powiedziałam, że nie chcesz go widzieć... - Alunia z żalnością wspomniała wczorajszą wizytę Jacka.

- I słyszeć. Wyrażaj się precyzyjnie.

- I słyszeć, zgadza się. Był pogrążony w otchłani rozpacz.

- Czy mnie się wydaje, czy cytujesz *Anię z Zielonego Wzgórza*? - Jola wzniosła ręce do niebios.  
- Litości!!!

- Nie udawaj takiej niewzruszonej. Jacek...

- Alunia, chciałaś omawiać sytuację. No więc omawiaj i z Jackiem mi tu nie wyskakuj, bo cię ugryzę! Handlarz obleśny, farbowany na dżentelmena lis, czyli pan Władysław zaproponował ci wyjazd do Frankfurtu. Na tym stanęło.

Alunia udała urażoną, ale podjęła wątek:

- Zależało mu, żebym coś tam za niego zawiozła. I poprosił o napisanie listu po niemiecku. I tu zaczęłam się zastanawiać... Treść korespondencji dziwna. Banalna. Ani słowem nie wspomniał tam o moim przyjeździe. A wcześniej wyprawił mnie po pióro dla maturzystów.

- Chyba już zaczynam się domyślać. Nabazgrał w liście jakąś tajną, niewidzialną wiadomość?

- Ja taka bystra nie jestem, widzisz. Może dlatego że nigdy nie ściągałam i nie wiedziałam, do czego takie pióro służy. Dopiero Kubuś, mój kuzyn, mi objaśnił. Ale to później, najpierw pan Władysław... Dla mnie mimo wszystko on nie jest obleśnym capem, wybaczone. Pan Władysław kazał się podpisać pod listem innym nazwiskiem. Marian Nowak. I adres na kopercie też miałam wpisać nie jego. A już całkowicie przestałam rozumieć, o co chodzi, kiedy poprosił, żebym wysłała list koniecznie z Krakowa!

- To spryciarz! Założę się, że w ten sposób kontaktował się z jakimś swoim nabywcą. Kamuflaż pierwsza klasa, mucha nie siada.

- Jacek też tak powiedział.

- To ty z nim rozmawiałaś?!

- Przepraszam bardzo, miałam go tylko nie wpuszczać. Chciałam wiedzieć, u kogo pracowałam. Dzięki temu poznajesz teraz szczegóły, sama z siebie nie jestem przecież taka poinformowana, powtarzam tylko... Masz coś przeciwko?

- Nie. - Jola wzruszyła ramionami i z niechęcią odnotowała w swoim obruszonej wnętrzu piknięcie zazdrości. Alunia rozmawiała z Jackiem, a ona nie. Na własne życzenie zresztą. - Mów dalej, nie krępuj się.

- Wcale się nie krępuję. Pan Władysław miał we Frankfurcie stałego odbiorcę obrazów, który najbardziej przepadał właśnie za Praczem. Odwiedzono już tego pana. Gerard Geling, na wszelki wypadek spisał z koperty jego adres. Znalaziono u niego oryginalną *Bidę z nędzą*, już wróciła do Polski.

- Dzięki tobie.

- Trochę dzięki mnie - potwierdziła skromnie Alunia i podjęła opowieść:

- Porozumiewali się właśnie tak. Listownie, najprościej. W ten sposób Benc wyznaczał datę rozmowy telefonicznej.

- Niech zgadnę. Oczywiście Niemiec dzwonił na numer budki, nie do domu?

- Oczywiście. Potem dogadywali szczegóły i obraz zawoziła do nabywcy gosposia. Pan Władysław zatrudniał przede mną inną osobę, która o wyznaczonej godzinie dostarczała we Frankfurcie przesyłkę w umówione miejsce; podobno po prostu stała na ulicy. Ktoś do niej podchodził, mówił hasło, odbierał i po krzyku. Tak to działało. Tym razem jednak mój Benc zrobił wyjątek. Przez jajo, które chciał koniecznie mieć. Zależało mu, żeby szybko dostać pieniądze, a to mogło potrwać. Najpierw list, który idzie do Niemiec około tygodnia, potem wyjazd, itepe. Zanim więc zaproponował mi wyjazd, postanowił sprzedać obraz na miejscu, w Polsce.

- Komu?

- Pewnemu majątnemu politykowi ze Szczecina.

- Majątnemu. - Jola zmeła w ustach przekleństwo. - Ładnie to się teraz nazywa. Słyszałaś o jakimś polityku... niemajątnym?

- Nie bardzo, ale ja się staram nie interesować polityką, zbyt to męczliwe. Ciągłe mi przerywasz. Chciałam powiedzieć, że tu się Jackowi przysłużyłam, bo dałam mu dowód.

- Kolejny, dodaj. Rzeczowy.

- Bardzo rzeczowy nawet. Brat Filipa ma żonę, Aśkę, która wcześniej chwaliła się, że w barze pod Szczecinem, gdzie pracuje, spotkali się dwaj panowie. Jeden z nich to właśnie ten polityk. I ci panowie pisali do siebie na kartce, zamiast rozmawiać.

- Czemu pisali?

- Chyba przez Aśkę, bo to strasznie wścibska osoba. Na tyle, że kiedy wyrzucili tę swoją korespondencję do kosza...

- Wygrzebała? - z uciechą zapytała Jola.

- No chyba. Kiedy Kubuś pomógł mi odczytać, co było napisane na liście piórem dla maturzystów, skojarzyłam tę treść z opowieścią Aśki. Znowu ten sam rok.



- Gdzie ten rok, chaotyzujesz.

- Już wyjaśniam. Z politykiem panu Władysławowi nie wyszło, nie dogadali się. Postanowił więc wrócić do starej metody, czyli do listów, telefonów i wyjazdów do Frankfurtu. A tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt jeden było napisane i tu, i tu. Na skrawku, który przysłała mi Aśka, tam właśnie Benc nabazgrał ten rok, i w liście do Niemiec, którego ostatecznie nie wysłałam. Pilot znowu zmienił bieg wydarzeń. Zniszczył list, naświntuszył na niego. Musiałam napisać nowy. Zniosłam go na pocztę, a stary został w kuchni.

- Masz jeszcze ten list? Pokaż!

- Jacek zabrał. Jako dowód. Aż skoczył ze szczęścia. Karteczkę od Aśki też wziął.

- Yhmmm... - Jola prawie zazgrzytała zębami. - A co było napisane w liście? Pamiętasz?

- Teraz ci nie przytoczę, ale rozszyfrowałam to jako datę i numer telefonu. Osiemnastego lipca o piętnastej. Na końcu stała data: tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt jeden.

- Przecież od razu mogłaś skojarzyć z tytułem obrazu!

- Ale ja nie znałam tytułu obrazu. Przy mnie ciągle mówiliście *Piękni!* Co miałam kojarzyć?

- Racja. Jak ciotki szliśmy na skróty. Komu by się chciało recytować. Cały tytuł? Minimalizm cholerny nas zgubił.

- Nie przejmuj się. Istnieje możliwość, że nawet gdybyście mówili do mnie wielkimi literami, też bym nie słuchała. Przy bohomazach się wyłączam. Nie żebym nie lubiła sztuki, ale przesłałam wiele sesji Filipa, a on mówi na głos, kiedy się uczy.

- Co dalej z tym zaszyfrowanym listem? Poświeciłaś, zobaczyłaś datę...

- I pomyślałam, że może pan Władysław ma jakieś swoje polityczne sprawy. Tak mi się jakaś ilustracja plątała. Pewnie chce z kimś w tajemnicy porozmawiać przez telefon, wcześniej jeszcze to spotkanie z politykiem pod Szczecinem. W każdym razie niczego nie podejrzewałam.

- No dobrze. Ale co według ciebie ten list, który napisałaś, i ten świstek od szwagierki miały wspólnego z Frankfurtem i jajkiem Fabergé?

- Właśnie, że nic!

- To czemu nie reagowałaś?!

- Jak miałam reagować?! Iść na policję? Jola!

- Mogłaś przynajmniej porozmawiać ze mną.

- O twoich sprawach też z nikim nie rozmawiam.

- Aha. Dyskrecja... - Jola pokręciła głową. Gdyby nie znała Aluni osobiście, nie uwierzyłaby, że taki okaz dyplomacji i ogłady towarzyskiej w ogóle na świecie istnieje. Nic, tylko podziwiać!

- Pozastanawiałam się trochę w duchu, nie powiem, i na tym się skończyło - kontynuowała Alunia. - Napisany na nowo list doszedł do Niemiec, ale bez tajemnej notatki, więc Geling nie za-

dzwonił do Benca. Dlatego mój szef zgodził się sprzedać Pracza temu twojemu Romanowi Kuleszy. I to tylko dlatego, że ta sprzedaż miała być ostatnia.

- Całkiem, całkiem ostatnia?

- Podobno.

- Dziwne - oceniła Jola.

- Dlatego się tak załamał. Został złapany, kiedy powziął postanowienie poprawy. Dlatego chętnie zeznaje, liczy na mniejszy wyrok.

- Własna gosposia posłała go za kratki. Hi, hi.

- Ktoś musiał, przypadkiem padło na mnie. Czy ty się orientujesz, jak to jest możliwe, żeby wywieźć z Polski obraz? - zaciekawiła się naraz Alunia. - Są przecież jacyś celnicy, ktoś tego pilnuje.

- Niby tak, ale celnik to nie historyk sztuki i nie zawsze potrafi odróżnić dzieło od szmiry. Zresztą są celnicy i... celnicy, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Niestety, wiem. A ustalenia prawne?

- Każdy może wywieźć obraz, który nie liczy sobie więcej niż pięćdziesiąt lat! - z oburzeniem powiedziała Jola. - Czyli, na dziś dzień, to, co powstało nie wcześniej niż w roku pięćdziesiątym szóstym, a Praczu, jeśli chodzi o wiek, jest gołowąsem.

- Co, tak po prostu jadę z obrazem na lotnisko? I koniec?

- Skąd! Musisz mieć zgodę od Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. Ten cały wojewódzki, nie mylić z Kubusiem z TVN-u, daje ci numer wywozowy i dopiero wtedy legalnie oddalasz się z naszej wspaniałej ojczyzny z dziełem. Do zrobienia, zapewniam cię, jest tylko trochę latania za świstkiem... Mnie zastanawia co innego. Jak ten nabywca płacił Bencowi? Chyba nie przelewem, bo większe kwoty są rejestrowane i łatwo można wpaść?

- Jacek mówił, że ten Niemiec, sprawdzili, co jakiś czas po prostu przyjeżdżał do Polski.

- Jasne! Pielgrzymka na Jasną Górę na przykład?

- Coś w tym stylu - przytaknęła Alunia. - Dawał panu Bencowi pieniądze do ręki.

- Sama przyznasz, że genialne? A zaczyna się ta cała droga od zwykłego listu.

- Niestety, dobrze pomyślane. Listów nikt nie kontroluje. Telefony, internet. Łatwiej można człowieka namierzyć.

- A list... - Jola zawiesiła w zamyśleniu głos.

- List po prostu dochodzi do adresata. I dlatego tak naprawdę zostałam zatrudniona. Jako nieświadomy niczego łącznik. Skryba.

- Łączniczka. Jesteś rodzaju żeńskiego - wtrąciła przekornie Jola. - Skryba tak, rodzaj męski. Skrybaczek nie było, chłopcy górowały i, świnię, nie dopuszczały do koryta bab...

- Poprzednia łączniczka umarła - kontynuowała bez emocji Alunia, nie zwracając uwagi na feministyczne komentarze Joli.

- Kto umarł? O czym ty...

- Pan Władysław zatrudniał przede mną inną gosposię. Moją poprzedniczkę. Dzięki niej wpadł.

- Jak mógł dzięki niej wpaść, skoro umarła? Wpadł w sensie...

- W sensie: został zdekonspirowany. Jacek zdradził, że nazwisko mojego Benca wypłynęło oficjalnie dzięki niejkiej Krymułowej. To ona zgłosiła, że Benc prześladował jej przyjaciółkę swoimi wymaganiami i dokładnie opisała, czego od jej przyjaciółki żądał. Też jeździła do Frankfurtu z obrazami. Marynia. Ta przyjaciółka.

- I co? Benc ją załatwił? - zapytała poruszona Jola, ale nie doczekała się krwawego opisu morderstwa.

- Umarła na zawał, choć niewątpliwie się do tego zawału przyczynił.

- Dobrze, że się wszystko wydało. Bo może też byś zeszła z tego padołu. - Jola sięgnęła po kolejny kawałek ciasta.

- Oooo - Alunia zdziwiła się uprzejmie. Dotąd nie wzięła takiej ewentualności pod uwagę.

- Nie żebym ci życzyła... Przesadziłam?

- Nie, czemu?

- Jesteś pewna, że mam być matką chrzestną twojego dziecięcia? A jak mu się udzieli od ciotki głupota? Nie rób min. Powiedziałaś, że nazwisko Benca wypłynęło przy okazji jakiejś baby, która przyszła zgłosić, że facet prześladował jej kumę. Ale przecież ja wcześniej z Anią Jankowską namierzyłam, że twój pan Władysław mieszka na Zajęczka.

- Tak?

- Wąs, oby gnił w więzieniu po wsze czasy, wybrał się tam, a my pojechałyśmy za nim. Potem dałam ten adres Jackowi, a potem Jacek przyniósł nazwisko i numer telefonu Benca. Że niby jakoś ustalili. Pinda głupia jestem! Niby ustalili! Czary-mary! - Jola na nowo się zezłościła. - Dlatego mi nie pasuje z tym oficjalnym wypływaniem. Nazwisko Benca policja знаła już wcześniej!

- A mnie się wydaje, że ważne jest tu słowo „oficjalnie”. Jacek mówił...

- Jak jeszcze raz usłyszę, że Jacek coś mówił...

- Ale wiem to od niego!

- To mów tak, jakbyś wiedziała od siebie. Żadnych Jacków!

- Dziwna jesteś. Dobrze. Ktoś mi mówił...

- I bez ktosiów!

- Hmm... Co innego mieć podejrzenia, a co innego zeznania. Cytuję. Jeszcze parę takich rozmów i przejdę na żargon policyjny. - Alunia nie mogła się nadziwić własnemu słownictwu. - Krymułowa popchnęła im sprawę do przodu. Prawdziwy rzetelny świadek. A ja... kolejny. Chociaż niektórzy mówili, że na początku byłam razem z Filipem jedną z głównych podejrzanych. Dopóki mnie nie po-

znali i nie podsłuchali. Ci niektórzy... Zresztą Krymułowa w pewnym sensie uratowała głowę także mnie, bo okazało się, że nie tylko ja jedna służyłam za narzędzie.

- Kolejna uprzejma. Benca chyba krew zalewa, kiedy myśli o swoich gosposiach. A ten, jak gdyby nigdy nic, macha ogonkiem. - Ostatnie słowa nie dotyczyły bynajmniej Benca, ale Pilota, który wbiegł ucieszony na taras. Okazywana przez niego radość miała wyraźnie charakter interesowny, gdyż przysiadł przy Aluni i nie spuszczał napiętego spojrzenia z jej talerza.

- Ja bym go poczęstowała - zasugerowała Jola. - Dzięki temu kudłaczowi policja otrzymała dowód w postaci listu. Że już nie wspomnę o finale u pana Władysława, tfu, u starego capa... Filip musi być uszczęśliwiony, że jest posiadaczem tak wiernego pieska - zaśmiała się. - Kundle są podobno naj-  
mądrzejsze. A jeszcze farba! Gdybyś nie powiedziała, że ją zeżarł, to przecież nie połączyłabym z tą całą aferą Filipa. Chwała niebiosom, że jednak niesłusznie.

- Co: Filipa? - Z kuchennego okna wychyliła się nagle głowa omotana w firankę. - Mogę tu do was przyjść?

- Rodzinka w komplecie. Chodź, będziesz się tłumaczył - zarządziła Jola niby groźnie. Po tych wszystkich przejściach jej nastawienie do malarzyny uległo zmianie. Filip okazał się, podobnie jak jego żona, jedynie narzędziem w rękach przestępców. Poza tym to narzędzie inaczej traktowało już Alunię, co jeszcze bardziej przyczyniło się do ocieplenia ich wzajemnych relacji.

- Nie, tu mi jednak będzie... bezpieczniej - oznajmił Filip, moszcząc się na parapecie. - Nalejcie mi kawy, proszę. - Pod nos Joli podjechała owłosiona ręka z pustym kubkiem.

- Już cię obsługuję - z przekąsem odrzekła, opanowując resztkami sił pokusę, żeby wgryźć się w tak usłużnie podetkniętą jej pod nos męską kończynę.

- A ja ci już dziękuję, dobra kobieto.

- Nie jestem dobra. Pamiętasz prima aprilis, jak ci przyłożyłam? Wszystko wiem, fałszujesz obraz Pracza...

- Oj! - syknął Filip. - Pamiętam!

- Taki niewinny żarcik, nie wiem, skąd mi się wziął.

- Myślałem, że zwariuję.

- Ale ty w ogóle jesteś wariat! Czemu wszystko ukrywałeś i tak się zachowywałeś? Jak przestępca, uściśle.

- To makowe z białym też dostanę? - Filip zaczął się intensywnie wpatrywać w ostatni kawałek ciasta i Jola dostrzegła nagle podobieństwo między psem a jego panem.

- Już cię obsługuję - powtórzyła za Jolą Alunia i z przewrotnym uśmiechem uroczyście podała mężowi talerzyk.

- Dziękuję, najlepsza z żon... Czemu ukrywałem?

- Właśnie, czemu? - powtórzyła pytanie Jola. - Każdy głupi malarz... Wybacz. Każdy w branży wie, że fałszerstwo a kopia to dwie różne sprawy. Fałszerstwo jest wtedy, kiedy człowiek maluje dokładną kopię obrazu innego artysty i sygnuje obraz jego podrobionym podpisem. Domyślam się, że ty malowałeś, a Cycek tylko, czy może aż-aż, fałszował podpis Pracza, więc...

- Jolanto - Filip nie pozwolił jej dokończyć - domyślasz się słusznie, owszem, podpisy fałszował Cycek, tak mi przynajmniej ...

- Przekazano - weszła w słowo mężowi Alunia.

- Dziękuję, złotowłosa rusałko. Tak mi przekazał Jacek, ale ja, jako autor, miałem obowiązek podpisać się na kopii własnym nazwiskiem, o czym dobrze wiesz. Lecz tego nie zrobiłem. Dlatego poczuwałem się do winy. Benc tłumaczył za każdym razem, że obrazy są do jego własnej, prywatnej kolekcji i nie chce, żeby mój podpis psuł mu widok. Potrzebowałem pieniędzy, nie wnikałem. Dopiero ty mi powiedziałaś o kradzieży i zamianie *Pięknych*.

- I znowu to robicie. - Alunia pogroziła palcem Filipowi, a on od razu się poprawił: - *Pięknych 1981*. Wtedy musiałem sprawdzić... - Filip nagle zamilkł i popatrzył na siedzące na tarasie białogłowy, które czuł w obowiązku zabawiać rozmową. - Chyba wam powiem. Jeśli złożycie obietnicę.

Tajemnice, obietnice, pikantne szczegóły... Jola to uwielbiała!

- Ja mogę nawet przysięgać! - zawołała z uciechą.

- A ja nie złożę żadnej przysięgi - zadecydowała po krótkim namyśle Alunia. - Po prostu dam słowo.

- Przysięga to grzech?

- Wypchaj się.

- Twoja żona mnie nieustannie zaskakuje - Jola zwróciła się do Filipa. - Już jestem przekonana, że jej myśli szybują w feministyczne wyże i zmysłowe uroczyska, a tu... Łup! Ale przynajmniej pięknie wygląda.

- Przepięknie. - Filip posłał małżonce klaskającego buziaczka. - Dobrze, to powiem. Kiedy usłyszałem o zamianie obrazu Pracza na jego kopię, pojechałem do Częstochowy. Pomyślałem, że jak zniknie to, co mnie obciąża...

- Wiedziałam!!! - zahuczała na te słowa Jola, która, co prawda, nie rozmawiała do tej pory ze swoimi znajomymi o tym, co się stało, ale codziennie analizowała dotychczasowe wydarzenia w samotni swojego pokoju.

Z natłoku urwanych w połowie myśli i podejrzeń wydedukowała, że skoro Filip zjawił się w galerii, żeby zabrać kopię *Pięknych*, musiał także pojawić się i u Praczowej. Ukradł namalowaną przez siebie *Bidę z nędzą*, po której wszelki ślad zaginął. Wcześniej posądzała o ten nieczny czyn Benca - mając już na sumieniu wysłanie Cycka do Brandysa, mógł ten numer powtórzyć w Częstochowie, ale po tym, co ostatnio zaszło, Filip jednak pasował bardziej.

- Naprawdę? - chrząknął niepoczony. - Do tego się Jackowi nie przyznałem.

- Czemu Jackowi? - chciała wiedzieć Jola. - Przesłuchiwał was?

- W zasadzie to bardziej była rozmowa. Siedział w pokoju razem z takim mrukiem niewydarzonym i trochę mu pomagał.

- Proszę! Czyli jednak byliście przesłuchiwani, i to przez kogo! A ja?

- Yhhhhmmm... Hmm... Obawiam się, że ty również nie unikniesz konfrontacji - stwierdziła bezlitośnie Alunia. - Jacek chce ci dać po prostu trochę czasu, ale będziesz musiała złożyć wyjaśnienia. Już dzisiaj przyszedł listonosz, kiedy szukałaś pracy. Pewnie z wezwaniem.

- A Jacuś sam nie raczy mnie zaprosić?! Zęby by mu wypadły?!

- Przecież nie pozwalasz mu...

- Typowe! - Jola rzuciła z furią i pomaszerowała do domu, by przywdziać sandały.

Już ona Jackowi pokaże, oszukiście zakamufłowanemu! Czas spojrzeć prawdzie w oczy.

Ileż można się kobiecie napraszać?

Ileż można się na wycieracze płaszczyć?

Jacek i tak wpadł w podziw, że od siedmiu dni dobija się do drzwi Piechów, codziennie słysząc z ust Aluni ten sam komunikat: „Nie dzisiaj”.

Kiedy w końcu?!

W dodatku Alunia nie dała się namówić na zwierzenia dotyczące przyjaciółki, i słusznie, w zasadzie dowiedział się tylko, że Jola potrzebuje czasu, żeby dojść do siebie.

Nie, zupełnie jednak nie rozumiał kobiet.

Nawet jeśli do końca nie był wobec Joli w porządku (miał ku temu powody natury czysto zawodowej i dlatego nie powinna brać niczego do siebie), to przecież teraz trwał mężnie pod cudzymi drzwiami gotów do uderzenia się w piersi! Można omówić sytuację. Powyjaśniać wszelkie zaplątane kwestie.

Można się do siebie odezwać!

Jacek, nagle pod wpływem rozmyślań rozżalony, usiadł na schodach przed domem Piechów. Furtka nie była zamknięta, więc wszedł na podwórko, ale na razie się nie dobijał, chciał jeszcze raz powtórzyć w myślach to, co zamierzał dziś Aluni oświadczyć.

Że jest tu ostatni raz.

Że się martwi.

Że pojutrze wyjeżdża.

I... kocha!

Ledwie wymówił w duchu ostatnie słowa, tuż za nim coś zachrobotало i skrzypnęło. Nie zdążył odkleić pleców od drzwi, o które opierał się zmęczony upałem.

Poleciał, jak fajtłapa, do tyłu.

Na potylicę.

Nieruchome ciało!

To pierwsza myśl, jaka przyszła Joli do głowy, kiedy z impetem otworzyła drzwi i pod jej nogi, zupełnie nieoczekiwanie, ktoś padł.

Nie ktoś!

Takie obrzydliwe buciory nosił... Jacek!

- Jacuś - wydukała, pochylając się z troską nad leżącym. Nie uszkodziła go chyba? - Hej, Jacek, Jacusiu!

- Wływwymmm... - wymamrotał niewyraźnie, wciąż nie otwierając oczu, co Jolę ogromnie zaniepokoiło.

- Proszę cię. Popatrz na mnie!

- Wykmmmm...

- Uprzedzam. Nie wiem, czy mnie słyszysz, ale za chwilę zacznę się drzeć - mówiła z rosnącą w sercu paniką. - Głośno. Bo chyba zaczynam się bać, że coś ci się stało. A nie może ci się stać, bo bardzo cię... Wiesz... Jacuś! Podły oszuście, otwórz oczy. Jacek! Ręce do góry, bo strzelam!!!

Ostatnie zdanie wywołało niespodziewany efekt. Jacek stęknął coś niewyraźnie i wyciągnął przed siebie dłonie, natrafiając na klęczącą się przy nim kobiecą postać. Postać przyjemnie pachnącą kawą i kokosem. Postać...

- Joluniu, czy to ty?

Mowa ciała...

Spragnionego innego ciała, które również przemawia ciałem.

O, jakie bogactwo komunikatów w porównaniu z tradycyjnym przekazem treści!

Do takiej właśnie konkluzji doszła mniej więcej Jola, kiedy po półtorej godzinie wylegiwała się w smudze padającego na łóżko słońca. Przepraszanie i wybaczenie zostało właśnie zakończone z rezultatem co najmniej zadowalającym. Jacek, omotany w prześcieradło, siedział naprzeciwko oparty o wezłowie wersalki, wpatrując się w Jolę... tak jak tylko potrafi wpatrywać się mężczyzna ukontentowany zaszłą między nim a kobietą konwersacją. Niewerbalną, rzecz jasna.

- Czy byłeś kiedyś przesłuchiwany w łóżku?

- W łóżku... nigdy! - zapewnił rozbawiony.

- To swój pierwszy raz przeżyjesz ze mną.

- Już się nie mogę doczekać. - Poprawił się w miejscu i odchylił pościel. - Może...

- Wykluczone, mnie się tu bardzo podoba. - Jola pokiwała nogą. - Mam stąd lepszy ogląd sytuacji. I pewność, że cię przesłucham do końca.

- Jak sobie pani komisarz życzy.

- Ty jesteś komisarzem?

- Pod...

- Podkomisarzem?

- Yhymmm.

- Niech będzie. Opowiadaj...

- Wszystko? Tak zaraz? - Jacek poczuł się lekko skołowany.

- Zacznij może od Wrocławia. Bo chyba już wiesz, że ja wiem, że z Wrocławiem to oszustwo.

Podśluchiwałeś pewnie.

- Wiem, że odkryłaś podsłuch. Wiem, o czym rozmawialiście z Alunią na mój temat. Podśluchiwałem - potwierdził bez zająknięcia. - Dlatego wołałem wziąć do środy pracę w terenie, żebyś nie musiała się zmuszać do uprzejmości. Albo żebyś czegoś przed środą nie popsowała.

- Oooo...

- Znaczy, popsowała niespecjalnie.

- Dałabym sobie radę.

- Oooo... - teraz z kolei Jacek zdziwił się niby uprzejmie, ale z szelmowskim błyskiem w oczach. - Co do Wrocławia, to naprawdę stamtąd przyjechałem. Oczywiście nie z muzeum, ale tu nie kłamałem. Wrocław.

- A gdzie kłamałeś? Ja wiem, ale...

- We Wrocławiu działała szajka, która wystawiała na sprzedaż w internecie różne dzieła sztuki, najczęściej kradzione z kościołów, słabo chronionych muzeów...

- Działała? To znaczy, że już nie działa?

- Nie działa. - Jacek uśmiechnął się skromnie.

- Za sprawą pana komisarza? Pod, chciałam dodać.

- Między innymi. Kiedy już skończyliśmy z tą szajką, zaczęły do mnie dochodzić sygnały...

- Ale czemu do ciebie? Ty się jakoś specjalizujesz w dziełach sztuki? Dużo wiesz na ten temat, chociaż przyłapałam cię na pewnej lekturze.

- *Sztuka fałszerzy, fałszerze sztuki?* To akurat czytałem dla przyjemności. Na pewno nie chcesz do mnie przyjść? - Kusił dalej, wachlując kołdrą.

- Na pewno, na pewno. Uważaj, żeby ci czegoś nie przewiało... Co z tym specjalistą?

- Podobno takowym jestem. - Jacek bez pośpiechu przykrył się aż po same uszy. - Kończyłem historię sztuki.

- Glina? Historię sztuki?

- A co to przeszkadza? Ludzie mają jakieś dziwne mniemanie o policjantach. Policjant też człowiek, nie pies. Ja się w każdym razie do człowieczeństwa przyznaję.

- Ja też ciebie przyznaję, to znaczy...



- W porządku - uciął. - Działam ogólnie w fałszerstwach i kradzieżach dzieł sztuki. Do komendy głównej też w końcu doszło, że w Katowicach kroi się jakaś większa chryja, więc skierowali tu mnie jako wywiadowcę. Jola... - przerwał nagle.

- Tak?

- A czy moglibyśmy się na przykład ubrać, skoro już nie ma nadziei na... - zawiesił znacząco głos. - Bo głupio mi gadać o tych zawodowych bzdurach z gołym tyłkiem. Herbaty bym się napił, może jest jakieś ciasto.

Jacek, po napełnieniu żołądka żurkiem (ciasta zabrakło), który został Aluni z obiadu, zaczął mówić składniej i jakby z większą werwą. Ciepło idące z brzucha plus wpatrzona w niego wiernie kobieta...

- Na czym my to stanęliśmy? - szukał w pamięci finału ich niedawnej rozmowy.

- Na wysłaniu cię do Katowic. Zwiadowca! Matyldo, jak to brzmi!

- Co chcesz? Bardzo ładnie brzmi.

- Mnie się osobiście kojarzy ze szpiegiem z Krainy Deszczowców.

- Karamba!

- Mów, mów, szpiegu.

- Na początku wiele nie wiedziałem, nic w zasadzie. Tylko tyle, że poszlaki wskazują na dom aukcyjny Wąsa. Więc dostałem śliczne świadectwo pracy z Muzeum Dwudziestolecia Międzywojennego we Wrocławiu, oczywiście fikcyjne, i pojawiłem się w tym oto mieście. Wcale nie byłem zachwycony, że wysyłają mnie do Katowic, ale tak się złożyło, że Kaśka tu studiowała, więc to był jakiś argument. Wtedy... - zastrzegł, widząc w oczach Joli niepokojące ogniki.

- I nie żałujesz chyba?

- Skądże znowu! - Jacek przechylił się przez stół i odcisnął namiętny pocałunek na ustach swojej wybranki. Wybranka również odpowiedziała pocałunkiem i byłaby to wymiana długa, gdyby się jednak Jacek nie otrząsnął. Ktoś musiał zachować umiar, gdyż z każdą chwilą zwiększała się szansa, że schrupie Jolę na miejscu, co nie byłoby wskazane ze względu na Alunię i Filipa, którzy dyskretnie zeszli z domowej sceny, nie chcąc im przeszkadzać w odbudowywaniu wzajemnych relacji.

- W takim tempie nie skończymy tego przesłuchania do jutra - zauważył żartobliwie.

- To mów i mnie nie molestuj. - Jola poprawiła włosy i wstała, żeby zrobić herbatę.

- Już mówię. Przyjechałem do Katowic i akurat świetnie się złożyło, bo Wąs chciał uruchomić sklep z antykami. Oczywiście miasto mu pomogło, ruszyło dofinansowanie.

- Właśnie się zdziwiłam, że tak wszystko szybko poszło. Czyli jednak żyjemy w Polsce, nie mam się co łudzić. Po prostu maczałeś w tym błyskawicznym remoncie palce.

- Nie ja osobiście, ale tak. Przyspieszyliśmy troszkę. Wąsowi zależało na tym sklepie i teraz, już po zakupie kontrolowanym, wiem dlaczego.

- Zakup kontrolowany! Mów jak człowiek, akcja w galerii po prostu.

- A przestaniesz mi przeszkadzać? - zapytał Jacek. - Wąs miał przy Bencu kompleksy, dlatego tak jak on chciał mieć sklep ze starociami, poza tym przestawała mu się powoli podobać rola pomocnika. Sam wolał być szefem. Wracając do początków mojej pracy w firmie... Roztoczyłem przed Wąsem wrodzony czar i zostałem przyjęty. Chociaż chyba bardziej pomogło tu świadectwo pracy w muzeum.

- W to nie wątpię. Wąs jest na tyle cwany, że wiedział, że nie może się otaczać idiotami takimi jak on sam. Na pewno muzeum go przekonało, bez dwóch zdań. Czar też. - Jola zastrzegła na wszelki wypadek. - A wiesz, że ja z Anią zachodziłyśmy w głowę, dlaczego facet z takim wykształceniem jak ty przyjmuje pracę w sklepie?

- To już wiesz. Wracając do tematu. Miałem farta, bo od razu do... Jak wy w zasadzie tę instytucję nazywacie? Zawsze zapomniałem spytać. Śląski Dom Sprzedaży Dziel... - Jacek się zasapał. - Ble, ble, przecież można się zmęczyć!

- My z Anią mówiłyśmy na firmę DA, czyli Dom Aukcyjny. Co prawda jest też w Katowicach Duszpasterstwo Akademickie, skrót ten sam, ale nam nie przeszkadzało. Dodatkowy smaczek.

- Uff... Mnie tym bardziej nie przeszkadza. Więc do DA przyszedł pan Niezguła z *Pięknymi*.

- Alunia postuluje, żeby mówić pełną nazwę, ale skoro jej tu nie ma...

- Na pewno jej nie ma. Ja w ogóle powinienem mówić skrótami, żeby stąd wyjść przed północą - oświadczył z przekonaniem Jacek i kontynuował zwierzenia. - Niezguła przyniósł obraz. Chciałem go zabezpieczyć i przyczepić pod ramę nadajnik, żeby mieć Pracza na oku, ale...

- Ale w aucie nadajnik wpadł do mojej torebki i nie mogłem go znaleźć.

- Niestety, tak. Łudziłem się jednak, że następny GPS przypnę, kiedy będziemy odbierali *Pięknych* razem z ekspertyzą.

- U Praczowej dowiedziałeś się, że rok wcześniej ktoś się do niej włamał - przypomniała Jola, stawiając przed Jackiem parujący kubek.

- Owszem, ale o tym później, poczekaj. Co do odebrania *Pięknych* to wyrezytował nas Cycek i mój plan wziął w łeb. Szybko i pięknie. Obraz wpadł w jego łapy, koniec, finito. Najpierw Prudło znęcał się nad notką do katalogu i gapił się na płótno w dzień, a znowu wieczorem przejmował je Jakimiak. I zamykał na klucz. Spokojnie czekałem.

- Z twoimi możliwościami zwiadowczymi... Proszę mnie nie kopać pod stołem!

- Więc bez ironii, ja też proszę - Jacuś zagruchał bardziej, niż powiedział. - I to nie miało być kopnięcie, ale czuły dotyk.

- Bo mówisz, że zamykał na klucz. Co to za przeszkoda?! Nie musiało czekać, mogłeś sobie wejść nocą do DA i ten nadajnik przyczepić. Policjanci mają swoje sposoby, zdaje się, że na każde drzwi.

- Niby tak, ale na razie nie chciałem sobie wchodzić. Myślałem, że da się to załatwić inaczej. Niestety, nie dało się.

Cycek powywoził obrazy, niby że w magazynie pojawił się grzyb. Jeździłem za nim prawie przez miesiąc, ale do nowego miejsca, śmierdziel, nie zajrzał. Wiesz czemu?

- Taki z niego dobry konspirator?

- Mówiłaś, że Monika z Wąsem ciągle latali na dół, do piwnicy...

- Latali. Żeby się gzić - stwierdziła z przekonaniem Jola. - I co z tego?

- Widzisz, nie wiem, czy gzić. Tam właśnie Cycek wszystko pozanosił, a *Pięknych* zawiózł do Filipa, żeby nasz mistrz miał wzór do wykonania kopii. Wąs i Monika tego nowego składu pilnowali. Celowo się tam kręcili, żebyście myśleli, że... - Jacek przewrócił znacząco oczami - i nie snuli żadnych podejrzeń.

- Nie?!

- Tak.

- Ale gźili się na pewno też, przy okazji... Czyli Wąs wciągnął do akcji Monikę?

- Pośrednio i bardzo niewinnie. Już została przesłuchana. Nie miała bladego pojęcia, co jest grane.

- No dobrze, ale pani Hela mówiła, że Cycek wywoził obrazy autem, że siedziała do późna.

- Owszem, parę wywiózł, dla zmyłki. A potem wrócił i zamknął je w piwnicy.

- Urządzał te wszystkie kombinacje, żeby nie wyszło na jaw, że zawiózł *Pięknych* do Filipa?

- Tak, i to ty go do tych kombinacji zmusiłaś.

- Tym, że chciałam się włamać do bagażnika? Jacek pokiwał głową i siorbnął łyżeczek herbaty.

- Że się chciałaś włamać do bagażnika i że się ciągle kręciłaś przy pracowni. To go cholernie wkurzało.

- Czyli wpłynęłam na przebieg wydarzeń? - spytała zadowolona.

- Chyba nie muszę cię o tym zapewniać... I trafiłaś, właśnie wtedy Jakimiak transportował Pracza. Urządził wiosenne porządki, żeby zrobić zamieszanie, ale nie dałaś się zwieść.

Jola przypomniała sobie okoliczności, w których dostrzegła manewry Cycka z zamykaniem czegoś w aucie, a konkretnie wygrzebała z mroków przeszłości swoje posiedzenie w ubikacji, skąd roztaczał się raczej przymusowy widok na wnętrze podwórka.

- Ja to mam intuicję - mruknęła od niechcienia. - W tym samym czasie ty siałeś czar i urok w biurze. Te rozmowy o transzycym fonetycznym z Anią...

- O transkrypcji fonetycznej.

- Niech ci będzie. Co tam jeszcze? Dyskusje z Prudłem o sztuce... Pani Hela to na twój widok piała od początku, więc ona się nie liczy. Wszyscy cię wielbili i kochali po prostu. Nic dodać, nic ująć.

- Wyrachowanie, muszę przyznać, chociaż tak nie do końca, bo ja tych ludzi autentycznie polubiłem. A że ich czasami o coś podpytałem... Jeszcze nie mówiłem ci o Romku.

- Co o Romku?

- Roman Kuliński, znajomy Aldony. Kula w pewnych kręgach.

- Co: kula? - dopytywała Jola.

- Kula przez duże ka. Takie przezwisko. Od Kulińskiego. Kula. Znam go od dawna.

- Znasz go?!

- Nawet jest to bliska znajomość, można powiedzieć. Mój kumpel posłał nie tak dawno Romka za kratki, a ja mu trochę pomogłem.

Jola na chwilę zamilkła.

- Aldonka mówiła, że był w Chinach - powiedziała w zamyśleniu.

- Ciepło, ciepło...

- To już rozumiem. I rozumiem, czemu się tak idiotycznie zachowywałeś, kiedy go zobaczyłeś.

On zresztą też.

- Rozpoznał mnie.

- Oczywiście, ale wcisnąłeś mi bajeczkę o zazdrości, pamiętasz? Że upomniałeś go na stronie, ponieważ rzekomo się na mnie gapił. Dlatego był taki przestraszony.

- Bo się gapił! Z tą zazdrością to też tak nie do końca kłamstwo. - Jacek podniósł w obronnym geście palec. - Naprawdę byłem i jestem o ciebie zazdrosny.

- Teraz się złoścuję, proszę mnie tu nie rozbrajać... Aldonka spytała, czy ja tak naprawdę cię znam. Prawie zemdlałam.

- Romuś pewnie nadał, kim jestem.

- Pewnie tak, i to w tajemnicy, Aldona do dzisiaj mnie unika, zdrajczyni. Muszę do niej zadzwonić i wyjaśnić sytuację. Odnośnie wyjaśnień: w ogóle nasłuchałam się przy tobie różnystych historyjek. Może na przykład wytłumaczysz, czemu służyło twoje stwierdzenie, że z DA znikają obrazy?

- Taka mała prowokacja. Chciałem zobaczyć, jak zareagujesz.

- I jak zareagowałam? Zdałam egzamin?

- Egzamin to zdałaś dopiero, kiedy mi powiedziałeś, że zobaczyłaś u Cycka podrobione podpisy Pracza. Wtedy już wiedziałem, po czyjej stronie stoisz. A potem nasze wspólne włamanie do magazynu, pamiętasz? Wielkie zdjęcie *Bidy z nędzą*.

- Że też całkiem o nim zapomnieliśmy! Aż mi się przyśniło. Ale to było dopiero po tym, jak podmienili *Pięknych*.

- Co tam dalej leciało?

- Nie wiem, czy dalej. Pomiąłeś Brandysa, ryżego blondyna.

- Jakżebym mógł o nim zapomnieć! Oprawca! Rura od centralnego do dzisiaj mnie prześladowa... Przyszedł do sklepu tego samego dnia, kiedy wynikła sprawa z bagażnikiem. Szukał jakiejś możliwości zainwestowania pieniędzy. Nieśmiało, i jak idiota, napomknąłem o *Pięknych*. Potem go zrażałem, ale to chyba odniosło odwrotny skutek. Pojawił się w lipcu na aukcji.

- I kupił już podróbkę Filipa.

- Ale najpierw *Piękni* wsiąkli aż do czerwca. Gdybym wcześniej przypiął nadajnik... Trudno, udało mi się to dopiero w czerwcu, podczas wystawienia wszystkiego przed aukcją. Tyle że wtedy w galerii stał już sobie grzecznie falsyfikat. - Jacek skrzywił się.

- Nie płacze się nad rozlanym mlekiem.

- Też prawda. Dłużej trwało, ale dobrze się skończyło.

- Filip malował kopię *Pięknych* pod moim nosem! Ja powinnam mieć powód do zawodzenia.

Pociesza mnie, że wyszła mu biel. Cynkowa, już wiadomo.

- Wyszła? Mnie zeznał, że Pilot wyjadł.

- Wyjadł, ale Filip nie zrobił zapasu. W hurtowniach mieli braki, więc malarzyna musiał dokończyć mały fragment tytanem, a to świetnie widać pod lampą. Na początku nie połączyłam tych faktów. Dopiero później, jak zobaczyłam Benca, skojarzyłam, że to z nim Filip spotkał się w marcu w A-Dongu i przyjął zamówienie na obraz. - Jola posłała Jackowi pytające spojrzenie, co odczytał właściwie.

- Bez problemu mów dalej, znam szczegóły.

- Dopiero wtedy...

- To ty wrzuciłaś Filipowi do pracowni anonim?

- Ja - Jola lekko się zacukała. - Myślałam... że chcesz zagarnąć *Pięknych* dla siebie i zamierzałam poczekać i zobaczyć, czy oddasz obraz Brandysowi. Jeśli nie, zamierzałam w czwartek iść na policję. Więc solidarnie Filipka uprzedziłam. Ze względu na Alunię.

- Bardzo jesteś sprytna - odrzekł Jacuś i omiół ją spojrzeniem pełnym aprobaty, od czego Joli zrobiło się nad wyraz przyjemnie.

- Naprawdę?

- Bardzo, bardzo. Wiele razy się o tym przekonałem. Na przykład, kiedy zostałem bez litości przykuty do wspomnianej rury. Pomogła mi wtedy pewna brunetka w koronkowym... musisz to jeszcze kiedyś dla mnie włożyć... gorseciku.

- Prawda, że efektowny?

- Jak cholera! Efektowny był też finał tej historii. Połknąłem klucz! Dla mnie rewelacja!

- Nawet mi nie przypominaj! Do tej pory jestem na ciebie wściekła! - Jola z trzaskiem odstawiła kubek.

- O klucz?

- Nie musiałam odstawiać tych wszystkich kajdankowych sztuczek! Wystarczyłby jeden twój telefon do kolegów z pracy i byłbyś wolny. Gorsecik!!!

- I tyle dobrego by mnie ominęło? W życiu! Kolegów poprosiłem o pomoc, owszem, ale w innej sprawie. Brandys podejrzewał, że jestem w zмовie z Wąsem. Nie odpuścił. Następnego dnia wrócił, tak jak zapowiedział. Otworzyli mu panowie policjanci i objaśnili, że właśnie zeznaję w sprawie o oszustwo. Wystarczyło, miałem brzydala z głowy, mogłem się zająć czym innym.

- Na przykład Bencem.

- Tu ci muszę podziękować, pani detektyw.

- O, jak miło. A za co?

- Podejrzewałem, że sprawą kręci ktoś inny, nie Wąs.

- Za głupi?

- Coś jakby. Krążyłem, jeździłem za nim, ale nie wstrzeliłem się w moment, w którym spotykałby się z kimś, kogo by można uznać za szefa. Dopiero ty...

- Ja ci namierzyłam szefa. - Jola dumnie wypięła pierś.

- Od tego momentu ruszyło jak z kopyta.

- Poczekaj z kopytami. Może teraz słówko o podsłuchach? Zanim założyłeś pluskwę Bencowi...

- To założyłem wam, zgadza się. Ta pracownia Filipa bardzo mnie korciła.

- A sam Filip? Czemu on cię zainteresował?

- W Starej Księgarni dowiedziałem się od Aluni, że jest żoną malarza, Filipa Piechy. Wydawało mi się, że skądś znam to nazwisko, ale bardziej tknęło mnie, że to nie może być przypadek. Za dużo powiązanych ze sobą osób. Sprawdziłem i postanowiłem nie spuszczać go z oczu.

- A kiedy założyłeś podsłuch?

- Alunia piekła jakieś ciastka.

- Pamiętam. W kuchni pewnie łatwo ci poszło, siedzieliśmy tam i rozmawialiśmy, ale jakim cudem dostałeś się do królestwa Filipa? Przecież cały czas byliśmy w domu, wstałeś od stołu tylko raz, do ubikacji.

Jacek rozłożył w uciesze ręce.

- Czasem człowiek idzie do ubikacji, a los rzuca go całkiem gdzie indziej...

- Życiowa, doprawdy, sentencja.

- W pracowni założyłem też podsłuch w telefonie, co się przydało. Zarejestrowanych jest kilka rozmów, między innymi do Benca, które Filipa ostatecznie uniewinniają.

- W sumie, ja Filipa rozumiem, że czuł się winny - Jola westchnęła zamyślona.

- Polska to malownicza kraina, wszystko się może zdarzyć. Pewnie sobie chłopina domniemywał, że zostanie oskarżony o działanie celowe, chociaż to bzdura. Dopóki jakiś malarz nie sfałszuje podpisu innego malarza, niech robi najlepszą kopię, nie ma sprawy. Pod warunkiem że zmieni wy-

miary płótna i jeden szczegół w swojej pracy. Tu byłby problem, ale najważniejsze, że Filip nie podrapiał podpisu.

- Niby tak. Wystarczy, że na podpis Pracza zerknie grafolog, od razu będzie wiadomo kto i co.

- Już zerknął - zawiadomił Jacek. - Robota, jak myślisz, czyja?

- Cycka, oczywiście.

- Zgadza się. Wąs zajmował się skupem obrazów i potwierdzaniem autentyczności, Benc załatwiał kopie, które po zamianie sprzedawał z ekspertyzą jako oryginały, a prawdziwe dzieła puszczał prywatnym kolekcjonerom. Cycek fałszował podpisy i był swojego rodzaju kurierem pomiędzy tymi dwoma patafianami. To dlatego wcześniej nie przyłapałem Wąsa na kontaktowaniu się ze swoim szefem. Z *Pięknymi* mieli jednak niefart straszny, bo przypadkowo wyszła na jaw podmiana.

- Więc nie pozostawało im nic innego, jak świsnąć podróbkę od ryżego blondyna, żeby zatrzeć ślady - dokończyła Jola.

- To był pomysł Benca. Przy czym dziwię się Cyckowi, że komuś nie zapłacił, tylko sam poszedł do Brandysa jako policjant. Już po konfrontacji. Nasz ryżalek wskazał na Jakimiaka bez pudła.

- À propos pudła. Niech mu więzienna cela lekka nie będzie.

- Oj, cierpi Cycuś w areszcie, cierpi... Wąs wystraszył się śmiertelnie, kiedy wyszło na jaw, że *Piękni* zostali podmienieni, bo wszystko wskazywało na niego. Powiedział, że był przeciwny zabranii kopii od ryżego blondyna. A jeszcze Cycek podsłuchiwał, jak Benc umawia się z kimś na kupno Pracza na środe, dziewiętnastego. Więc wymyślili, że sami załatwią tę sprawę. Ich występ w galerii widziałas. Tłumaczą się, że chcieli odebrać oryginał *Pięknych* i oddać go Brandysowi.

- Trele-morele. - W to akurat Jola mocno wątpiła. Wąs życzył sobie wejść w posiadanie obrazu, nie żeby zgodnie z literą prawa zwrócić go człowiekowi, który może i nie był sympatyczny, ale wyłożył na niego gotówkę. Wąs chciał Pracza, żeby sprzedać płótno samemu i nie musieć dzielić się z Benem.

- No wiesz, prawdy nigdy się nie dowiemy. Wąs zaplanował ten napad na wspólnika bardzo dokładnie. Chciał go wziąć z zaskoczenia. Nawet wcześniej zadbał o to, żeby wyłączyć alarm, oczywiście tym zajął się Cycek. Wszystko mamy nagrane. Od poniedziałku była w galerii zainstalowana kamera, pod galerią też siedzieli nasi.

- Ahaaa... Cycek wyłączył alarm! - Jola powtórzyła, jakby nagle coś zrozumiała. - To dlatego Filip mógł się włamać i nie postawił na nogi całego miasta? Swoją drogą, ale się Wąs zdziwił, kiedy zobaczył tych czarnych z pistoletami. Aż mu się twarz skurczyła!

- Tiku nerwowego dostał. Jak go wczoraj przesłuchiwałem, to drżało mu lewe oko.

- Biedaczek.

- Cycek też się stał nerwowy. Oczywiście wobec przedstawionych mu dowodów.

- Niezbitych, dodajmy.

- Niezbitych. Zaczął być rozmowny, ale do jednego przyznać się nie chce. Twierdzi mianowicie, że nie zabrał od Praczonej podrobionej *Bidy z nędzą* - powiedział znacząco Jacek i zapatrzył się w Jolę, jakby tylko ona potrafiła mu to wytłumaczyć.

- Że też obraz wisiał u wdowy od roku i nie zorientowała się, że patrzy na falsyfikat. - Jola postanowiła skierować uwagę Jacka w innym kierunku.

- Cóż, trzeba przyznać, że nasz Filipek to niezły rzemieślnik. I właśnie ta kwestia nie daje mi spokoju. Częstochowa. Gdzie jest kopia? Mam pewne podejrzenia. Filip przyznał się jedynie, co prawda, do autorstwa kopii, ale...

- Co widzą moje artystyczne oczy? - W kuchennych drzwiach zmaterializował się bezszelestnie obiekt rozmowy. - Parę nad żurkiem! Malownicze, doprawdy - oznajmił, zaglądając do talerza Jacka, gdzie rozlewała się płytka szarawa kałuża.

Jola już jakiś czas temu zauważyła, że Jacek stał się dla Piechów tutejszym Bogiem Domowym, co przypisała przeświadczeniu Filipa, jakoby Jacek uratował go przed więzieniem. Dawniejsze zale i przyływy zazdrości przeszły do historii.

- Właśnie rozważamy... - zaczął Jacek, który nosił nadzieję, że w ciepłe domowych pieleszy wreszcie uda mu się skutecznie pociągnąć Filipa za język, ale Jola dokończyła za niego:

- ... akcję pod galerią.

Miała na myśli niedawne wydarzenia w galerii, ale zwyczajnie się przejęzyczyła.

- Aaaaa, to - Filip zmarkotniał. - Kubuś i ja dorobiliśmy klucze. Eeeee, niepedagogiczne... uuuuuu... Ale to ja namówiłem Jakubka, żeby je świsnął. To znaczy wypożyczył...

Powietrze wreszcie się ochłodziło, choć nawet teraz, nocą, siedzenie na tarasie trudno było zaliczyć do przyjemności.

Ale siedzieli sobie tutaj przytuleni.

I wreszcie wszystkie niewypowiedziane tajemnice i podejrzenia poszły precz. Wdychali ciepłe powietrze, w którym unosił się zapach lip, słuchali odgłosów dobiegających z osiedla i planowali przyszłość - Jacek stanowczo obstawał przy przeprowadzce do niego, a potem... Ho, ho!

Mogli się w końcu zacząć cieszyć sobą.

Yyyyyyyyy... Cieszyć?

Przecież nie została jeszcze objaśniona rzecz ogromnej wagi. Jaki ślub, jaka przeprowadzka?!

Jola gwałtownie odsunęła się od mężczyzny swojego życia i wyprostowała przy jego boku napięta jak struna.

- Tak nie może być! Absolutnie. Kretynkę robisz ze mnie wciąż i nadal. Bezsprzecznie!!! Ja się dowiadywałam, ja wcześniej odebrałam telefon! U ciebie!

- Co ci się...

- Proszę mi w tej chwili powiedzieć!



- Wszystko!

- Jakie tam wszystko! Jak masz na imię, oszuście, powiedz! Ostatni okrzyk Joli stracił na sile wyrazu, gdyż oszust złapał ją za brodę i w upale wieczoru wyszeptał:

- Mów mi...

Nie dokończył, gdyż na taras wpadł z łomotem jakiś człowiek, który jeszcze przez chwilę walczył z oplatającą się wokół jego drobnej postaci firanką, po czym wyprysnął tuż przed nich.

- Panie Tomku! - zawołał przejęty. - Aspirant Pyrcik się melduje. Komisarz Morozowski kazał mi pana znaleźć. Przepraszam, że zakłócam prywatny wieczór, ale ma pan wyłączoną komórkę. Z Biblioteki Śląskiej skradziono właśnie cenne starodruki. Czy mógłby pan...

*19 listopada 2006 roku*

TLR